

O. EUZEBJUSZ STATECZNY
Br. Mn.

ŻYWOT ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

NA PODSTAWIE MATERJAŁÓW ŹRÓDŁOWYCH

WYDANIE II.



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

ŻYWOT ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

IMPRIMATUR.

Poznań, dnia 8 kwietnia 1926.

X. Meysner
Wikarjusz Generalny

(L. S.)

L. D. 2880/26.

X. St. Durzyński
Notarjusz Konsystorski



B-5627

① 979/13

OD WYDAWNICTWA.

W roku bieżącym przypada siedmsetna rocznica śmierci św. Franciszka z Asyżu. Na całym świecie ludy katolickie gotują się do uroczystości jubileuszowych. I u nas w Polsce osobny komitet urządza dni poświęcone wielkiemu apostołowi ubóstwa i pokory.

Pragnąc ze swej strony złożyć hołd Temu, który rany Chrystusowe przejął na swoje ciało, postanowiliśmy wydać po raz wtóry żywot Jego, skreślony ręką Polaka brata mniejszego, zmarłego przed kilku laty.

Dzieło o. Euzebjusza Statecznego, ogłoszone przed wojną, zyskało rozgłos i uznanie krytyków. Autor zagłębił się w mroki dziejowe i odgarnawszy z pod pyłu wieków dokumenty i legendy, odtworzył plastycznie niezrównaną i po dziś dzień przykuwającą uwagę postać Biedaczka. Za nim szedł w góry i doliny Italji, za nim wkraczał w bramy miejskie i wrota siół średniowiecznych, aby odmalować jak najwierniej tło wędrówek ziemskich swego Ojca i Przewodnika. Stąd utwór jego,

owoc studjów głębokich i serdecznego ukochania, ma wartość niespożytą i nie ma jej wartości szereg dygresyj, które Syn Ojcu wypowiada, przeciwnie, te zwroty szczerze i naiwne książce dodają uroku, czyniąc z niej coś więcej niż dokładny opis żywota: przebywanie poufałe i jakby współczesne z Duchem Franciszka.

Zniewoleni ogólnemi trudnościami wydawniczymi opuściliśmy źródła cytowane obficie przez autora, ale pozostawiliśmy nietknięty zrab jego dzieła, które liczymy, znajdzie chętnych i żarliwych czytelników.



ROZDZIAŁ I.

Młody Francesco.

(1182—1201.)

Przy pierwszym rozpatrywaniu się w życiu św. Franciszka z Asyżu uderza to, że dwa okresy jego żywota są wcale do siebie niepodobne, owszem zdają się wzajemnie wykluczać: jeden okres to młodość — zupełnie podobna do młodości zwykłych śmiertelników, którym fortuna sprzyja w majątku i zaletach ducha i ciała. Okres drugi to wiek dojrzały — wręcz przeciwny tamtemu, wysoko wzniesiony ponad codzienną miarę życia. W okresie tym Franciszek tak dalece zbliżony jest we wszystkich przejawach życia swojego do Chrystusa, że się stał jednym z pierwszych po Nazarejczyku reformatorów społeczeństwa, a zarazem tak jest miły w swych cnotach i ułomnościach człowieczych, że równocześnie wyrósł na ideał, w który się wszyscy z tkliwością wpatrują.

W młodym Franciszku widzimy niejako siebie samych. Kiedy z rycerską postawą i w szale żołnierskim śpiewając przebiega z towarzyszami ulice miasteczka rodzinnego, kiedy urządza festyny i więcej niż obficie rzuca pieniądzem ojcowskim, kiedy śladem trubadurów układa pieśni

miłosne, poznajemy w nim młodzieńca burzliwego, oddanego z zapalczywością przyjemnościom życia: młodość, jaka była, jest i będzie. Lecz gdy po nawróceniu widzimy go porzucającego bogactwa, zaszczyty, przyjemności, odzianego w pokutniczą suknię, opatrującego chorych, uczącego prostoty i miłości, nawracającego słowem, a więcej jeszcze przykładem krocie ludzi, kochającego całe stworzenie, jak nikt przed nim nie kochał, ożywiającego nowem życiem, życiem prawdy i zgody, warstwy społeczne; gdy go widzimy mdlejącego z miłości i przebitego pięcioma bliznami na górze Alwernji: wtedy poznajemy w nim przyjaciela Boga, odbicie wierne Chrystusa. Poznajemy Franciszka przeduchowionego i unoszącego się wysoko ponad naszymi głowami jako drogowskaz, który nas zawieść może bezpiecznie w objęcia Chrystusa.

Wszelako pomiędzy młodym i burzliwym a pomiędzy nawróconym i pokutującym Franciszkiem, pomiędzy młodzieńcem i mężem, trubadurem i reformatorem ciągnie się tożsamość charakteru i usposobienia. Wspólną kanwą tego samego człowieka w dwóch różnych epokach jest rycerska poezja właściwa średniowieczu, a jej konkretnym wyrazem — prawda i miłość.

Z takiej tylko siejby mogła wyrosnąć ujmująca i heroiczna postać Franciszka z Asyżu.

A wyrastał młody Francesco z początku na wzór wszystkich innych dzieci. Jego dom rodzinny, we wschodniej części miasteczka Asyżu położony, z powodu pochyłości gruntu wolny był od ruchu powozów, nie był zato wolnym od hałaśliwych gier dziatwy asyskiej, która obierała sobie plac przed domem zamożnego Bernardona, ojca Fran-

ciszka, na ulubione miejsce swych rozrywek dziecińczych. Brał w nich naturalnie udział i zapewne bywał obierany hersztem niespokojnej drużyny — młody Francesco, a właściwie Jan Chrzyciel, takie bowiem imię nadano dzieciątku narodzonemu w r. 1182 z matki Piki i z ojca Piotra Bernardone Moriconich, a ochrzczonego w katedrze św. Rufina w Asyżu.

Ojciec Franciszka, oddany całą duszą kupiectwu i przedsiębiorcy dłuższe i dalsze podróże w sprawach handlowych, nie miał pewnie czasu troszczyć się o wychowanie syna. Pozostawiał to matce. Matka zaś, niewiasta słodkiego serca, niebardzo dokuczała napomnieniami wichrowatemu chłopcu, tem więcej, że do młodego Franciszka wyjątkową czuła słabość, której nie miała w równej mierze dla młodszych synów.

Wysłany do szkoły przy kościele św. Jerzego, gdzie uczyli kapłani, wyuczył się oprócz przedmiotów elementarnych trochę łaciny, która w owym czasie była jeszcze prawie powszechną we Włoszech. Również umiał po francusku i nawet lubił posługiwać się tym językiem później, jakkolwiek według świadectwa Trzech Towarzyszy niebardzo biegle i czysto nim mówił; może nauczył się go od ojca, który jako kupiec podróżujący po Francji musiał umieć po francusku. Oprócz tego wyuczył się trochę pisać; ale i w tym kunszcie niewielkie okazać musiał postępy, skoro w życiu późniejszym miasto podpisu swojego zadawał się kreśleniem krzyżyka w kształcie Tau, a kiedy pisał, pisał niebardzo zgrabnie. Wyrecał go zwykle brat Leon, sekretarz jego, spowiednik, infirmer. Nie był tedy Franciszek na na owe czasy człowiekiem nieumiejętnym i idjotą, choć się za takiego w poczuciu pokory podawał;

chyba o tyle, o ile nie posiadał filozoficznego i teologicznego wykształcenia.

Większy wpływ od nauki wywierało nań z pewnością otoczenie. Młodzież ówczesna grzęzła w pożądlivości, podsycanej jeszcze zachętą rodziców. Choć może bogobojna i dobroduszna matka nie szła za przykładem swych towarzyszek, to ojciec Bernardone nie omieszkał pewnie korzystać ze swych praw, zaprawiając syna w tem, co było modą czasu. Ale młody Francesco korzystał przytem i w kierunku dodatnim. Ojciec bowiem, wracający ze swych podróży, przynosił ze sobą tchnienie wielkiego świata, opowiadał o zdarzeniach ważnych, rozmarzał główkę Franciszka tchnieniem poezji trubadurów, których pamięć i urok leciały z nim razem z prowansalskich gór i dolin.

Za powiewem poezji przychodziła i sama poezja. Wkrótce bowiem zostały Włochy zalane przez truwerów i trubadurów francuskich, a miasta poczęły huczeć festynami fantastycznymi i brzmieć słowem miłości i śpiewem. Asyż, jako małe miasteczko położone przy głównym trakcie Włoch, nie był tak oddalony od świata romantycznego, żeby młodzież jego nie mogła się zaciągnąć w szeregi rycerzy pieśni i miłości. I Franciszka porwał ów szal i olśnił blask tej rycerskości. Odtąd ów świat staje się dlań ideałem. I kto wie, czy to poczęści nie on uratował młodzieńca szesnastoletniego, pełnego ambicji i porywów szlachetnych, od zwicłnienia i zupełnego upadku.

Bowiem młodość Franciszka źle się zapowiadała. Z hałaśliwych zabaw dziecięcych, któremi ze swą drużyną napelniał plac przed domem rodzicielskim i wśród których witał i żegnał wscho-

dzące i zachodzące przeczyste słońce umbryjskie, wyrósł Francesco na swawolnego młodzieńca o gorącym temperamentem włoskim. Na czele również swawolnych rówieśników, przebiegał dniem i nocą ulice miasta i okolice, wypełniając je okrzykami i śpiewem, mącąc spokój mieszkańców, strojąc żarty, wyprawiając widowiska i farsy. Fantastyczność pomysłów, hojność przy hucznych biesiadach, dochodząca do rozrzutności, błyskotliwość życia i strojność ubioru, niespokojność i bogactwo ducha młodego sprawiły, że u mieszkańców Asyżu zdobył sobie Francesco rodzaj sławy świetnego wprawdzie, lecz zarazem i niestatecznego młodziana. Dlatego też sąsiadki często przychodziły do matki Piki z żalami i skargami na Franciszka. Lecz ta w dobroci serca, znając dobrze zalety swego syna ulubionego, odpowiadała im zwykle:

— Cóż sądzicie o moim synu? Zobaczycie, że jeszcze będzie synem Bożym za łaską Boga i ojcem wielu synów, których pociągnie przykładem!

A ojciec, który od czasu do czasu wracając do miasta, patrzył na wytworność tego kawalera i słuchał opowieści o cudacznych pomysłach swego syna, aż rósł uczuciem dumy rodzicielskiej. Takiego syna sobie życzył stary Bernardone i poniekąd sam go był do tego natchnął. Wprawdzie kupiec wcale nie był szczodry i rozrzutny i często razem z matką strofował syna za rozrzutność, upominając, że takie wydatki nadmierne raczej księżęcemu aniżeli kupieckiemu synowi przystoją, ale ostatecznie pozwalał na wszystko; bo czyż duma i próżność ojcowska nie potrafią zwyciężyć skąpstwa! To też syn coraz obficiejsz rzucał ojcowskim pieniądzem, używał, szalał.

A ponieważ nie znosił, żeby go ktoś przewyższał, więc pewnie i w tych zabawach i szaleństwach prym trzymał przed wszystkimi towarzyszami. Przyjemności i uciechy wzrastały, gonitwa za nimi pochłaniała go całkowicie, a młodzieńcowi począł naprawdę grozić upadek zupełny.

Wtedy to owionął go czar poezji i rycerskości, szybujący wiatrem od północy za przyczyną truwerów i trubadurów i otoczył go atmosferą idealniejszą, czystsza. Była to fala, która trąciwszy o pierś Franciszka, natchnęła go większą szlachetnością i skierowała jego umysł w górę.

Któż z nas nie zaznał podobnych podniet do celów wyższych! Kiedy pedantyzm na ławach szkolnych w gnuśność i zanik pogrążał ducha, a materializm życia prywatnego groził upadkiem skromności zaszczipionej w objęciach matki, wtedy byle lotniejsze słowo: poezja, wolność, ojczyzna, ludzkość! podnosiły naszego ducha, strząsając pył, zabezpieczając wrodzoną szlachetność.

Narazie jednak Francesco nie zmienił trybu życia. Stał się tylko ze swawolnego spokojniejszym i czulszym młodzianem, z hucznego dworniejszym rycerzykiem. Wprawdzie musiał on jako przyszły spadkobierca majątku i zajęcia ojcowskiego pomagać ojcu w sprawach kupieckich, ale młodzieńcowi pełnemu połotów, zdolności i urojeń poetycznych zajęcia to nie mogło ani dogodzić ani życia całkowicie wypełnić. To też w chwilach wolnych urządzał biesiady i wycieczki tem świetniejsze.

Jednakże w tych wybrykach umiał zawsze młody Francesco zachować pewną miarę estetyczną. Mimo chęci bowiem ciągłego używania cechowała go zawsze pewna powaga i uprzejmość

i przyzwoitość wrodzona w obyczajach i słowach. Nigdy nie używał słów grubiańskich i gminnych, a do rozmów nieprzystojnych nigdy się nie przyłączał. I ta przyrodzona delikatność uczuć i szlachetność serca zjednywała mu mimo próżności, wesołości i rozrzutności wielkie wzięcie nie tylko w mieście, ale i w całej okolicy, tak dalece, że się ustaliło mniemanie, iż z tego młodzieńca wyrośnie człowiek niepośledni.

I to także było w nim znamienne, że będąc rozrzutnym dla zadowolenia swej próżności, umiał być równocześnie szczodrym względem ubogich dla miłości Bożej.

Jeszcze dzisiaj we Włoszech prawdziwą plagą dla podróżnych są ludzie żebrzący. Dawniej, jeżeli nie było tak samo, to z pewnością było daleko gorzej. Francesco tedy spotykał się często z ubogimi. A hojne z natury i tklive serce zmuszało go nieraz, że się pozbywał wszystkich pieniędzy, nierzadko odzieży, którą okrywał ubogich. I tę hojność względem ubogich postawił sobie za najważniejsze zadanie życia.

Pewnego dnia zdarzyło się, że Franciszka gorliwie zajętego w sklepie, w którym sprzedawano sukna, poprosił pewien ubogi człowiek o jałmużnę w imię Boga. Francesco, cały oddany sprawie bogactwa i handlu, ofuknął ubogiego, odmówił jałmużny i kazał mu odejść. Tego nie zwykł był czynić. Więc oprzytomniawszy, spłonął ze wstydu za swoje grubiaństwo i rzekł do siebie samego:

— Gdyby cię ów ubogi dla jakiegoś księcia lub barona o coś prosił, z pewnością byłbyś mu udzielił tej jałmużny. O ileż chętniej powinieneś być to uczynić dla Króla królów i Pana panów!

Poszedł tedy śladem ubogiego i przywoławszy go napowrót, obdarzył go hojnie. Przyczem święcie obiecał sobie i Bogu, że odtąd nigdy nie odmówi jałmużny, ktokolwiek go o nią prosić będzie w imię Boga.

Był więc w tym wichrowatym młodzieńcu podkład niezły: łagodność połączona z wykwićnością obyczajów, zamiłowanie do poezji i hojności, przytem wesołość, giętkość i prawość charakteru oraz wielkie zdolności umysłu.

Z takich przymiotów mógł wyrosnąć mąż nie powszedni. Lecz tymczasem wady i zalety stapiały się chaotycznie, a nad wszystkim górował szal młodzieńczy.

Stary Bernardone pozwalał dalej na wszystko, dumny ze sławy, jaką Francesco dom jego otaczał. Prawda, że nadzieje doczesne i materialistyczne ojca miały się wnet rozwiać jak puch, ale tymczasem chodził w sławie syna jak w słońcu.

Niebawem jednak zaszedł fakt, który i staro kupca i dwudziestoletniego Franciszka stracił zupełnie na drugi plan, na pierwszy zaś wysunął sprawy publiczne Asyża.

ROZDZIAŁ II.

Rycerz Francesco.

(1202—1205.)

Dolinę Spoletańską okraża zewsząd wieniec gór Apenińskich. Kolczasta ta grzywa, poorana nagieimi czubami i głębokimi przepaściami, rzadko tylko porasta wrzosem, niekiedy trawą zwiędłą, tu i owdzie lasem karłowatym. Tem świetniej od tej dzikości i martwoty wieńca ciernistego odbija dolina, jedna z najżyźniejszych i najpiękniejszych w świecie. Wśród tej doliny rozsiada się góra Subasio, wygasły krater, król okolicy. Ostatniego zachodniego garbu góry Subasio, czepia się miasto Asyż, panujące całej części zachodniej doliny Spoletańskiej.

Lecz jego mieszkańcy, gdy okiem rzucą na przeciwległe wschodnie stoki Apeninów, zadrżą gniewem i zawiścią; albowiem tam rozkazuje dumnie i potężnie Perugia, można pani, jakby urągając, że mały i lichy Asyż z nią rywalizować się ośmiela. Toż Perugia starożytne gniazdo Etrusków, otoczone murami, z któremi Lucca a nawet światowładna Roma współzawodniczyć nie może, rozsadnik kultury italskiej, sojusznik gibelinów i cesarstwa, matka wszystkich miast! — a Asyż?

— mięscina uboga, szczupła do której nawet mury nie bronią wstępu najeźdźcy, dorobkiewicz wieszający się u boku gwelfów i papieża. Więc słusznie patrzą na siebie: Perugia z pogardą, Asyż z zawiścią. Atoli nie w trwodze patrzy Asyż na Perugję; dotąd bowiem mężnie i skutecznie odpierał liczne napady zachłannych Perugijczyków, a gdy niebezpieczeństwo ponownie zagrozi, nieliczni Asyzjaci gotowi nawet wojnę wypowiedzieć potężnej nieprzyjaciółce.

Taka wojna rozszroiła się pomiędzy Asyżem i Perugją właśnie w tym czasie, kiedy młody Francesco wstępował w rok dwudziesty swojego życia. Wojna ta była rezultatem ogólnych prądów panujących we Włoszech a poczęści powstała z powodu miejscowych zawikłań.

Wiek trzynasty był widzem heroicznych walk miast włoskich, zwłaszcza północnych, z obcym najeźdźcą, walk o niepodległość i wolność komun. Niemieckie rycerstwo okute w żelazo padło pod Legnano r. 1176, a sam Rudobrody uchodzić musiał w swoje komysze turyngijskie. Pogrom ów był hasłem do ogólnego powstania. Bo jakkolwiek następca Rudobrodego Henryk VI żelazną pięścią ciężył na głowach powstających komun, to jednak chwilowa ta przemoc brutalna zamiast zdusić, roznieciła raczej tlejący ogień, tak dalece, że śmierć jego r. 1196 była początkiem wolności rzeczypospolitych włoskich.

W tych walkach o niepodległość Asyż odgrywał rolę nie ostatnią. Zato Henryk VI ukarał go srodze. Odebrał przywileje, rzucił pod nogi Konradowi szwabskiemu, dukowi spoletańskiemu. Nie na długo. Gdy bowiem Inocenty III jął rządzić światem chrześcijańskim, pierwszym czynem tego wielkiego papieża było upokorzenie Konrada

szwabskiego. Tego tylko oczekiwali Asyzjaci. Zaledwie Konrad wyjechał ze Spoleto do Narni, aby tam upaść do kolan wysłannikom papieża, wojownicy asyscy rzucili się na Spoleto a zamek Konrada zrównali z ziemią. Równocześnie, powróciwszy do Asyżu obarczeni bogatym łupem, rozpoczęli gwałtownie wznosić potężne mury, okalające całe miasto i stojące do dnia dzisiejszego.

Po dokonaniem dzieła obrony gniazda rodzinnego mogli obywatele Asyżu już z większą otuchą zwracać się w stronę zachodnią, grożąc Perugii mieczem.

Ale powodzenie psuje.

Asyż nie umiał korzystać z odzyskanej wolności i przywilejów, dwie partje powstały w mieście: ludowa i szlachecka. Ludowcy postanowili prowadzić dalej wojnę spoletańską, rozciągając ją na bogatych baronów okolicy, których dobra pragnęli spustoszyć i złupić. Partja szlachecka na mocy tradycji oparła się krwawemu zamysłowi.

Powstaje wojna domowa. Tłumy ludowców napadają na zameczki panów feudalnych, podpalają pałace, burzą. Partja szlachecka, niezdolna oprzeć się ludowi, wzywa pomocy miast sąsiednich. Niektórzy z feudalnych panów-zdrajców udają się po pomoc do potężnej Perugji, która dotąd patrzyła gniewliwie na rosnący wpływ i na podnoszące się obronne mury Asyżu. Wezwana śpieszy ochotnie z pomocą zaborczą.

W r. 1202 wybucha tedy wojna pomiędzy Perugją i Asyżem. W dolinie Spoletańskiej w środku drogi pomiędzy obydwojmi miastami przychodzi do fatalnej bitwy, w której dzielni ale niezgodni Asyzjaci uległszy, sromotnie na głowę są pobici. Większa ich część idzie do Perugji jako jeńcy i zakładnicy. Pomiedzy nimi znajduje się mężny

Francesco, który nie chcąc iść śladem zdrajców, wolał bronić wolności swojego ludu.

Tak się zakończyły górnołotne i nieroztropne aspiracje Asyżu.

Niewola u Perugijczyków trwała przeszło rok. Po roku przyszła do skutku umowa obopólna, na mocy której Asyżjaci zobowiązali się, że wzniosą zamki tym z panów, których poprzednio byli złupili; panowie zaś przyrzekli, że nie rozpoczną żadnej wojny bez wiedzy i pozwolenia ludu.

Zakładnicy powrócili do Asyżu. Między nimi był i dwudziestodwuletni Francesco.

W niewoli okazywał Francesco wiele wytrwałości i hartu ducha. Ale co najwięcej wszystkich uderzyło, to jego niczem niezmacona wesołość. Jest to ów rys charakterystyczny, który nie opuszczał go przez całe życie i który go z pośród wszystkich prawie Świętych najwięcej wyróżnia.

Dziwna ta wesołość odbijać musiała od smutku, westchnień, skarg towarzyszy wspólnej niedoli. Snując plany wielkości i chwały na przyszłość, żartował i śmiał się bez troski. To też gdy pytającym o przyczynę tej ciągłej wesołości, odpowiadał stale: „Przyjdzie dzień, w którym mię świat cały będzie wielbił“, oni poczytywali go za obłąkanego.

On jednak dalekim był od obłąkania. Chyba był szalony, albowiem powróciwszy do Asyżu, rozpoczął wieść dawniejsze szalone życie. Zapamiętał się zupełnie, jakby odbić chciał ten czas stracony w niewoli.

Wkońcu zachorował.

Śmierć krążyła około niego. Długie dni przeleżał bezprzytomny, trawiony gorączką. Lecz organizm przemógł niemoc. Powoli przychodził do zdrowia.

Dziwne widzenia i myśli nawiedzały go w czasie rekonwalescencji. Przeszłe jego życie z wszystkimi zabawami i szaleństwami wydawało mu się jednym ciągiem złudzeń i błędów. Ale i nad przyszłością ciążyła ołowiem ciemność. Widział się otoczony przeraźliwą pustką. Jak rozwiązać życie? Jaką drogą pójść do celu? Do jakiego celu? Do chwały rycerskiej, do której parla Franciszka ambicja przez chorobę wcale niewytępiona? Mała pociecha! ona nie może zapełnić tej próżni, którą w sercu Franciszka uczyniła choroba. Czy Francesco ulegnie w tej walce i rozterce wewnętrznej? Czy też znalazłszy nową drogę, wypełni swoje życie i tem samem stanie się światłem dla całych wieków i bohaterem etycznym?

Lecz tymczasem przychodził do zdrowia. Zdrowie, po chorobie ciężkiej odzyskane, nabiera dopiero prawdziwej wartości. Franciszkowi zdawało się bezmała, że się po raz drugi narodził.

Począł już o kiju wychodzić z domu, aby nabierać sił w otoczeniu Bożej natury. Ojczysta dolina, spokojna jak samotność, żyzna jak zdrowie, wracała mu dawne siły. Szczupła jego postać nabierała dawniejszej giętkości i swobody. Pokochał za to tę dolinę, bo mniemał, że ona wróciła mu zdrowie. Zatem rozkochał się w przyrodzie i we wszystkich jej tworach; piękność jej olśniła wyobraźnię Franciszka, ożywcze jej tchnienie wzmocniło jego delikatny organizm, jej poezja odpowiadała żywości jego umysłu i woli.

Zapewne, ten gmach eudemoniczny, który mąż wzniesie mozolnie na podstawie miłości do przyrody, będzie trwalszym od owych baniek mydlanych, które młodzieniec puszczał pod wpływem miłości wpojonej przez ducha truwerów!

Przyszedłszy zupełnie do zdrowia, postanowił ukazać się w dawniejszem towarzystwie. W tym celu kazał sobie podać nowy, wspaniały ubiór, a ubrawszy się, zjawił się strojny na ulicy małego miasteczka.

Wtem spotyka pewnego rycerza, który choć ze szlacheckiej widocznie pochodził rodziny, jednak ubogi był i nędznie ubrany. Wejrzeć i — zedrzeć z siebie kosztowne szaty i przyodziać niemi biednego żołnierza, było dla Franciszka rzeczą jednej chwili. „Dobre z natury serce poruszyło się na widok ubóstwa i wstydu; Franciszek postępkami swoimi zapobiegł jednemu i drugiemu!” woła Bonawentura.

Uczynek to nad wyraz wielki i heroiczny. Ale czy to nie kaprys serca? Chyba, że takie uczynki Franciszka mnożyć się będą, dopóki się nie staną prawem i istotą jego natury i nie uczynią zeń najuboższego z ubogich, ojca ubóstwa!

Franciszek powracał do normalnego życia. Powoli też powracał do dawnych nałogów. Ale wśród hucznych biesiad i widowisk otwierała się przed nim od czasu do czasu owa próżnia życia, która go w czasie rekonwalescencji tak uporczywie ścigała. W takich chwilach rozpoczynała się walka moralna. W niej naprzemian zwycięstwo odnosiły nowe zabawy i festyny jako czynnik odurzenia; to znów przesuwiała się jako cień też sama pustka; najczęściej jednak przyciągała go olśniewająco chwala rycerska w przyszłości jako coś rzeczywistego. Mąż zmagał się ze sobą bezcelowo, albowiem prawdziwej drogi jeszcze nie znalazł.

Przytem nie brakło i widzeń. Oto pewnej nocy zdaje się śpiącemu Franciszkowi, że dom jego rodziców przemienia się w pałac wspaniały.

Gdzie tylko okiem rzuci, zamiast wałków ojcowskiego sukna spostrzeżę wszelaką broń, jako to: miecze, tarcze, kopje porozwieszane po ścianach. A co dziwniejsze, siebie samego widzi w obliczu przecudnej oblubienicy. A gdy Franciszek zdziwiony pyta, do kogo to wszystko należy, rozlega się głos tajemniczy i uroczysty: Wszystko to jest dla ciebie i dla twoich żołnierzy! Franciszek przebudzony nie bada dalej widzenia i znaczenia odpowiedzi, lecz wstaje pełen radości, bo głęboko jest przekonany, że droga do sławy rycerskiej jest jego powołaniem.

A już krótko przed tem widzeniem z początkiem r. 1205 zdarzył się fakt, który kres położył walce duchowej, a Franciszkowi zdawał się obiecywać jasną przyszłość w zawodzie rycerskim.

Rozszedł się głos, że przesławny rycerz Walter z Brienne zbiera rycerzy do walki w sprawie Inocentego III w południowych Włoszech. Jeden z rycerzy asyckich już wkrótce miał wyruszyć w drogę, aby pod wodzą niejakiego hr. Gentilisa pociągnąć ze Spoleto do Apulji i pod chorągwią Waltera zarobić na sławę.

Franciszek, dowiedziawszy się już poprzednio o zamierzonym wyjeździe znajomego rycerza, zachęcony nocnem widzeniem, postanowił bezzwłocznie przyłączyć się do jego orszaku. Toż ma, czego chciał! Wystroi się świetnie w drogę, przybędzie w towarzystwie zacnem do Waltera, pod jego dowództwem będzie walczył, a nagrodą moją — mówił sobie — będzie pasowanie na rycerza i sława, którą przywiozę do domu.

✕ Istotnie, nazajutrz świetny orszak rycerski opuszcza mury Asyżu. Francesco ozdobą szat i kosztownością broni przewyższa nawet towarzyszy wyprawy. Lud go żegna pełen zachwytu,

dawni towarzysze zabaw tają zazdrość. Siedząc na wspaniałym koniu bojowym, to skinie łaskawie na pożegnanie, to popędzi konia w kierunku drogi do Spoleto. Wyjechawszy na główny trakt, raz jeszcze żegna w duchu okolicę i pędzi truchtem drogą prowadzącą wśród oliwników, potem pól żyznych i winnic, ocienioną cyprysem lub drzewem morwowem lub okoloną chaszczami. Słońce poranne błyszczy w kroplach rosy, serca rycerzy wypełniają się męską odwagą i ochotą rzeską, i wróżbą pomyślną. Od wiszarów porozrywanych góry Subasio wieje rozkoszny chłód, wioski i miasteczka migają, a Franciszek, nie czując znużenia najmniejszego, myśli o chwale i sławie rycerskiej.

Dopiero noc położyła kres dalszemu pochodowi w pogoni za marą.

Dnia następnego pod wieczór dziwny widok uderzył mieszkańców Asyżu. W bramę miasta wjeżdżał Franciszek — sam. On, który wyjechał po sławę, wrócił bez sławy. A jednak oblicze jego jaśniało weselem wewnętrznym. Na zapytanie urągliwe mieszkańców, dlaczego wrócił, odpowiadał stale wśród uśmiechów zadowolenia:

— Wiem, że zostanę wielkim i możnym księciem!

Cóż to się stało? Stało się to, czem wypełnione są średnie wieki. Francesco był wiernym synem swojego wieku, miał wyobraźnię włoską; nawiedzany więc był przez widzenia, przez które przemawiał człowiek wewnętrzny, instynkt — rzekłbyś — pracy go do urzeczywistnienia przyszłego zadania. Nie mógł sprzeciwiać się widziom, wiara całego wieku i prostota jego osobista nie pozwalały na to. Gdy przybył do Spoleto i niedomagający trochę po trudach podróży zapadł w sen niespokojny, usłyszał nad ranem stanowczy

głos: „Wróc do ziemi swojej, a tam ci będzie objawione, co masz uczynić!“ Wrócił więc bez wahania do Asyżu, tem weselszy, im głos jego sumienia był natarczywszy i silniejszy od pragnień jego osobistych.

Czy ten był powód czy inny nagłego powrotu, dosyć że sam Francesco uważał sławę w rzemiośle rycerskiem za majak, nie lepszy od swych szaleństw młodzieńczych. Znowu otoczyła Franciszka próżnia. Walka i szukanie nowej drogi i jaśniejszego światła miały się rozpocząć na nowo.

Tymczasem jednak znosił cierpliwie urągania swych towarzyszy i współobywateli, szydzących z powrotu potężnego księcia Franciszka i cieszących się z hańby, jaka spotkała dumnego Bernardona. Francesco musiał także znosić gorzkie wyrzuty ojca, który, zraniony w miłości własnej, nie szczędził mu nagan.

Ale przyjść miały gorsze chwile.



ROZDZIAŁ III.

Przebłyski innej przyszłości.

(1205.)

Samotności, samotności! wołało udęczone i spragnione spokoju serce młodego Franciszka.

Kto nie znał tego spokoju, który leży na górach i dolinach umbryjskich, zwłaszcza w obrębie Asyżu, ten z trudnością uprzytomnić sobie zdoła ten okres heroiczny w życiu św. Franciszka. Nie wrzawa miasteczka, nie względy rodziny, nie dorady swawolnego otoczenia mogły Franciszkowi wskazać szukaną drogę, tylko samotność, wśród której Bóg przemawiał przez naturę niepokalaną. A czy dolina Spoletańska z przyległym Subasio nie posiada miejsc samotnych niech się przekona, kto kocha św. Franciszka!

Franciszek odgadł potrzebę swej duszy. Powróciwszy do miasteczka przedwcześnie z zamierzonej wyprawy, unikał przyjaciół, o ile mógł się obronić przed ich natarczywym naleganiem. Zajęciem jego ulubionem było błądzić po okolicy, rozmyślając o poprzednich widzeniach i usiłując przedrzeć oponę ciemności, otaczającej jego umysł. Często oddalał się więcej od miasta, zapuszczając się w wądoły górzyste, gdzie w pieczarach opła-

kiwał swą młodość straconą na urojeniach i swawolach, prosząc Boga o wskazówkę na przyszłość; albowiem od czasu powrotu często przestawał na gorącej modlitwie. Pragnienie jasności i pewności, natura, którą kochał, widząc w niej twór Boży, sumienie wreszcie i samotność, przez które tak często Bóg się objawia, zwracały go powoli lecz stanowczo w objęcia Boga.

Ale na drodze do tego Boga leżała jeszcze dla Franciszka gruba mgła.

Często też towarzyszył mu pewien młodzieniec równego z nim wieku, ale zupełnie innego pokroju od dawniejszych towarzyszy. Nieraz rozprawiali o marności uciech światowych i chwały rycerskiej, wynajdując nowe skarby duchowe lub wskazując zadania wyższe człowieka. Bywało, że chodząc po równinie, szukali ścieżek opuszczonych i zagłębiali się w odludne pieczary, rzucając od czasu do czasu słówko pełne namaszczenia, zresztą pogrążeni w milczeniu i rozmyślanii. To znowu gdy w rozmowie nasiąknęło serce Franciszka nowemi myślami lub nappełniło niepokojem, opuszczał towarzysza, kryjąc się w tych pieczarach u podnóża góry Subasio, nad które niema nic miłszego dla ludzi kochających Franciszka i jego ubóstwo. Tam Franciszek toczył walkę z sobą i szukał, jakim sposobem rozjaśnić przyszłość sobie a może i innym.

Z biegiem czasu wymizerniał. Jego twarz pociągła stała się przezrocza, postać wątła: skutki walki duchowej i łamania się wewnętrznego. Ale gdy stamtąd, z tych pieczar mrocznych wychodził na światło dzienne z mocnem postanowieniem zerwania ze światem dawnych uciech i swawoli, zdawało mu się, że przecież na tej drodze do Boga, której szukał, ujrzał pierwszy promień.

I bezwątpienia, w tych i późniejszych rozmyślaniach w samotności tkwiły zarodki jego przyszłej przedrogiej oblubienicy: ubóstwa, którego świat ówczesny znać nie chciał.

Niema chwili bardziej stanowczej w życiu nad tę, w której człowiek, opatrzywszy się, że jest na błędnej drodze, zamyka się w sobie, a czyniąc obrachunek z sobą i zrywając z przeszłością, szuka nici, któraby go wiodła w dalszem życiu. Nierzadko się zdarza, że w młodzieńcu, pogrążonym w używaniu czczem i swawolnem, odezwie się lepsza część, że oprzytomnieje i pocznie walczyć duchowo. Lecz niewielu jest takich, których walka kończy się zupełnie nowem życiem. A iluż mniej takich, którzyby, wstąpiwszy naprawdę w nowy okres życia, nie popadli od czasu do czasu w dawne nałogi!

Raz pod wieczór powracał Franciszek ze swych samotnych rozmyślań do Asyżu, tuląc w sobie skarb: postanowienie zerwania stanowczego z przeszłością. Wtem opadli go przypadkiem jego dawni towarzysze, chcąc go pogrążyć jak dawniej. I Franciszek, ów mocarz w pieczarach górskich, o mało co nie stał się słabem dzieckiem wobec podszeptów niepoczciwych przyjaciół; sprosił bowiem wszystkich na wspaniałą ucztę, której on sam przewodniczył. Uczta przeciągała się w późną noc, a Asyż trząsł się od śpiewu, śmiechu i muzyki.

Któż zna głębie serca ludzkiego! Może Franciszek chciał wyprawić towarzyszom ucztę pożegnalną, gdyż rzeczywiście była to jego ostatnia uczta.

Po uczcie pijana czereda, razem z Franciszkiem, trzymającym w ręce laskę jako oznakę przewodniczącego, wybiegła jak zwykle na ulicę, ma-

cać spokój uśpionych mieszkańców zgielkiem i śpiewkami. Wtem z Franciszkiem stało się coś dziwnego. Pozostał wtyle za orszakiem w głębokich myślach zatopiony, nie widząc ani słysząc, co się naokoło dzieje, z rozdartem sercem nad sobą się litując, nie mogąc ruszyć z miejsca. Towarzysze, spostrzegłszy jego nieobecność, wrócili doń i ze zdziwieniem patrzyli na przemienionego kolegę, a jeden z nich, zapytał:

— Cóż to? Dlaczego nie idziesz z nami?

— Hej, dajcie mu spokój! — woła drwiąco inny. — On myśli o swojej przyszłej oblubienicy!

Na te słowa Franciszek rozbudził się i odparł żywo:

— Tak. Słusznie mówisz. Zamyślam zaślubić dziewczę szlachetną, bogatą i piękną, jakiej wy sobie nawet wyobrazić nie potraficie!

Po tych słowach zapadł znowu w zadumę pełną słodyczy, w tej chwili bowiem zapisał w sercu swem głoskami niezatartemi: Z przeszłością hulaszczą zerwałem, zaślubiłem ubóstwo! Przyjaciele zaś odeszli, oddając się dalszym swawolom sami, bo Francesco dla nich umarł.

Co pocznie ów człowiek, oderwany od przyjaciół i ich upodobań gminnych? Czy nie popadnie napowrót w przeraźliwą pustkę?

Radość niewysłowiona przepęłniła serce Franciszka, gdy rozerwał te ciężkie więzy, łączące go z przeszłością.

Tę radość poniesie on teraz ze sobą do samotności, samotności jedynie ją powierzy. Po radości nastąpi pogoda i spokój. Poczem czujny żołnierz powie: Panie, oto znalazłem Cię w naturze, którą kocham. Znalazłem Cię w sercu, przez które przemawiałeś i w którym spokój zamieszkał. Cóż

mam czynić dalej? Wskaż, o Panie, dalszą drogę, po której postępując, posiadłbym Cię zupełnie.

Samotność Franciszka nie upływała na samem tylko opłakiwaniu młodości, jęczeniu i rozmyślaniu. Nie. Jego niepohamowana żądza młodzieńcza i energia parły go do wynajdywania nowych dróg i jaśniejszego światła, a dzielność wrodzona kazała mu wykonywać bezzwłocznie to, co duch uważał za słuszne i dobre.

Samotność Franciszka przemieniała się w najwyższy czyn. Samotność jego oprócz pokoju względnego i odroczenia duchowego dawała mu pracę.

Cóż to za postacie, które w łachmanach stoją na rozstajnych drogach, wyciągając ręce? To są ubodzy Asyżu. A tam pod murami leżą jakieś bezkształtne członki, od których wieje trupi zaduch i które ludzie omijają. Gdzie indziej po ulicach miasta wloką się kulawi. Ścieżki doliny Spoletańskiej roją się od starców, nie mogących pracować. Cóż to za ludzie? To trędowaci, to kaleki, świat nędzy i ubóstwa. Co to za ludzie! To przyszła radość Franciszkowa. On weźmie w rękę te żywioły ubóstwa; utworzy z nich wojsko uorganizowane, stawszy się ich wodzem, najuboższym z ubogich.

Franciszek, żyjący w samotności, często się spotykał z ubogimi. Przez wojnę i chorobę namnożyło ich się dosyć w Asyżu. Tkliwego i hojnego będąc serca, zawsze się poruszał do głębi duszy, widząc ubogiego. Więc był hojnym dla nich. Był przecie bogaty. Pieniądz, teraz ubogiemu podawany, to nie dawny grosz trwoniony.

I wkrótce stał się ulubieńcem ubogich Asyżu. Kto go prosił o jałmużnę, tego obdarzał obficie. Nie mając przy sobie pieniędzy, dawał kapelusze

lub trzewiki; nieraz nawet darował koszulę, zdjawszy ją poprzednio w jakim ukrytem miejscu. Skupywał przybory kościelne i rozdawał je ubogim kapłanom. Nieraz w nieobecności ojca napełniał przy obiedzie w domu cały stół chlebami, a pytany przez matkę, dlaczego to robi, odpowiadał, że pozostałość przeznaczą dla ubogich. Ona zaś zezwalała na wszystko, bo go nad wyraz kochała.

Ubodzy nasuwali też Franciszkowi inne myśli. Oto ten nędzarz pod lachmanami ma serce: on musi cierpieć. Ten ślepy, wyciągający rękę po jałmużnę, nie ma światła ocz, ale ma światło serca: on musi cierpieć. Franciszku, czy ty jesteś zupełnie szczęśliwy? Och nie, ani połowy drogi nie znalazłem jeszcze do Boga, a przyszłość mgłą gęstą zasłana; błąkam się i skrycie bardzo, bardzo — cierpię. Wy, którzy cierpicie, wy się rozumiecie: pokochajcie się! Więc Franciszek bierze w objęcia swych ubogich, on kocha ich.

Ulga słodka, lecz chwilowa tylko. Skąd za-
błyśnie inne światło dla Franciszka?

Rzym!

Niech mu Rzym odpowie i wskaże drogę. On jest nauczycielem narodów!

Ale Rzym odpowiada tylko tym, którzy już drogę znaleźli, pytają tylko o to, jak mają iść, by z niej nie zboczyć. Rzym odpowiada tym, którzy praw ustanowionych słuchają, nie troszcząc się o heroizm. Czyż to może wystarczyć Franciszkowi? Czyż tego, co mógł odpowiedzieć Rzym, nie miał i w Asyżu? Franciszkowi odpowie jedynie i wskaże drogę Bóg, gdy czas nadejdzie i siły jego duchowe znieść będą mogły owo światło, którem go niebo otoczy. Następnie on tą

rosą niebieską użyźni ziemię zeschniętą a nawet twardy Rzym, gdy Lateran na barkach dźwignie.

Gdy Franciszek, zawsze dotąd świetnie wystrojony, wkroczył w mury miasta wiecznego, pierwszym jego czynem było odwiedzić grób księcia apostołów. Tam zawsze jest wielki napływ wiernego ludu. Zapewne chciałby był Franciszek uczynić jaką ofiarę z siebie, poruszony czią i miłością dla Bożego rybaka.

Rozmyślaniami pochłoniętego zbudziły miedziaki, z rąk wiernych padające z brzękiem na posadzkę przy grobie, jako ofiara na wspaniałą, w przyszłości dalekiej budować się mającą bazylikę św. Piotra. Atoli spostrzegłszy liche datki pielgrzymów, oburzył się Franciszek, mówiąc do siebie:

— Księcia apostołów wielce czić należy. Dlaczego tedy ci ofiarują tak małe datki w kościele, w którym spoczywa jego ciało?

I wyciągnawszy z sakiewki pełną przygarść pieniędzy, cisnął je z takim brzękiem na grób, że obecni popodnosili głowy, wpatrując się ze zdziwieniem w ofiarnego rycerza. Poczem Franciszek wyszedł z kościoła.

Hojność leżała już w naturze Franciszka, niemniej jak szczerść i prawda.

Ale cóżbyś, Franciszku, powiedział, gdybyś miał uczynić coś większego? Coś, coby ci trud i upokorzenie sprawiło? Patrz, ilu tu u brani kościoła i tam na schodach nędzarzy ubogich, wyciągających rękę po jałmużnę! Gdybyś ty tak musiał żebrać, czybyś się na taką pokorę zdobył bez szemrania? Nie sztuka sypać pieniędzmi, gdy się je ma. Nietrudno kochać ubogich słowem. Czybyś potrafił pozbyć się swoich świetnych szat, darować je tamtemu chromemu i wziąć jego bie-

sagi, a okryty jego łachmanami stać u drzwi kościoła, wyciągając rękę do przechodniów? Umiąłbyś być ubogim?

Po chwili świetny rycerz przemienia się w żebraka, który o głodzie przez cały dzień stoi pod drzwiami kościoła św. Piotra, prosząc w języku francuskim o datek dla swych braci ubogich.

Ach, Franciszku, pozwól! Niech ucałuję skraj tego łachmana. Franciszku, ty uczysz w Rzymie ubóstwa. Ty Rzymowi przynosisz przykład i wzór heroizmu. Za ten czyn będą cię kochali wszyscy: ubodzy, bogaci, Rzym, świat, wieki!

Zaprawdę, jest w ubóstwie, zwłaszcza dobrowolnem, jakiś urok, który w podziw wprawia. I jakże tu nie oddać się zdumieniu, że ludzie, którzy z przyczyn nieprzewidzianych muszą ścieśnić wydatki, boleją; że ludzie, którym zbywa na szatach odświętnych lub ozdobach próżnych, wstydzą się wyjść na ulicę; że są nawet tacy, którzy, gdy w nich grom nieszczęścia w sprawach majątkowych uderzy, życie sobie odbierają! Franciszku, gdzie twój ideał ubóstwa?

Ruch, pogoń za marnością doczesną, wrzawa nie pozwoliły Franciszkowi dłużej zatrzymywać się w mieście wiecznem. Wzdychał za samotnością umbryjską.

Powrócił tedy w swe strony rodzinne, a uciekając od zajęcia kupieckiego i od znajomych, tonął w spokoju w miejscach odludnych i szukał dalej drogi do Boga. Nie zwierzał się też nikomu ze swych myśli ani nikogo nigdy o doradę nie prosił, tylko Boga samego błagał o oświecenie, a czasem też zwierzał się biskupowi asyskiemu.

Tymczasem jego ojciec, który dotychczas na wszystko pozwalał, jał się niepokoić. Niechwalenby powrót syna ze Spoleto, zaprzestanie

hucznych zabaw, przestawanie z ubogimi, zamiłowanie samotności, bezczynność jego w zawodzie kupieckim, spowodowały dumnego Bernardona, że postanowił uczynić z Franciszkiem obrachunek.

Nim to jednak nastąpiło, zdarzył się w sobie mało znaczący, ale dla Franciszka nader ważny fakt, który go na drodze nawrócenia jeszcze wyraźniejszym oblał światłem.

Pewnego dnia, przechodząc jak zwykle przez dolinę Asyską, zapuścił się aż do jednego z tych widnych, do słońca zwróconych zagłębień u podnóża góry Subasio. Skupił myśl i począł się modlić żarliwie. Po chwili zdało mu się, jakoby nie był sam, albowiem głos wyraźny tak doń mówić począł:

— Franciszku, wszystko coś dotąd zmysłowo kochał i posiadać pragnął, musisz opuścić i znie-nawidzić. Jeżeli tak postępować zaczniesz, wtedy wszystko, co ci się poprzednio słodkiem i przyjemnem zdawało, będzie ci nieznośne i gorzkie; a z tego, do czego przedtem wstręt czuleś, będziesz czerpał słodycz i ulgę niewypowiedzianą.

Długo jeszcze trwał Franciszek na modlitwie, rozplywając się w uczuciach wdzięczności za wskazówkę, którą usłyszał. Wiara jego i prostota nie mogła nie uważać tych słów za rozkaz objawiony mu przez samo niebo.

Już się miało dobrze pod wieczór, kiedy Franciszek, opuściwszy błogosławione miejsce, siadł na konia opodał przywiązanego i zdążył do domu.

Słońce też zesuwało się czerwone, ogromne na góry poza Perugję, aby się orzeźwić w wodach jeziora Trazymeńskiego. Pogoda w naturze była przecudna. Nawet Subasio bez zwykłych szat chmurnych tonął spokojnie choć ocieźzałe

w błękicie. Nad doliną unosił się niewysłowiony spokój i urok. Franciszek go odczuwał. Odczuwał go mocniej niż kiedykolwiek, albowiem nowe światło świeciło przed jego oczami; w jego duszy była nie tylko pogoda natury, ale także migotały w niej przebliski lepszej przyszłości.

Przed nim podnosiło się amfiteatralnie jego ulubione miasto, z którego od czasu do czasu leciał na dolinę głośniejszy gwar lub odgłos dzwonka, jak powiew wiatru po łanie zbożowym lub pieśń wionąca po kobiercu łąk. Jego dusza pila bezwiednie ten czar otoczenia. Wzrok jego podnosił się aż hen — do szczytów zamku asyjskiego. Przed wyobraźnią Franciszka wyrastał nad miastem krzyż, z którego Boski Mistrz zdawał się zapraszać: Pójdź za mną! A serce Franciszka powtarzało: Pójdę, pójdę, aż do śmierci!

Wśród tych rozmyślań zbliżył się Franciszek aż do bramy miasta, gdy wtem wysunął się z poza krzaków przydrożnych pewien człowiek, okrutnie zeszpecony przez chorobę. Był to jeden z tych nieszczęśliwych, którymi się Franciszek nad wyraz brzydził. Nawet pomyśleć nie mógł o trędotawym, nie uczuwszy przy tem instynktownej odrazy.

Więc i teraz, gdy wśród tej harmoniji zapadającego wieczoru i uroczystej pogody duszy ów nieszczęśliwy zaszedł mu drogę, prosząc o jałmużnę, Franciszka estetyczną i wrażliwą naturą targnął nieopisany wstręt. Wspiąwszy konia ostrogą, odskoczył jak od węża i popędził wichrem, pozostawiwszy nieszczęśliwego za sobą.

Franciszku, cóżeś to uczynił? Toś w Rzymie umiał wdziąć łachmany, biesagi nosić i żebrać, a teraz brzydzisz się człowiekiem stokroć nieszczęśliwszym od ubogiego? Czyś przed chwilą

nie słyszał słodkiej zachęty do pełnienia usług, które ci się wstrętne wydawać będą? A teraz uciekasz przed człowiekiem poranym ranami!

Tak, Franciszku, wróć! Zawołaj tego biednego, przeproś. Zejdź z konia. Patrz, jak ten nędzarz wyciąga rękę. Tak. Dobrze, włóż do tej ręki jałmużnę. Nie brzydź się. A możebyś go za zniewagę jeszcze w rękę pocałował? Dobrze, Franciszku!

Ale Franciszkowi wydawało się to jeszcze małym, co dla tego nieszczęśliwca uczynił. Bo-wiem nazajutrz widziano go świetnie ubranego, jak chodził wśród trędowatych po domu zdrowia pod Asyżem, rozdając pieniądze, kojąc chorych słowem pociechy i obwiązując im jątrzące rany lub całując ich. A chorym ludziom zdawało się, że to anioł i posłannik Boży zjawił się pomiędzy nimi. Gdy zaś Franciszek jął ich nazywać swymi braćmi, oni zapominali, że są chorzy, płakali i radowali się.

Śmiało, młody samarytaninie! Ta droga, którą ci wczoraj wskazał głos z nieba, nie jest za trudna dla ciebie.

ROZDZIAŁ IV.

Dalsza walka i zwycięstwo.

(1206—1207.)

Młodzieniec wichrowaty stał się od czasu niewoli perugijskiej i choroby przez trzy lata walki wewnętrznej mężem prawie dojrzałym. Świetny zawsze w ubiorze i wykwintny w obyczajach, Franciszek zyskał jeszcze przez ból moralny i zmaganie się z sobą samym, które po jego wiotkiej, trochę szczuplej i niskiej postaci i po twarzy smagłej przeszły jak rylec delikatny po wyciosanej bryle marmuru. Z ocz czarnych, przezroczyстых, nad którymi się równo zataczały łuki ciemnych brwi, ustąpiła dawna hardość spojrzenia, natomiast wypełniły się jego oczy jakąś poezią słodką, która czasem czarowała jak niebo umbryjskie, czasem drgała niepojętą miłością, wcielając się w bliźniego ubogiego lub chorego i we wszystkie twory stworzenia, czasem odbijała za głęwył bezgraniczny, jakby chłonęła radości nieba, niewidziane, niesłyszane, niepojęte.

Lecz od czasu do czasu rzeczywistość strącała go z tych wyżyn, stawiała pomiędzy ludźmi, wzywając do miłości czynnej lub do walki.

Miłością otaczał zawsze swoich ubogich i trędowatych. Wszelako rzeczywistość kazała mu teraz stawać do walki, do walki tem twardszej i boleśniejszej, że toczonej z własnym ojcem.

Był wtedy w pobliżu Asyżu na jednej z pochyłości południowych kościółek ukryty wśród oliwników jak gniazdeczko, zabezpieczony od wiatrów; kościółek ten groził ruiną. Obrządek odprawiał w nim ubogi kapłan Don Pietro z ramienia biskupa asyjskiego. Do tego kościółka pod wezwaniem św. Damjana zachodził często Franciszek.

Cóż bowiem miał robić biedaczek! Pobyt w domu rodzicielskim stawał się dlań z każdym dniem uciążliwszy. Dawniejsi towarzysze odsunęli się od niego lub urągali mu. Franciszek nie zwierzał się nikomu ze swych bólów i walk wewnętrznych. Zamykał się w sobie, rozmawiając ze sumieniem tylko własnem i z Bogiem. Te rozmowy tajemnicze, mistyczne prowadził najchętniej w wiejskich kapliczkach, rozsianych licznie po okolicy, przed wizerunkiem Ukrzyżowanego lub w odludnych pieczarach górskich.

Raz tedy wszedłszy do ubożuchnego kościółka św. Damjana, Franciszek zatopił się w rozmyślaniu dłuższem i głębszem niż zwykle. Ponad ubogim ołtarzem wznosił się krzyż, na którym wisiało ciało Chrystusa. Głowa, ciernistą koroną otoczona, zwieszała się trochę nadół, ale widać było oblicze, krwią zbroczone. Na obliczu drgał wyraz to smutku bezmiernego, to łagodności anielskiej. Twarz zdawała się żywa, a promieniała taką dobrocią, jakoby od niej szedł spokój, ukojenie, zgoła zbawienie.

Franciszek tonął w tem morzu dobroci. Dziecko tak nie patrzy w twarz matki, jak on się

wpatrywał w oblicze swojego Mistrza Boskiego. Świat przestał dlań istnieć, był tylko Chrystus, który ogarniał i przyciągał do siebie duszę Franciszka, tworząc z nią jedność nierozdzielną. Wszystkie władze Franciszkowej duszy i ciała zbiegały się w ten jeden okrzyk: Chryste, jam twój, Tyś moją drogą! Wskaż mi tylko, co mam czynić nadal i czy przyjmujesz moją ofiarę!

Franciszek wpatrzył się znowu z większą jeszcze tkliwością, a Chrystus zdawał się patrzeć nań jaśniej i łagodniej. Potem oblicze Boga - Człowieka zajaśniało tak, jakgdyby słońce przedarło rdzeń ciemnej chmury: Ofiara święta przyjęła ofiarę ludzką. Chrystus wysłuchał Franciszka.

Z Franciszkiem dzieje się coś mistycznego. Zupełna przemiana. Czuje tylko, że serce jego jest przebite miłością, że jego dusza mieszka w duszy Chrystusa. Nie wie, gdzie jest, co robi; wie tylko, że żyje w Chrystusie, i gdyby go Chrystus opuścił, toby umarł z pewnością. Od tej chwili jest on ukrzyżowany, jest własnością Chrystusa.

Wtem przez okienko okrągłe, umieszczone w grubej ścianie po prawej stronie ołtarza, wdarł się promień słońca, który rozświetlił trochę mroczną głąb kościółka. Franciszek, podniósłszy głowę, spojrzal mimowoli na odrapane ściany, które się tu i owdzie znacznie rysowały. Poczem, jakby przerażony pustką i ruiną, znów zwrócił twarz do twarzy Chrystusa, a rozmowa mistyczna potoczyła się dalej.

Wdzięcznością było każde uderzenie serca Franciszka. Nie wyrażał jej słowami, lecz wzrokiem tylko wisiał u krzyża. Cała jego istota gorzała miłością synowską. Oblicze Chrystusa stało się jeszcze jaśniejsze, a Franciszkowi zda-

wało się, że doń przemawia. Jego serce zranione stopniało, otworzyło się, i usłyszał słodki głos Chrystusa:

— Franciszku, idź, napraw dom mój, który się zapada, jak widzisz!

Bez chwili wahania Franciszek powstał i potoczywszy wzrokiem po walącym się kościółku, zrozumiał, że Chrystus rozkazał mu być budowniczym kościółka. I taka jest potęga wiary nawiwnej, dziecięcej, że Franciszek natychmiast udał się do kapłana, zawiadującego świątynią. A znalazłszy go siedzącego na schodach przed kościółkiem, oddał mu zawartość swojej sakiewki i rzekł doń:

— Proszę cię, panie, kup za to oliwy do lampy i zapal światło przed krzyżem. Jak zabraknie pieniędzy, udzięk ci więcej, ile będzie potrzeba.

I przeżegnawszy się, siadł na konia i udał się do domu. Przybywszy, jał się gorliwie krzątać. Pozwijał rozmaitego sukna w wałki, przystroił swojego konia i siebie odświętnie i puścił się w drogę do Foligno.

Plan jego był gotów. W Foligno, mieście handlowem, położonem w czarującej okolicy, dobrze mu znanem, trzy godziny lub mniej oddalonem od Asyżu, sprzeda wszystko, nawet konia i drogie szaty. Ubierze się ubogo. Pieniądze zanieśie kapłanowi od św. Damjana i sam tamże zamieszka, trudniąc się naprawą kościółka.

Tak też uczynił. Wracając z Foligno, nawet nie wszedł do rodzinnego miasta, tylko zatrzymał się u św. Damjana.

Don Pietro przyjął go z podejrzeniem i niedowierzaniem. Lecz widząc szczerłość nawróce-

nia Franciszka, pozwolił z radością na pracę i wysługę; pieniędzy jednak, które mu Franciszek ofiarował, tknąć nie chciał, mówiąc, że się obawia jego ojca i matki. Atoli Franciszek, gardząc już teraz pieniędzmi i zrywając zupełnie z przeszłością, wyrzucił je oknem, jakoby były najpodlejszą rzeczą.

Odtąd poczęły Franciszkowi dni płynąć spokojnie, choć w pracy i znoju, albowiem do naprawy kościółka zabrał się nader gorliwie.

Wkrótce rozniosła się po miasteczku wieść, że Franciszek przebywa u św. Damjana. Stary Bernardone, który szukał go już z niepokojem, dowiedziawszy się o tem postanowił udać się tamże bezzwłocznie, aby syna gwałtem do domu sprowadzić i nakłonić do obowiązku.

Przybył więc, pełen gniewu, w otoczeniu kilku znajomych. Franciszek, znoszący kamienie, usłyszał zdaleka ich ożywione głosy i gniewne okrzyki ojca. Przestraszony ukrył się w miejscu bezpiecznym, chcąc przeczekać aż burza przejdzie. Ojciec istotnie odszedł z niczem. Mimo to z obawy przed ponownemi poszukiwaniami nie opuszczał Franciszek przez cały miesiąc swojej kryjówki; tylko czasem zachodził ukradkiem przed swój ulubiony krzyż, gdzie klęcząc prosił, aby go Bóg wyzwolił od tych, którzy mu przeszkadzają w służbie Bożej.

Ale wnet opadły go wyrzuty sumienia. Jakże to on, nowy rycerz Chrystusa, ma się kryć przed ludźmi! On, który się nie obawiał dotykać ustami ran trędowatych, miałby się bać gniewu ojca! Czy nie szlachetniej byłoby pójść do rodziców i wręcz oświadczyć im swoje postanowienie?

Więc Franciszek, uzbroiwszy się w odwagę, puścił się stromą ścieżką, która go po kilku minutach zaprowadziła do miasta.

Przechodząc krętymi uliczkami, zbliżał się właśnie przez rynek ku domowi rodzicielskiemu, gdy go spostrzegła dziatwa, bawiąca się na placu głównym. Poznano go. Okrzyk „obłąkanie“ targnął powietrzem. Dzieci i dorośli, mniemając, że mają przed sobą jednego z tych nieszczęśliwych, otoczyli go kołem, szydząc zeń i rzucając nań błotem i kamieniami; Franciszek bowiem wskutek pracy przy kościele i przebywania w kryjówce napozór mało co różnił się od człowieka, który postradał zmysły. Wycieńczony głodem, uwalany kurzem, z włosami w nieładzie, w trwodze przed sceną z ojcem, szedł jednak niezłomny wśród padających obelg.

Zbiegały się coraz nowe kupy dzieci. Dorośli patrzeli z zajęciem na widowisko niezwykle zdaleka. Od czasu do czasu odbijał się wyraźniejszy od powszechnego zgiełku okrzyk: Francesco — Bernardone! Wyjścia ulic wypełniły się ciekawą gawiedzią małego miasteczka.

Dosłyszano te okrzyki i w domu zamożnego Bernardona. Gdy mu się obilo o uszy imię syna i jego własne, zdrętwiał. Pomyślał, że syna stracił na zawsze. Wybiegł jednak czem prędzej z domu, zdążając na miejsce wypadku. Poznawszy syna, otoczonego zgrają szydzących, stanął skamieniały. On, który dawniej z lubością wsłuchiwał się w sławę głoszoną o nim, teraz musiał być świadkiem tej przykrej i upokarzającej sceny!

Więc targnął nim gniew szalony. Roztrąciwszy silnem ramieniem widzów i odegnawszy dzieci, rzucił się na syna, porwał za rękę i pieńniąc się ze złości, powłókł go do domu.

W domu nie szczędził rozgniewany ojciec Franciszkowi ni łajañ, ni groźb, ni kijów nawet, aby go tylko odwieść od szalonych zamiarów i skłonić do obowiązku zawodowego. Wszystko na nic. Związał tedy Franciszka i wrzucił do ciemnego lochu. Tam zamkniętego trzymał przez kilka dni, ale jego postanowienia, rosnącego w przeciwnościach, złamać nie mógł.

Zdarzyło się wtedy, że ojciec w ważnych sprawach musiał gdzieś wyjechać. Franciszek pozostał na łasce matki. Pika zaś, łagodnego będąc serca, próbowała przekonać go słodkimi słowy, aby ustąpił ojcu i zmienił postanowienie. Syn pozostał głuchym na namowy. Nie mogąc tedy znieść dłużej uwięzienia syna, wypuściła go na wolność.

Franciszek pobiegł czem prędzej pod stopy krzyża do św. Damjana.

Tymczasem wrócił ojciec, który spostrzegłszy ucieczkę syna, zwałił cały swój gniew na biedną matkę. Poczem po raz drugi pognął za synem do św. Damjana, aby go przynajmniej z okolicy Asyżu wypędzić, jeżeli już napowrót na drogę obowiązków jest niemożliwy.

Tym razem Franciszek wcale się nie krył. Owszem, słysząc zdaleka przyśpieszony krok, i gniewliwy głos ojca, sam wyszedł na jego spotkanie i rzekł:

— Ojczy, nie boję się ani twego gniewu, ani twych kijów, ani twojego więzienia. Rad przyjmę z miłości do Chrystusa wszelkie cierpienie.

Widząc, że jego usiłowania żadnego nie odniosą skutku, zażądał Bernardone pieniędzy, które Franciszek przyniósł z Foligno. Franciszek wskazał miejsce, gdzie je porzucił, a chciwy ojciec rzucił się po nie nie bez pewnego upokorzenia.

Aby jednak woli syna nie stało się zadość, udał się ojciec do zarządu miasta, który Franciszka miał zmusić do zrzeczenia się wszelkich praw do majątku ojcowskiego. Radcy miejscy, widząc za-
możnego człowieka tak gwałtownie poruszonego, kazali przywołać Franciszka. Ale ów odpowiedział posłowi, że odkąd się zaciągnął w służbę Bożą, nie podlega prawom świeckim. Radcy miejscy, nie chcąc na nim wywierać gwałtu, zwrócili ojca do biskupa.

Biskup Secondi Gwido przyjął łaskawie i skarżącego ojca i przywołanego Franciszka, i zajął miejsce sędziego, otoczony ciekawą ludnością, którą ściągnęła nadzwyczajność faktu; może też chciano się cieszyć publicznem upokorzeniem Bernardona.

Ojciec zażądał, aby syn jego oddał pieniądze, które jeszcze miał, i zrzekł się wszelkich praw do spadku. Co uważano za największą trudność, to Franciszkowi sprawiło największą radość; albowiem nietylko zrzekł się praw do majątku, lecz nadto, oddaliwszy się na chwilę do sali pobliskiej, wyszedł stamtąd całkiem nagi, niosąc na ręku szaty i trochę pieniędzy, które jeszcze posiadał, i rzekł:

— Oto masz, ojcze! Dotąd nazywałem cię ojcem, odtąd będę mógł mawiać: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech. W Nim położyłem cały mój skarb, w Nim jest cała moja wiara i nadzieja.

Pomruk podziwu rozszedł się naokoło. Ten młodzieniec, którego poczytywano za szaleńca, teraz zaimponował wszystkim i zjednął sobie niejedno serce. Ten jest bowiem skutek heroizmu wykwitłego z prostoty i poświęcenia, że jedna chwila wystarczy, aby z nieprzyjaciół zwolenników, z ludzi obojętnych gorących naśladowców,

z szaleńca zrobić bohatera. Gdy człowiek potrafił się wznieść ponad miarę codzienną życia, może być przekonany o sympatji ludu.

Co wczoraj poczytywano Franciszkowi za szczyt utopji, to dziś, jutro i zawsze będzie uchodziło za najwyższy stopień doskonałości.

Sam biskup był pod czarem tego zaparcia się i tej odwagi cywilnej. Więc przywoławszy Franciszka do siebie, otoczył go swym płaszczem, dopóki nie przyniesiono innego ubioru. Ojciec bowiem zabrał był nawet ubiór Franciszka, na co oczywiście widzowie sarkali.

Gdyby ojciec był zdolny ocenić heroizm syna i wogóle wznieść się ponad łokieć kupiecki i pieniądz, byłby zapewne ujrzał to, czego właśnie najwięcej pragnął: chwałę.

Jego syn jak dawniej tak i teraz począł zwracać na siebie oczy Asyżu. Z tą różnicą, że ile w pierwszym okresie było zawadjectwa i zgorzzenia, tyle w drugim będzie heroizmu i miłości. Z tą jeszcze różnicą, że heroizmu i miłości w drugim okresie nie obejmie ni życie Franciszka, ni Asyż; albowiem chwała Franciszka rozebrzmi po wszystkie czasy po świecie całym. Mądrość światowa jakże mała jest wobec heroizmu!

Przyniesiono Franciszkowi płaszcz ubogi i nędzny robotnika, na służbie u biskupa będącego. Okrył się nim i naznaczywszy kredą krzyż na nim, wyszedł, bo pragnął zostać sam ze swoją radością z powodu zerwania zupełnego ze światem.

W rzeczy samej nawrócenie Franciszka jest zupełne.

Znikły majaki dawnych uciech i chwały rycerskiej. Popękały nawet więzy rodzinne, właśnie najmocniejsze. Franciszek pozostał sam ze swoim Chrystusem.

Z Nim teraz wyłącznie obcować będzie. Jego wolę będzie wypełniał względem siebie i w stosunkach z bliźnimi, o ile będzie musiał wchodzić z nimi w styczność. Pożywieniem i napojem będzie mu Ukrzyżowany, dopóki się z Nim najistotniej nie połączy.

Umarł Franciszek, powstał mąż Boży!

Opuściwszy pałac biskupi, udał się Franciszek przez najbliższą bramę krętymi ścieżkami w odludne wąwozy góry Subasio. Choć tu i owdzie w kotlinach i wyrwach leżał jeszcze śnieg, jednak czuć już było tchnienie wiosny. Franciszek zagłębiał się coraz więcej w góry, nie wiedząc, dokąd idzie; wiedział tylko, że w tym dniu walnie odniósł zwycięstwo.

Radość niezmierna rozpierała mu serce. Wnet też fałdy gór odbiły jego śpiew. Byłby chciał całemu światu głosić swoją radość. Skąty słuchały ze zdziwieniem, jak z ust tego człowieka płynęła po francusku pieśń rycerska truwerów. Co mu tam! Wszystko dobre, byle oddawało w harmonji radość jego serca, że się połączył z Chrystusem.

Wszedł w las gęstszy. Śpiewy i okrzyki Franciszka wzmogły się.

Wtem zdarzyła się rzecz niespodziana. W owych czasach wędrówki nie były bezpieczne; Włochy roili się od rabusiów. Właśnie to miejsce, gdzie przybył Franciszek, było ich gniazdem. Słyszac śpiewy Franciszka, który odkrył ich kryjówkę, wyskoczyli i rzucili się nań, pytając, co zasz. Franciszek odrzekł:

— Jestem posłem wielkiego króla.

Rabusie uderzyli w śmiech. Poczem uchwyciwszy Franciszka, zdarli z niego płaszcz, który dostał od sługi biskupiego, i rzuciwszy Franciszka

w pobliski dół, napelniony śniegiem, naigrawali się, mówiąc:

— Leż tak, nikczemny pośle Boga.

Po ich odejściu Franciszek wy dostał się z trudnością z dołu i choć obity, choć drżący od zimna, rozpoczął na nowo śpiewać chwałę Boga z większą niżli poprzednio radością, że mu danem było cierpieć.

W pobliżu miejsca wypadku był klasztor ukryty przed zgiełkiem świata. Franciszek, któremu już głód dokuczał, ośmielił się zapukać do furty klasztornej, prosząc o jałmużnę. Dano mu ją jako człowiekowi, który prosi w imię Boga. Ponieważ nikt go tam jednak nie znalazł, nie zatrzymał się, tylko się udał do Eugubium, aby wyżebrać sukienkę; miał bowiem na sobie lichą tylko koszulinę.

W Eugubium znalazł pewnego przyjaciela, którego poprzednio poznał w Asyżu. Ten go przyjął z wylaniem, a na odchodnym okrył go szatą ubogą. Poczem Franciszek zwrócił swe kroki napowrót ku rodzinnemu miastu.

Nie poszedł tam jednak wprost, bo po drodze było schronisko dla trędowatych. Jakże nie wstąpić do swoich przyjaciół!

Gdy wszedł, trędowaci narazie go nie poznali; świętny bowiem rycerz, jakim go widzieli poprzednio, przemienił się w nędzarza. Dopiero gdy się przybliżył, gdy jego oczy zaczęły błyskać radością i miłością, a z ust popłynęły słodkie, przyjacielskie słowa pociechy, gdy jał usługiwać, czyścić i obwiązywać rany, gdy nawet jego przeczyste usta nie wzdrygały się dotykać ran jątrzących, wtedy nie tylko poznali dawnego Franciszka, lecz mieli nawet, że Bóg zesłał dla ich nędzy anioła, który ich cudownie uleczyć może.

I taka jest moc wiary u tego, który cierpi, i heroicznej cnoty u tego, który pociesza, że Bóg, mieszkający w sercu jednego i drugiego, niemal zmuszonym się widzi ulżyć, pocieszyć, nawet wyleczyć sposobem cudownym.

I stało się, że Franciszek wyrastał na lekarza nie tylko dusz trędowatych, ale także ich ciał.

Zamieszkał u nich dłużej, oddany cały na ich usługi. Późem już z rańniejszym sercem i z wesejszym duchem, że uczynił coś dla ubogich Chrystusa, udał się do św. Damjana.

ROZDZIAŁ V.

Budowniczy.

(1208—1209.)

Franciszek zamieszkał u św. Damjana. Jego ubiór składał się z długiej brunatnej szaty, jakiej podówczas używali pustelnicy. Chcąc ich we wszystkim naśladować, nosił także obuwie z rze-mykami i podpierał się długim kijem. Kapłan zarządzający kościołkiem, patrząc na to wyrzeczenie, pozwalał na wszystko.

Gdy Franciszek po raz pierwszy uklęknął znowu przed swoim krzyżem, przypomniał sobie głos, który mu rozkazał naprawić dom Boży.

Bezzwłocznie jął się pracy. By jednak dzieło Boże raźniej postępowało, nie wzdrygał się wychodzić codziennie do Asyżu, aby tych, którzy za bogatych uchodzili, prosić o datki na zbożne dzieło.

Przedewszystkiem należało gromadzić, znosić i składać kamienie. To też głos Franciszka rozlegał się po ulicach, taki przejmujący i prosty w swych prośbach, że byłoby trzeba mieć kamień w piersiach, aby mu się oprzeć.

— Kto mi da jeden kamień — wołał jakby pijany miłością — będzie miał jedną zasługę. Kto

mi da dwa kamienie, będzie miał podwójną zasługę; kto zaś trzy, ten tyleż będzie miał zasług.

Pokora Franciszka, jakiej podobnej Asyż od swego istnienia nie widział, jego szczupłe z natury ciało, pokutą, umartwieniem i pracą jeszcze bardziej nadwątlone, sprawiły, że mieszkańcy chętnie śpieszyli z pomocą. Na widok jak ten mąż Boży wkłada na swoje ramiona ciężkie kamienie, z jakim trudem je znosi do św. Damjana i w roli budowniczego zestawia, niejedna ręka chętnie ulży mu ciężaru i przyczyni się do chwały Bożej, tak jak Franciszek przyczyniał się do chwały Asyżu, kiedy przed wojną z Perugją pomagał naprawiać mury miasta.

Atoli nie wszyscy śpieszyli z pomocą. Większa część widzów, uważając go wciąż jeszcze za szaleńca, wyśniewała się z niego i drwiła. Inni, których widok przemiany i wysiłków zanadto wzruszał, woleli łzy wylewać. Lecz on gardził obelgami, o łzy nie stał; tylko w pocie czoła pracował około domu Bożego.

I Don Pietro, zarządzający kościółkiem, litował się często nad Franciszkiem. A chcąc go podnieść trochę na siłach, sprowadzał mu czasem lepszy pokarm, bo wiedział, że dawniej Franciszek był wielkim smakoszem, mianowicie przepadał za cukierkami i ciastkami. Ale Franciszek spostrzegłszy to, rzekł do siebie:

— Nie. To nie jest życie ubogiego człowieka. Jako ubogi muszę iść od drzwi do drzwi z garnuszkiem. Tak muszę żyć dobrowolnie z miłości do Tego, który się ubogim narodził, ubogim żył i nagim pozostał i ubogim na krzyżu, a pogrzebanym był w obcym grobie.

Istotnie, nazajutrz wybrał się do miasta z garnkiem, w który wrzucał, cokolwiek otrzy-

mał. Zabrawszy się atoli wkońcu do jedzenia, nie mógł przelknąć, taki go wstręt przejął do tej mieszanki. Ale po chwili znowu popróbował i wreszcie przemógł się. I to był odtąd sposób jego odżywiania się codziennego; a kapłanowi zakazał, aby innych pokarmów nie sprowadzał.

Często spotykał się też i z ojcem. Ów wprawdzie bolał nad nędzą, w którą się Franciszek wprzął dobrowolnie, bo przecież był ojcem; ale mimowoli przeklinał go, gdziekolwiek go napotkał. Franciszek tedy obrał sobie za ojca pewnego człowieka ubogiego i pogardzanego i tak mówił doń:

— Chodź ze mną, a udzielać ci będę tej jałmużny, którą mnie obdarzają. A gdy usłyszysz, że mój ojciec mię przeklina, wtedy ci powiem: „Błogosław mi, ojcze!“ I będziesz mię znać krzyżem i błogosławił mi zamiast tamtego.

Raz też — a było to w pełni zimy — spotkał Franciszka, modlącego się i drżącego z zimna, jego młodszego brata Anioła. Ten trąciwszy swego towarzysza, rzekł doń z przekąsem, wskazując Franciszka:

— Powiedz Franciszkowi, aby ci choć narstek potu sprzedał.

A mąż Boży odparł po francusku, bo zawsze tak mówił, gdy go radość Boża opanowała:

— Ja memu Panu bardzo drogo sprzedam ten pot.

Innym razem, gdy już kościółek był prawie gotowy, a Franciszek chodził po mieście, zebrząc oliwy do lamp w kościele, wszedł do pewnego domu gry. Spostrzegłszy tam swych znajomych grających, cofnął się zawstydzony. Lecz po chwili opatrzył się. Odważnie wstąpił napowrót do do-

mu i stanawszy w domu grających, przyznał się, że się wstydził prosić ich o jałmużnę. A oni opatrzyli go hojnie.

I niedługo trwało, a ów słaby człowiek był gotów z naprawą kościółka św. Damjana.

Co dalej pocznie Franciszek? Jeden kościółek jest naprawiony, ale około Asyżu jest tyle innych, które grożą ruiną. Przecież rozkaz Boży nie rozciąga się tylko na kościółek św. Damjana, ale pewnie i na wszystkie kościoły, które wymagają naprawy. A kto wie, może nawet ów rozkaz dosięga aż całokształtu Kościoła powszechnego! „Zresztą — kończy Franciszek — moje ciało przywykłoby do wypoczynku i lenistwa“.

Więc nie zwłócząc wziął się Franciszek do naprawy św. Piotra, kościółka położonego cośkolwiek dalej od Asyżu. I ten stanął wkrótce naprawiony.

W środku doliny Spoletańskiej, na pół godziny drogi od Asyżu wznosi się dzisiaj wspaniała bazylika N. P. Anielskiej. Gdy ją promienie słońca ozłocą, zdaje się być drugim słońcem, spuszczone na ziemię z miłosierdzia Bożego. Gdy mgła zalegnie całą okolicę, kopuła bazyliki żegluje po niej jak łódka po morzu niespokojnem. Gdy ją w nocy księżyc osrebrzy, bywa podobna do latarni ogromnej, która wśród ciemnych ścieżek życia wskazuje drogę.

Wśród tej bazyliki znajduje się mała kapliczka, którą kopuła bazyliki jako swój skarb najdroższy okrywa jakby płaszczem królewskim.

Za czasów Franciszka nie było bazyliki; była tylko ta malutka, opuszczona, rozwalająca się kapliczka. Choć to był jeden z najstarszych kościółków całej okolicy i pod miłem wezwaniem N. P. Anielskiej, przecież nikt tam nie mieszkał. Opu-

szczona kaplica czekała, dopóki jej pracowite i miłosierne ramiona Franciszka nie podniosą.

Franciszek, ujęty ubóstwem kapliczki, jej nadobnym położeniem wśród gajów i wezwaniem słodkiem, zabrał się ochoczo do naprawy. Zdawało się nawet, że żarliwiej pracował aniżeli nad kościółkiem św. Damjana i św. Piotra, albowiem w krótkim czasie stanęła odnowiona. Nieomal że jej oddawał pierwszeństwo przed św. Damjanem, gdyż po jej naprawie nie mógł się z nią nigdy rozłączyć. Zamieszkał więc przy niej i tu postanowił wieść żywot pokutniczy. W całym swoim życiu dalszem otaczał Franciszek tę kaplicę czcią i miłością niezwykłą.

Tu się zrodził dla świata apostoł; tu wypoczywał, gdy praca apostołska wyczerpała jego zasoby duchowe i fizyczne, aby wypoczęty znowu wyruszać na podbój świata; tu umarł, ukrzyżowany miłością Chrystusową.

Zamieszkał tedy Franciszek w kaplicy N. P. Anielskiej czyli Porcjunkuli. Z początku prowadził życie na wzór wszystkich innych pokutników i pustelników.

Raz szedł tą drogą, która z Porcjunkuli prowadzi do Asyżu, i głośno płakał. Napotkał go jakiś dobry człowiek i bojąc się, czy nie jest chory, zapytał go:

— Co ci jest, bracie?

A Franciszek odparł:

— Tak powinienem iść bez sromu przez cały świat, płacząc nad męką Pana mego.

Wtedy i tamten zaczął razem z nim łzy ronić i mocno płakać.

Od czasu do czasu przychodził z opactwa góry Subasio jeden z benedyktynów ze mszą, ka-

plica bowiem była pod ich zarządem. W tych chwilach przestawał żyć życiem ziemskim, oddychając powietrzem niebieskim i obcując z aniołami w służbie Chrystusa i Bogarodzicy.

Dni spędzał na modlitwie i rozmyślaniu. A gdy wieczorem odnowiona kaplica wypełniała się czerwonym blaskiem umierającego słońca, gdy ptaszęta zaśpiewały na dobranoc w otaczających kapliczkę gajach, a odgłosy dzwonów asyjskich, przyciszone odległością, otuliły kaplicę, wtedy i Franciszkowi rozśpiewywało się serce, piersi wzbierały miłością Bożą. A gdy już na świecie wszystko było umilkło, jeszcze kaplica brzmiała śpiewami i muzyką anielską, a serce Franciszka biło weselem przez całą noc.

Pewnego razu — a było to 24 lutego 1209 — odprawiała się w kaplicy msza. Franciszek wsłuchał się w nią z wielkiem skupieniem i rzewnym wylaniem. Lecz gdy kapłan jął czytać ewangelję przeznaczoną na ów dzień św. Macieja, duch Franciszka został tknięty i jakby jasnowiedzeniem oblany. Zdawało mu się, że to znowu Ukrzyżowany z kościółka św. Damjana przemawia doń i uczy, i rozprasza te nowe ciemne chmurki, które Franciszkowi zasłoniły dalszą drogę. A słowa Chrystusa, uczącego apostołów, jak mają żyć, rozległy się coraz słodsze: „Nie miejcie złota ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych; ani kalety na drogę, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski. Albowiem godzien jest robotnik pokarmu swego... A wchodząc w dom, pozdrawiajcie go, mówiąc: Pokój temu domowi“.

Gdy kapłan przestał czytać, Franciszek, przecuciem Bożem wiedziony, zawołał pełen radości:

— To jest właśnie, czego chcę i pragnę z całej duszy i z całego serca!

A że u Franciszka czyn następował natychmiast po postanowieniu, a jego życie zewnętrzne odpowiadało zawsze życiu wewnętrznemu, więc też bezzwłocznie po skończonej ofierze odwiązał rzemyki od obuwia i rzucił wszystko od siebie. Porzucił również kij podróżny, sakiewkę, pieniądze i rzemień do opasywania bioder, pozostawszy w jednej, ubogiej, brunatnej, grubej sukience, którą u bioder przewiązał powrozem.

Odtąd wszystkie wysiłki Franciszka zdążają do tego, aby wykonać ściśle, co słyszał w ewangelji Chrystusa, nauczającego swoich uczniów.

Z męża Bożego wyrasta apostoł.

Franciszek znajduje się tedy na drodze właściwej, która odpowiada jego usposobieniu i dążnościom. Nawrócenie jest zupełne. Z przeszłości zerwał, koniec położył wątpliwościom. Urojenia młodości, w których szukał jakiegoś ideału nieuchwytnego, prysnęły. Związki rodzinne, które nań nakładały sposób życia i obowiązek nie licujący z jego naturą, pełną poezji, miłości i prostoty były potargane. Nic mu nie pozostało z przeszłości: ani przyjaciele, ani majątek, ani ubiór, ani obyczaje; chyba ubodzy i trędowaci, których nadal będzie kochał i opatrywał. Pozostał mu tylko Chrystus, który mu się sam objawił i przyjął jego ofiarę.

Lecz Franciszek miał charakter zanadto czynny i bogaty, aby się mógł zadowolić samem rozmyślaniem i umartwieniem, aby siebie tylko stosował do wzoru Chrystusa. Więc sam Chrystus objawia mu dalszą drogę, drogę czynu, po której krocząc, nietylko siebie ale także bliźnich swych do owego wzoru Boskiego będzie nakłaniał.

Franciszek dwoi się odtąd. Jeden zatapia się w Chrystusie przez modlitwę, miłość, z Nim

obcujać w samotności; drugi niesie Ukrzyżowanego z jego życiem w świat: w świat, który grzeszy, szaleje, rozpacza, cierpi, umiera. Jeden pracuje nad połączeniem mistycznym swej lichej istoty z Chrystusem; drugi bierze na ramiona swoją epokę i skłania go lekko i słodko również w objęcia Chrystusa.

Nie czyni tego z genialnego wyrachowania lub wskutek olbrzymiej energii żądz podniesienia poziomu moralności. Bynajmniej. Franciszek jest daleki od takich górnolotnych zamiarów. Jego znamiona to prostota i pokora. Nie mówi, lecz czyni; nie rozkazuje, lecz daje przykład; ale co za słuszne osądzi, to wykona „sine glossa, sine glossa, sine glossa“. Zresztą rządzi się przeczuciem Bożem, „instinctu divino“.

Ma i on pragnienia wielkie, zamiary wspa- niałe, pomysły poetyczne, ale sam uważa się za tak lichego, że ich nigdy nie urzeczywistni, chyba gdyby mu Chrystus rozkazał.

Więc gdy mu we śnie każe nawrócić z drogi do Apulji, nawróci do Asyżu bez namysłu, z posłuszeństwem dziecka. Gdy doń przemówi przez ubogiego lub trędowatego, okryje go i obwiąże jego rany z miłością Samarytanina. Gdy doń zawoła z krzyża: Pójdź za mną! pójdzie z prostotą gołębia, nie oglądając się wstecz. Gdy mu poleci, aby rzucił wszystko i głosił wśród ludzi Chrystusa — porzuci kij, sakiewkę, obuwie, podwiąże się powrozem i z niezmierną miłością w oku pójdzie pomiędzy ludzi, wołając:

— Pokój Pana niech będzie z wami!

Franciszek żadnego nie ma nauczyciela. Jedynym jego mistrzem jest Chrystus. Uczynki jego nie pochodzą z pobudek zewnętrznych, lecz są

skutkiem głosu sumienia, przez które przemawia Chrystus. Jeżeli później dojdzie do roli reformatora, to i to jest skutkiem wyłącznym postępu wewnętrznego, którym się pnie w górę, podczas gdy Chrystus podaje mu rękę z krzyża. Nigdy wielkość w prostszy sposób nie została osiągnięta. Wielkość Franciszka pochodzi prawie z instynktu: *instinctu divino*.

ROZDZIAŁ VI.

Nowy rodzaj pokutników i apostołów.

(1209.)

Franciszek wstąpił na drogę znaczoną wskazówkami ewangelji. Tą drogą pójdzie wiernie, nie zbaczając, nie patrząc ni w lewo, ni w prawo, tem mniej wstecz. Idąc za radą, daną przez Chrystusa młodzieńcowi: Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko i pójdź za mną! nie zawaha się Franciszek ani razu, pragnąc dojść bodaj aż do ukrzyżowania.

Ale zadanie to długotrwałe. Jego osiągnięcie jest daleko wysunięte w przyszłość, która się obliczyć nie da i którą tylko mężowie najdzielniejsi umieją swą dłońią zagiąć do swych zamiarów. Stąd zadanie Franciszka rozłoży się na całe jego życie wypełnione drzewem Chrystusa, po którego gałęziach człowiek wewnętrzny wspinać się będzie na wierzchołek. A ilekroć razy się wzniesie o stopień wyżej, tyle razy obejrzy się na swych bliźnich, gdzie pozostali; a nie chcąc się podnosić sam tylko jeden, zejdzie na powrót, poda temu lub owemu rękę, aby go pociągnąć za sobą. W ten sposób utworzy łańcuch, którym powiąże świat ze sobą, i podaży z nim do wyżyn, zakreślonych przez Chrystusa.

Franciszek umie wyzuć się ze wszystkiego co ziemskie, miłości tylko wyzbyć się nie chce i nie może. I ta właśnie każe mu zejść w warstwy społeczeństwa ludzkiego i stanąć w szeregach najniższych ludzkości, otoczyć je miłością i dobroczynnością, słowem i przykładem pociągnąć za sobą do Ukrzyżowanego.

Więc naprzemian to się zatapia w samotności, gdzie pracuje nad sobą, nad zbliżeniem się do pierwowzoru; to się udziela kilkunastu wybranym, obmyślając z nimi dzieło naprawy swojej, ich i społeczeństwa; to się zanurza w fale ludzkie, aby łódka Chrystusowa, sunąc po nich, zabierała jak najwięcej członków do swego wnętrza.

Tej potrzebie wewnętrznej udzielania się swym bliźnim odpowiada również mówiący do Franciszka głos Chrystusa, który swym uczniom poleca, aby ucząc, szli przez świat, i rozkazuje, jakim sposobem mają jego naukę i przykład rozpowszechniać wśród ludzi.

Temi pobudkami wsparty Franciszek rozpoczyna dzieło naprawy. Rozpoczyna bez wahania, bo rozkaz Chrystusa jest wyraźny; bez planu nowego i zgóry obmyślonego, bo planem jest Chrystus, a nadeń lepszego świat nie wyda. Miłość i pokora są jego orężem.

Rozpoczął zaś dwudziestosiedmioletni Franciszek zaraz nazajutrz po owym dniu pamiętnym 24 lutego, w którym nań padła smuga światła, nigdy w jego duszy zagasnąć nie mająca.

Przybywszy z Porcjunkuli do miasta, skierował swoje kroki na rynek. Lud, widząc go znowu przeobrażonego zewnątrz, ubranego w odzież jeszcze nędzniejszą, lecz tonącego w spokoju jeszcze większym niż poprzednio, nie przywitał go szyderczo; już bowiem Franciszek w sercu

ludu poczynął się wyciskać rysami coraz miłszemi i trwalszemi. Gdy lud — zawsze we Włoszech na zawołanie, bo chciwy nowości i bezczynny — otoczył go gęstym pierścieniem, on podniósł głos, aby ogłaszać potrzebę poprawy i słodycz pokuty.

„Pokój Pana niech będzie z wami!“ rozpoczął każde przemówienie. A nie mówił jak mówca urzędowy. Jego słowa nie były krasomówstwem długim i wytwornem, które olśniewa wyobraźnię a nie porusza serca. Mówił jako syn ludu. To tylko opuszczało usta, co serce jego gwałtownie odczuwało. Mówił krótko, ale serdecznie; prosto, ale z tem namaszczeniem świętem, które daje prawda i potrzeba, i które porusza i ujarzmia słuchaczy.

Lud, widząc swego syna, pokochał go. Słyszając go mówiącego swym językiem i uczuciem, wierzył i nawracał się. Zresztą, choćby Franciszek nie był mówił ustami, byłby mówił i nawracał przykładem.

Jego słowa, nawołujące słuchaczy do poprawy życia, nie były pustym dźwiękiem; albowiem w całej jego postaci przebijało umartwienie i nawrócenie ze ścieżek światowca na drogę najwyższej pokuty. Lud, który go znał dawniej i patrzył na obecną przemianę, widział, na jak głębokiej podstawie wspiera się słowo Franciszka, który to, co przeżył przez pięć lat walki wewnętrznej, rozwijał przed słuchaczami z niezachwianą pewnością. Więc lud, gdy mu Franciszek z piersi wysnuwał drzemiące popędy do żalu za błędy popełnione, do doskonałości życia, do przyszłego zmartwychwstania i do szczęśliwości nieprzemijającej, podziwiał go, przywiązywał się doń.

Za podziwieniem i przywiązaniem idzie miłość, za miłością chęć naśladowania i jednoczenia.

Podziw dla rzetelnej wartości bywa zawsze powszechny; ale miłość towarzyszy mu dopiero wtedy, gdy podziwiany odda się całkowicie jako ofiara całopalna swemu otoczeniu; naśladowanie zaś i jednoczenie się jest zawsze rzadkie z początku i dochodzi dopiero wtedy do rozmiarów powszechnych, gdy podziwiany i kochany swem poświęceniem bezgranicznem i bezustannem podbije i porwie za sobą tłumy, jako wiatr pustylny piasek, jako pasterz swoją trzodę.

Proste słowa prawdy, głoszone ustami Franciszka, nie były gromami, lecz ziarnem w serca słuchaczy zasadzonym, z którego powoli wzrastał plon cichy i pokory. Lecz cóż będzie, gdy plon dojrzeje tak dalece, że znajdą się mężowie, którzy będą chcieli połączyć się z nim w tożsamości nie tylko pokutniczego ale i apostołskiego życia? Czy wtedy nie będzie potrzeba rozpocząć życia wspólnego? I jakież będzie to życie? Nuż jutro przyłączyć się będzie chciał doń jeden, pojutrze drugi, trzeci, czwarty!

Już się nawet na to zanosi. Czy będzie to rzeczą miłą Chrystusowi?

Przebywał wtedy w Asyżu pewien ogólnie szanowany, bogaty obywatel, niejaki Bernard z Kwintawallu. Ten, znając zdawna Franciszka i słysząc go teraz opowiadającego pokutę, postanowił zbadać dokładniej nowy sposób jego życia, aby się przekonać, czy ta czczość, te bóle, zawody, które jego samego mimo bogactw gnębiły, nie dałyby się zażegnać takim jak Franciszka życiem.

Franciszek często u niego bywał gościem; a zczasem gościnność doszła do tego stopnia, że obydwoj sypiali w tym samym pokoju. Samotność i cisza nocna podziały zapewne na spowinowacenie tych dusz, z których jedna stawała się mi-

strzynią, druga uczennicą. Wkońcu pewnej nocy, w czasie której zaproszony Franciszek u niego gościł, zakończył Bernard walkę wewnętrzną.

Po dłuższej rozmowie odezwał się wreszcie Bernard w te słowa:

— Bracie, chcę tedy rozdać wszystkie moje dobra dla miłości Boga, który mi ich udzielił, jeżeli ty uznasz to za dobre.

— Wczas rano — odparł Franciszek — pójdziemy do kościoła i z ewangelji się dowiemy, jak Chrystus nauczał swoich uczniów.

Rano tedy zwrócili obydwaj swoje kroki wprost do kościoła św. Mikołaja, aby według woli Franciszka z Bogiem rozpocząć dzieło nawrócenia Bernarda.

Lecz oto do kroczących w skupieniu dwóch mężów przyłączył się trzeci człowiek, niejaki Piotr, który odbywszy podobnie jak Bernard walkę wewnętrzną, postanowił iść śladami pokutującego Franciszka.

Wszyscy trzej weszli do kościoła, aby się pomodlić. Ponieważ jednak z książką ewangelji nie byli obcy i nie wiedzieli gdzie w niej szukać ustępu o wyrzeczeniu się świata, prosili Boga, aby im przy pierwszym otwarciu książki objawił swoją wolę.

Skończywszy się modlić, Franciszek zbliżył się do ołtarza i otworzywszy książkę na traf, jął czytać słowa Chrystusa, wypowiedziane do młodzieńca: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj co masz, i daj ubogim!“

Franciszek klęcząc wciąż przed ołtarzem, otwarł książkę po raz drugi, a oczy jego padły na ów ustęp o rozesłaniu apostołów: „Nie bierzcie nic w drodze, ani laski, ani tajstry, ani chleba, ani pieniędzy: ani po dwie suknie miejcie!“

Pełen radości otworzył książkę po raz trzeci i jął czytać towarzyszom ów najwyższy rozkaz Mistrza Boskiego dany wszystkim, którzy Go chcą naśladować: „Jeśli kto chce iść za mną, niech sam siebie zaprze i weźmie krzyż swój i naśladuje mnie!“

Franciszek skończywszy czytać, położył książkę na ołtarz, a zwróciwszy się do swych towarzyszy, rzekł z prostotą:

— Bracia, oto jest nasze życie i nasza reguła. To też będzie życiem i regułą wszystkich tych, którzy będą chcieli połączyć się z nami. Idźcie tedy i czyńcie, jak słyszeliście.

Słowa te stanowcze i krótkie wyjęte z ewangelji i mające być odtąd regułą a później istotą reguły braci mniejszych, miały wartość tem większą, że odzwierciadlały się całkowicie we Franciszku; albowiem jak dla apostołów i pierwotnych chrześcijan Chrystus był pierwszą regułą, tak osoba Franciszka była regułą jego braci. I choć później Franciszek układa regułę obszerniejszą, choć jeszcze później następcy Franciszka układają konstytucje dla ciała społecznego braci mniejszych, prawdziwą jednak i żywą regułą będzie zawsze osoba Franciszka! Bez tego wzoru żaden brat mniejszy nie będzie bratem mniejszym ani synem Franciszka mimo reguły pisanej.

Nie wystarcza znaleźć drogę do prawdy. Trzeba nią żwawo postępować, trzeba przedsięwzięcie zamieniać w czyn.

To też Bernard bezzwłocznie począł rozdać swoje majątności ubogim. Franciszek patrzył z rozradowaniem sercem na czyn heroiczny swojego przyjaciela, a lud mnogi ściągnięty niezwykłym widowiskiem podziwiał swych trzech

synów; bo i Piotr rozdawał, co miał, choć tego nie było wiele.

Jednakże może się zdarzyć, że oprócz podziwu zbudzi się w piersi niejednego widza i chciwość na widok rozdawanych tak hojnie pieniędzy. Bo cóż to za postać wychudła, wysoka, w czarną przybrana szatę, która przeciska się przez tłum i z okiem chciwem staje przed Franciszkiem i mówi:

— Bracie, mało mi zapłaciłeś za te kamienie, które ci sprzedałem.

To Sylwester, kapłan, który poprzednio sprzedał Franciszkowi trochę kamieni do naprawy kościółka św. Damjana. Widząc zaś teraz rozrzutność Bernarda i Franciszka, zapłonął chciwością i zażądał większej nagrody.

Zdumiał się Franciszek, nienawidzący chciwości, nad taką żądzą, która nie licowała z powołaniem sługi Bożego. I wyjąwszy z kieszeni płaszcz Bernarda raz i drugi pieniędzy pełnemi garściami, rzekł doń cierpko:

— Oto masz! Czy teraz jesteś dostatecznie wypłacony?

— Tak, zupełnie — odparł Sylwester zawstydzony.

Poczem udali się wszyscy trzej do Porcjunkuli, która miała być ich mieszkaniem po pracach apostołskich i hasłem wśród trudów. A ponieważ nad sobą mieli tylko sklepienie niebios, więc klecili sobie szalas, w którym narazie zamieszkali.

Było to dnia 16 kwietnia 1209.

Niedługo potem, bo ośm dni po rozdaniu majątku Bernarda, zjawił się u Franciszka trzeci człowiek, który zapragnął wieść ten sam sposób życia.

Był to Idzi, młodzieniec charakteru słodkiego, posłusznego, duszy przezroczystej jak kryształ. Pod mistrzowską ręką Franciszka miał Idzi wznieść się do tych samych wyżyn kontemplacji i apostołstwa co jego mistrz. Najkliwsze sceny prostoty, ubóstwa i poezji, rozgrywające się w tej pierwotnej trzódce franciszkańskiej, zachodzą właśnie pomiędzy Franciszkiem i Idzim.

Jak dalece ci nowi ludzie, złączeni węzłem Bożym, stanowili wykwit ducha średniowiecznego bez jego stron ujemnych, wynika najwięcej z tego powiedzenia, które zwykł był stosować do Idziego:

— Oto nasz rycerz Okrągłego Stołu!

Miał na myśli obyczaje truwerów, któremi zamłodu się przejął i które nadal uprawiał, zwracając je do celu podnioslejszego.

I jak kiedyś Franciszek wśród zgrai złoczyńców obity i sponiewierany śpiewał pieśni, tak później gdy z Idzim przedsięwzją pierwsze prace apostołskie, głosy ich nieraz się rozlegać będą wśród lasów i wiosek, nucąc wspólnie kancony prowansalskie. A gdy lud, zwabiony pieśnią, otoczy ich pierścieniem, wtedy Franciszek zaprzestaje śpiewać i pocznie mówić o miłości i pokucie w Bogu. Opowiadanie jego, poparte przykładem, tak będzie skuteczne, że porwie serca do wyżyn, które odczuwano, ale których nie umiano znaleźć; tak potężne, że po jego odejściu lud będzie mniemał, iż naprawdę tam z miasteczka Asyżu wstało dla świata nowe słońce.

Tymczasem jednak przebywali w Porcjunkuli. Jednym duchem ożywieni służyli Bogu w prostocie i ubóstwie największem.

Żaden z tych czterech ludzi, nawet ten, który ich natchnął do nowego życia, nie myślał o założeniu życia zakonnego w prawdziwym słowa zna-

czeniu. Ta potężna rodzina zakonna, która z tych nikłych zawiązków się wyłoniła, jest dziełem późniejszych lat i skutkiem tego wpływu tajemniczego, który ludzi zapomocą przyczyn drugorzędnych popycha powoli, lecz nieomylnie do dzieł wiekopomych.

Żyjąc w samotności, uświęcali się i zaprawiali w tem, co miało być ziarnem gorczycznem. Okolica zalesiona, wśród której tała się świętość Porcjunkuli, dawała im przytułek miły i zarazem sposobność do kontemplacji i zachwyków.

Franciszek przede wszystkim oddawał się radości i odczuwał bardziej od swych towarzyszy rozkosz samotności i obecności Bożej. Jego twarz rozjaśniała się i zapalało się jego oko, gdy patrzył na zadowolenie towarzyszków, których za sobą był pociągnął.

Jednakże wśród zachwyków, w czasie których duch Franciszka łączył się z duchem Bożym, nawiedzały go i inne myśli, zamiary. Cóż robią moi trędowaci? Czy ubodzy mię nie potrzebują? Azali nie byłoby rzeczą Bogu przyjemniejszą ogłaszać pokutę grzesznikom, miłosierdzie Boże cierpiącym, wszystkim ludziom miłość i pokój? — Tak od czasu do czasu odzywał się w nim duch Chrystusa, który był mistrzem i wzorem Franciszka.

Więc gdy miłość Boża i bliźniego doszła u niego do szczytu, wezwał Franciszek swych trzech towarzyszy i wysłał ich w świat, aby opowiadali pokutę i poprawę życia.

A oni poszli chętnie. Bernard z Kwintawallu połączył się z Piotrem, z Idzim Franciszek. Porcjunkula opustoszała, ale zato w dzielnicy ankonitańskiej uderzył ludność dziwny widok.

Franciszek i Idzi boso, bez pieniędzy, w nędznym ubiorze, a jednak tak szczęśliwi, jak rzadko się zdarza, przechodzili przez ów kraj ze śpiewem francuskim na ustach. A gdy ludność czy to we wsiach, czy w zamkach, czy w miastach otoczyła dwóch śpiewaków, wtedy Franciszek, wyprzedzający Idziego, jał mówić w prostocie ducha o pokucie i miłości. A gdy skończył, wysuwał się Idzi, mówiąc z przedziwną słodyczą.

— Powinniście wierzyć w to, co wam mówi mój brat Franciszek, bo jego słowa są prawdziwe i dobre.

I puszczali się w dalszą drogę. A niektórzy ze słuchaczy pytali:

— Cóż to za ludzie? Cóż to za słowa? Boso, zaledwie okryci, prawie nie jedzą — a jednak szczęśliwi!

Drudzy wzruszali ramionami, mówiąc:

— Albo obłąkani, albo pijani!

Ale inni, mniemając, że z szaleństwem nie może iść w parze taka mądrość, myśleli:

— Ich sposób życia jest podobny do rozpaczy. Więc albo są szaleńcami, albo też kroczą do najwyższej doskonałości.

I w świat ówczesny, który zapomniał, co znaczy pokuta i miłość Boża, który jedynie w rozkoszach i pysze brodził, było rzucone ziarno lepszej przyszłości. Tak czasem w duszę człowieka złego padnie ni stąd ni zowąd słowo dobre, które rodzi rozterkę wewnętrzną, a z rozterki wewnętrznej powstaje nawrócenie, pogoda, szczęśliwość.

Słowo i przykład Franciszka i Idziego nie nawracały narazie, lecz pozostawiały jakiś podziw, jakieś wzruszenie, jakąś rozterkę ducha. Ale gdy postać ubogiego Franciszka rozrośnie w olbrzymia, wtedy podziw, wzruszenie, rozterka

przemienia się w miłość, która całe narody popchnie do tego Biedaczka z Asyżu.

Franciszek, który był znawcą ludzi i miał oko przenikliwe, widział, co się dzieje w sercach ludzkich. Więc i jego serce wezbrało radością. A gdy z pierwszej tej pielgrzymki wracał do swej ulubionej Porcjunkuli, odezwał się po drodze do brata Idziego:

— Nasz zakon będzie podobny do rybaka, który do swych sieci zławia wielką ilość ryb: wypuszcza małe, zatrzymuje wielkie.

Powróciwszy z pierwszej misji apostołskiej do Asyżu, padli w objęcia Bernarda i Piotra, którzy wróciwszy prędzej z innej dzielnicy włoskiej, oczekiwali ich już w Porcjunkuli.

Podczas kiedy się to działo, ów nieszczęsny ksiądz Sylwester przechodził bardzo ciężkie chwile. Po scenie na rynku asyskim powrócił z pieniędzmi do domu jakiś niezadowolony z siebie samego. Rozważając w myśli wyrzeczenie się Franciszka i jego ostry sposób życia, zastanowił się nad sobą. Opadły go wyrzuty sumienia; bo nie mógł sobie nie mówić:

— Jakież ja nędzny człowiek. Stary jestem, a za doczesnymi dobrami przepadam i pragnę ich; ów młodzieniec zaś gardzi nimi i ucieka od nich dla miłości Bożej!

Następnej nocy widział we śnie ogromny krzyż, którego wierzchołek dotykał nieba, a podnóże tkwiło w ustach Franciszka, ramiona zaś rozchodziły się od jednego krańca świata do drugiego. Przebudziwszy się, przejrzał i uwierzył, że Franciszek jest prawdziwym przyjacielem i sługą Bożym.

Odtąd zaczął Sylwester czynić pokutę, a po pewnym czasie zgłosił się do Franciszka, prosząc

o przyjęcie. Był to pierwszy kapłan przyjęty do zakonu, w którym jeszcze długo żył, prowadząc żywot świętobliwy.

Po kilku dniach zjawiło się u Franciszka trzech nowych ludzi z Asyżu, chcących iść śladem jego: Sabbatinus, Moricus i Jan Capella. On zaś przyjął ich pokornie i z wylaniem. Niedługo potem przybył jeszcze czwarty, niejaki Filip, nazwany dla wysokiego wzrostu długim.

Tych ośmiu ludzi zaczęło wieść skwapliwie nowy rodzaj życia, którego duchem był Franciszek z Asyżu.

Atoli z pomnożoną liczbą towarzyszy pomnożyły się również potrzeby. Tymczasem oni nic nie posiadali, bo się wyzuli z wszelkiej własności. Chyba że pójda żebrać o kawałek chleba od drzwi do drzwi lub zarabiać będą pracą dzienną na chleb powszedni. Ale czyż to rzecz trudna dla takich ludzi jak Franciszek? Przecież oddawna już myśli wielki Asyzjata o tem, jakby chorągiew zupełnego ubóstwa zatknąć nietylko wśród swojej małej trzódki, ale nawet wśród całego świata. Dojdzie do tego, że ubóstwo uczyni swoją panią i oblubienicą.

Istotnie, pewnego poranku wstąpił Franciszek ze swymi towarzyszami w bramy miasta rodzinnego, Rozbiegli się po ulicach i idąc od drzwi do drzwi, prosili o jałmużnę jak zwyczajni żebracy.

Ale ludność Asyżu, która podziwiała Franciszka, gdy rozdawał majątki, nie chciała o nim słyszeć, gdy prosił o jałmużnę. Niejedne drzwi zatrzęsnęły się przed sługami Bożymi. Inni im rzucali w twarz obelgi, że roztrwonili swój majątek, a terazby chcieli żyć na koszt drugich. Nadewszystko jednak rozwodziły swe skargi po całym miasteczku rodziny nowych braci, mniemając,

że takie zebranie uwłacza wielce ich czci. Wkońcu dobiegła wieść i skarga do biskupa Asyżu.

Ów tedy kazał wezwać do siebie Franciszka, który u niego od czasu do czasu bywał. Gdy Franciszek stanął przed nim, dostojnik przemówił:

— Wasze życie jest zanadto twarde. Czy nie przyznasz, że jest rzeczą prawie niemożliwą wyzuć się ze wszystkiego i nic nie posiadać?

Ale Franciszek odpowiedział niezachwiany:

— Gdybyśmy posiadali majątki byłyby nam potrzebna broń dla obrony, bo dobra doczesne dają powód do niezgody i procesów. Z tego też wynika, że miłość Boga i bliźniego zanika w rozmaity sposób. Dlatego właśnie nie chcemy posiadać żadnej rzeczy doczesnej.

Biskupowi nie mogła się nie podobać trafna odpowiedź Franciszka, który swym językiem obrazowym umiał sięgnąć do wyższych ideałów. Pożegnawszy biskupa, bardziej niż kiedykolwiek utwierdzony wrócił do swych towarzyszy do Porcjunkuli, gdzie w niedostatku, ale w szczęśliwości ducha wiedli dalej żywot pokutniczy.

Zdarzyło się pewnego dnia, iż Franciszek czując potrzebę większej samotności i rozmowy z Bogiem, zagłębił się w gąszcz lesistą doliny Spoletańskiej. Wśród rozmyślania stanęło mu przed pamięcią całe jego zbiegłe życie. Wspomnienie zmarnowanych lat młodzieńczych nappełniło jego serce taką goryczą i trwogą, że usta raz po raz zaczęły powtarzać: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Ale rozważając dalej koleje życia, któremi już od pięciu lat Bóg tak dziwnie kierował, zapalał znowu wdzięcznością tak wielką, że umysł jego podniósł się do pewnego rodzaju jasnovidzenia,

w którem ujrzał przyszłe chwalebne dzieje swojej małej, ubożuchnej trzódki. Więc pełen radości wrócił do swych braci i mówił:

— Nabierzcie ducha, najmilsi przyjaciele, nabierzcie odwagi! Radujcie się w Panu. Niech was mała liczba nasza nie przestrasza; niech was prostota wasza i moja nie przeraża. W tej chwili Bóg mi objawił, że będziecie wzrastać i pójdziecie na krańce świata. Widziałem mnóstwo ludzi, którzy przychodzili do nas, aby przywdziać naszą sukienkę i prowadzić ten sam rodzaj życia. Widziałem drogi przepelnione ludami, które śpiesząc zbliżały się do nas. Wszystkie narody się podnoszą i — oto jeszcze teraz słyszę w mych uszach odgłos tych, którzy przychodzą, aby iść za rozkazem świętego posłuszeństwa.

Tak i inaczej dodawał Franciszek otuchy swym towarzyszom. Ale te piękne widoki należało powoli w czyn zamieniać.

To też niedługo potem zgromadził Franciszek ponownie swych towarzyszy i jał im udzielać wskazówek, jak mają obcować z ludźmi, jak opowiadać słowo Boże, jak znosić prześladowania. I nakreśliwszy wkońcu krzyż na ziemi w kierunku wszystkich stron świata, wysłał ich po dwóch na powtórna misję, mówiąc do wszystkich:

— Idźcie, najmilsi, we wszystkie części świata, głosząc ludziom pokój i pokutę. A bądźcie cierpliwi w przeciwnościach, bo Bóg spełni swoją obietnicę. Pytającym odpowiadajcie pokornie, prześladowającym was błogostawcie, krzywdzącym i spotwarzającym was dziękujcie; bo za to wam jest przygotowane królestwo niebieskie.

A oni padli mu do nóg, gotowi pójść dokądby rozkazał; wiedzieli bowiem, że Bóg przemawia

przez usta swego sługi. Franciszek zaś podnosił ich kolejno, przyciskał do serca i błogosławił, mówiąc do każdego z osobna:

— Poleć swoją troskę Panu, o On cię strzec będzie.

A którzy ich ujrzeli, dziwili się wielce, gdyż ubiorem i życia sposobem wcale niepodobni byli innym, raczej dzikimi ludźmi się być zdawali.

Gdziekolwiek weszli, czy to do miasta, czy do zamku jakiego, czy do wsi lub do domu, głosili pokój, zachęcając wszystkich, aby mieli bojaźń Bożą i kochali Stwórcę nieba i ziemi i wykonywali Jego przykazania. Niektórzy chętnie ich słuchali. Inni przeciwnie urągali im. Inni zarzucali ich pytaniami, pytając: Skąd jesteście? lub mówiąc: Cóż to za zakon? A oni, jakkolwiek trudno im było odpowiadać na wszystkie pytania, wyznawali jednak poprostu, że są pokutnikami, z miasta Asyżu pochodzącymi; jeszcze bowiem ich zgromadzenie nie nazywało się zakonem.

Wielu jednak sądziło, że to hultaje i warjaci, i nie chcieli ich przyjmować do domów swoich z obawy, by jako złodzieje rzeczy nie pokradli. Dlatego też w wielu miejscach wyrządzono im mnóstwo krzywd, tak dalece, że wkońcu musieli nocować w przedsionkach kościołów i domów.

Dwóch tedy z tych towarzyszy znalazło się we Florencji, prosząc po mieście o jałmużnę, ale noclegu znaleźć nie mogli. Przyszedłszy do pewnego domu, w którego przedsionku stała ławka, rzekł jeden do drugiego:

— Tu będziemy mogli przenocować.

Zwrócili się więc do pani domu, prosząc, aby ich przyjęła na nocleg. Gdy odmówiła, poprosili pokornie, aby im przynajmniej pozwoliła noc przepędzić na ławce przed domem. Kobieta zgodziła się na to. Tymczasem przyszedł jej mąż i rzekł ostro:

— Pocóżes to przyjęła tych hultajów w naszym przedsionku?

Na co żona odpowiedziała:

— Nie chciałam ich przyjąć do domu; ale pozwoliłam im przenocować w przedsionku. I tak tam nic skrać nie mogą, chyba drzewa trochę.

Mąż jednak nie chciał im dać żadnego przykrycia, choć zima wtedy była sroga, uważał ich bowiem za włóczęgów i złodziei. Towarzysze zaś pokrzepili się ożywczym snem aż do rana, ogrzani ogniem niebieskimi i przykryci płaszczem Pani Ubóstwa. A rano poszli do pobliskiego kościoła, aby wysłuchać obrządku porannego.

Ale i owa kobieta udała się rano do tego samego kościoła. I spotkawszy tych braci, zatopionych w pobożnej modlitwie, rzekła do siebie:

— Gdyby ci ludzie byli hultajami i złodziejami, jak mój mąż twierdził, z pewnością nie modlili by się tak pobożnie.

I gdy tak rozmyślała, zjawił się człowiek, niejaki Gwido, który zaczął rozdzielać jałmużnę ubogim, w kościele pozostałym. I jak wszystkim dawał, tak też braciom chciał dać pieniądze, gdy do nich przyszedł. Atoli ci odmówili i brać nie chcieli. Więc ów rzekł:

— Dlaczego wy, będąc ubogimi, nie chcecie przyjąć pieniędzy jak inni?

Odparł brat Bernard:

— Prawda, że jesteśmy ubodzy; ale ubóstwo nie jest nam ciężarem jak innym ubogim, bo z łaską Boga, którego radę wykonaliśmy, staliśmy się dobrowolnie ubogimi.

Pelen zdumienia człowiek ów pytał ich dalej, czy kiedykolwiek coś posiadali. A oni odpowiedzieli, że mieli wielkie majątki, ale wszystko rozdali. Boć to był przecież Bernard, który tak odpowiedział..

Kobieta zaś widząc, że pieniędzy przyjąć nie chcą, posunęła się ku nim, mówiąc, że ich chętnie przyjmie w domu, jeżeli by jeszcze chcieli nocować. Na co bracia odpowiedzieli pokornie:

— Pan niech ci nagrodzi twoją dobrą wolę.

Ale człowiek ów słysząc, że bracia nie mogli znaleźć noclegu, poprowadził ich do swojego domu, mówiąc:

— Oto nocleg dla was przez Pana przygotowany. Pozostańcie tu wedle woli.

A oni dziękując, pozostali u niego przez kilka dni, budując wszystkich swoim przykładem i słowem,

tak dalece, że gospodarz później bardzo dużo rozdał ubogim.

Ale jakkolwiek ten bardzo łagodnie się z nimi obszedł, to jednak inni uważali ich za ludzi najpodlejszego stanu. Mali i wielcy natrzęsali się z nich i krzywdzili, ogoławając nawet z szat, które na sobie nosili.

A pozostawszy w ten sposób nagimi, bo według przykazania ewangelji jedną tylko mieli szatę, nie upominali się słudzy Boga o zwrot szat; tylko jeżeli kto litością tknięty im je zwracał, wtedy chętnie przyjmowali.

Znaleźli się i tacy, którzy ich obrzucali błotem. Jeszcze inni wkładali im gwałtem karty do rąk, zapraszając do gry. Najgorsi jednak byli ci, którzy chwyciwszy ich za kaptury ztyłu, podnosili w powietrze.

Tak i inaczej ich gnębili, uważając za ludzi tak podłego stanu, że mogli z nimi robić, co im się podobało. Przytem bracia w głodzie, pragnieniu, w zimnie pędzić musieli dni.

A jednak znosili to wszystko cierpliwie i mężnie, jak im Franciszek przykazał. Ani też nie smucili się i nie trwożyli, ani nie przeklinali tych, którzy im krzywdę wyrządzali; lecz jak przystało na mężów doskonałych, cieszyli się wielce w Panu, właśnie za szczęście uważając, gdy w podobne udręczenia i cierpienia popadli. Przytem modlili się gorąco i pilnie za swoich prześladowców.

Widząc tedy stałość, pobożność i ubóstwo braci, zgłaszało się do nich wielu, którzy chcieli wstąpić na lepszą drogę. A byli i tacy, którzy ich sposób życia pragnęli naśladować i wpisać się w ich społeczność; Franciszek bowiem pozwolił swoim towarzyszom przyjmować nowych braci i przyprowadzić ich ze sobą do Porcjunkuli.

Bracia, rozproszeni po różnych okolicach, powrócili wszyscy w tym samym czasie do ulubionej Porcjunkuli, za którą już zatęsknili. Radość z powodu powitania sprawiła, że zapomnieli o tru-

dach doznanych w czasie misji. Radość tem większa, że trzódka ich powiększyła się o czterech nowych braci w osobach Jana od św. Konstantyna, Barbarusa, Bernarda de Vida i Anioła Tancredi, późniejszego poety i biografą Franciszka.

Trzódka Franciszkowa wzrastała w pokoju, szczęśliwości i miłości, na cześć Chrystusa i przyszły pożytek wieków, w cienistych gajach doliny Spoletańskiej pod bokiem Porcjunkuli.

ROZDZIAŁ VII.

Franciszek z Asyżu i Inocenty III.

(1210.)

Nie należy sądzić, że to młode zgromadzenie w Porcjunkuli tworzyło zakon w prawdziwym słowa znaczeniu. Nie było w niem żadnych przepisów, żadnych modlitw wspólnych, ani wogóle życia wspólnego. Każdy postępował według własnego natchnienia pobożności.

Wprawdzie bracia spędzali czas na modlitwie a nawet w nocy wstawali do niej, oddawali się pracy ręcznej, kochali się wzajemnie miłością najwyższą, powstrzymywali się od wszelkiego słowa, mogącego urazić bliźniego, żyli w najwyższym ubóstwie i pozbywali się nawet części szat swoich na widok ludzi ubogich, z radością przyjmowali u siebie pielgrzymów, troska i smutek u nich nie powstały i żyli w ciągłym weselu ducha, ale jednak reguła stała i wyraźnie wytknięta nie wiązała ich jeszcze. Każdy służył Bogu dobrowolnie, niekrepowany niczem i przez nikogo.

Mimo to ich odrębności indywidualne zaniękały powoli. Dusze ich kształtowały się na wzór duszy Franciszka. Wszelki zamiar woli i polot umysłu i popęd serca brał początek i pokarm

od ducha Franciszka, który był ich ożywieniem i ojcem. Miłość Franciszka przemieniała ich w jedno serce i w jedną duszę.

I to nie ci ludzie później godzą gminy i miasta, poruszają zakamieniałe sumienia, nawracają grzeszników, rozmawiają z ptaszętami, łagodzą wilków, lecz Franciszek przez nich. Osoba Franciszka jest ich jedyną regułą, która tak mocno włoży się w pamięć i serce wszystkich braci, że jego już nie będzie na ziemi, a jednak będzie — w ich miłości, dopóki bracia mniejsi zaludniać będą ziemię.

Jednakże zawsze tak pozostać nie mogło.

Przenikliwe oko Franciszka widziało z pewnością ów wielki wpływ na towarzyszy, ale widzieć nie mogło, czy i w przyszłości tak będzie. Zresztą choćby to i było widziało, jego pokora kazała mu inaczej myśleć, a jego mądrość popychała go do nadania swojej trzódce trwałego i wyraźnego kształtu społecznego. Zgromadzenie bowiem rosło z dnia na dzień w liczbę, a nowi bracia nieraz pytali, jak się mają modlić, jakiej się imać pracy.

Po dłuższych tedy rozmowach z Bogiem i z sobą samym postanowił spisać regułę i udać się do Rzymu, aby ją papież zatwierdził.

Ta reguła, nazwana pierwszą, nie doszła nas, niestety. Biografowie wspominają, że była krótka i nader prosta. Składała się zapewne z tych wierszy ewangelji, które w swoim czasie czytał był towarzyszom. Może je przeplatał tu i owdzie uwagami o jednolitem pożyciu wspólnem, o pracy i zajęciach dziennych, a zwłaszcza o konieczności ubóstwa.

Po spisaniu reguły pozostawała podróż do Rzymu.

Lecz jakże on, Biedaczek, nikomu nieznanym, młody, nie znający obyczajów dworu rzymskiego, osiągnie zatwierdzenie reguły? Wprawdzie już raz był w Rzymie, ale jako pielgrzym, który od nikogo nic nie wygląda. Jakże się teraz dostanie do papieża? Kto mu da listy polecające?

Ale gorąca dusza Franciszka umiała daleko większe przeszkody przelamywać! I gdy dniem i nocą wśród modlitwy rozmyślał, jak zamiar wykonać, nawiedził go dziwny sen.

Zdawało mu się, że się puścił w daleką drogę. W połowie drogi natknął się na olbrzymie drzewo, którego wspaniałość jał podziwiać. Równocześnie uczył, że jego nikła postać poczyna rosnąć, dopóki nie dorosła do szczytu drzewa i nie nagięła do siebie najwyższych gałęzi.

To widzenie położyło koniec wahaniom Franciszka, który jako wierny syn średniowiecza tłumaczył sen według własnej intencji i potrzeby.

Bezwłocznie też udał się do swych braci, aby im oznajmić zamiar podróży do Rzymu w celu uzyskania potwierdzenia reguły. A widząc braci zaniepokojonych trudną wyprawą, przekonywał ich o próżności obawy i o pewności pomyselnego skutku. Wkońcu opowiedział im swoje widzenie, które ich serca napelniło otuchą i gotowością. Przed wyruszeniem jednak postanowił wybrać z grona towarzyszy jednego, któryby zarządzał wszystkim w czasie podróży; sam Franciszek bowiem chciał być wolny od trosk ziemskich, aby tem skuteczniej mógł myśleć o celu wyprawy.

Rzekł tedy do towarzyszy:

— Wybierzmy jednego z nas naszym przywódcą i upatrujmy w nim namiestnika Chrystusa.

Gdziekolwiek on będzie chciał zboczyć i spocząć, tam spoczniemy; a gdziekolwiek będzie chciał zamieszkać, i my zamieszkamy.

I wybrali brata Bernarda, pierwszego po Franciszku, i postępowali tak, jak polecił ich ojciec.

Ruszyli tedy wesoło i powtarzali słowa Boże, nie śmiejąc mówić o rzeczy, któraby się nie odnosiła do chwały Bożej i do pożytku duszy. Często też spędzali czas na modlitwie. Pan zaś przygotowywał im zawsze mieszkanie i nie pozwalał, aby im zbywało na rzeczach potrzebnych.

Rządził tedy Kościołem rzymskim Inocenty III, który swoją młodość i energję umiał dziwnie zespolić z roztropnością i wytrwałością właściwą starcom. Głęboki znawca potrzeb swojej ojczyzny włoskiej i stolicy apostolskiej, prawdziwy rycerz o męskiej odwadze i szlachetnej ambicji, przepiękny mężczyzna i porywający mówca, naprzemian święty i uczony otoczył on stolicę rzymską taką aureolą, że przewyższył wszystkich swych poprzedników i następców. W oplakane stosunki włoskie wprowadził ład i spokój. Wobec cesarstwa niemiecko-rzymskiego umiał z godnością utrzymać powagę papieską, nie wahając się wyzyskać położenia, walczyć zapomocą stronnictw, użyć klątwy. Wobec królestw i narodów utrzymywał zawsze prawo boskie i kościelne w swojej czystości i nietykalności, stojąc wytrwale na posterunku i swoją wysokością i polotem ducha dodając uroku władzy, już i tak potężnej z natury swojej. Jako przedstawiciel ducha średniowiecznego zachęcał gorliwie książąt chrześcijańskich do wypraw krzyżowych nietylko w kierunku Jerozolimy, ale i Hiszpanji, w której Maurowie byli wszechwładni. Lecz koroną działalności Inocentego był wielki sobór lateraneński, w którym się

zbiegły nici organizacji całego Kościoła i obręcz świata katolickiego ściśnięto mocniej, trwalej. Że w życiu tak płodnym w dziejorodne myśli i czyny miłość i pokora mało tylko kielkować mogły, nikogo nie zadziwi. Podziwiać raczej należy tę postać idealną, na której potężne słowo chyła się książećta i narody i której wyroki jako ojca całej rodziny chrześcijańskiej chętnie i z zaufaniem przyjmują. Inocenty III jest obok Grzegorza VII i Aleksandra III plastycznym przedstawicielem papieżstwa średniowiecznego w jego walkach i triumfach, jak również najwybitniejszym ośrodkiem do którego ciążyą wszystkie poruszenia duchowe czasu.

Przed takim mężem potężnym miał stanąć Biedaczek z Asyżu.

Nim jednak stanął przed Inocentym, przechodzić musiał przez inne instancje, które na szczęście okazywały się powolne jego prośbie.

Zaraz po przybyciu do Rzymu spotkał się Franciszek nadspodziewanie ze swym biskupem, Gwidonem z Asyżu. Ów musiał się mocno zdziwić, ujrawszy ubogiego pokutnika w murach wiecznego miasta. I mimowoli przyszło mu na myśl, że Franciszek z towarzyszami porzucił Asyż i postanowił osiąść w Rzymie. Dowiedziawszy się jednak o celu podróży jego i towarzyszy, obiecał im swoje poparcie. A znając osobieście pobożnego i światłego kardynała Jana od świętego Pawła, wprowadził ich doń, uprzedziwszy dostojnika o zamiarach i sposobie życia Franciszka.

Kardynał przyjął Franciszka i jego towarzyszy z wylaną serdecznością. Ale roztropność nakazywała mu również wybadać ściśle pokutników z Asyżu.

Stawił im tedy różne pytania i robił zarzuty odnośnie do ich sposobu życia w terażniejszości i w przyszłości, że to sposób ubóstwa za twardy, i namawiając, by wstąpili do jednego z istniejących już zakonów. Radził też, by prowadzili żywot pustelniczy, a nie kusili się o zakładanie nowego zakonu.

Franciszek odpowiadał, jak mógł. Ani chwili jednak nie zawahał się w postanowieniu powziętem. Utrzymywał, że jakkolwiek widzi swoje słabe siły, to przecież powołaniu Bożemu przeciwzić się nie może.

Przez kilka dni z rzędu trwały układy. Kardynał wysuwał coraz nowe trudności, napomykając, że trudno wytrwać w przedsięwzięciu, że entuzjazm mija zczasem, że należy wybrać drogę łatwiejszą. Ale wkońcu widząc niezłomną wolę Franciszka i zarazem głęboką pokorę i prostotę jego towarzyszy, ustąpił. Obiecał przedstawić ich papieżowi i polecić mu ich prośby.

Nazajutrz mieli stanąć przed potężnym Inocentym III.

Papież przyjął ich również z badawczą grzecznością i chrześcijańską dobrocią. A Franciszek, zachęcony serdecznem przyjęciem, wyłożył mu z żywością zamiar i prośbę.

Papież zaś wysłuchawszy, odparł:

— Synaczkowie, żywot wasz wydaje nam się zanadto twardy i ostry. Widzimy wprawdzie, że wasza gotowość jest prawdziwa i nie wątpimy o niej. wszelako nam wypada myśleć także o tych, którzy będą chcieli was naśladować. Otóż nie godzi się nakładać im jarzma, którego nieść nie będą w stanie. Sprawa wymaga głębszego zastanowienia.

Poczem dodał jeszcze, że zasięgnie rady kardynałów. Rozkazał też Franciszkowi, aby prosił Boga o oświecenie dalsze. Wkońcu ich pożegnał.

Ale cierpliwość Franciszka była wystawiona na twardą próbę. Biedaczek nie mógł pojąć, jak papież mógł tak długo zwlekać z zezwoleniem na sposób życia ewangelicznego; bo przecież reguła Franciszka była tylko prostem i dosłownem urzeczywistnieniem ewangelji. Gdyby jednak Franciszek był obyty z procedurą rzymską i znał ówczesne położenie Kościoła, byłby się przekonał o słuszności zwłoki.

Tymczasem udał się z towarzyszami do szpitala św. Antoniego obok Lateranu, gdzie byli umieszczeni jego umiłowani trędowaci. Pielęgnując ich, zamieszkał u nich aż do ponownego wezwania ze strony papieża.

A Inocenty zwołał po kilku dniach grono kardynalskie, któremu prośbę Franciszka w tych mniej więcej słowach przedstawił:

— Czy jest rzeczą dobrą zatwierdzić nowe zgromadzenie ludzi, których i jednostki i pomieszkania podlegają ślubowi zupełnego ubóstwa?

Prośba Franciszka, wygłoszona ustami papieża, wywarła głębokie wrażenie na kardynałach. Lecz zapytani o swoje zdanie odpowiadali jeden po drugim, że to jest rzecz zupełnie nowa i niesłychana, że przechodzi granice możliwości, że natura ludzka nie może znieść długo takiej ostrości żywota.

Wtem powstał kardynał Jan od św. Pawła i w te odezwał się słowa:

— Jeżeli odrzucimy prośbę tego pokutnika, sądząc, że reguła przezeń ułożona jest trudną do wykonania, uważajmyż, byśmy nie stanęli w sprzeczności z ewangelją, reguła ta bowiem

odpowiada w zupełności nauce zawartej w ewangelji.

Zdumienie odbiło się na twarzach grona kardynalskiego; tem więcej, że naprawdę główna część reguły składała się z dosłownie wyjętych wierszy ewangelji. Mimo to papież wahał się i w rzeczy tak ważnej nie chciał jeszcze wyrzec zdania rozstrzygającego.

Powróciwszy do swego mieszkania, jał Inocenty rozmyślać nad reformą Kościoła i społeczeństwa, na zasadach ubóstwa ewangelicznego opartą. Przechadzając się po wspaniałym tarasie zwanym *Belvedere* w pałacu Lateraneńskim, skąd wzrok zapuszczał w oddalone, sreżogą rozwiewną otulone góry Albańskie, ważył w swym umyśle przyszłe losy Kościoła.

Kwestja bowiem ubóstwa była w owych czasach problemem, od którego rozstrzygnięcia zależała reforma całego systemu feodalnego, zapuszczającego swoje korzenie głęboko także w społeczności kościelnej. A nieprawości, tkwiące w systemie feodalnym, przenosiły się również na społeczność kościelną. Biskupi i opaci, dzierżący dobra feodalne, składali hołdy temu, od którego otrzymywali inwestyturę. Stąd wynikała z jednej strony symonja, z drugiej zanikała wolność wyborów. Zakupno i sprzedaż dóbr duchownych stały się rzeczą powszechną, a kościoły nie dostawały się w ręce ludzi godniejszych, ale tych, którzy hojnie płacili lub którzy najpodlejszemi pochlebstwami i skandalicznemi przywilejami umieli się wślizgnąć w łaskę książąt.

Powstało tedy mnóstwo ludzi o obyczajach rozluźnionych, ludzi ciemnych, niesfornych, grabieżców. Inni przemieniali pastorał na miecz; niepomni na charakter kapłański oddawali się za-

bawom rycerskim, prowadzili między sobą utarczki krwawe, wyruszali na wojnę, nie troszcząc się o powierzona im owczarnię, powierzając ją ludziom najemnym, którzy ją obdzierali, łupili kościoły i trwonili na orgjach niegodnych majątek ubogich. Napróżno ludzie dobrej woli i pobożnego ducha podnosili głos. Chciwi byliby utracili sporą część dochodów. Niejeden biskup byłby musiał oddać swe dobra bezprawnie nabyte. Dręczony lud chrześcijański jęczał o naprawę losu. Zasada ubóstwa ewangelicznego stała się konieczną.

Inocenty potoczył wzrokiem w mglistą dal w kierunku morza Śródziemnego. Zdawało mu się, że na widnokręgu mignęła postać tego człowieka niktzemnego i pogardzonego, którego przedwczoraj we śnie widział potrzymującego na swoich barkach kościół Lateraneński. Odegnął widzenie, zwróciwszy wzrok na wzgórza Rzymu, szumiącego u jego stóp. Papież popadł napowrót w głębokie zamyślenie.

Jakkolwiek kwestja ubóstwa ewangelicznego była piekąca, przecież jej rozwiązanie musiało być dokonane z największą ostrożnością i roztropnością. Bo zrozpaczony wiek jedenasty i dwunasty jał wydawać niebezpiecznych reformatorów. Jak burza, ciągnąca od Wschodu, przewalił się na Zachód stary manicheizm, który w kształcie paulicjanów, potem „bogumiłych“, a wreszcie katarów czyli czystych szalał po krajach katolickich Europy, chcąc oczyścić powietrze przesycone ciemnością i zepsuciem obyczajów, a w rzeczywistości wprowadzając większe zamieszanie i podrywając powagę Kościoła w jego korzeniach. W tym samym czasie jał krzyże łamać i palić, kościoły wywracać po Galji Piotr de Bruis, ka-

nonik. A jego dzieło wywrotowe prowadził dalej Henryk, mnich, który się z niebywałą zaciekłością i z ognistą wymową rzucił na ciemność i zepsucie duchowieństwa. A Arnold? Toż to prawdziwy ojciec wszystkich tak zwanych reformatorów; uczeń Abelarda, Arnold z Brescji, który z szalonem powodzeniem powstał jako mściciel przeciwko dobrom feodalnym tak świeckiego jak zakonnego duchowieństwa, głosząc, że kler powinien żyć jedynie z jałmużny dobrowolnej wierznych i z dziesięcin. Potem wszczął zawieruchę Eudo de Stella. Potem wichrzyli z dziką srogością nad Renem ludzie, zowiący się apostołskimi, wyklinając nietylko własność, ale i sam użytek dóbr doczesnych. Wreszcie koroną wszystkich reform, które miały zrodzić naprawę, a zrodziły rozpacz i zło, byli waldensi i albigensi. Właściwy ich twórca, Piotr Waldo, bogaty kupiec lugduński, zachęcony do ubóstwa najwyższego słowem Chrystusa: „Łatwiej jest wielbłądowi przez ucho igielne przejść, niż bogatemu wnieść do królestwa niebieskiego“, sprzedał wprawdzie wszystkie swoje majątki i rozdał ubogim. Ale sobie jedynie roszcząc prawo opowiadania słowa Bożego, rzucanie gromów na zdrożności duchowieństwa świeckiego i zakonnego, zrzucił z siebie jarzmo wszelkiego posłuszeństwa, nadwerżył całą naukę Chrystusa w jej całokształcie i we wszystkich prawie szczegółach, siał niezgodę i straszne zamieszanie w warstwach społecznych i znalazł nieprzeliczone szeregi popleczników we Francji i we Włoszech pod różnemi nazwami. Sekty, z jego nauki wykwitłe, napęłniły kraje romańskie taką powodzią kacerstw i krwi rozlewów, takim głuchym szczękiem oręża, że społeczność chrześcijańska użyć musiała środków

nadzwyczajnych, stworzywszy inkwizycję. Wprawdzie znaleźli się i ludzie lepszej woli, którzy przyspieszali upragnioną reformę. Lecz cóż znaczyły szlachetne porywy jednego człowieka, choćby Bernarda Klarewaleńskiego, wobec popękanych ścian całego gmachu chrześcijańskiego, wobec potopu herezji i wojny! A „pokorni“ medjolańscy, choć w ciągu trzydziestu lat wydali mnóstwo mężów apostolskich, czyż mogli stawić tamę złemu, skoro ich wpływ nie sięgał daleko? Z jednej strony kiełkujące nowości, zatrwajające, godzące w samo serce Kościoła, z drugiej niechęć, upór, nienawiść do wszelkiej reformy prawdziwej, na nauce ewangelji i Kościoła opartej.

Przed duchem Inocentego stanął żywo ów straszny obraz zamieszania, przewrotnych idei, starych i nowych prądów, walk, spustoszenia, oplakanego stanu Kościoła i społeczeństwa, niepewności.

Przystanął, zwróciwszy wzrok na ostre czuby poszarpanych gór Sabińskich. Zadrżał nawet tak wielki duch. Pamiętał, że przecież taki olbrzym jak Grzegorz VII upadł wobec reformy, jakkolwiek swym upadkiem uratował narazie Kościół. Inocenty pamiętał, że tylu innych jego poprzedników pokryły fale przewrotu i feodalizmu, który pragnęli uśmierzyć. Pamiętał, ile wysiłków łożyć musiał on sam, chcąc wobec królów i książąt utrzymać powagę i godność Kościoła. Cóż będzie, gdy położy rękę na biskupach, opatach, całym duchowieństwie zanurzonem w feodalizmie, ciemności, rozkoszy! Pamiętał, że tylu reformatorów, chcących zasady ewangelicznego ubóstwa wprowadzić w życie, stało się właśnie najżarliwszymi przeciwnikami Kościoła i nauki Chrystusa, wichrzycielami, odszczepieńcami.

Ów pustelnik z Asyżu? Franciszek? A nuż on będzie jednym z nich! Nuż on będzie równym lub gorszym od Piotra Walda!

Inocenty przyśpieszył kroku. Zatrwożył się na myśl, że ów człowiek wiotki, o błyszczącym, czarnem oku, o niezłomnej woli rozwinie chorągiew buntu i zawoła na całą Umbrję: Do mnie, bracia!

Wtem u wchodu na taras belwederski rozległ się szelest. Pośepne myśli papieża pierzchły. Rzuciwszy okiem w kierunku wejścia i tętniących kroków, spostrzegł wchodzącego Franciszka.

Wchodził Biedaczek z Asyżu, jak po raz pierwszy, pełen pokory i poszanowania, ale swobodnie. Za nim weszli jego towarzysze i zatrzymali się u drzwi. Inocenty obrzucił całe grono bystrym wzrokiem, a w duszy pomyślał:

— Ten człowiek nie podniesie nigdy buntu przeciwko Kościołowi!

Franciszek stanął w obliczu papieża. Oczy ich spotkały się w badawczem i głębokiem spojrzeniu. Jeden wyczytał w nich naprawdę tego, który z rąk królów wytraça berła, na którego skinienie wojsko ciągnie na Wschód i na Zachód przeciw mahometanom, który ma gmach chrześcijański oczyścić od przekupniów i brudów. Drugi ujrzał w nich męża, któremu nic w świecie nie zamknie ust i którego żadna potęga świata nie odwróci od raz powziętego zamiaru. I obaj mężowie instynktownie uczuli swą wielkość i poszanowanie dla siebie.

Ale papież mimo poszanowania dla tego Biedaczka nie mógł się jeszcze pozbyć wszystkich wątpliwości. Więc zapytał:

— Czy ci Bóg objawił w modlitwie, że twoja prośba pochodzi od Niego, jak ci to onegdaj poleciliśmy?

A Franciszek miasto wprost odpowiedzieć, jął opowiadać ze słodyczą i wdziękiem:

Żyła w jednej pustyni pewna niewiasta ubożuchna i piękna. Pewien król wielki, podziwiając jej wdzięki, zapragnął pojąć ją za żonę, bo mógł się spodziewać od niej dzielnych synów. Po zawarciem małżeństwa zrodziło się istotnie wielu dzielnych synów, do których matka temi słowy się zwróciła:

— Synowie, nie wstyďte się, bo jesteście synami królewskimi. Idźcie tedy do jego dworu, a on zaspokoi wszystkie wasze potrzeby.

A gdy się zjawili przed królem, ów podziwiając ich piękność i spostrzegając w nich swoje podobieństwo, rzekł do nich:

— Czyimi synami jesteście?

A gdy mu odpowiedzieli, że są synami ubożuchnej niewiasty, przebywającej na pustyni, wziął ich król w swoje objęcia i mówił:

— Nie bójcie się, bo synami moimi jesteście. Jeżeli bowiem u stołu mego siedzą obcy, tem więcej możecie wy, którzy jesteście moimi własnymi.

Rozkazał następnie król owej niewieście, aby wszystkich jego synów wysłała na dwór królewski w celu utrzymania.

Tu Franciszek podniósł głos i mówił z siłą:

Ja jestem, Ojcze, tą niewiastą ubożuchną, którą Pan ukochał i w swem miłosierdziu odznaczył i z której chciał mieć prawych synów. I powiedział mi Król królów, że wyżywi wszystkich synów ze mnie narodzonych, bo jeżeli wyżywi obcych, o ileż snadniej wyżywi swoich własnych! Jeżeli bowiem Bóg udziela grzesznikowi dóbr doczesnych dla miłości synów wyżyć się mających, o ileż więcej udzieli mężom ewangelicznym, którym się to z zasługi należy!

Inocenty słuchał, utopiwszy wzrok w oczach Franciszka, który z początku ze słodyczą i poezją, potem z powagą królewską, wreszcie z entuzjaz-

mem proroczym rozwijał przed papieżem swoją prośbę pod szatą tej cudnej alegorji.

Przed Inocentym wyrastał z tych łacumanów nie tylko wielki człowiek, ale apostoł i prorok, który na swoje ramiona bierze swój wiek, Kościół razem z Lateranem. Ów człowiek, który mu się we śnie zjawił podły i wzgardzony, przemieniał się teraz w ojca, który wiarą niezłomną i miłością bezdenną ciągnie za sobą nowe pokolenie chrześcijan i dziecię.

Wątpliwości osobiste papieża o powołaniu i wierności Franciszka rozwiały się docna. Postanowił tedy zatwierdzić sposób życia Franciszka w imieniu własnem, dopóki nie nadejdzie czas, w którym nastąpi zatwierdzenie w obliczu całego Kościoła.

Tymczasem powstawszy, objął Franciszka i pobłogosławił mu, mówiąc do wszystkich:

— Idźcie z błogosławieństwem Pana i opowiadajcie pokutę tak, jak On wam objawi. A gdy zapomocą Wszechmogącego wzrośnięcie w łaskę i liczbę, powróćcie i zwiastujcie mi tę wieść, a znajdziecie u mnie zaufanie. Udzielę wam wszystko.

Poczem Franciszek i towarzysze upadli Inocentemu do nóg. Franciszek obiecał papieżowi posłuszeństwo, a towarzysze Franciszkowi. I chwalać Pana, opuścili Lateran. Był rok 1210.

Wszelako wypadło jeszcze być u kardynała Jana od św. Pawła, który się poprzednio tak łaskawie zajął ich sprawą. On też przyjął ich w swem mieszkaniu, gdzie przez kilka dni układał z Franciszkiem organizację przyszłego Zakonu. Wkońcu, może za wskazówką Inocentego, otrzymali wszyscy tonsurę, jako potwierdzenie,

że należą do zakresu władzy kościelnej i w imieniu Kościoła opowiadają słowo Boże.

Odtąd bracia należą wyłącznie do Kościoła. A o ile tracą na wolności osobistej, o tyle zyskują na sile społecznej, która ich uchroni od błędów i rozdwojeń. Sam Franciszek tylko pozostaje wolnym zupełnie; bo dojdzie czasem do tych szczytów doskonałości i naśladowania Chrystusa, gdzie się kończy wszelki przepis, wszelkie przykazanie; gdzie niema różnicy pomiędzy wolnością i poddaństwem, między prawem i łaską, sprawiedliwością i miłością.

Grono pokutników z miasta Asyżu oddało ostatnie pożegnanie na grobie księcia apostołów; pełni radości i otuchy w przyszłość zwrócili swe kroki przez bramę Salaryjską w kierunku doliny Spoletańskiej, którą mimo łask osiągniętych w mieście wiecznem wołą stokroć od Rzymu i którą kochają nad życie.

ROZDZIAŁ VIII.

Rivotorto czyli era heroiczna zakonu.

(1210.)

Obszerną i wygodną drogą, która z Foligno prowadzi do Perugji, przecinając prosto, jakby kto sierpem rzucił, dolinę Spoletańską, kroczyło pewnego pięknego poranku grono złożone z dwunastu ludzi. Ich odzież wieśniacza, zużyta i zaprószona, wskazywała, że odbyć musieli podróż długą i uciążliwą. Mimo to ich twarze jaśniały taką szczęśliwością, jaką czasem okazują dzieci na widok swej wioski rodzinnej.

Im wspanialej rozwijała się przed nimi dolina Spoletańska, tem radość ich stawała się żywszą. Raz po raz ten lub ów, spostrzegłszy nowy, wyłaniający się z rannego światła słonecznego szczegół, wykrzykiwał i pełen zachwycenia udzielał swój entuzjazm towarzyszom. A gdy się już byli tak dalece zbliżyli do Asyżu, panującego nad całą okolicą, że spostrzegli jego wieże i mury zalane powodzią światła, jego straż daną mu od przyrody w kształcie góry Subasio, na której zdawało się gorzeć ognisko słońca, wtedy ze serc wszyst-

kich podniosła się do nieba modlitwa wdzięczności, że się skończył pobyt w Rzymie z jego zachodami i niepewnościami, z jego przepychem, do którego nie nawykli, i obyczajami, do którychby się nigdy zastosować nie mogli, że trudności powrotu przełamane, że przed nimi miasto rodzinne otwiera swoje bramy.

Myśleli też pokutnicy z miasta Asyżu — oni to bowiem byli — że nawet okolica się raduje z ich przybycia. Poczem z piersi wszystkich zabrzmiał śpiew łagodny, śpiew półradosny, półsmętny śpiew, który wypływa z serca a z oczu wyciska łzy. A natura słuchała go i rozradowana zawtórowała, zataczając kręgi melodji coraz szersze, coraz dalsze, idące w nieskończoność... wdał... bo ujrzała tego, za którym tęskniła: syna swojego, Franciszka z towarzyszami.

Tymczasem Franciszek, czy to znużony drogą, czy upojony widokiem radosnym swoich miejsc rodzinnych, czy też chcąc porozmawiać w samotności z Bogiem i własnem sumieniem, odłączył się cośkolwiek od swych towarzyszy, postępując zamyślony wolnym krokiem za nimi. Wypadki zaszłe w Rzymie, myśli dręczące go w czasie powrotu, zdarzenia następne, pytania: co dalej robić, gdzie osiąść, opadły go znowu.

Pamiętał jak dziś, gdy żegnając Rzym, modlił się ze swoją rzeszą na grobie św. Piotra; gdy potem z otuchą przechodził przez ulice miasta; a wreszcie przestąpiwszy bramę Salaryjską, zapuścił się w Kampanję rzymską. Pamiętał, jak jego bracia oddalali się wesoło od tego Rzymu, który im się być zdawał więzieniem, a w którym jednak tyle dobroci i łask doświadczyli; jak przed

ich wzrokiem stanęła góra zębatego Sorakte, groźna, zanurzona we mgle oparów; jak ich niegościnnie przyjęła Kampanja, bezludna, zeschnięta, smutna a jednak potężna, pustynna a jednak ongi a może i teraz światem władająca. Dreszcze przejęły Franciszka na wspomnienie, że on i jego towarzysze schnęli z pragnienia i zamierali z głodu wśród tej pustyni, którą się przedzierali ciągle w kierunku północy; bo z radości zapomnieli nawet zaopatrzyć się w Rzymie na drogę. Zresztą uiali w Opatrzność.

Ona też opiekowała się nimi; bo gdy raz już ledwie kroki stawiać mogli, a nigdzie nie było widać mieszkania ani żywej duszy, zjawił się nagle przed nimi pewien człowiek, który ich we wszystko zaopatrzył i znikł. A oni wychwalali dobroć Bożą i utwierdzali się w zupełnem ubóstwie.

Następnie myśl Franciszka przeniosła się do Orti, dokąd doszli wyczerpani i z zarodkiem febry w członkach. Wspomnił, jak w pobliżu miasta osiedli w jednym z tych starożytnych grobowców etruskich, w które Umbria opływa, podczas kiedy silniejsi z towarzyszy udali się do miasta, aby wyprosić pożywienie. A jak im tam poczęło być dobrze! jakie snuli zamiary na przyszłość, że tylko w pokucie i ubóstwie żyć będą. Bo i krajobraz się zmienił. Śmiejące się łąki, obfite i żyzne winnice i pola, ogrody i oliwniki roztaczały się przed ich wzrokiem.

Z pewnem zadowoleniem wspomnił Franciszek tę ważną chwilę, w której uroczystością położenia i słodyczą samotności zwabiony toczył ze sobą bój, czy nie oddać się zupełnie życiu kontemplacyjnemu i samotnemu na wzór pustelników

zamiast przebiegać ludne miasta i opowiadać ludowi pokutę.

Zwyciężył wtedy. Zwyciężył tak dalece, że natychmiast opuścił z towarzyszami to miejsce, które mu nasunęło tę pokusę. Zapуścił się w dolinę potoku Nery, gdzie droga wiła się jak wąż po pochyłościach gór, zielenią okrytych i chłodem dyszących, a u stóp wędrowców luczła rzeka, roztrzając się pienistym grzebieniem o skały i wtórując szumowi lasów balsamicznych. Cóż za zmiana! Jakież życie! Cóż za chęć do pracy apostołskiej wstępowała wtedy pod wpływem tej natury pełnej żywotności do piersi ubogich pokutników.

To też ich słowa poczęły się zlewać z żyjącą naturą i budzić ludność tych okolic do nowego życia, albowiem nie minęli wioski, w którejby nie byli opowiadali pokoju i miłości. Ich słowa były zawsze te same, a jednak nie te same, bo były namaszczone powagą Rzymu i spotęgowane prostotą apostołów i wiarą pierwotnych chrześcijan.

Przed nimi leciała wieść, a za nimi wzrastał podziw, który się przemieniał w głęboką miłość. Zewsząd garnał się do nich lud. Uczeni ich zagabywali, skupiało się koło nich duchowieństwo, bogaci ich otaczali na rynkach i ulicach: wszyscy pragnęli widzieć i słyszeć tego świętego, który im się wydawał człowiekiem z innego świata. Ze serc ówczesnych ludzi poczynął wyrastać kwiatek pilnie hodowany i strzeżony: miłość do Biedaczka z Asyżu.

On był dla ówczesnego społeczeństwa nowym światłem z nieba zesłanem, rozgarniającem gęstość ciemności, która zaległa świat, że prawie nikt nie widział prawdziwej drogi.

Cała ich podróż z Orti aż do Foligno i dalej aż do Asyżu równała się wschodzącemu słońcu, które blask i życie siać poczyną na naturę ludzi.

Więc nie dziw, że w takiej radości zbliżali się nowi misjonarze do Asyżu. A Franciszek, który przecież widział, że to przezeń Bóg zapalił to światło, który postępując wolnym krokiem za towarzyszami, czuł, co się dzieje w tych sercach prostaczych, zapalał taką wdzięcznością i miłością że ją przewyższyc będzie mogła tylko ta, która się później zrodziła na górze Alwernji.

Tymczasem jednak jego towarzysze wyprzedzili go o kawał drogi i już się zbliżali do tego miejsca, gdzie stał szpital trędowatych i od którego z głównego traktu gościńca oddzielała się droga, prowadząca do Asyżu. Więc przyśpieszył kroku i po pewnej chwili zrównał się z towarzyszami.

Postępowali w milczeniu. Może witali w duszy i rozpoznawali okolicę, której każdy najmniejszy szczegół tkwił im w pamięci. Może też rozmyślali, dokąd się udać i w którym miejscu osiaść. I Franciszek, jakby odgadując ich myśli, odczwał się do nich, że pierwszą czynnością będzie odwiedzić trędowatych w szpitalu, których już od tylu dni nie widzieli; potem osiedą w pobliżu w tej tam szopie, aby chorych mieć na podorędziu i móc łatwo rozchodzić się na wszystkie strony w celach apostołskich.

Odwiedziwszy tedy chorych w szpitalu, osiedli tuż przy nim nad rzeczulką, którą z powodu nieregularnego łożyska nazywano krętą czyli Rivotorto. Wprawdzie mieszkali tam, nim się jeszcze wybrali do Rzymu, ale pobyt to był tylko chwilowy.

Nie była to właściwie chata, ale coś w rodzaju opuszczonej szopy, nędznej, a tak szczupłej, że tych dwunastu ludzi nie mogło nawet poruszać się w niej swobodnie. Miał jednak każdy swoje miejsce, które Franciszek oznaczył, nakreśliwszy każdego imię na belce, podtrzymującej wiązanie szopy. Przytem w okolicy nie było żadnego pomieszczenia ludzkiego; a gdy z wiosną lub jesienią powódź zatopiła okolicę, nie mieli co jeść; czasem uchodzić musieli do domu trędowatych, gdzie się zadowalali rzepą lub innymi korzonkami. A co gorsza, w szopie nie było nic, coby wskazywało że to dom modlitwy. Cierpieli tedy wielce.

Jednakże nieraz ich serca przepelniała nieopisana radość mimo nędzy i szczupłości pomieszczenia. Zdarzało się to zwłaszcza wtedy, gdy ich Franciszek jał podnosić na duchu i przelewać w nich cząstkę swojej wielkiej miłości.

Postanowili — mawiał Franciszek — żyć w ubóstwie największem; nawet w Rzymie pochwalono i zatwierdzono ich zamiar. Oto sposobność najlepsza do wykonania ślubu: znosić z radością niedostatek i trud. Nie bogactwa i wygody wlewają pokój i szczęście w serce, ale ubóstwo, które jest duszą życia ludzkiego i przedsmakiem radości niebieskiej. Prędzej z nędznej chaty niżli z bogatego pałacu dusza wzbije się do nieba. Niechże spojrzą na naturę, która ich otacza. Niebo jest nieskazitelne, powietrze słodkie i balsamiczne, nad doliną unosi się opar przezroczystry, osrebrzony wschodzącym słońcem; a gdy słońce zachodzi, cały wieniec gór przemienia się w płomienną grzywę o kiściach czerwonych, wydobywających się dopóty z ukrytych szczelin górskich, dopóki spokojnie nie zaśnie na nich błądy księżyc z nocą cichą, ciepłą, a niebo nie rozbłyśnie

niezliczonemi gwiazdami. Całe stworzenie jest księgą, w której Stwórca wypisał swoje imię i swoje doskonałości. A człowiek powinien się nauczyć czytać w tej księdze, aby umiał należycie uczcić i ukochać swojego Boga. Przytem Rivotorto jest mieszkaniem dla nich najodpowiedniejszym: położone na środku drogi pomiędzy Porcjunkulą i św. Damjanem, poprowadzi ich łatwo tam, dokąd ich serce pociągnie. A co najważniejsza — kończył zwykle Franciszek — tuż przy ich mieszkaniu jest szpital trędowatych, których muszą przecież pielęgnować i pocieszać.

Powoli też przyzwyczajali się towarzysze do tego ubóstwa w Rivotorto i z rosnącą radością kosztowali słodyczy samotności i niedostatku. Głównem ich zajęciem była modlitwa, w której Franciszek był ich mistrzem. Najczęściej kazał im odmawiać tę najpiękniejszą modlitwę, jaką jest: Ojcze nasz. Zresztą więcej się zatapiali w rozmyślaniu, aniżeli w modlitwie ustnej; bo dotychczas ani ksiązek nie mieli, ani jeszcze obrządku Bożego odmawiać nie umieli. Przedewszystkiem jednak zaprawiał ich w tem, co się czasem stało jego i jego zakonu istotą duchowną: w rozważaniu Męki Pańskiej. W tym celu wznosił Franciszek na środku szopy krzyż, przed którym dniem i nocą bracia łzy wylewali.

To też pobyt w Rivotorto, jakkolwiek bardzo krótki, pozostawił najmiłsze i niezatarte wspomnienia dla całego zakonu braci mniejszych przez wszystkie wieki. Tam właśnie zrodziło się imię zakonu.

Dotąd bowiem rodzina malutka Franciszka nie miała prawdziwego nazwiska, gdyż się zwykle tylko pokutnikami z miasta Asyżu nazywali. I jakkolwiek zasady życia już wytknięte i towarzysze

doń się garnęli, on jednak nie kwapił się z imieniem, słusznie ufając, że mu Opatrzność ześle wskazówkę.

Nie napróżno. Gdy raz po rozważaniu reguły i Pisma św. wysłał Franciszek niektórych braci po prośbie o jałmużnę, oświadczył im, że odtąd bracia mniejsi zesłani są dla świata według słów Ewangelji: „Coście jednemu z najmniejszych z braci moich uczynili, mnieście uczynili!“ i według słów reguły: Bracia niech będą mniejszymi. Toż słowo to wije się ciągle na kartkach Ewangelji tam, gdzie chodzi o wytknięcie doskonałości chrześcijańskiej.

Już poprzednio wieść, że Franciszek powrócił z Rzymu i osiadł w Rivotorto, sprawiła pewne wrażenie w Asyżu. U ludu rosła jego popularność, dawniejsza niechęć niektórych osób znikła, przemieniając się w uczucie sympatji i podziwu. Na tych uczuciach poczynała kiełkować miłość większa, którą wypadki bieżące rozpalaly do ogromnego płomienia.

Pamiętano przecież, co się zdarzyło rok temu, gdy w sierpniu r. 1209 ciągnął przez Asyż Otton IV, cesarz, ze wspaniałą świtą i mocą rycerską do Rzymu, aby z rąk Inocentego III otrzymać koronę cesarską.

Ludność włoska, wogóle niechętna obcym przybyszom, którzy jej ówczasie nieraz ciężkie jarzmo przynosili, wybiegała jednak wszędzie tłumnie, aby podziwiać wspaniałość orszaku. Asyż nie stanowił wyjątku. Franciszek tylko sam okazał największą obojętność, choć orszak ciągnął drogą, przy której stała chała Franciszka: nie tylko nie wyszedł ze swej szopy na spotkanie cesarza, ale też zakazał braciom brać udziału

w zbiegowisku. Snać nie lubił próżnego przepychu, a może też przewidywał tragiczną przyszłość Ottona, która się skończyła rzuconą nań klątwą. Dosyć, że za odjeżdżającym cesarzem wysłał Franciszek jednego z braci, który mu miał przypomnieć, jak zwodnicza i krótkotrwała jest chwała ziemską.

To zdarzenie, samo w sobie bez wielkiego znaczenia, podniosło jednak bardzo Franciszka w oczach ludu. Jednym z tych porywów jasnowidzenia, które przebija się od czasu do czasu w psychologii mas ludowych, lud odgadł we Franciszku swego przyjaciela, nie kłaniającego się żadnej potędze ziemskiej, lecz oceniającego wszystkich według wartości dusz nieśmiertelnych, tem droższych dlań, im są więcej niepoznane i udręczone. Ten też przydomek: „przyjaciel ludu który cierpi i płacze“, wpłynię w przyszłości na ogromną niebywałą popularność jego zakonu z jednej strony, a z drugiej zbliży Franciszka najwięcej do Chrystusa, który „przechodził, dobrze czyniąc“.

Pobył Franciszka i jego towarzyszy w Rivotorto nie przeciągał się długo, ale zato układał się w najszcześniejsze chwile młodego zgromadzenia. Wśród ubóstwa i modlitwy urabiały się ich dusze i kształciły. Od czasu do czasu zdarzały się małe wypadki, które przerywały tę jednostajność życia, objawiały delikatną dobroć i finezję serca Franciszka, łączyły coraz istotniej to grono rodzinne węzłami serdeczności i miłości braterskiej.

Pewnej nocy, gdy wszyscy bracia spoczywali, zdawało się Franciszkowi, że słyszy wzdychanie. Nadstawivszy lepiej ucha, usłyszał jednego z braci jęczącego:

— Umieram z głodu!

Powstał tedy czem prędzej, kazał przygotować wieczerzę i sam zasiadł z owym bratem do stołu, aby się sam jeść nie wstydził. I wszystkim innym braciom rozkazał jeść.

A gdy się posilili, rzekł Franciszek:

— Bracia najdrożsi, raczej konieczność i miłość zmusiły mnie, żeśmy z miłości dla naszego brata jedli, aby się sam jeść nie wzdragał.

Pierwotni bracia mniejsi żyli tedy w wielkiem ubóstwie. Gdzie było takie ubóstwo, musiało się też zdarzać, że niejednen zachorował. Ale matka nie chodzi tak około swych chorych dzieciak, jak Franciszek pieczę miał około chorych.

Raz, może to było z końcem września tego roku, przekonał się, że pewien brat chory ma ochotę na winogrona. Litością zdjęty zaprowadził więc chorego do pobliskiej winnicy i usiadłszy z nim razem pod krzakiem winnym, jał zajadać winogrona, aby tym sposobem zachęcić chorego brata do jedzenia.

Tak samo nie wahał się Franciszek iść od drzwi do drzwi, prosząc dla swych braci chorych o kawałek mięsa, on, który prawie nigdy mięsa nie jadł. Równocześnie jednak upominał chorych, by z cierpliwością znosili cierpienie i niedostatek.

Jednakże skupienie ducha i pokój, w które opływali w Rivotorto, nie odwróciły ich uwagi od pracy apostołskiej i misji im właściwej. U Franciszka życie rozmyślające było tylko przygotowaniem do życia czynnego. Gdy się bowiem Asyż dowiedział o pomyślnym skutku wyprawy Franciszka do Rzymu, zapragnął gorąco usłyszeć swojego obywatela przemawiającego.

Biskup tedy wyznaczył mu kościółek św. Jerzego. Ale zaraz przy pierwszym kazaniu napływ słuchaczy był tak wielki, że nie mogli pomieścić

się w kościele. Wybrano więc kościół katedralny, w którym w ciągu kilku niedziel Biedaczek z Asyżu głosił słowo Boże.

Katedra asyska, która wtedy w swej nowości błyszczała barwą czerwonawą kamienia wylamanego z góry Subasio i stanowiła dumę narodową gminy asyskiej, drgała pulsem serc, gdy młody Franciszek, popchnięty nakazem wewnętrznym, jał przelewać w słuchaczy ogień, tlejący w jego piersiach. Nie przynosił nic nowego, mówił o rzeczach, na które wszyscy patrzeli, o których słyszeli. Nie potrzebował ozdób retorycznych, bo posiadał głębokie przekonanie i wiarę, która na skinienie przenosi góry, serca kruszy. Mówił o wojnie, która im niszczy pola i wioski, a gubi obywateli. Mówił o przedajności i niezgodzie książąt, o zdrożnościach ludu. Mówił o chciwości, pod której pręgierzem jęczy Kościół. Mówił o niezgodzie, która zbroi brata przeciwko bratu, która gasi miłość i podnieca warstwy społeczne. Przedstawiał cnoty chrześcijańskie, których nie było w ówczesnym świecie. Żalił się przedewszystkiem nad wdowieństwem ubóstwa płaczącego, od którego wszyscy uciekają i niem gardzą. A ze śmiałością apostoła, który kładzie rękę na najgłębsze rany swojego czasu, łączył znajomość stosunków, gorliwość proroka, poezję trubadura, przykład własnego życia umartwionego, miłość pierwotnego chrześcijanina, prawdę męczennika.

Ów okrzyk serca zbudził lud. Lud biedny poznał, że we Franciszku ma brata i orędownika. Lud był ujarzmiony; ale teraz pójdzie drogą wytkniętą przez Franciszka.

Zbawienne skutki kazań Franciszka przedarły się także do ubogiej szopy, w której mieszkali jego towarzysze.

Pewnej nocy, z soboty na niedzielę przebywał Franciszek w Asyżu w opuszczonej chacie w ogrodzie kanoników, przygotowując na skrzydłach modlitwy przedmiot swojego kazania. Wtem jednym z tych cudownych wpływów, których wytłumaczyć nie można, a o których istnieniu jednak wątpić niepodobna, stało się, że jego duch stanął nad szopą w Rivortorto przed zdziwioną bracią. Zdawało im się, że patrzą na wóz gorejący i unoszący się w powietrzu. A z wozu szło takie światło, że się nim wypełniła cała szopa. Nawet wewnątrz ich duszy przetkał promieniami ów blask, gdyż jeden drugiego sumienie odczytywał jak księgę. Gdy zaś wóz pomknął jak błyskawica w kierunku nieba, poznali, że to była dusza Franciszka, który jak drugi Elizeusz wstępował w niebo na skrzydłach modlitwy i miłości.

Niestety, współcześni choć się rozwodzą szeroko nad sposobem i nad skutkami kazań Franciszka, nie przekazali jednak potomności żadnego z kazań nawet w ułamkach. Istnieją atoli dwa pomniki, które prawie jednocześnie w przeszłym wieku odkryte, odsłaniają przedziwnie ogromny wpływ i dotykalny owoc jego kazań.

Pierwszym pomnikiem jest orędzie rady miejskiej, podpisane w listopadzie 1210 jednocześnie przez obywateli, zgromadzonych w sali rady miejskiej, a zaprzysiężone na rynku asyskim. W tem orędziu zawarta jest ugoda pomiędzy obywatelami większymi i mniejszymi, mocą której wszystkie przyszłe przedsięwzięcia mają być wspólnie omawiane i postanawiane; panowie zrzekną się wszelkich praw feodalnych i uwolnią obywateli mniejszych od pańszczyzny; wieśniacy podlegli gminie asyskiej będą równouprawnieni; obcych należy bronić; podatki równo podzielić; ci,

którzy w roku 1202 zdradzili ojczyznę i wszczęli nieszczęsną wojnę z Perugją, mogą wrócić; roboty około dokończenia katedry św. Rufina mają postępować rażniej.

Oto skutki słowa i życia Franciszka w jego rodzinnem mieście. Gdy się rzucił ze swem słowem, siewcem pokój i miłość ubóstwa, w zawichrzonych warstwach społecznych, gdy swoje zgromadzenie nazwał bracią mniejszą i ujął się za obywatelami mniejszymi, uciśnionymi, sprowadzonymi przemocą do stanu niewolników, wtedy zniósł różnicę pomiędzy bogatymi i ubogimi, zwycięzcami i zwyciężonymi, większymi i mniejszymi, odniósł triumf zupełny, triumf miłości. Stał się rozjemcą powaśnionych, aniołem pokoju, Świętym; bo już nie inaczej tylko świętym jął Franciszka lud nazywać.

Lud czuł się dłużnikiem wobec Franciszka. Więc chcąc mu okazać swoją wdzięczność, postanowił drugim pomnikiem utrwalić jego zasługę i pamięć.

I oto trochę później, bo w r. 1216, przy sposobności odnowienia kościoła Najsw. Panny. Marii Większej wyryto na kamieniu, wmurowanym w absydę tegoż kościoła, te słowa: Za czasów Biskupa Gwidona i Brata Franciszka!

Tak dalece stał się miłym Franciszek Asyziatom, że go kładą na równi z biskupem, jakoby przewidywali, że jego imię samo będzie rozjaśniało dzieje miasta, którego chwałą będzie chwała jego syna i obywatela.

Odtąd, kto myśli o Asyżu, pomyśli o Franciszku.

Podczas kiedy Asyż żył jeszcze pod wpływem słowa i przykładu Franciszka, ów już dawno łączył swego ducha z Bogiem i towarzyszami w samotnem Rivotorto.

Wszelako pomieszkanie było naprawdę za ciasne; bo ani kaplicy nie mieli, ani przestrzeń nie wystarczyła dla nowych uczniów, którzy się zgłaszali, gotowi przyjąć ten sposób życia. Potrzeba też było pomieszkania stałego: Rivotorto tak dalece było niepewne, że ich stąd wypędził drobny a nawet dość komiczny wypadek.

Pewnego dnia trwali na modlitwie. Wtem z wielkim hałasem wszedł pewien wieśniak, który okładając kijami i popychając swojego osła, wołał:

— Wejźno, siwoszku, będzie nam tu dobrze!

Franciszek, zrażony hałasem i nieludzkością wieśniaka, który się może obawiał, aby bracia sobie nie przywłaszczyli szopy należącej do domu trędowatych, opuścił natychmiast ze swymi towarzyszami Rivotorto. Nie chciał też dać powodu do posądzenia, że chce być właścicielem chaty.

Było to z wiosną roku 1211.

ROZDZIAŁ IX.

Zorza nad Porcjunkulą.

(1211.)

Jeden z braci, który był potem największym powiernikiem Franciszka, miał raz takie widzenie.

Zdawało mu się, że wszyscy ludzie świata są ślepi i klęcząc zwracają twarz w kierunku Porcjunkuli. Z załamanemi rękami, głosem wielkim, rozdzierającym wołali do Pana, aby raczył ich oświecić. Wtem ze spowicia chmur nieba trysnęło wielkie światło i stanawszy nad głowami ludzkiemi, opromieniało wszystkich ludzi światłem zbawienia.

Ów sen brata Leona zaczął się już spełniać poprzednio, gdy Franciszek przed wyprawą do Rzymu zamieszkał ze swymi towarzyszami przy Porcjunkuli; ale w całości ziścił się dopiero po powrocie z Rzymu i po opuszczeniu Rivortorto.

Wszelako Porcjunkula była własnością benedyktynów z góry Subasio. Do nich tedy udał się Franciszek z prośbą, aby jemu i towarzyszom pozwolili przy niej zamieszkać. Opat pozwolił. I od-tąd ubożuchna Porcjunkula przeszła na użytek braci mniejszych po wszystkie czasy. Franciszek wrócił pełen radości do braci.

Pokorna Porcjunkula i ubogi zakon braci mniejszych spletały się małżeństwem mistycznym w harmonję przygotowaną przez Boga, ożywioną duchem i miłością Franciszka, udoskonaloną przez Kościół.

Bracia, usłyszawszy szczęsną wieść, wprzęgli się rażno do dzieła. W krótkim czasie stanęło kilka cel nowych, ubożuchnych lepianek. Chaty, grupujące się naokoło kaplicy Porcjunkuli, otoczyli bracia rodzajem płotu. W przeciągu kilku dni stanął pierwszy klasztor franciszkański. Bracia stworzyli kolebkę, w którą najdroższy ich ojciec złożył swoje ukochane dzieciątko: ubóstwo. A wieki przyszłe hodowały odtąd najtroskliwiej to Boskie dzieciątko. Nad głowami braci szemrał rozkosznie gęsty las, który swym płaszczem zielonym ochraniał ich od żaru słonecznego i od deszczów i wiatrów.

Tu przez długi szereg lat pędzić będą bez przerwy życie mistyczne w samotności, w pracy, którą tylko od czasu do czasu urozmaicają dłuższe i dalsze pielgrzymki w świat w celach apostołskich. Tu będzie zasiane ziarno życia franciszkańskiego.

Siejba Franciszka wzrasta tymczasem po okolicy i wydaje coraz liczniejsze i piękniejsze kwiatki w postaci nowych uczniów, którzy się doń zgłaszali. Większa ich część pochodziła z Asyżu i z miasteczek pobliskich. Wstępowali mężowie rodzin bogatych i szlchetnych, ale przeważała klasa wieśniacza i uboga. Ktokolwiek, zgłaszając się, okazywał gotowość i chciał wieść żywot doskonałości ewangelicznej i rozdzielić majątność swoją pomiędzy ubogich, tego Franciszek przyjmował. A im większą prostotę duszy, zupełniejsze posłuszeństwo i przezroczytszą nie-

skazitelność charakteru okazywali nowi bracia, tem większą tkliwością on ich otaczał i prowadził.

Najliczniejsze tedy powołania kiełkowały na żyznym gruncie Umbrji. A jednym z pierwszych uczniów, przyjętych podówczas, był brat Juniper.

Była to dusza dziecięca, sławna na zawsze w zakonie ze swej prostoty, graniczącej z pewnym świętym idjotyzmem. Gdy coś przedsięwziął, co mu się dobrem wydawało, nic w świecie go od tego powstrzymać nie mogło. Z jego prostoty wykwiły najprzedniejsze kwiatki pokory, pobożności, miłości. Mawiał o nim Franciszek, że tenby był dobrym bratem mniejszym, któryby tak siebie i świat zwyciężył jak brat Juniper.

Prostota Junipera musiała być połączona z wielką świętością, skoro Franciszek używał jego imienia przy sposobności wypędzania czarta. Mawiał bowiem:

— Jeśli natychmiast nie wyjdiesz z tej istoty, przyprowadzę brata Junipera!

A skutek był zawsze nieomylny.

Albo jego pokora! — pochwycony raz przez tyrana Mikołaja, prowadzącego wojnę z miastem Viterbo, i badany, kim jest, odpowiedział:

— Jestem największym grzesznikiem.

A tyran:

— Chciałeś zdradzić mój zamek i wydać go w ręce Witerbijczyków!

— Jestem największym zdrajcą i niegodnym łaski! — odrzekł Juniper.

— A chciałeś mnie zabić i podpalić zamek?

— I to i większe jeszcze zbrodnie popełniłbym, gdyby Bóg nie przeszkodził.

Biedak miał być powieszony na szubienicy. Już miał być wieszany, gdy wtem nadszedł gwardjan. Poznawszy nagiego Junipera, chciał go przy-

najmniej okryć swym habitem. Na co z dziecięcym dowcipem rzekł Juniper:

— Gwardjanie, zaniechaj. Jesteś bardzo tłusty; niepiękny byłby widok widzieć cię nagim. Nie chcę.

Na szczęście sprawa skończyła się uwolnieniem Junipera ku wielkiemu zbudowaniu ludu.

Czasem przyprowadzał braci do rozpaczycy swoim miłosierdziem dla ubogich. Co mu przyszło pod rękę, rozdawał. Wszystko musieli przed nim kryć. Nawet swoim habitem bądź całym, bądź jego kawałkiem obdarzał ubogich. A gdy mu to przełożony zakazał w imię posłuszeństwa, wynajdował różne sposoby, aby swej manji miłości bliźniego zadośćuczynić. Raz nawet sam doradził ubogiemu, aby mu ściągnął habit.

Nieraz dobroczynność brata Junipera zakrawała na żart gminny.

W wiosce Scesji prosił go zakrystjan, aby w czasie obiadu był stróżem ołtarza pięknie przybranego. Tymczasem Juniper na prośby pewnej ubogiej kobiety odciął od obrusa ołtarza jakieś dzwoneczki srebrne i podarował je kobiecie. Oskarżony u przełożonego i przezeń ofukany wobec innych braci, cieszył się, że mógł cierpieć. Przełożonemu zaś przyniósł w nocy za trud garnuszek potrawy — był bowiem i kucharzem — którą obaj w radości duszy spożyli.

Raz w Viterbo a drugi raz w Spoleto, rozebrawszy się i położywszy ubranie na głowę, przechodził Juniper prawie nagi przez ulice miasta aż do klasztoru wśród urągania ludności. Bracia zakonnici słusznie się mogli zgorszyć. Więc jeden z nich rzekł:

— Wrzućmy go do więzienia!

— Powieśmy go! — poprawił drugi.

A inni mówili:

— Oblakany jest, który swojemi uczynkami hańbę ściąga na cały zakon św. Franciszka!

A Juniper cieszył się, że go takie upokorzenia spotykają, i powtarzał:

— Słusznie mówicie, bo zasługuję na te i na cięższe jeszcze kary.

Że wobec tych cech prostoty Juniper nie mógł być dobrym kucharzem, to rzecz jasna. A jednak gdy raz jako kucharz nawarzył braciom tyle i takich potraw razem zmieszanych, że mogło ich starczyć na piętnaście dni lub na nieokreślony czas, bo ich nikt jeść nie mógł, scena zakończyła się dobrą nauką przełożonego:

— Bracia najmilsi, chciałbym, żeby ten brat jak dzisiaj tak codziennie zniszczył tyle pokarmu, gdybyśmy go posiadali; bo przez wielką prostotę i miłość to uczynił.

Z prostotą umiał Juniper połączyć pobożność, która go czasem podnosiła w zachwyt ducha. Umiał też tak dalece zapanować nad sobą, że raz zachowywał milczenie przez sześć miesięcy. Umiał żywić w swem sercu taką przyjaźń męską i tkliwą zarazem, że z podziwem czyta się zawsze ów ustęp o żalu Junipera z powodu śmierci jego przyjaciela, brata Amacjalbena. Umiał z prostotą skojarzyć najwyższą ascezę chrześcijańską, skoro na zapytanie brata Idziego, jak zwalcza najskuteczniej pokusę ciała, odpowiedział:

— Gdy posłyszę nadciągającą burzę poduszczeń szatańskich, natychmiast pośpieszam zamknąć swe serce, a dla pewności zwycięstwa zanurzam się w świętem rozmyślaniu i w świętych pragnieniach. Gdy tedy nadejdzie w rzeczywistości pokusa cielesna i puka w serce, ja odpo-

wiadam jakby wewnątrz: „Odejdź, mieszkanie już jest zajęte; nikt inny wejść nie może!“ Tym sposobem nigdy nie pozwalałam, aby zła myśl wstąpiła w moją duszę. Pokusa zaś, widząc się zwyciężoną, odchodzi nietylko ode mnie, ale ucieka od całej okolicy.

Nie wystarczy poznać mistrza samego. Trzeba go poznać w jego uczniach. W uczniach, których wychodowała Porcjunkula, żył mistrz jakoby podzielony na ich odrębności indywidualne. Każdy posiadał cząstkę Franciszka, niejeden dwie, niektóry większą część zalet jego nieśmiertelnego ducha.

Prostota i pokora franciszkańska nie miała prawdziwszego ucznia nad Junipera. Franciszek kochał go bardzo, a Klara nazywała pieścidełkiem Jezusa dobrego. W jego naiwnych, czasem aż szalonych uczynkach nie było tyle idjotyzmu, ileby się na pierwszy rzut oka zdawało. Przed niczem Juniper tak nie uciekał jak przed próżną chwałą zakonu, która naprawdę szeroko poczęła rozbrzmiewać. I to był jeden z najznamienitszych rysów woli Franciszka. Tego właśnie rysu wcieleniem był Juniper. A jak wiernie i odpowiednio zawsze do swego charakteru umiał go urzeczywistniać!

Większej, jeżeli to być może, prostoty od Junipera był brat Jan. Naiwni byli obydwaj, ale Jan o tyle spokojniejszy, o ile Juniper przedsiębiorczy.

Z powołaniem Jana rzecz tak się miała.

Franciszek zwykł był z Porcjunkuli zagłębiać się w okolicę, aby odwiedzać kościółki wiejskie i kaplice. Nieraz się zdarzało, że widząc dom Boży niezamieciony, sam skręcał z różeg lub słomy miotłę i zamytał kościół. W czasie jednej

z takich wycieczek nadbiegł doń wieśniak, niejaki Jan, który właśnie w polu orał wołami, i rzekł doń:

— Bracie, przyjmij mnie za brata, bo już od dawna pragnę Bogu służyć.

— Jeżeli chcesz — odparł Franciszek — zostań naszym bratem, rozdaj, co masz, ubogim. Potem cię ubogiego przyjmę.

Odprzegł tedy Jan zaraz woły. Jednego ofiarował Franciszkowi, a o drugim mówił:

— Tego damy ubogim, bo na tę część ojcowizny już dawno zarobiłem.

Gdy się atoli rodzice jego o tem dowiedzieli, podnieśli wielki krzyk, bo więcej im chodziło o woły, aniżeli o syna. Ale Franciszek, oddawszy im wołu, stanowiącego ojcowiznę Jana, uspokoił ich, a Jana uprowadził ze sobą.

Jakiej to był naiwnej prostoty człowiek, wynika choćby z tego, że Franciszka w najmniejszych poruszeniach naśladował. Spluwał Franciszek, i Jan spluwał. Kaszlał, wzdychał Franciszek, i Jan kaszlał, wzdychał. Gdy Franciszek podnosił ręce, podnosił je i Jan. Jako we wzór swój się weń wpatrując, we wszystkim do niego się zastosowywał. Franciszek spostrzegł to wkońcu i z miłością musiał go upomnieć, by tego zaniechał. Biedny brat Jan tłumaczył się:

— Wszystko obiecałem robić, co ty robisz, bo niebezpieczną mi się zdawało rzeczą coś opuścić.

W tej świętej prostocie służył Jan Bogu przez krótki tylko czas, wkrótce bowiem potem umarł. Franciszek pamiętał o nim zawsze i często go innym za przykład przytaczając, nie nazywał go bratem Janem, tylko świętym Janem.

Innym od poprzednich był Maseusz z Margnana, wioski położonej blisko Asyżu. Był on jednym z nieodłącznych towarzyszy Franciszka.

Psyche św. Franciszka przybiera wyrazistszą fizognomję w otoczeniu tych towarzyszy, przebija się bowiem na tle konkretnem i społecznem.

Maseusz posiadał wielką roztropność i dyskrecję, a przytem celował w słowie Bożem, które z łatwością i wdziękiem wygłaszał. Postawa jego zewnętrzna była pełna naturalnej godności i grzeczności, połączonej z prawdziwą świętością. Te zalety sprawiły, że go Franciszek wielce kochał, innym braciom podawał za przykład i przyłączył do orszaku swych towarzyszy od serca.

Nic niema piękniejszego nad te święte próby, w których jeden drugiego doświadczyć chce w pokorze. Same gaje Porcjunkuli radować się musiały i wtórować tym świętym rozmowom, toczącym się pomiędzy Franciszkiem i Maseuszem.

Raz tedy w Porcjunkuli Maseusz chciał doświadczyć w pokorze Franciszka, wracając właśnie z lasu z modlitwy i przemówił doń, jakby przedrzeźniając:

— Dlaczego za tobą? Dlaczego za tobą? Dlaczego za tobą?

Maseusz chciał przez to powiedzieć, dlaczego za Franciszkiem leci cały świat, skoro się nie odznacza ani pięknnością ciała, ani umiejętnością, ani szlachectwem.

Odpowiedź była godna Franciszka.

— Dlaczego do mnie? Dlaczego do mnie? Dlaczego do mnie? — rzekł — To mam od tych ócz najwyższego Boga, które wszędzie patrzą na dobrych i złych. Wiedz, że te najświętsze oczy nie widziały pomiędzy grzesznikami żadnego więcej nikczemnego, słabszego, grzeszniejszego nade mnie; i aby dokonać tego dzieła cudownego, którego chce dokonać, nie

znalazł Bóg nikczemniejszego stworzenia na ziemi. I dlatego mnie wybrał, aby upokorzyć szlachectwo i wielkość, i moc, i piękność, i mądrość tego świata; aby poznano, że wszelka potęga i wszystko dobro od Niego pochodzi, a nie od stworzenia, i że nikt się nie może wywyższać w jego obliczu.

Innym razem znowu Franciszek doświadczał Maseusza, przeznaczając go naprzemian to na furtjana, to na kwestarza, to na kucharza. I dopiero po dłuższym czasie uwolnił go od tych posług na prośbę innych braci.

Jeszcze dziwniejsza próba była następująca.

Byli raz na drodze. Gdy przyszli na rozstajne drogi, prowadzące do Florencji, Sieny i Arezzo, Maseusz zapytał, którądy pójdą. Franciszek rozkazał mu w imię świętego posłuszeństwa, aby w miejscu, na którym stał, obracał się tak długo, dopóki mu nie rzeknie, że dosyć. Zaczął się tedy Maseusz obracać, jak to czasem robią dzieci. Głowa mu się już zawracała; kilka razy upadł. Lecz powstawszy, jeszcze mocniej kręcił się wkołko. Wkońcu Franciszek zawołał:

— Dosyć. Stój spokojnie! Dokąd jesteś zwrócony?

— Do Sieny — odrzekł brat Maseusz.

Poszli więc do Sieny, gdzie ich lud zaniósł na rękach do biskupa.

Asyż mógł kwitnąć w spokoju i radości, skoro u jego nóg, wśród lesistej doliny Spoletańskiej wzrastała tak pięknie siejba Franciszkowa. Na jej ciężkich owocem kłosach miały zawisnąć błogosławieństwo i chwała miasta i świata.

Jednakże pewnego dnia dziwna wieść zmaćciła spokój miasta Asyżu. Nie można powiedzieć, żeby to odrazu była świadoma sobie radość mieszkańców, bo wieść wzbudziła raczej niedowierzanie, a gdy się następnie sprawdziła, zdumienie. Oto Rufin został bratem mniejszym. Ale mniejsza jeszcze o mężczyznę. Asyż nie może

wyść z podziwu, bo podobno Klara, krewna Rufina, chce także iść jego śladem.

Tak, Klara pójdzie śladami Franciszka, ale rok później od Rufina. Tymczasem Rufin tylko przyłącza się do uczniów Franciszka i staje się także jednym z nierozdzielnych jego towarzyszy, a później współpracownikiem legendy Trzech Towarzyszy.

Pochodził zaś Rufin ze starożytnej szlacheckiej rodziny asyjskiej, nazwiskiem Scifi, która w Asyżu wielce była poważana, a z tamtej strony miasteczka posiadała zamek Sassorosso. Jak niegdyś wieść o nawróceniu Franciszka, syna dumnego Bernardona, wstrząsnęła miasteczkiem, tak teraz to samo sprawiła wieść o powołaniu Rufina, syna potężnych Scifich.

Widocznie Rufin mimo wysokiego pochodzenia spełniał wiernie najtrudniejsze swoje obowiązki, skoro go Franciszek bardzo wysoko cenił. Od czasu do czasu zwykł był Franciszek zgromadzać swych braci w miejscach samotnych, aby z nimi prowadzić rozmowy święte i pouczać ich. Często też karciał błędy braci, gdy byli obecni, a chwalił cnoty braci nieobecnych. W końcu jednej z takich rozmów zapytał braci, kogoby z towarzyszy uważali za najświętszego. A właśnie w tej chwili ukazał się woddali, z głębi lasu wychodzący Rufin. Bracia odpowiedzieli, że za najświętszego uważają Franciszka, syna Bernardona.

Ale on odparł:

— Bracia najmilsi, jestem najniegodniejszym i najnikczemniejszym człowiekiem pod słońcem Bożem. Lecz widzicie tam tego brata Rufina, który właśnie wychodzi z lasu? Bóg mi objawił, że jego dusza jest jedną z trzech najświętszych

dusz w świecie. I powiadam wam, iżbym się nie wahał nazwać go za życia świętym Rufinem.

Zdumienie ogarnia nas, nowoczesnych ludzi, gdy rozważamy te twórcze, nigdy niewyczerpane sposoby, które Świącǳi umieli nauczać i budować lud. Tam gdzie my widzimy naiwność; czasem nawet śmieszność, oni widzieli środki potężne, któremi się przejawia Opatrzność Boża. Dopiero spojrzawszy na błogie, nieomyłne skutki tych środków, widzimy mądrość Świącǳych.

Cóż za błędne mniemanie, że tylko górnie brzmiące słowa lub zadziwiający świącǳnością czyn potrafi utkwic w wyobraźni ludzkiej i wpływ wywrzeć! Wzgardzone i pokorne środki, poczęte i użyte w prawdzie ducha, są tem potężniejsze i obfitsze w błogosławieństwo, im wyżej prawda przerasta uludę i błyskotliwość.

Jeżeli z grona pierwotnych uczniów Idzi celowwał pracowitością i iście seraficką przedsiębiorczością, Jan prostotą ducha, Juniper świętą naiwnością, posuniętą nieraz do ostatecznych granic, Maseusz namaszczeniem słowa i godnością postawy, Rufin zaś darem rozmyślenia, to brat Leon z Viterbo odznaczał się bardziej od innych uczniów tkliwością i przezroczyością duszy.

Franciszek był słońcem, w którego ciepłe i światłe rozwijały się te kwiateczki w serafickim ogrodzie Porcjunkuli. Nieraz zapewne radością uderzało jego serce na widok tej różnorodności wcielonych idei, które za wskazówką Chrystusa przynosił światu.

Dusze do siebie podobne przyciągają się i przenikają. Gdy jedna dusza wybrana ujrzy w duszy drugiej swój obraz, choćby tylko w przybliżeniu, następuje skojarzenie obopólne, największe wesele ducha, rodzaj małżeństwa mistycz-

nego. Jest to ów cenny kwiat serca męskiego, który się przyjaźnią nazywa. Tylko mężowie i to mężowie prawi i szlachetni są zdolni do prawdziwej przyjaźni. Gdy owa przyjaźń zrodzi się na gruncie duszy mistrza i ucznia, wtedy nabiera tej cechy uczucia, które tkwi w stosunku ojca do syna, matki do dziecięcia. A gdy wreszcie taka przyjaźń rozkwitnie na grzędzie świętości, wtedy jest dziecięciem nieba, którego ziemia zrodzić nigdy nie zdoła.

Takie święte uczucie łączyło kiedyś Chrystusa Pana z Janem, uczniem. Do podobnej przyjaźni podniosło się serce Franciszka i serce Leona.

Jagniątkiem dobrego Boga nazywał Franciszek Leona, tego męża o postaci wysokiej i mocnej, a sercu słodkier i tklivem. Pod tą powłoką ciała umiało przenikliwe oko Franciszka odgadnąć i słodycz i skromność duszy Leona. Jemu objawiał tajniki swego serca, za swojego najmilszego i nieodstępного towarzysza go obrał, chciał go mieć świadkiem najważniejszych zdarzeń swego życia. Gdy ich otoczyła samotność, a ich serca rozplomieniły się świętą przyjaźnią, wtedy toczyły się pomiędzy temi dwiema duszami rozmowy, których urok był tak wielki, że na zawsze pozostał wyciśnięty na obliczu świata franciszkańskiego.

Raz — a było to w początkach zakonu — św. Franciszek i brat Leon bawili w miejscu, gdzie nie było księżek do odprawiania obrządku. Gdy nadeszła godzina jutrzni, Franciszek rzekł do Leona:

— Bracie najdroższy, nie mamy brewjarza, z którego byśmy mogli odmawiać jutrznię; ale abyśmy nie stracili tego czasu, przeznaczonego na służbę Bożą, ja ci będę przepowiadał, a ty mi będziesz odpowiadał tak, jak cię tego nauczę. Tylko uważaj, abyś nie zmieniał słów, jakie będę mówił. Ja powiem tak:

O bracie Franciszku, ty popełniłeś tyle zła i tyle grzechów na świecie, żeś zasłużył na piekło. A ty, bracie Leonie, odpowiesz tak: Prawda jest, żeś zasłużył na piekło najgłębsze.

A brat Leon odrzekł z prostotą gołębią:

— Chętnie, ojcze. Rozpocznij w imię Boże.

Zatem Franciszek począł mówić:

— O bracie Franciszku, ty popełniłeś tyle grzechów na świecie, żeś zasłużył na piekło.

A brat Leon odpowiedział:

— Bóg sprawia przez ciebie tyle dobrego, że za to zasłużysz niebo.

Rzekł Franciszek:

— Nie mów tak, bracie Leonie. Ale jak powiem: bracie Franciszku, ty zrobiłeś tyle rzeczy bezecnych przeciwko Bogu, żeś zasłużył, aby cię Bóg przeklął! ty to odpowiesz: Rzeczywiście, zasłużyłeś na to, abyś był strącony pomiędzy potępionych.

A brat Leon odpowiedział:

— Chętnie, ojcze.

Więc Franciszek, wylewając łzy, wzdychając i bijąc się w piersi, mówił na cały głos.

— O Panie nieba i ziemi, ja popełniłem tyle grzechów i niegodności przeciwko Tobie, że zupełnie na twoje przekleństwo zasłużył.

A brat Leon odpowiedział:

— O bracie Franciszku, Bóg sprawi, że pomiędzy błogosławionymi będziesz wyszczególniony.

Franciszek, dziwiąc się, że brat Leon odpowiada inaczej niż mu nakazał, skarcił go, mówiąc:

— Dlaczego nie odpowiadasz tak, jak ci mówię? Rozkazuję ci w imię świętego posłuszeństwa mówić tak, jak ci powiem. Ja będę mówił tak: O bracie Franciszku, hultaju, czy myślisz, że Bóg będzie miał miłosierdzie nad tobą, skoroś tyle grzechów popełnił przeciw ojcu miłosierdzia i Bogu pocieszenia, żeś jest niegodny, abyś znalazł miłosierdzie! A ty, Leonie, jagniątko, odpowiesz: Żadnym sposobem nie zasługujesz na miłosierdzie.

Lecz i tym razem mówił Leon inaczej, odpowiadając na słowa Franciszka:

— Bóg Ojciec, którego miłosierdzie jest większe niż twój grzech, będzie miał nad tobą wielkie miłosierdzie i otoczy cię wszelką łaską.

Ta odpowiedź rozgniewała trochę Franciszka i poruszyła. Więc rzekł do Leona:

— Jakże mogłeś się zdobyć na tę śmiałość postąpienia wbrew posłuszeństwu i już tyle razy odpowiedziałeś inaczej, niżem ci rozkazał?

Na to odrzekł Leon z wielką pokorą i uszanowaniem:

— Bóg wie, ojczy mój, że za każdym razem postanowiłem w sercu mojem odpowiedzieć tak, jak mi rozkazałeś; ale Bóg każe mi tak mówić, jak się Jemu podoba, nie zaś jak mnie się podoba.

Zadziwił się Franciszek i odezwał się do brata Leona:

— Przez miłość proszę cię, odpowiadaj mi tym razem tak, jak ci powiedziałem.

— Powiedz w imię Boże — odrzekł Leon — z pewnością odpowiem teraz tak, jak ty chcesz.

Tedy św. Franciszek płacząc, przemówił:

— O bracie Franciszku, nicponiu, czy myślisz, że Bóg będzie miał miłosierdzie nad tobą?

A brat Leon odpowiedział:

— Owszem, wielką łaskę otrzymasz od Boga. On cię wywyższy i chwałą otoczy na wieczne czasy, bo kto się poniża, będzie wywyższon. A ja więcej powiedzieć nie mogę, ponieważ Bóg mówi przez usta moje.

W tym pokornym sporze trwali obydwaj aż do rana w płaczu i w pociesze duchowej.

Na falistych wzgórzach Marchii Ankonitańskiej wznosiło się po zgonie błogosławionego Franciszka bardzo wiele klasztorów o sposobie życia nader ostrym. W owych to uroczych, cieniastych gajach, pieszczonych we dnie błyskotliwą siatką płam słonecznych a całowanych w nocy letnim powiewem dmącym od słonego morza Adrjatyckiego, urodziły się owe cudne kwia-

teczki czyli Fioretti, które obok grzmiącej i namiętnej pieśni Jacopona z Todi i mistycznych uniesień Bonawentury stanowią najdroższe perły literatury franciszkańskiej. To małe grono braci mniejszych, które splotło wieniec kwiateczków, odczuło i precudnie oddało ducha Franciszka i jego pierwotnych towarzyszy w załamaniu i zachwyceniu poetycznym.

Byłoby krzywdą, wyrządzoną i Franciszkowi i bratu Leonowi, biografowi Świętego, i poetom franciszkańskim, gdyby pominięto tę koronę kwiateczków, która mówi, jak nikt nie mówił jeszcze, o weselu ducha.

Święty Franciszek, idąc raz z Perugji do Najśw. Panny Anielskiej w Porcjunkuli z bratem Leonem — a była pora zimowa i srogie zimno przeszywało ciało — zawołał na brata Leona, który go wyprzedzał, i rzekł:

— Bracie Leonie, choćby bracia mniejsi na całej ziemi dawali wielki przykład świętości i wzorowego życia, jednak zapisz to sobie i zauważ, że nie w tem tkwi prawdziwe wesele ducha.

I idąc znowu dalej, zawołał nań po raz drugi:

— Bracie Leonie, choćby brat mniejszy wracał wzrok ślepym i uzdrawiał paralityków, wyganiał szatany, wracał głuchym słuch a chromym chód, mowę niemym, a co więcej, choćby umarłych od trzech dni wskrzeszał do życia, jednak zapisz to sobie, nie na tem polega prawdziwe wesele ducha.

A postąpiwszy dalej, zawołał na cały głos:

— O bracie Leonie, choćby brat mniejszy umiał wszystkie języki i wszystkie umiejętności posiadał i wszystkie pisma, tak dalece, żeby umiał przepowiadać i objawiać nietylko rzeczy przyszłe, ale nawet tajniki sumień i dusz, zapisz sobie, że nie w tem leży prawdziwe wesele ducha.

I postąpiwszy znowu kilka kroków, zawołał św. Franciszek jeszcze głośniej:

— O bracie Leonie, jagniątko Boga, choćby brat mniejszy mówił językiem anielskim i znał biegi gwiazd

i składniki roślin, i choćby mu było objawione wszystkie skarby świata, i poznał własności ptaków i ryb, i wszystkich zwierząt i ludzi, i drzew i kamieni i korzeni i wód, zapisz to sobie, że nie w tem tkwi prawdziwe wesele ducha.

I jeszcze dalej postąpiwszy, zawołał św. Franciszek mocno:

— O bracie Leonie, choćby brat mniejszy tak skutecznie umiał opowiadać słowo Boże, iżby wszystkich niewiernych nawrócił do wiary Chrystusa, zapisz to sobie, że nie to jest prawdziwe wesele ducha.

A gdy tak rozmowa przeciągnęła się przez długi kawał drogi, brat Leon, zdziwiony wielce, zapytał go i rzekł:

— Ojczy, proszę cię dla miłości Bożej, abys mi powiedział, w czem tkwi prawdziwe wesele ducha.

A św. Franciszek tak mu odpowiedział:

— Gdy przyjdziemy do Najśw. Panny Anielskiej przemokli od deszczu, zziębnięci od zimna, zabłoceni, głodni, i pukać będziemy w bramę klasztorną, a furtjan wyjdzie zagniewany i zapyta ostro: Coście za ludzie? a my odpowiemy: Jesteśmy twoimi braćmi! a on zawoła: Nieprawda! Włóczęgami jesteście, którzy świat łudzicie i kradniecie jałmużnę ubogich. Idźcie precz! i nie otworzy nam i zmusi nas stać za bramą śród śniegu i wody, w zimnie i głodzie aż do nocy — jeżeli my taką obelgę i srogość i takie grubjańskie słowa cierpliwie zniesiemy bez wzburzenia i szemrania i pomyślimy pokornie i miłościwie, że ów furtjan nas naprawdę poznał i że Bóg tak przezeń przemawia, o bracie Leonie, zapisz to sobie, że na tem polega prawdziwe wesele ducha.

I gdy my powtórnie zapukamy do bramy, a on wyjdzie wzburzony i jako natrętnych gachów wyrzuci nas z obelgami i krzykami wołając: Wara stąd, rozbójniki podłe! Idźcie do szpitala, bo tu ani jeść, ani mieszkać nie będziecie — jeżeli my to cierpliwie i wesoło i z miłością zniesiemy, o bracie Leonie, zapisz to sobie, że w tem leży prawdziwe wesele ducha.

I gdy my, zmuszeni jednak głodem i zimnem i nocą, jeszcze raz zapukamy i prosić będziemy dla miłości Bożej z płaczem wielkim, aby nam otworzył i wpuścił nas, a ów z większym gniewem powie: To są darmozjady natrętne, ja im zapłacę, jak zasługują!

I wyjdzie uzbrojony w kosztur sękaty i uchwyci nas za kaptury i rzuci nas o ziemię i obsypie śniegiem i zbije nas na miękkie jabłko owym kijem — jeżeli my wszystkie te obelgi zniesiemy cierpliwie i wesoło, myśląc o cierpieniach Chrystusa Pana, które znosić winniśmy dla jego miłości, o bracie Leonie, zapisz to sobie, że tu i w tem leży prawdziwe wesele ducha.

Dlatego posłuchaj, o bracie Leonie. Ponad wszystkie łaski i dary Ducha Św. celuje dar zwyciężenia siebie samego i znoszenia chętnego kar, obelg i zelżywości i nieszczęść dla miłości Chrystusa; albowiem żadnemi innymi darami Boga nie możemy się chlubić, bo nie są nasze, tylko Boga. Dlatego powiada Apostoł: Co masz, czego byś nie miał od Boga? a jeżeliś otrzymał od Boga, dlaczegoż się chlubisz, jakobyś je miał od siebie? Ale krzyżem utrapienia i cierpienia możemy się szczycić, bo on jest nasz. Stąd mówi Apostoł: Nie chcę się chwalić, chyba krzyżem Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Zejdź z wyżyn niebieskich, o Święty Seraficki, i wołaj na dzisiejsze społeczeństwo świeckie, duchowne i zakonne, jak wołałeś kiedyś na brata Leona, bo pamiętać ono nie chce o słowie Chrystusa, a twój przykład poszedł w niepamięć!

Franciszek nie zadowalał się pozyskaniem dusz prostaczych, czystych, dobrych. Jak Chrystus przyszedł na świat, aby owieczki zabłąkane na pustyni świata zwoływać do siebie słodczą głosu i uzdrowienia, tak i on nawracał grzeszników nawoływaniem i pielęgnowaniem.

Nie gardził ludźmi upadłymi, występnyimi, którymi się społeczność brzydziła. Przeciwnie, biografowie przekazali potomności kilka przykładów nawrócenia nagłego podobnych ludzi i wstąpienia do zakonu; miał bowiem Franciszek nie tylko dziwny dar opanowywania dusz najtwardszych zapomocą dobroci i miłości, ale i oko psychologiczne, które pod warstwą występków i zbrodni umiało dojrzeć lepsze strony i niezupeł-

nie jeszcze zagasłe ślady pierwotnej dobroci charakterów ludzkich. A zapuszczał Franciszek swój niewód na dusze ludzkie i wśród szemrzących lasów doliny Spoletańskiej i w czasie swoich podróży apostoelskich po prowincjach włoskich.

Kto się do Franciszka przybliżył, ten się stawał lepszym. Dla tych, których przyjmował, był nowem życiem, bo dobrych przemieniał na lepszych, a złych wyzwał od więzów namiętności i zbrodni.

ROZDZIAŁ X.

Pęk kwiatów.

Atmosfera świętości, której słońcem był Franciszek z Asyżu, poczęła coraz więcej otaczać i przenikać grono braci mniejszych. Już nie różana jutrenka zaświtała nad Porcjunkulą, ale sama tarcza słoneczna, promienista, przecudna wytoczyła się z zarania nad światem ówczesnym, w ciemnościach pograżonym.

A jak ów świat potrzebował tego nowego światła!

Nikt lepiej nie znał oplakanego stanu społeczeństwa nad Inocentego III, skoro się do Franciszka nie zawahał o społeczności rzymskiej odezwać: Mój dom grozi ruiną! Jeżeli tak się wyraził o Kościele, którego Lateran był uosobieniem, to cóż sądzić wypadało o poziomie etycznym całego ówczesnego świata chrześcijańskiego!

Istotnie. Biografowie Franciszka, opowiadając o jego przedsięwzięciach apostołskich, rozwodzą się szeroko o zaniku bojaźni Bożej. Poprostu zapomniano o Bogu. Nie wiedziano, co znaczy miłość Boga i bliźniego. Pogarda przykazań Bożych była powszechna. O wykonaniu ewangelji nikt nie myślał. Ciemnota gruba leżała z jednej strony na umysłach ludzkich, a z drugiej strony

duże i sumienia były podobne do pustyń zeschniętych i bezpłodnych.

Nad temi ciemnościami rozbłysło słońce, którem był Franciszek, a w tę pustynię spadł deszcz i ziarno, któremi były jego ubóstwo, praca, pokora, słowo natchnione.

Słowo jego nie wiązało się łańcuchem suchych sylogizmów, nie płynęło sztucznymi potokami, lecz mówiło błyszczącym okiem, ognistym ruchem, przekonaniem, umartwieniem całej postaci, niebywałą pokorą i miłością, duchem Chrystusa ożywione mówiło. Czasem pełen Chrystusa w słowie i uczynku podnosił się Franciszek do natchnień proroczych, ale gdy się zdarzyło, że nie wiedział co powiedzieć, nie niepokoił się. Ze spokojem błogosławił lud i schodził z mównicy. Ale gdy mówił, mówił cały. A wtedy jego dusza brała w niewolę dusze słuchaczy, choćby i papieża Honorjusza i całego grona kardynalskiego.

Stąd miasta przestają na jego rozkaz i zakłęcia prowadzić krwawe wojny. Wrogie warstwy społeczne podają sobie ręce i ślubują zgodę. Bogaci poczynają gardzić bogactwem, cieleśni rozkoszami, pyszni kosztują z drzewa pokory. Ubodzy oddychają swobodniej, bo pomiędzy nimi stoi najuboższy z ubogich: Biedaczek z Asyżu.

Z grzesznikami obcuje, jakby sam należał do ich grona, a oni się nawracają. Gdy się zjawia wśród zbrodniarzy i rabusiów, oni się przyoblekają w sukienkę franciszkańską, pociągnięci jego litościwym słowem i heroicznym uczynkiem: Bracia rozbójnicy, przynosimy wam dobry chleb i dobre wino!

Gdzie stąpił, tam kiełkowało nowe życie. Gdzie jego słowo rozebrzmiało, tam pozostało na zawsze. Okolice, które go widziały i słyszały,

wzdychały do jego powrotu; które go dotąd nie widziały, ale do których sława o nim doleciała, pałały pragnieniem widzieć i słyszeć go u siebie.

Jednakże wśród ogólnego poruszenia zdarzały się i wyjątki, zwłaszcza w okolicach oddalonych. I te umiał Franciszek ujarzmić wytrwałością, w której naprzemian błyskały cnoty najróżnorodniejsze, przede wszystkim pokora.

Raz zamierzył opowiadać słowo Boże w mieście Imola. W tym celu prosił biskupa o pozwolenie. Lecz ten odparł sucho:

— Ja opowiadam słowo Boże w swojej diecezji, i to wystarczy.

Franciszek odszedł. Po chwili jednak wrócił najspokojniej i stanął ponownie przed biskupem.

— Czego jeszcze chcesz? — zapytał szorstko biskup

A Franciszek odparł:

— Jeżeli ojciec wypędzi syna jednymi drzwiami, synowi nie pozostaje nic innego jak wejść drugimi.

Biskup, ujęty dziecięcą prośbą i pokorą Franciszka, rzekł:

— Słusznie. Odtąd ty i bracia twoi opowiadajcie słowo Boże w mojej diecezji; daję wam pozwolenie ogólne. To się należy waszej pokorze.

Wszelako ogrom cnót Franciszka rzucił jeszcze jaśniejsze pęki światła w otoczeniu i obcowaniu z braćmi. On był prawdziwym ich mistrzem i przewodnikiem dusz, jakiego rzadko spotkać można w dziejach chrześcijańskich.

Celańczyk charakteryzując ów wpływ na braci, pisze, że nie było wątpliwości umysłu, wahań woli, trudności duszy, którychby on swym rozumem i litościwym słowem nie rozwiązał. Każdy brat odchodził od niego uspokojony. Skłonnych do grzechu umiał powstrzymać od upadku, dobrych prowadzić do najwyższych szczytów doskonałości. Szczególniejszą opieką

otaczał wątpiących i słabych, pokusami dręczonych, na duchu upadających. W pewnych okolicznościach pozostawiała jego opieka w sercach jego synów ślady niezatarte.

Już wyżej przytoczono przykład o owym bracie, który nadwątlony postami zawołał: Umieram z głodu! jak również i drugi o chorym bracie, któremu się zachciało winogron. Sam jadł Franciszek w dniach postu, aby się chorzy jeść nie wzdragali, i sam w takich wypadkach od drzwi do drzwi żebrał o mięso dla chorych.

Używał on wszystkich środków, skoro to uważał za zbawienne i potrzebne, aby okazać braciom słodycz doskonałości ewangelicznej. Uświęcał ich, ale uświęcał przede wszystkim siebie. Z braćmi łagodny i wyrozumiały, dla siebie był ostry i umartwiony. Swoje ciało nazywał bratem osłem, gdy je w początkach trapił umartwieńiami; później jednak, gdy je już zupełnie ujarzmił mawiał o nim, że jest dobrym towarzyszem. Ale acz ujarzmione, nigdy go nękać nie przestawał cierpieniem, niedostatkiem, pracą — dla przykładu braci. A gdy mu kto uwagę zwracał, aby nie prowadził życia tak ostrego, zwykł był odpowiadać:

— Zaniechajcie. Mam być przykładem zakonowi, abym jako orzeł zachęcił swoje pisklęta do lotu.

Posiadał przytem ów dar psychologiczny odgadywania tego, co się dzieje w duszach braci. I to go stawiało na piedestale wzorowego mistrza i przewodnika dusz, który nietylko świeci przykładem, nietylko pytającym prawdziwe wskazuje drogi, ale który także upadkom konkretnym stawia tamę i duszom niepewnym darem jasnowidzenia światło przynosi.

Znany powszechnie z pośród wielu innych tego rodzaju przykładów jest wypadek z bratem Richerem z Marchji.

Szlachetny z rodziny i w obyczajach brat ów martwił się, że Franciszek nań wcale nie zważał. Wszystkim innym braciom chętnie rad udzielał, hojnych nie szczędząc im zachęt, tylko jego pomijał. Zdawał się zupełnie o nim zapominać. Cierpiał z tego powodu brat Richerjusz. Mniemał, że będzie potępiony. Uciekał od wszystkich i tem więcej cierpiał. Blady, zrozpaczony krążył przez pewien czas około celi Franciszka. Wkońcu postanowił wejść. Wchodzącego przywitał uśmiechnięty ojciec, który już dawno był odgadł cierpienie Richerjusza. Nie pozwoliwszy mu nawet tłumaczyć się, rzekł z otuchą i miłością:

— Bracie, to jest pokusa. Ja żywię dla ciebie prawdziwe uczucie miłości, na którą w całości zasługujesz. A kiedykolwiek cierpieć będziesz, przychodź swobodnie do mnie.

Poczem toczyły się pomiędzy nimi długie i częste rozmowy. I musiały skutkować, skoro ów brat bojaźliwy doszedł w zakonie do rzadkiego stopnia świętości i umiejętności mistycznej.

Że pokora Franciszka, której główną podstawą jest umartwienie duszy i ciała, nie miała nic wspólnego z zapamiętałem zaparciem się pokutników hinduskich i mnichów Tebaidy i sztundystów i stylitów Kościoła wschodniego, ani też ze służalczą i niewolniczą uległością gminu, wynika z tylu jasnych obrazków przytoczonych przez biografów. Zaprawiając się z towarzyszami w pokorze, robi to z taką pogodą ducha i radością, z takim głębokim zrozumieniem i przekonaniem o jej konieczności, że ona w tej szacie Fran-

ciszkowej przybiera cechę zupełnej naturalności a stąd i ponęty.

Cóż ponętniejszego może być nad rozprawę Franciszka i Leona o prawdziwym weselu ducha, którego podścieliskiem jest przecież pokora heroiczna. I jakież zarazem zrozumiałe i przekonujące jakby z ewangelji i najwyższego rozumu płynące wyjaśnienie pokory, kiedy na przedrzeźniające pytanie brata Maseusza, dlaczego cały świat do niego się garnie, odpowiada, że do tego zadziwiającego dzieła, które sprawić zamierza, nie znalazł Bóg żadnego innego podlejszego stworzenia na świecie, więc Franciszka wybrał, aby zawstydzić szlachetność i wielkość i męstwo i piękność i mądrość świata!

Jednym z przejawów najwidoczniejszych pokory jest praca. Praca, zapomocą której Bóg chciał oczyścić i uszlachetnić człowieka, jest zadaniem także i wyrazem nędzy i trudu tego życia. Nędzna dola i trud życia dowodzą racjonalności pokory, a tej znowu objawem i przyznaniem się do niej prawdziwym, nie gołosłownym, jest praca.

Franciszek, który sam był pokornym w stopniu niebywałym i chciał, aby jego bracia byli pokornymi, umiał także pracować i do pracy ciągle zachęcał swych synów. W początkach swego powołania sam własnymi rękami znosił kamienie do naprawy kościółka św. Damjana. Opatrywał chorych w szpitalu trędowatych obok Rivotorto. Chodząc od drzwi do drzwi, prosił o chleb dla swych chorych. Lenistwa nie znosił w swoich braciach.

Bracie Mucho! zwykł był mawiać do każdego brata, stroniącego od pracy. Nie szczędził on — zwykle tak łagodny — najostrzejszych słów leniwym:

— Podziwiam bezczelność tych — karciał — którzy w domu żyjąc, byliby w pocie czoła żyli, a teraz bez pracy potem ubogich się karmią.

Bracia przyjęci do zakonu musieli uprawiać to samo rzemiosło, którego się byli nauczyli w świecie. Jeżeli żadnego nie posiadali, musieli się wyuczyć, aby odpędzić lenistwo, które nazywał nieprzyjacielem duszy. Brat Juniper nosił zawsze przy sobie szydło i dratwę, któremi, naprawiając komukolwiek obuwie, zarabiał na życie. Św. Klara pracowała nawet w łóżku, kiedy bliska była śmierci. Wątpliwości być nie może o woli Franciszka co do pracy wobec jego słów:

— Rozkazuję mocno, aby bracia pracowali.

Wola Franciszka była tak wyraźna, że jednego z braci, który dużo jadał, a nic nie robił, wypędził z Porcjunkuli z hańbą, mówiąc:

— Idź swoją drogą, bracie Mucho! Jesteś trutniem w naszym ulu.

Ale wzorem wszystkich braci pod tym względem był brat Idzi. To najwierniejsza odbitka niezłomnej woli, ruchliwej przedsiębiorczości i pracowitości Franciszka. Niezmordowany w podróżach niebezpiecznych i dalekich nie gardził żadną choćby najniższą pracą, którą zarabiał na życie. Czy zajęcie przekupnia, czy kucharza, czy lokaja, czy robotnika, czy nawet grabarza umarłych, wszystko dlań dobre.

Mawiał o nim Franciszek, że jest jednym z jego rycerzy Okrągłego Stołu. Z nim też odbył pierwszą podróż apostolską. Zwiedził Idzi Galicję hiszpańską, widział go Ziemia Święta, Włochy przewędrował kilkakroć, żyjąc wszędzie z pracy własnych rąk. Żywił się, czem mógł. Wystarczało dlań kilka straków bobu pozostawionych w polu. A przytem spotykając jeszcze

po drodze ubogich, dawał im kaptur lub ucinął kawałek habitu, bo serce miał litościwe i mężne.

Nie umniejsza to wcale zasługi Idziego, że w niektórych okolicach był zmuszony sam zarabiać na życie; zdarzały się bowiem okolice, w których nie zmuszała go do tego potrzeba. W takim Rzymie np. nie potrzebował pracować, a jednak zarabiał na chleb.

Przytem ów trud życia nie odbierał Idziemu wcale wesołości i humoru. Przeciwnie, niemożliwość zarobku i konieczność żywienia się u obcego stołu wprawiały go w smutek, który go wnet z takich domów wypędzał na wolność i na pracę dobrowolną. Przyjmował gościnność dopiero wtedy, gdy na nią zasłużył swoją pracą.

Raz bawił w Riete na dworze kardynała Mikołaja. Do każdego posiłku przynosił ze sobą chleb zapracowany, choć kardynał krzywem na to patrzył okiem. Dnia pewnego padał deszcz tak rzęsy, że Idzi żadnym sposobem wyjść nie mógł po swój chleb do miasta. Już kardynał się cieszył w duchu, że brat mniejszy będzie zmuszony przyjąć chleb. Aliści Idzi umiał sobie poradzić. Poszedłszy do kuchni, zobaczył, że jest niezamieciona. Poprosił tedy kucharza, aby mu ją pozwolił zamieść. Wzamian za pracę otrzymał bochenek chleba, z którym triumfując przyszedł do stołu kardynała. Obaj spożyli w pogodzie ducha obiad. Ten cieszył się, że je chleb zdobyty zamiataniem kuchni; ów się radował radością Idziego i że został zwyciężony sumiennością syna Franciszka z Asyżu.

Błądziłby, ktoby sądził, że Idzi wśród tak rozlicznych prac i podróży nie był skłonny do modlitwy i kontemplacji. Fioretti zachowały dla potomności całą księgę rozmów pobożnych i roz-

myślań Idziego. Dowodzą one, do jakich wyżyn kontemplacji umiał się wzbijać duch Idziego.

Przytem ich cechą charakterystyczną jest tchnienie Franciszka, tak dalece, że one musiały dawniej stanowić rodzaj vademecum każdego brata mniejszego. Są to poprzedniczki złotej książeczki naśladowania Chrystusa Tomasza à Kempis, w szacie jednakże daleko konkretniejszej.

Można powiedzieć, że brat Idzi pod względem ruchliwości i kontemplacji najdoskonalej wcielał ideje Franciszka i urzeczywistniał ducha pierwszej reguły franciszkańskiej.

Jednakże gdy praca rąk nie wystarczała na opędzenie potrzeb cielesnych, udawali się bracia mniejsi do wiernych, prosząc od drzwi do drzwi o jałmużnę. Sam Franciszek pierwszy dawał przykład.

Nie było w tem nic ujmującego. Jeżeli brat mniejszy przez cały dzień podawał wiernym chleb duchowy, czyż wzamian nie mógł przyjąć kawałka chleba powszedniego? Czyż w takiej zamianie nie tkwi nawet nauka miłości bliźniego? Toż właśnie i grono apostołskie z Chrystusem na czele tak postępowało. Ptaki niebieskie nie sieją, nie zbierają, a Bóg je żywi! Chleb jałmużny jest chlebem anielskim. Chleb jałmużny najwięcej odpowiadał ubożuchnym synom Franciszka.

Nie można sobie wyobrazić nic piękniejszego nad owo grono radosnych i miłujących się braci, kiedy zasiadali do skromnego posiłku przygotowanego własną pracą lub jałmużną wiernych. Franciszek nazywał to w swym poetycznym języku stołem Pańskim: mensa Domini. Niedaleko od tego jest porównanie do lasu trzęsącego się śpiewaniem ptaków, bo przecież bracia za wzo-

rem Franciszka też z początku byli śpiewakami, śpiewakami Bożymi.

W stajence betlejemskiej narodził się najwyższy ideał ubóstwa. Ów ideał przyoblekł się po raz drugi w ciało w Porcjunkuli w osobie Biedaczka z Asyżu.

Właśnie ta konieczność pracy, a w razie niedostatku możliwość zbierania jałmużny wynikała z zasady najwyższego ubóstwa, które Franciszek chciał mieć węglem zakonu braci mniejszych. Przykazanie ubóstwa zupełnego było tak kategoryczne i twarde, że Franciszek nie przepuszczał żadnego choćby najmniejszego pod tym względem uchybienia. Gdy spostrzegł najłżejsze wykroczenie przeciwko ubóstwu, jego czoło natychmiast się zachmurzało. W całym życiu Franciszka i w jego regule nic nie jest tak jasno i wyraźnie określone jak rozkaz ubóstwa zupełnego; wiedział bowiem, że gdyby jedna w tym względzie powstała wątpliwość, jego ubóstwo poszłoby na marne pod tchnieniem przyszłych tłumaczeń, rozumowań, przywilejów.

W zasadzie ubóstwa zupełnego Franciszek nie chciał mieć ani wyjątku, ani przywileju żadnego ni w sobie, ni w swoich braciach. A jak dokładniejsze lub mniej dokładne, lub niedokładne zachowanie tego przykazania było poprzez wieki przyczyną powitania rozmaitych gałęzi zakonu franciszkańskiego, tak też było i będzie probierzem prawdziwych lub samozwańczych braci mniejszych.

Samo przyjmowanie do zakonu cechowało charakter zakonu; bo ktokolwiek się zgłaszał, musiał rozdać wprzód to, co posiadał, jeżeli co posiadał, i to nie krewnymi ani zakonowi, lecz ubogim.

Tylko z takimi prostemi duszami jak z Janem mógł Franciszek zgodzić się na ów niewinny kontrakt, jeżeli to kontraktem nazwać można, zamiany człowieka, którego pozyskał dla Boga, na wołu, którego oddać pozwolił rodzicom biednym. Nie postępował tak z bogatymi; Bernarda przyjął dopiero po zupełnem wyzuciu się z własności na rzecz ubogich.

Do pewnego człowieka doń się zgłaszającego, który swoje majątności nie pomiędzy ubogich, ale krewnych był rozdzielił, rzekł surowo:

— Idź swoją drogą, bracie Mucho! Fundament, na którym chcesz budować, jest zanadto kruchy na budynek, o którym marzysz. Nie jesteś godnym być policzon między ubogich Chrystusa!

I w tym i we wszystkich innych wypadkach podobnych okazywał się niewzruszonym; mniemał bowiem, że człowiek, przywiązany do ciała i krwi, nie dojdzie do doskonałości chrześcijańskiej i wkrótce obejrzy się wstecz.

Taki ideał ubóstwa, za którym nieświadomie tak wzdychał wiek trzynasty, a znaleźć go nie mógł, jak wzdycha za nim wiek nasz otoczony bogactwem, wygodą i rozkoszą, a znaleźć go nie może, wcielał Franciszek w siebie i w swój zakon z całą umiejętnością i z głębokiem przekonaniem, że to tylko lekarstwo uzdrowi i zabliźni rany społeczeństwa ówczesnego; a przynajmniej, że tą tylko drogą może pójść wiernie śladami Chrystusa. Był przekonany, że wykroczyłby przeciw rozkazowi Boga, gdyby Porcjunkuli nie owiewało i nie przenikało zewnątrz i wewnątrz powietrze najwyższego ubóstwa; stąd bowiem miała rozgrzmieć na cały świat wieść o tej ewangelji i doskonałości o której świat był zapomniał.

Wiec nie tylko na to Franciszek uważał, aby bracia nie posiadali żadnej osobistej własności, ale także na całe otoczenie.

Byłby wprawdzie pragnął, aby w Porcjunkuli żadnych nie było pomieszkań, ale z rzeczywistością się licząc, chciał przynajmniej, aby pomieszkania tchnęły najwyższą skromnością. Pomieszkania tchnęły najwyższą skromnością. Po drzewo spojone gliną i pokryte trzcina lub deskami miało stanowić ich chaty. I nie do braci miały należeć te pomieszkania, ale do gmin, w których obrębie bracia mieszkali, lub do jakiego właściciela mieszkającego poza klasztorem. I własnymi rękami mieli bracia wznosić te ubożuchne domki. Stąd Franciszek zawsze uważał benedyktynów z góry Subasio, którzy mu byli odstępili Porcjunkulę z przyległym gruntem, za jej istotnych właścicieli.

Z biegiem czasu, zwłaszcza w czasie przyszłych kapituł, na które się mnóstwo braci zgromadzało, zachodziła często potrzeba powiększenia tych pierwotnych pomieszkań. Jednakże nigdy nikt z braci nie śmiał o tem mówić Franciszkowi.

Wszelako pomyślało o tem, miasto samo, które zakon bardzo kochało. Gdy bowiem pewnego czasu Franciszka nie było w Porcjunkuli, wznosił Asyż własnym kosztem obszerniejsze dla braci pomieszkane obok Porcjunkuli. Powróciwszy, Franciszek zdumiał się i bez namysłu wstąpił na dach domu i jał zrzucać dachówki i rozrywać wiązanie. Przyczem zgromił braci mocno z powodu przekroczenia ubóstwa i zmusił ich, aby mu szli z pomocą w niszczeniu domu.

Miasto jednak przeszkodziło temu zburzeniu, oświadczywszy, że dom należy do gminy asyjskiej.

Franciszek, szanujący zawsze prawa bliźniego zaprzestał z bólem serca, ale zamieszkać w nim nigdy nie chciał; a swym braciom dopiero po kilkudniowem wahaniu się zezwolił na tę nowość, której sam nie chciał, a której jednak potrzeba wymagała.

Jak ubożuchne były pomieszkania, tak też i sprzęty domowe. Łóżko, stół, ławka, naczynia, kilka książek — wszystko. A w tem wszystkiem przebijać się musiało najwyższe ubóstwo. Z początku ani książek nie było; bo nie chciał Franciszek, aby się bracia oddawali naukom, o których twierdził, że będą ruiną zakonu. Każda rzecz miała świadczyć, że bracia są przechodniami i wygnańcami. Nigdy nieomieszkał karcić braci, gdy jego oko coś przeciwnego spostrzegło. A jak umiał karcić!

Raz obchodził Wielkanoc w ulubionem Grecio. Bracia, chcąc uroczyściej obchodzić święto, postanowili nietylko duszę, ale i ciało hojnie uraczyć. Franciszek spostrzegł jednak te przygotowania około stołu. Wyszedł więc z klasztoru, przywdział lachmany jednego z żebraków siedzących u furty, a gdy już bracia byli zgromadzeni w refektarzu, zbliżył się do nich, rzekłszy głośno:

— Bracia najlepsi, dla miłości Bożej podarujcie biedaczkowi skromną jałmużnę.

Oni go zasię nie poznali. Więc przemówili:

— Wejdz, dobry człowieku, wejdz na miłość Tego, którego wezwales.

Wszedł tedy wśród zdumionych braci, kazał sobie podać garnuszek z posiłkiem, postawił go na żarzące węgle i usiadłszy na ziemi, rzekł trochę surowo:

— Przynajmniej tak będę siedział, jak brat mniejszy powinien.

A gdy spożył posiłek, odezwał się znowu do braci:

— Nie zapominajcie, bracia moi najmilszy, że przykład ubóstwa dany nam przez Syna Bożego powinniśmy lepiej wykonywać od wszystkich innych zakonników. Gdym zobaczył stół tak wykwintnie przygotowany i tak suto zastawiony, nie mogłem rozpoznać tych, którzy żebrząc, idą od drzwi do drzwi.

Posuwał zasadę ubóstwa do tego stopnia, że spożywając obiad u stołu wielkich panów i książąt Kościoła, przynosił ze sobą chleb wyżebrany, który nazwał chlebem anielskim.

Taką samą ostrość przestrzegał w ubraniu. Było ono trochę podobne do ubioru ówczesnych wieśniaków umbryjskich. Materiał musiał być gruby koloru burego. Karciał bez litości, kogo zobaczył chodzącego w ubraniu wygodnym i wyszukanem. Mawiał smutno, że oziębłość stanie się powszechną, jeżeli synowie ubożuchnego ojca nie będą się wzdragać nosić bogatych ubiorów za przykładem ludzi świeckich.

Ubóstwo franciszkańskie nie miało jednak w sobie nic ani upokarzającego ani smutnego. Nie tchnęło też stoicką pychą wobec dóbr doczesnych ani bezmyślną obojętnością jogów hinduskich. Ubóstwo ich pozwoliło im zejść w te szeregi niezliczone ubogich i nauczać ich słodkiego jarzma Chrystusa, ale nadto uwalniało ich od brzemienia nieznośnego doli doczesnej z jej trwogami i nieszczęściami i zbliżało ich do słodyczy tych skarbów, które są utajone w łonie natury czystej.

Dlatego Franciszek nigdy nie był smutny, ani nie chciał widzieć smutku u swych braci.

Franciszek i jego towarzysze pozbywali się wszystkiego, aby właśnie tym sposobem wszystko

posiąść. Będąc naprawdę ubogimi, posiadali wszystko. Ale posiadali przede wszystkim to, czego żadne bogactwo dać nie może: wolność i naturę. A posiadając wolność i naturę, łączyć się mogli bez przeszkody z Bogiem.

Oto nasze wygodny i nasze bogactwa pomnażają się z dniem każdym, a tymczasem nasza wolność wewnętrzna zanika; w księdze natury czyściej czytać nie umiemy, bo nie my posiadamy, ale jesteśmy w posiadaniu przez dobra doczesne i jakby pochłonięci przez nie.

Pomiędzy pierwotnymi braćmi mniejszymi a naturą i Bogiem nie było tej przeszkody, którą dla nas stanowią nasze niezdrowe i wyrefinowane wygodny, prowadzące do psychozy, przesycenia, samobójstwa zamiast do czystej natury i Boga.

Stąd Franciszek i jego towarzysze tak się utożsamiali z naturą umbryjską, że są kwiatkami wyrosłymi z tego błogosławionego gruntu. Pierwotnego ruchu franciszkańskiego pojąć w zupełności nie potrafi, kto nie żył przez pewien czas wśród wiosennej i harmonijnej poezji Umbrii.

Gdy Celanczyk opisuje to pożycie braci w Porcjunkuli z jego ubóstwem i radością, to zdaje się, jakoby go dolatywała ich pogoda i jakoby obcował z nimi — bo też obcował z nimi i z Franciszkiem — i słów nie ma, aby godnie wyrazić swój entuzjazm.

Jest jeszcze jedna okoliczność, która ubóstwo Franciszka wyróżnia i uzupełnia: wyklęcie pieniędzy, nietylko posiadania ich, ale i użytku, nawet dotykania.

Nauczony własnem doświadczeniem młodości i przewrotnych obyczajów ówczesnych upatrywał w pieniądzach przyczynę wszelkiego zła. Do-

szedł do tego, że nienawidził pieniędzy i wyklął je, mniemając, że sam szatan ukryty jest w tym kruszcu brzęczącym. Chciał tedy, żeby uciekano od pieniędzy jak od diabła. Wpajał w swych towarzyszy przekonanie, że pieniądze mniejszą mają wartość od błota. Wprawdzie była w jego życiu pewna chwila, w której się zawahał, czy nie zrobić wyjątku dla chorych. Pogarda świata i miłość bliźniego, ubóstwo i dobroczynność stoczyły wtedy walkę ze sobą. Przemogło ubóstwo. Umarł Franciszek, przekonany, że dla pieniędzy, tego najniebezpieczniejszego wroga zakonu franciszkańskiego, powinien być wstęp na zawsze wzbroniony.

Może niejeden z braci był wystawiony na rozmaite próby w obrębie tego surowego przykazania. W takich razach Franciszek nigdy nie zaniedbywał skarcić najmocniej przestępcy.

Raz przybył do Porcjunkuli pewien zamożny obywatel, który po żarliwej modlitwie pozostawił u stóp Ukrzyżowanego sakiewkę z pieniędzmi jako jałmużnę. Zoczył to jeden brat i — czy to z pogardy czy też z przywiązania do kruszcu — podjął sakiewkę i rzucił ją we wręb okna. Franciszkowi i to zdało się przekroczeniem ubóstwa; przywołał owego brata do siebie i wobec wszystkich braci upomniał go surowo. Za pokutę zaś rozkazał mu, aby sakiewkę uchwycił wargami ust i wyniósłszy ją w ustach poza klasztor, rzucił ją na pierwszą napotkaną kupę kału oślego ze słowami:

— Błoto niech idzie do błota!

Było to upomnienie dla wszystkich tem skuteczniejsze że niezwykle. Karcąc, karciał Franciszek tak, że się kara wyrzyła na zawsze w wyobraźni.

Mniejsza o to, czy już ekonomiści dowiedli, czy pieniądz ma nie tylko wartość fikcyjną, zewnętrzną, od kontraktu społecznego zależną, lub czy także wewnętrzną, istotną, którą w przenośni społeczeństwo nazwało krwią ludzkości, a Franciszek demonem. Mniejsza również o to, czy socjologowie już wykończyli obraz takiego społeczeństwa, któreby się wspierało na tej podwalinie rzuconej przez Franciszka, gdyby jego ubóstwo chciano zupełnie w życie wprowadzić. Dosyć, że tylko dwie dusze z łona człowieczeństwa sięgnęły po tak wysoki ideał i zakreśliły go jako zadanie i szczęśliwość ludzkości: Chrystus, Bóg - Człowiek, i Franciszek, oblubieniec ubóstwa i ofiara poświęcona miłości bliźniego. Najwyższa utopia czy najwyższa prawda: wobec takiego ideału uśmiech sceptyczny każdemu zamrze na ustach!

Tak, Franciszek był oblubieńcem ubóstwa. Tej swojej pani służył wiernie od chwili, w której niepomny na biesiady i śpiewy swych hulaszczyczych przyjaciół zobaczył w przedsionku domu rodzicielskiego tę panią: Ubóstwo, i poprzysiągł jej wieczną wierność i miłość, aż do chwili, w której na nagiej ziemi w Porcjunkuli oddał ducha.

Przez dwadzieścia lat czcił i kochał ją nade wszystko. Czasem nazywał ubóstwo swoją matką, czasem swoją panią, czasem wdową pozostałą po Chrystusie i płaczącą i wzgardzoną przez wszystkich; czasem nazywał ją swoją królową, w chwilach wielkiego rozrzewnienia swoją oblubienicą. Nie zasmucił jej nigdy. Unikał wszystkiego, coby się tej oblubienicy mogło się podobać. Wszystkie drgania jego serca były dla niej jako dla przedmiotu jego przeczystej miłości. Oblubienica wierniejszego nie widziały dzieje miłości. Kiedy niekiedy wygłaszał o niej mowy pochwalne, wyno-

sząc jej bogaty posag, który przynosi swoim kochankom, lub śpiewając hymny i psalmy na jej cześć; a gdy wśród śpiewania napotykał słowo ubóstwa, jego głos stawał się żywszy i tkliwszy.

Raz mówił pewien brat, że N. Panna musiała być bardzo uboga. Franciszek, który to słyszał, tak był wzruszony, że w głośny uderzył płacz.

Jego wierność i miłość dla tej oblubienicy była tak wielka, że prawie był o nią zazdrosny.

Dlatego zasadą jego było oddać ubogim wszystko. Któżby zliczył te płaszcze, które podarował. Rozdawał swoje własne szaty po kawalku; czasem rozpruwał część i darowywał ją. Rozdawał naczynia, brewjarze klasztorne. A biada temu, któryby był o ubogich złe słówko powiedział.

Świat średniowieczny nie mógł żyć bez symbolów. Kult niewiasty, snujący się przez średnie wieki w pieśniach trubadurów i w heroizmie rycerzy, był właśnie jednym z takich symbolów. Franciszek był synem najidealniejszym wieków średnich. I on tedy był naprzemian to truwerem to rycerzem. Jednakże co truwerowie i rycerze czynili dla niewiasty, to Franciszek czynił w pieśni i w heroizmie dla ubóstwa, które było panią jego myśli i oblubienicą. Jak rycerze swą krew dla czci niewiasty, tak on był gotów poświęcić swoje życie na cześć swej Pani Ubóstwa. Za Chrystusem wspięło się ubóstwo aż na drzewo krzyżowe, na którym rozpięto nagie ciało Boga-Człowieka, podczas kiedy nawet Matka pod krzyżem zostać musiała. Taka nierozdzielność po dwunastowiekiem oczekiwaniu łączyła oblubienicę-Franciszką z Oblubienicą Ubóstwem, gdy nagi na nagiej ziemi dla niej i z nią umierał w Porcjunkuli.

Niech sobie ów kult symboliczny średnich wieków będzie dziecięcy. W kulcie Franciszkowym dla Pani Ubóstwa jest coś tak rzewnego, tak pogodnego, że dzisiejsze społeczeństwo wzroku podziwu oderwać nie może od postaci Biedaczka z Asyżu, gdy mu go historia okazała w całym świetle prawdy. Przytem ów kult Pani Ubóstwa wydał w swoim czasie takie dzieła i przeobraził tak dalece poziom społeczeństwa, że tak rodzić i tak podnosić umie tylko sama prawda.

W niższym kościele św. Franciszka w Asyżu na powale ponad ołtarzem wielkim znajduje się obraz al fresco, którego historia jest następująca.

W środku malowidła stoi Chrystus jaśniejący tym spokojem niebiańskim, który go nigdy nie opuszczał a tak go wyszczególniał w ostatnich chwilach jego na ziemi pobytu. Bóg-Człowiek trzyma za rękę dziewicę i przedstawia ją Franciszkowi. Ów taki pokorny, że aż biedny, wkłada na jej palec pierścień zaręczynowy na znak wiecznego mistycznego połączenia. Piękna oblubienica jest otoczona różami i światłem. Jej oczy toną łagodnością, na ustach igra niewinny, szczęśliwy uśmiech. Jej twarz atoli jest wycieńczona. ubiór gruby, podarty. Jej biodra są opasane powrozem, nogi poranione i pokrwawione, skutki długiej uciążliwej podróży wśród kolczastych krzewów i ostrych kamieni. Jakaś chuda suka ją obszczekuje. Młodzieniec ubrany w przepyszne szaty rzuca na nią kamieniami. Inny człowiek, również świetnie ubrany, drażnić ją chce cieniem, które rośnie przy drodze. Szeregi aniołów po prawej i lewej towarzyszą obrządkowi zaślubienia Oblubienicy Ubóstwa z oblubieńcem Franciszkiem.

Obok ubóstwa stoi nadzieja, niebiesko ubrana, która ubóstwu śpieszy z pomocą i podaje rękę. Dalej widny trzeci symbol: miłość ubrana biało i uwieńczona różami, z trzema płomykami w głowie i ze sercem w ręku. Po prawej jest jeszcze raz powtórzona postać Franciszka, który się pozbywa sukienki, aby nią okryć nagość człowieka ubogiego. Po lewej na ostatnim planie malowidła stoją trzej ludzie bogato ubrani. Jeden ścisną w rękę sakiewkę z pieniędzmi i ogląda się podejrzliwie: symbol chciwości. Drugi trzyma w ręku drapieżnego ptaka: alegoria gwałtu, do którego popycha chciwość. Trzeci przykłada rękę do piersi: alegoria krzywoprzysięstwa, które wynika z głodu i nienasyconego pragnienia pieniędzy. W górze wśród sreżogi jaśnieje Bóg. Po prawej i lewej aniołowie. Z tych jeden podaje Bogu sukienkę, którą Franciszek podarował ubogiemu; drugi ofiarowuje Mu Kościół: alegoria pomocy, którą Franciszek przyniósł Kościołowi upadającemu.

Oto hymn, jaki Giotto w najwznioślejszym swoim malowidle w zaraniu najpiękniejszego okresu malarstwa włoskiego wyśpiewał na cześć Pani Ubóstwa Franciszka z Asyżu.

Oprócz ubóstwa roztaczają się tam jeszcze dwie alegorie: czystości i posłuszeństwa Franciszka. Ze wszystkich trzech jednak przeważa ubóstwo co do wartości sztuki, jak przeważało co do ceny w życiu św. Franciszka.

Jest to rodzaj żywota Franciszka roztoczonego pędzlem alegorycznym, w którym artysta uchwycił kilka szczegółów najwypuklejszych. A wieść niesie, że do tych kreacyj zachęcił Giotto jego przyjaciel i ziomek, większy odeń,

jeżeli w świecie genjuszów różnica istnieć może,
Dante Allighieri,

Ów bowiem, ideałem Franciszka olśniony, nie
tylko sam w szeregi jego synów duchownych się
zapisał i Giotto do wysnucia tych trzech alegoryj
pobudził, ale sam wyśpiewał także hymn na cześć
Biedaczka z Asyżu w Boskiej Komedji. I ten hymn
cudowny stworzył perłę całej poezji chrześci-
jańskiej.

Więc krzywdą byłoby dla wieszczą poezji
i dla wieszczą ubóstwa, gdyby pominięto ów
twór o żywocie św. Franciszka z Asyżu.

Między Tupinem a wodą, co kanie
Ze wzgórz, gdzie pamięć Ubalda jaśniej,
Stok żyzny kloni się po górskiej ścianie.

On to Perugję raz ziębi, raz grzeje
Od strony Porta Sole w tyłach wzgórze
Gualdo z Nocerą pod uciskiem mdleje.

W miejscu, gdzie stromość zlekka się wydłuża,
Słońce tam weszło człowieczego rodu,
Jak owo, co się z Gangesu wynurza.

Kto więc wspominać chce owego grodu,
Nie mówże: Asyż, bo rzekłbyś za mało,
Lecz Wschód, bo słuszna zwać go mianem Wschodu.

Na niebie jeszcze niewysoko stało,
Gdy plemię ludzkie z zasług jego cnoty
Już pierwszych błogich skutków doznawało.

Bo on chłopięciem, wbrew ojcu, w zaloty
Biegł do tej pani, co niewszystkich nęci,
Podobnie jak śmierć, dla swojej brzydoty.

Przed trybunałem duchownym swe chęci
Zgłosił et coram patre dał jej słowo,
A potem co dnia kochał ją goręcej.

Po pierwszym mężu swoim była wdową
Tysiąc, więcej stu i kilkoma laty,
Aż ją ten oto poślubił na nowo.

Bo nie pomogło, aby zwabić swaty,
To, że w rybaka chacie nie zadrżała
Na głos Cezara straszącego światy.

A taka była wierna i wytrwała,
Że razem z Chrystem zawisała na krzyżu,
Gdy nawet matka u stóp pozostała.

Lecz byś nie błdził, będąc już w pobliżu
Prawdy, odkryję myśli osłonięte:
To z Panią Biedą Franciszek z Asyżu.

Zgoda małżonków, lica uśmiechnięte,
Miłość przedziwna, wzrok pełen pogody
Budziły wkoło zadumania święte.

Pierwszy się rozzuł bieżący na gody
Bernard Czcigodny i jeszcze się wstydzi,
Że śpieszy mało... O dobro bez szkody.

O skarbie wieczny! Więc rozzuł się Idzi,
Rozzuł Sylwester za pierwszym małżonkiem,
Taka im luba małżonka się widzi.

Tak poszedł ojciec i mistrz ze swem gronkiem
Dobranem: z panią i czeladką chętną,
Już opasaną pokornym postronkiem.

Ni mu chmurzyło czoła wstydu piętno,
Choć się urodził synem Bernardona
I choć miał postać oczom nieponętną.

Lecz po królewsku zamiarów dokona,
Odkrywszy trudny plan przed Inocentym
I bierze pierwszą pieczęć i znamiona.

Gdy trzódka rosła, w trop za mistrzem świętym
Krocząc, którego żywot nad pojęcie
Godzien, że sławią go nad firmamentem.

Papież Honorjusz, na Ducha zakłęcie
Ozdobił chwałą powtórnej korony
Arcypasterza szczytne przedsięwzięcie.

A że był palmy męczeńskiej spragniony
Chrystusa głosić ją i Apostołów,
Przed sultańskimi nie zadrzawszy trony;

Lecz widząc próżne owoce mozołów
A lud ów twardym i wierze niezdarnym,
Wrócił brać żniwo z italskich padołów.

Pośród skał, które Tybr okrąża z Arnem,
Ostatnią pieczęć od Chrystusa wziętą
Dwa lata nosił na ciele ofiarnem.

Gdy Bóg, który mu taką pracę świętą
Wyznaczył, po tej ziemskiej poniewierce
Przygotowywał mu wieczyste święto.

Na brać swą, mienia słuszne spadkobierce,
Zdał opiekuństwo swej małżonki milej,
Kaząc, by wierne jej chowali serce.

Z jej łona zstąpił potem do mogiły;
Gdy dusza do swej wzlatała dzierzawy,
Zwłoki mar innych sobie nie życzyły.

Pomyśl, jakim był drugi sternik nawy
Piotrowej, którą z nim razem prowadzi
Przez dzikie morza do przystani prawej.

To patryjarcha nasz; o kim on radzi
I kogo służba i trud nie przestrasza,
Dobry ładunek na swą barkę ładzi.

ROZDZIAŁ XI.

Św. Klara czyli założenie drugiego zakonu.

(1212.)

Naprawa społeczeństw chrześcijańskich dokonywa się w pierwszym rzędzie przez mężów. Na zgliszczach danego społeczeństwa, rozpadłego skutkiem niezgody wewnętrznej, występków, niewiary i gwałtu zewnętrznego, podnoszą mężowie nowy gmach chrześcijański, wprowadzając w zakłócone czynniki ład, spajając je kitem nauki Chrystusa lub ożywiając je nowym duchem, który na wybrańców opatrności powiał z wyżyn niebieskich i z serca matki-natury. Z takich wysiłków heroicznych rodzą się od czasu do czasu skutki, przypominające pracę cyklopów, pamiątki obliczone na całe wieki.

Jednakże i drobna rączka niewieścia odgrywa w naprawie społeczeństw chrześcijańskich rolę niepowszednią. Natura męska ma coś szorstkiego w sobie. W jej twórczości będzie ogrom, w jej dziełach będzie tkwić siła, z niej promienieć będzie majestat, który na całe wieki wołać będzie: Do moich stóp! Ale nie będzie tego wykoń-

czenia delikatnego, które winno wieńczyć każde dzieło, ani tej miłej ornamentyki, która wielkim pracom nadaje urok i powab. I właśnie dlatego współpracownictwo niewiasty chrześcijańskiej w reformie społecznej jest konieczne.

I niewiasta chrześcijańska jest zdolna do heroizmu. Heroicznych trzech pierwszych wieków chrześcijaństwa nie umianoby pojąć w całej ich piękności z samymi tylko Klemensami, Ignacjami, Polikarpami, Sebastjanami, gdyby z drugiej strony wzroku badacza nie przykuwały Domitylle, Cecylje, Symforosy, Agnieszki. Niewiasta, podniesiona przez Chrystusa do prawdziwej godności, nie może nie brać udziału w pracach około udoskonalenia społecznego i postępu humanitarnego.

Gdzie mężczyzna nowy prąd życia etycznego wprowadza w żyły organizmu społecznego, choćby pod kształtami życia pokutniczego i pustelniczego, tam obok niego pracuje niewiasta chrześcijańska, wspomagając swoją pomocą jego dłoń, uzupełniając pracę męża.

W pieczarach Tebaidy widzę obok Antoniego, opata, jego siostrę, skrzętną jako pszczołkę około dobra swych sióstr zakonnych. Na wyspie Tabennie w Egipcie Pachomjusz prowadzi pustelniczy sposób życia, a w Palestynie zamyka się jego siostra na zawsze w klasztorze. Wielki Bazyljusz zakłada w Azji Mniejszej wiele klasztorów dla mężczyzn; ale jego dzieło nie byłoby zupełne, gdyby dla płci niewieściej nie wznosił takich samych ustroni. Z Hieronimem równoległe krząta się po Rzymie Marcella, matrona rzymska. Cóżby się było stało ze sławnym Augustynem, gdyby cierpliwość i miłość Moniki, matki, nie była go oplotła? Bez Scholastyki wydaje mi się, jakoby św. Benedyktowi z Nursji na czemś zbywało.

Św. Franciszka z Asyżu nabożny lud Umbrii nigdy nie rozdziela od św. Klary.

Istotnie, ci dwoje Świętych tak dalece są do siebie podobni, że ich rozłączyć niepodobna. Św. Klara przejęła się tak bardzo ideałem Franciszka, że się stała jego najwierniejszą córką duchową, niemal towarzyszką nierozłączną, a Franciszek upatrywał w niej odbicie dokładne swojego ducha i celu. Uważał ją za twór swojej miłości i za pociechę duszy w dniach utrapienia, wątpliwości. Widział w niej matkę najdoskonalszą tych córek licznych, które się z miłości jego i z miłości św. Klary zrodzić miały.

Bo pomiędzy św. Franciszkiem i św. Klarą istniała naprawdę miłość. Miłość wieczna i najszczytniejsza, jaka na ziemi istnieć może: święta i anielska, w której się dwie wybrane dusze łączą, a której gmin pojąć nie jest zdolny. Istnieją bowiem, acz nader rzadko, dusze tak czyste i przezrocyste, że gdy się spotkają i przenikną, wieczne zawierają przymierze i wieczną ślubują sobie miłość w małżeństwie mistycznym, w którym inne oprócz duchownego połączenie jest wprost niemożliwe.

I dlatego właśnie nabożny lud Umbrii nigdy św. Franciszka nie odłącza od św. Klary. Ani artysta nie chciał i nie mógł ich odłączyć.

Na dwóch krańcach miasteczka Asyżu wznoszą się dwie bazyliki. We wnętrzu jednej spoczywa św. Franciszek, w drugiej św. Klara. Nad temi dwiema bazylikami toną w błękicie niebios dwie tak do siebie podobne wieże, że brat nie jest tak podobny do siostry, jak jedna wieża do drugiej. Duch jednego artysty wznosił te dwie bazyliki i wieże, jakby w zimny głaz chciał był technąć miłość i powinowactwo ducha Franciszka

i Klary. Gdy pod wieczór rozjęczą się dzwony tych dwóch wież nad miastem, rozbrzmiewa w powietrzu harmonja na cześć miłości Franciszka i Klary.

A poczęła ta święta miłość kielkować w ich sercach wtedy, kiedy Franciszek już stał na szczycie swego ubóstwa i powołania i kiedy Klara liczyła zaledwie lat szesnaście. Dwanaście prawie lat odeń młodsza, bo urodzona w Asyżu ze szlacheckiej rodziny Scifi w roku 1194. Dorastając, słuchała naprzemian to o nagłych zmianach zaszytych w jego sposobie życia, to wkońcu o heroizmie, z jakim jął prowadzić nowy, niestychanny żywot pokutniczy.

Na ustach wszystkich było sławne imię Franciszka jako męża, który postanowił na nowo wprowadzić w życie zapomnianą praktykę doskonałości ewangelicznej. A gdy się później zjawiał w samem miasteczku jako apostoł ze słowem Bożem, nawołując do pokuty i miłości społecznej; gdy się zjawiał jako anioł pokoju, godzący poważnione warstwy miasteczka, wtedy się pewnie serce panienki, żyjącej pod okiem troskliwem matki Hortulany w pobożności i skromności otworzyło na słońce miłości, a usta zawtórowały: Ten niech będzie moim mistrzem! Za nim pójdę w objęcia mego oblubieńca Chrystusa!

Oczekiwała sposobności zwierzenia się Franciszkowi ze swojemi zamiarami. A o sposobność nie było trudno; już bowiem jeden z jej krewnych połączył się był z Franciszkiem i stał się tym cenionym przezeń bratem mniejszym, któremu było na imię Ruin. Zapragnęła odwiedzić Rufina, bo przy tej sposobności ujrzałaby z pewnością w Porcjunkuli tego, którego śladami iść postanowiła. Udała się tedy do Porcjunkuli, gdzie

też przez Franciszka została przyjęta. Nazajutrz on ją odwiedził z bratem Rufinem odtąd widywali się częściej wobec Bony Guelfucci.

I stało się, że ich dusze przeniknęły się i znalazły w sobie własne uzupełnienie, a żadna moc ludzka nie mogła przeszkodzić, aby nie należały do siebie. Klara niczego tak nie pragnęła jak uwolnić się z domu rodzicielskiego i rozpocząć żywot według wskazówek swojego kierownika duchowego.

Ten proces duchowy, w którym się łączą dwie dusze najczystsze, tak rzadki na świecie, rozwija się i pod wpływem tchnienia Bożego i pod zasłoną tajemniczych powinowactw natury. Lecz mówić ludziom gminnym o świętości takich związków duchowych pomiędzy duszami różnej płci jest nietylko bezowocne, ale i niebezpieczne.

Wszelako opuścić dom rodzicielski i rozpocząć nowy nieznaną żywot nie było rzeczą łatwą. Wiedziała, że ni pobożna matka, ni szlachetny ojciec nie zgodzą się nigdy na to, aby Klara, ta perła ich domu i ozdoba miasteczka, wdziała na siebie szaty pokutnicze, ubóstwo poświęciła za małżonka i usługiwała chorym. A jednak drogą, którą jej wskazał Franciszek, chce iść i musi!

Otworzyła tedy Franciszkowi swe serce i zwierzyła mu się ze swych trudności. A on, który przeszedł przez podobne i większe przeszkody, postąpił tak, jak mu poddawało sumienie; jak postąpił wtedy, kiedy sam wsparty tylko słodką radą Chrystusa swojego siał ziarno swego nawrócenia i rzucał podwaliny dla zakonu braci mniejszych.

Klara uda się z kilkoma zaufanemi w nocy z Niedzieli Palmowej na Wielki Poniedziałek z do-

mu rodzicielskiego do Porcjunkuli ścieżkami ukrytymi, które srebrzyste światło księżycy wiosennego rozjaśni, aby nowa oblubienica Chrystusa bezpiecznie doszła do tego domku Marji Anielskiej utajonego wśród zieleni doliny Spoletańskiej. Tam już Franciszek z chórem swych braci będzie oczekiwał w modlitwie, a gdy Klara przybędzie, wesela ducha pomiędzy synami i córką Asyżu pod błogosławiącą ręką Chrystusa i natury obleje łzami radości piękną dolinę.

Klara nadeszła jak było postanowione. Było to dnia 19 marca 1212. Bracia właśnie śpiewali jutrznię. Ukończywszy modlitwę, wyszli z gorejącymi świecami na spotkanie Klary i wprowadzili ją uroczyście do ulubionej kaplicy wśród radości serc i wesela natury.

Gdy Klara uklękła przed ukrzyżowanym Chrystusem, przed którym trzy lata temu klęczał Franciszek ze swymi trzema towarzyszkami w podobnym nastroju ducha, on przemówił do niej tych kilka słów wygłoszonych przez Chrystusa do swych uczniów. Klara poruszona do głębi duszy przysięgła, że według tych rad ewangelicznych żyć będzie aż do śmierci.

W dłoni Franciszka zachrzęściły nożyce: bujne włosy Klary opadły. Ofiara spełniona: Klara ubiorem i sposobem życia, a więcej jeszcze duszą jest siostrą Biedaczka z Asyżu, a obydwójce wybranymi dziećmi Chrystusa!

Franciszek pozostawił klęczącą Klarę przez pewien czas w upojeniu ducha. Późem, ponieważ czas naglił, zbudził ją i w towarzystwie kilku braci zaprowadził do klasztoru św. Pawła, odległego godzinę drogi od Porcjunkuli, gdzie mieszkały benedyktyнки.

Co synowie św. Benedykta uczynili dla braci mniejszych, to córki św. Benedykta zrobiły dla klarysek. Pod ich opieką kielkować poczęli ojciec pierwszego i matka drugiego zakonu św. Franciszka.

Ofiara Klary była zaiste heroiczna. Wiedziała bowiem, na jakie przeszkody ze strony rodziny natknie się jej postanowienie. Ani jej tajemem nie było, na jakie upokorzenia i cierpienia wystawi ją sposób życia braci mniejszych, który przyjęła, ślubując ubóstwo.

Jednakże heroizm, gdy raz wyrośnie z duszy pięknej i młodej, nietylko jest ponętniejszy, ale nawet wytrwalszy od duszy męskiej.

Gdy na drugi dzień Faworyn, ojciec Klary, i Hortulana, jej matka, szukając córki, przybyli do klasztoru św. Pawła, Klara stoczyć musiała z rodzicami jedną z najcięższych walk swego życia. Ale ani krzyki i groźby ojca, który mówił o swej złamanej powadze ojcowskiej, ani łzy matki, która mówiła o swej pogardzonej tkliwości macierzyńskiej, ani zaklęcia obojga, którzy jej przedstawiali nadwyreżoną cześć rodziny, nie mogły skłonić Klary, aby się sprzeniewierzyła swemu ślubowi. A gdy wkońcu Klara odrzuciła zasłonę, obnażywszy głowę z obciętemi włosami i zawoławszy, że jest własnością Boga, rodzice zaprzestali nalegać.

Skoro stracili jedną córkę, będą tem troskliwiej strzegli i kochali drugą, Agnieszkę, siostrę Klary, dwa lata młodszą od tamtej.

Dobro się tak szerzy jak zło. Poświęcenie i ofiara są nakształt powietrza, które wszystko przenika. Jeżeli się zły człowiek oprzeć nie potrafi uczuciu podziwu na widok heroizmu, to jak-

żeby heroizm nie miał kłaść uroku i czaru na dusze czyste i niewinne!

Po dwóch mniej więcej tygodniach przeniosła się Klara z przyczyn nieznanych do innego klasztoru benedyktynek, mianowicie do św. Anioła de Panso, położonego w samym mieście Asyżu. W pierwszą niedzielę po Wielkanocy zabłysnął po raz drugi nad rodziną Scifich miecz Pański, który rozdziela dziatki od rodziców. Agnieszka, siostra Klary, opuściwszy dom rodzicielski, zapukała do furty klasztornej u św. Anioła, aby śladem siostry starszej ślubować ubóstwo. Przyjęta z wylaniem przez Klarę, przyjęła z rąk Franciszka sukienkę ubóstwa i pokory. Poczem z nieustraszonem czołem jeły obydwie w modlitwie czerpać męstwo do potyczki z nadchodzącą burzą ze strony rodziców.

Burza nadeszła gwałtowna. Gniew ojca tym razem nie znalazł granic. Obrażony ojciec zgromadził kilku krewnych i gwałtem najechał klasztor. Grożono Agnieszce, lżono ją i bito. Ona pozostała niezłomną. Wkońcu użyto siły i przemocą wyciągnięto ją z klasztoru. Lecz gdy ją półżywą niesiono, nagle wśród drogi jej ciało drobne tak dalece zaciężyło, iż ją musiano porzucić w polu wśród politowania robotników, którzy w pobliżu pracowali.

Wkrótce też nadbiegła Klara na pomoc siostrze, którą odcuconą zaprowadziła napowrót do klasztoru. Bóg wysłuchał prośbę Klary, a Franciszek w kilka dni później obciął Agnieszce włosy i jął obydwie siostry prowadzić do wyżyn niebieskich.

Niedługo jednak pozostały siostry u św. Anioła. Franciszek chcąc im zabezpieczyć stałą siedzibę i przewidując, że przykładem Klary

i Agnieszki pójdzie wiele innych dziewic, rozglądać się począł za ustroniem, w któremby córki Bożego zbawienia spokojnie wieść mogły żywot. I cóż spokojniejszego nad kościółek św. Damjana, który Franciszek własnymi rękami kiedyś naprawiał! Niedaleko od Porcjunkuli, niedaleko też od miasteczka, tonął przecież w zupełnej ciemności, ukryty w pochyłości gór i wśród cienistych sosen, jakby gniazdeczko stworzone dla świętych dziewic.

Udał się tedy Franciszek do kanoników Asyżu, do których św. Damjan należał, z prośbą o użytek kościółka. Z łatwością osiągnął, czego żądał, i bezwzględnie wprowadził siostry do św. Damjana.

Przed krzyżem, który kiedyś przemówił do duszy Franciszka, miała się odtąd modlić Klara. W domu, który należał do Boga, ale był po części także domem Biedaczka, miała odtąd wieść żywot Klara i jej siostry duchowne. Dla świata wschodzi nowa gwiazda, która nie blednie wcale przy blasku słońca Franciszkowego. W dniach przykrości i wahań będzie miał Franciszek przyjaciółkę, która go nieraz wesprze radą i pomocą.

Tymczasem wieść o tem nowem powołaniu rozbiegła się po okolicy. Ich poświęcenie heroiczne i mężne napelniło wszystkich podziwem; ubóstwo dobrowolne wydawało się wielu duszom wybranym jasnym gościńcem, prowadzącym bezpiecznie do pokoju i nieba. I wkrótce stał się św. Damjan ulem, w którym nowe młode pszczołki, niegdyś przyjaciółki Klary na świecie, poczęły pod jej kierownictwem radosny i pracowity wieść żywot.

A Franciszek i jego towarzysze raz po raz przyprowadzali ze swych podróży misyjnych nowe dusze, spragnione innego życia, do błogosławionego domku św. Damjana.

Stamtąd rozchodziła się świętość. Niektóre z przyjaciółek z biegiem czasu opuszczały domek macierzyński i rozbiegały się po świecie, zakładając nowe osady sióstr i rozpowszechniając ducha pokory i ideał ubóstwa serafickiego: tak dałece, że wkrótce nie było narodu w Europie, któryby z ziarna, posianego dłonią Franciszka i Klary, nie posiadał pięknych owoców w postaci błogosławionych i świętych.

Życie u św. Damjana rozwijało się jasne i spokojne. Klara umiała być nietylko roztropną przełożoną swych sióstr, ale i czułą matką. Nad nowym zgromadzeniem pod nazwą ubogich niewiast czuwał też Franciszek, wspierający Klarę swymi radami. Gdy wypadło założyć nowe domy dziewicze, on wysłał starszą siostrę od św. Damjana, która w dalekich prowincjach i krajach miała krzewić ideał ubóstwa ewangelicznego.

Ich pierwotny sposób życia był ten sam co braci mniejszych. Franciszek podał im swoją regułę, którą Inocenty III ustnie był zatwierdził, wyjąwszy przykazanie co do opowiadania słowa Bożego i misyj. Jak bracia tak i siostry z Klarą na czele obowiązane były pracować. Mianowicie przygotowanie i czyszczenie przyborów kościelnych wchodziło w zakres ich prac ręcznych; Franciszek bowiem dbał wielce o czystość kościołów. Z rąk sióstr od św. Damjana roznosili bracia sprzęty potrzebne po biednych kościołach. Biograf wspomina, że nawet na łożu śmierci spoczywając, była Klara zajęta szyciem bielizny kościelnej.

Wzamian bracia zaopatrywali siostry we wszystko. A jeżeli ich zabiegi nie starczyły, wierni współobywatele Asyżu w pierwszych latach miłości dostarczali wszystkiego, co świętym

dziewicom do życia było potrzebne. Wszelako gdy czasy gorącości ducha ludności asyjskiej minęły, gdy stosunki z braćmi zostały utrudnione, same musiały iść od drzwi do drzwi, prosząc o jałmużnę.

W początkach pożycie pomiędzy św. Damjanem i Porcjunkulą było serdecznie. Zdaje się, że oprócz Franciszka trzej lub czterej bracia, zwłaszcza Juniper, Anioł i Leon, byli stale przeznaczeni do opieki sióstr. W nieobecności zaś Franciszka urzędowym zawiadowcą ich był brat Filip, zwany Długim.

Tę świętą przyjaźń i to obcowanie Boże najlepiej charakteryzuje jeden ustęp, który się z Kwiateczków przytoczyć godzi.

Św. Franciszek, bawiąc w Asyżu, często odwiedzał św. Klarę, udzielając jej świętych wskazówek. Ona zaś, życząc sobie wielce spożyć przynajmniej raz z nim posiłek, prosiła go o to często; on jednak odmawiał zawsze. Więc towarzysze, wiedząc o tem pragnieniu św. Klary, rzekli do św. Franciszka:

— Ojcze, nam się zdaje, że taka ostrość nie odpowiada miłości Bożej, abyś dziewicy tak świętej i Bogu tak milej nie wysłuchał w rzeczy tak małej, jaką jest spożycie posiłku, tem więcej jeżeli się zważy, że ona przez twoje głoszenie słowa Bożego opuściła bogactwa i fortunę świata. I gdyby cię o większą łaskę, aniżeli ta jest, prosiła, powinienbyś ją spełnić dla swej roślinki duchownej.

Odrzekł tedy Franciszek:

— Zdaje wam się więc, że powinienem ją wysłuchać?

— Tak, ojcze — odpowiedzieli towarzysze — godzi się uczynić jej tę łaskę i pociechę.

— Ponieważ wam się tak zdaje — zauważył Franciszek — zatem i mnie. Ale aby miała większą pociechę, chcę, żeby ten posiłek spożywano u N. Panny Anielskiej; bo będąc przez długi czas zamknięta u św. Damjana, chętnie zobaczy N. P. Marję Anielską, gdzie się odbyło jej postrzyżenie i gdzie została oblubienicą Chrystusa. Tam tedy jeść będziemy w imię Boże.

W dniu tedy oznaczonym opuściła św. Klara z jedną towarzyszką klasztor i w towarzystwie uczniów św. Franciszka przyszła do N. P. Marji Anielskiej. Pozdrowiwszy Bogarodzicę przed ołtarzem, gdzie jej obcięto włosy i odziano twarz zasloną, udała się na miejsce przeznaczone, czekając, dopóki nie nadejdzie czas posiłku.

Tymczasem kazał Franciszek przygotować posiłek na równej ziemi, jak zwykł był zawsze czynić. Gdy nadszedł czas, usiedli Franciszek i św. Klara razem, a jeden z towarzyszy św. Franciszka razem z towarzyszką św. Klary, a wkońcu wszyscy inni towarzysze zasiedli do stołu pokornie. I na pierwsze danie zaczął św. Franciszek mówić o Bogu tak słodko, wysoko i cudownie, że pod wpływem łaski Bożej wszyscy wpadli w zachwycenie. A podczas gdy tak trwali w zachwyceniu ze wzrokiem i rękami wzniesionem; w niebo, zobaczyła ludność Asyża, Betony i całej okolicy, że N. P. Marja Anielska i okolica i las, który podówczas otaczał to miejsce, pali się mocno; zdawało się, że wielki ogień się tam sroży. Dlatego zbiegli się czem prędzej mieszkańcy Asyżu, aby zgasić ogień. Lecz przybywszy na miejsce, nie znaleźli żadnego ognia, tylko wszedłszy, zobaczyli św. Franciszka i św. Klarę i całe towarzystwo pogrążone w kontemplacji Bożej i siedzące naokoło skromnego stołu. Zrozumieli także, że to nie był ogień doczesny, lecz boski, który zesłał Bóg cudem, aby okazać ogień miłości Bożej, którą płonęły dusze tych świętych braci i sióstr. Wkońcu odeszli z wielką pociechą i z wielkiem zbudowaniem w sercu.

A gdy po dłuższym czasie przyszli do siebie św. Franciszek, św. Klara i reszta, uczuli się tak bardzo wzmocnieni tym pokarmem duchowym, że już wcale nie dbali o pokarm cielesny. Po skończonym posiłku powróciła św. Klara w towarzystwie do św. Damjana; z czego siostry, widząc ją, wielce się ucieszyły. Obawiały się bowiem, żeby jej św. Franciszek nie posłał gdzieś na przełożenie do innego klasztoru, jak już posłał siostrę Agnieszkę, jako ksienię do klasztoru Monticeli we Florencji. Bo i tak nieraz mawiał św. Franciszek do św. Klary:

— Bądź gotowa, gdy cię będę musiał wysłać w jakie miejsce.

A ona jako córka świętego posłuszeństwa odpowiadała:

— Ojczy, zawsze jestem gotowa pójść tam, dokądkolwiek rozkażesz.

Dlatego się siostry wielce cieszyły, gdy ją ujrzały; a i św. Klara była odtąd bardzo zadowolona i pocieszona.

Te same Kwiatuszki przekazały nam jeszcze jeden dowód powinowactwa duchowego pomiędzy Franciszką i Klarą. Dla Franciszka nadeszła była jedna z tych chwil ważnych, w której chodziło o przyszłość całego zakonu. Był to może jeden z tych zwiastunów przyszlých, które mu nieraz zatruiwały ostatnie chwile życia. Zasięgnął tedy rady siostry Klary i brata Sylwestra, czy ma prowadzić życie kontemplacyjne czy też czynne. Po udzieleniu rad, że się nadal ma oddać życiu apostołskiemu, dziwna w nim zaszła zmiana. Natchnieniem św. Klary wzmocniony rzucił się z takim ogniem do opowiadania słowa Bożego i do przebiegania prowincyj włoskich, jakiego ni przedtem ni potem nie widziano. Fioretti opowiadają:

Pokorny sługa Chrystusa, św. Franciszek, wkrótce po swem nawróceniu, gdy już był ninóstwo towarzyszy zgromadził i przyjął do zakonu, rozmyślił się głęboko i zawahał, co mu należy czynić: czy oddać się wyłącznie modlitwie, czy też czasem głosić słowo Boże. Zapragnął dowiedzieć się, jaka jest w tym względzie wola Boża. A ponieważ jego święta pokora kazała mu niedowierzać sobie i swojej modlitwie, więc postanowił dowiedzieć się o wyrokach Bożych przez modlitwę innych. Zawołał tedy do siebie brata Maseusza i rzekł mu:

— Idź do siostry Klary i powiedz jej z mojej strony, aby razem ze siostrami najlepszemi prosiła Boga pobożnie, żeby mi raczył objawić, co dla mnie jest lepiej, czy głosić słowo Boże czy też tylko modlić się. Następnie idź do brata Sylwestra i powiedz mu to samo.

Ów Sylwester był tym bratem, który widział złoty krzyż, sięgający aż do nieba i aż na krańce świata

i wychodzący z ust Franciszka. Był także człowiekiem takiej pobożności i świętości, że bywał zawsze od Boga wysłuchany i często z Bogiem rozmawiał. Dlatego Franciszek pokładał w nim wielką ufność.

Poszedł tedy brat Maseusz i według rozkazu Franciszka odprawił poselstwo wprzód wobec św. Klary, potem wobec brata Sylwestra. Sylwester, usłyszawszy prośbę, udał się natychmiast na modlitwę, w czasie której otrzymał od Boga żadaną odpowiedź. Powrócił tedy do oczekującego Maseusza i rzekł do niego:

— Tak mówi Bóg, abyś powiedział bratu Franciszkowi: Bóg go powołał do tego stanu nie tylko dla niego, ale aby także owoc przynosił w duszach i wielu był przyczyną zbawienia.

Otrzymałszy tę odpowiedź, brat Maseusz powrócił do św. Klary, aby się dowiedzieć, co jej objawił Bóg. A ona odpowiedziała, że ona i jej towarzyszki otrzymały tę samą odpowiedź, co brat Sylwester. Powrócił więc Maseusz do św. Franciszka, który go przyjął z wielką miłością, zabrał się do mycia jego nóg i do przygotowania stołu. Po posiłku zaprowadził Franciszek Maseusza do lasu i tam uklęknął przed nim, zdjął kaptur i skrzyżowawszy ręce na piersi, zapytał:

— Cóż rozkazuje Pan mój Jezus Chrystus, abym czynił?

A brat Maseusz odpowiedział:

— Tak bratu Sylwestrowi jak siostrze Klarze odpowiedział i objawił Chrystus, że jest jego wolą, abyś po świecie opowiadał słowo Boże; bo On cię nie wybrał dla twojego wyłącznie zbawienia, ale także dla zbawienia innych.

Franciszek, usłyszawszy tę odpowiedź i poznawszy w niej wolę Bożą, podniósł się żwawo i rzekł:

— Chodźmy w imię Boże!

Odtąd rozpoczyna się nowa faza w apostołstwie Franciszka. Cechuje ją nie tylko gorliwość w głoszeniu słowa Bożego ludziom, ale także miłości dla świata zwierząt, która stanowi jego rys charakterystyczny.

Jednakże z biegiem czasu, gdy jeden i drugi zakon już liczył setki członków, to pożycie ser-

deczne nie mogło się ostać. Przejrzał to Franciszek, przejrzała i Klara. Stąd umyślili ułożyć dokładniejszą regułę i prosić Rzym o jej zatwierdzenie. Mimo nadzwyczajnej prośby, skoro nie istniał dotąd żaden zakon żeński oparty na zupełnem ubóstwie, papież ujął za pióro i sam począł kreślić początek Breve apostolskiego, chcąc wyróżnić nadzwyczajność prośby nadzwyczajnością postępowania.

Narazie zadowolono się tem zezwoleniem ogólnem na istnienie ubogich niewiast od św. Damjana, córek św. Franciszka. Na regułę miał przyjść czas później.

Przyjaźń święta między Franciszkiem i Klarą, pomiędzy synami św. Franciszka i córkami św. Klary, pomiędzy Porcjunkulą i św. Damjanem trwała dalej niezamacona. On był jej mistrzem i doradcą, ona jego pomocą i pociechą.

Gdy Franciszek wracał z podróży apostolskich, św. Damjan pod opieką św. Klary i jej córek dawał mu wypoczynek ciała i duszy, nie mniejszy od Porcjunkuli. Gdy z biegiem lat siły jego wątlały, a zdrowie poczynało coraz więcej niknąć, św. Klara chodziła koło niego u św. Damjana jak matka najtroskliwsza. Tam w cieniu popielatych oliwników i iglastych sosen w godzinach jaśniejszych duszy i ciała układał swój hymn do brata słoneczka. Tam śpiewak Boży i rycerz prawdziwy odnajdywał wśród spokoju natury i wśród wianuszka życzliwych serc braci i sióstr siebie samego.

Wszelako widząc z dnia na dzień zanikające siły swoje, nieraz myślał: Co będzie z temi duszami Bożemi, gdy jego zabraknie? Więc od czasu do czasu jako dobry ojciec jął swym córkom przypominać tkliwie i ostrożnie, że jego śmierć się zbliża.

A tymczasem złożył zarząd wewnętrzny zakonnicy w ręce kardynała Hugolina, który później jako papież Grzegorz IX zatwierdził ich regułę.

Raz po dłuższej niebytności miał Franciszek opowiadać siostronom słowo Boże. Lecz zamiast wstąpić na mównicę, kazał sobie przynieść popiołu i posypawszy popiołem ziemię i swoją głowę, zanucił psalm Miserere. Takienii obrazami umiał nauczać swoje siostry, że jest prochem i do łona ziemi powróci, i przygotowywać je na chwilę bolesną rozstania.

Lecz łatwo mówić lub pisać, że rozstanie nastąpić musi. Ale gdy nastąpi, czyż serce nie pęka z żalu, czyż dusza nie jęczy z bóleści! Cóż biedne grono córek czuło w sercu, gdy się dowiedziały, że umierającego Franciszka wynoszą z biskupiego pałacu, aby go zanieść do Porcjunkuli, gdzie pragnie umrzeć! Cóż się działo w sercu Klary, gdy przy zachodzącym przeczystym słońcu jesiennem rozebrzmiał dzwonek Porcjunkuli, zwiastujący zgon ojca i przyjaciela!

Gdy nazajutrz zatrzymał się pochód pogrzebowy ze zwłokami św. Franciszka przed św. Damjanem, chór świętych dziewic jak stadko gołębi strwożonych obległo zwłoki przyjaciela umarłego. Z płaczem i jękiem całowały blizny rąk i nóg i żegnały go na zawsze. Franciszek pozostawił osieroconą św. Klarę.

Przeżyła go lat dwadzieścia siedem. I przez ten długi czas walczyła Klara z niebywałym męstwem i żelazną wytrwałością o skarb najdroższy ubóstwa wobec różnych prądów, które po śmierci Franciszka nurtować zaczęły w łonie zakonu braci mniejszych.

Wkońcu nadeszła i dla niej ta chwila, w której się jej dusza miała połączyć z duszą Franciszka

u stóp jej Boskiego Oblubieńca poza brzegiem tego życia doczesnego.

Zachodzące słońce rzuciło ostatnie pęk światła na klasztor św. Damjana. W świetlicy ponad chórem obok kaplicy leżała umierająca Klara otoczona kilkoma sędziwymi towarzyszami św. Franciszka, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Dalej snuł się wianuszek klęczących sióstr, które z żalem wpatrywały się w odchodzącą na zawsze matkę i szlochały lub modliły się. Pomędzy niemi była i Agnieszka, przybyła z Florencji na wieść o niebezpieczeństwie.

Smutek zarazem ale spokój niebiański unosił się nad łóżem umierającej. W rozpalonem świetle słonecznem, wdzierającym się przez okno, zdawał się płynąć pokój Chrystusowy. Dusza błogosławionego Franciszka zdawała się unosić nad tą grupą pogrążoną w boleści. Od czasu do czasu przemawiał do Klary brat Rinaldus, jej spowiednik, zachęcając ją do cierpliwości; a ona odpowiadała słabym głosem, że odkąd ją Franciszek nauczył kochać Boga, wszystko znosiła z cierpliwością.

Poczem zażądała, aby jej opowiadano lub czytano mękę Pana Jezusa. Ale zaledwie rozpoczęto, spostrzegła w gromadce braci i Junipera. Rozjaśniła się jej twarz i z uśmiechem niewinnym rzekła do dobrego brata:

— A masz, bracie, jakie nowiny od dobrego Boga?

Juniper jął opowiadać o dobrym Bogu z wielką gorliwością, na której mu nigdy nie zbywało, sprawiając umierającej wielką ulgę. Siostry zaś szlochały głośno, a w pokoju zapanował lament, który napróżno brat Anioł uśmierzyć usiłował. I brat Leon był obecny, pełen żalu, i skromny

jak zawsze, klęcząc, łożko tylko, na którem spoczywała Klara, całował drżącemi usty.

Lecz rozdział duszy od ciała widocznie następował; albowiem Klara jęła szeptać czule i święte słowa do swej duszy, a twarz jej powlokła się śmiertelną bladością.

Wtem pokój wypełnił się żywszem światłem. Słońce wyteżyło jeszcze raz swą moc, wzięło w siebie ostatnie tchnienie umierającej i zgasło razem z Klarą.

Nad klasztorem św. Damjana zaległa noc i ciężki smutek. Tylko niebo roziskrzyło się nadzwyczajnie; albowiem zajaśniało nową wielką gwiazdą świętości.

ROZDZIAŁ XII.

Miłośnik natury i poeta.

Franciszek z Asyżu, otrząsnąwszy się ze wszystkiego co doczesne zapomocą ubóstwa najzupełniejszego, zatrzymał jednak w sobie pewne zamiłowania, które się u niego przemieniały w najpiękniejsze, wyłącznie jego własne zalety i które sprawiły, że wszystko posiadał w stopniu najdoskonalszym, co człowiek na tym świecie osiąść może.

Jednem z takich zamiłowań była jego miłość do przyrody. Trudno wogóle, aby człowiek, który się urodził pod przepięknem niebem umbryjskiem, nie kochał natury, skoro nawet pielgrzym, zwiedziwszy przelotnie Umbrję, nie może zapomnieć jej piękności. Jednakże u Franciszka miłość natury była niezwykła, tak niezwykła, że podobnej miłości głębokiej, tkliwej i wzajemnej u żadnego ze śmiertelników nie spotkano.

Nie był to kult natury, który ubóstwiał naturę dla niej samej bądź z powodu jej piękna, bądź użyteczności, bądź wspaniałej potęgi i prawidłowości. Nie była to wyłącznie dobrze zrozumiana wdzięczność, która się w sercu człowieka rodzi samorzutnie skutkiem hojności matki-natury i skutkiem podporządkowania przyczyn naturalnych

w jeden łańcuch stworzenia. Nie było w tej miłości nic z pojęć panteistycznych, nic z pojęć materialistycznych. Musiało być oczywiście coś z uczucia estetycznego, było i coś z uczucia tkliwości dziecięcej, była i wdzięczność; było też coś z tego pojęcia teologicznego, o którym ówczesni scholastycy rozumowali na katedrach, a czego odczuć nie potrafili w sercu; była i wzajemność ze strony natury, inaczej to zamilowanie nie nazywałoby się miłością.

Było w tej miłości coś tak szczególnego, że brak określić na to. Chcąc ją pojąć w przybliżeniu, trzeba iść śladami biografów, którzy zapisali przykłady konkretne a czasem i tłumaczenia oderwane tej jego miłości.

Ta miłość Franciszkowa do natury objawiała się od jego lat dziecięcych i młodzieńczych. Nie była ona wtedy niczem innym jak nieświadomem uczuciem w rodzaju instynktu, zaznaczającym się wdzięcznie i wyraźnie na podkładzie organizmu delikatnego i wrażliwego. Czynniki natury niepoślednią odegrał rolę w nawróceniu Franciszka.

Nieraz widziano go zatopionego w podziwie nad dziełami przyrody, rodziły się w nim tedy najpiękniejsze myśli, a za myślami następowały heroiczne uczynki. Gdy przychodząc do zdrowia, wspierał się na kij i wciągał w słabe piersi tchnienie balsamiczne natury, nie mógł nie ukochać natury-lekarki. Gdy patrzył na wdzięczne, barwne, rozwijające się w ukryciu kształty kwiatów, gdy wciągał w piersi słodycz ich zapachu, twarz jego rozbłyskiwała radością, a oczy kochaniem. Czarowne widoki roztaczające się w blaskach słońca, księżyca i gwiazd na niebie Umbrji, a na ziemi łąki umajone kwieciami, ogrody kipiące płodnością, wichry jesienne staczające po górach

i dolinach bój ze sobą, woda płynąca spokojnie i szemrząca tajemniczo lub rzucająca się pienistym grzebieniem z gór i gryząca zajadle skałę — cała natura była dlań przedmiotem podziwu i miłości.

A gdy dorósł w męża i sam rozkwitł świętością, nie zaprzestał przyjaźnić i bratać się z naturą. Zawsze się jej oddawał, a ona mu pozostała wierną. Jego oblubienica natura była drugą twarzą Oblubienicy Ubóstwa. Na skrzydłach siostry natury wspierało się jego ramię, a ona go ze sobą unosila w zawrotne krainy tajemniczego łona Bożego.

Bowiem jego miłość natury właśnie z tego źródła płynęła: z łona Bożego. Nigdy nie zapomniał, że wszystkie stworzenia pochodzą od Boga. Stąd je kochał, bo kochał Boga. Bratem lub siostrą zwykł był nazywać stworzenia choćby najniklejsze, bo one tak samo od Boga początek brały jak człowiek.

Bratem było mu słońce, ogień. Siostrą mu była woda, ptaszyna każda. Z całym przekonaniem nazywał jagniątko swoimi braćmi, nawet wilk mu był bratem. Przytem tkliwość malowała się w jego twarzy, gdy te stworzenia przytulał do swych piersi, a głos miał rozczulające namaszczenie. Najmniejszemu żyjątku krzywdy żadnej za nic w świecie nie byłby wyrządził. Gdy na drodze spostrzegł lichego robaczka, zagarniał go w rękę i niósł na skraj drogi, ażeby go stopy ludzkie nie podeptały. A gdy bracia udawali się do lasu po drzewo, prosił ich i zaklinał, aby korzenie oszczędzali dla nowych pędów wiosennych.

Uważał za swój obowiązek nałożony przez Opatrzność, aby z pomocą przychodzić stworzeniom lub bronić je przed drapieżną ręką człowieka.

Pszczółom przynosił — on najuboższy z ludzi — w porze zimowej i wiosennej miód lub słodkie wino najlepsze, które był wyzebrał. Mawiał, że i one potrzebują ogrzać się i posilić.

Pewien młodzieniec uchwycił raz kilka turkawek. Idąc z niemi na sprzedaż, spotkał się ze św. Franciszkiem, który zawsze żywił wielką tkliwość dla zwierząt obłaskawionych. Patrząc tedy okiem litościwem na one turkawki, rzekł do młodzieńca:

— Dobry chłopcze, proszę cię, daj mi je, aby się ptaszęta tak łagodne, które Pismo porównywa do dusz czystych, pokornych i wiernych, nie dostały do rąk srogich, które je zabijają.

Ów, natchniony od Boga, dał je natychmiast wszystkie Franciszkowi. A ten, biorąc je, zaczął do nich mówić słodko:

— O moje siostry, niewinne turkawki i czyste, dlaczego pozwoliłyście się uchwycić? Teraz was chcę uwolnić od śmierci i zrobić wam gniazda, abyście niosły i rozmnażały się według rozkazu naszego Stwórcy.

I poszedł św. Franciszek i zrobił im gniazda. A one się poznały, zaczęły nieść jaja i wysiadywać wobec braci. A tak poufale postępowały z braćmi i ze św. Franciszkiem, jakoby były kurami zawsze przez nich żywionemi. Nie odleciały też, dopóki św. Franciszek nie dał pozwolenia odlecieć i błogosławieństwa na drogę. A do tego młodzieńca, który mu je był dał, rzekł Franciszek.

— Synaczku, ty jeszcze zostaniesz bratem tego zakonu i będziesz wiernie służył Chrystusowi.

I tak się też stało; bo ten młodzieniec wstąpił do zakonu i żył w nim w wielkiej świętości.

Często zastanawiał się Franciszek całemi godzinami nad właściwościami zjawisk przyrody i stworzeń. Im piękniejsze były stworzenia, tem więcej je lubił. Przemawiał do nich i układał mowy pochwalne na ich cześć, jakby stał przed istotami rozumem obdarzonymi. Zapraszał kwiaty, słońce, księżyc, gwiazdy, aby swoim sposobem nuciły:

Ten, który nas stworzył, jest nieskończenie dobry i piękny!

Podnosił się bowiem duch Franciszka do tych wyżyn pojęcia chrześcijańskiego, że uważał całe stworzenie za odbicie, w którym jaśnieje w nieskończonej skali różnorodności obraz Boga. Stąd mniemał, że stworzenia są poniekąd przedstawicielami Boga na ziemi, a cała przyroda jest jakby poematem, opiewającym wciąż i wszędzie doskonałości Boże. Nie pozwalał naprzykład gasić światła; bo sądził, że jego płomień jest odblyskiem światłości wiekuistej.

Wszelako jego serce odznaczało się jeszcze tkliwzemi odcieniami. Był przekonany, że natura nosi na sobie wyryty obraz Syna Człowieczego. Kiedyś poprzednik Pana wołał: Oto Baranek Boży!

Stąd Franciszka tkliwość granic nie znała wobec jagniątek, bo w ich niewinności i bojaźni widział pokorę i litość Pana i Mistrza swojego Boskiego. Widząc je cierpiące, i on niewymownie cierpiał. A często zbaczał z drogi, aby się nacieszyć widokiem owieczek, pasących się woddali po stokach gór.

Raz, idąc przez Marchję Ankonitańską, spotkał się z człowiekiem, który niósł na barkach dwie owieczki z powiązanemi nóżkami, zwieszające się jedna zprzodu, druga ztyłu. Franciszek, ujrawszy to, uczuł głęboki ból w sercu. Więc krzyknawszy głośno, wołał:

— O, żywy obrazie Jezusa Chrystusa przebitego i rozpiętego na krzyżu!

Podszedł następnie do tego człowieka i jął głaskać owieczki jak matka, która płaczącego syna utula.

— Dlaczego — rzekł potem do człowieka — braci moich, jagniątko, związałeś i uwieszono tak męczysz?

— Niosę je na sprzedaż — odparł człowiek — bo potrzebuję pieniędzy.

— A gdy je sprzedasz, cóż się z nimi stanie?

— Pewnie je zabiją i spożyją.

— Na to nie pozwalam! — zaprzeczył żywo Franciszek. — Masz tu mój płaszcz, a daj mi jagniątko.

Człowiek przyjął płaszcz, bo był nowy — darowano go Franciszkowi tego samego dnia. Franciszek zaś zabrał ze sobą owieczki i oddał je pewnemu obywatelowi pod warunkiem, żeby ich nie sprzedawał, lecz największą troskliwością otaczał.

Tak dalece kochał jagniątko, że raz rzucił z ich powodu przekleństwo na inne stworzenie dzikie. Było to w Gubbio. Franciszek przebywał tam w szpitalu. Zrodziło się właśnie jagniątko. Na nieszczęście w pobliżu znajdowała się świnia, która rzuciwszy się na jagniątko, zagryzła je. Doniesiono o tem rano Franciszkowi, który zmartwiony zajściem, kazał sobie przynieść njeżywe jagnię i patrząc na martwą ofiarę, jął biadać:

— Biedny bracie jagniątko, stworzonko niewinne, ty żywo przedstawiasz Pana naszego ofiarującego się. Przeklęta niech będzie ta, która cię zabiła. Ni człowiek, ni zwierzę nie będzie spożywać jej mięsa!

W ciągu trzech dni maciora zginęła. Wyrzucano ją na odludne miejsce, gdzie nakształt drewna zeschnięta, dla nikogo zdatną nie była na spożycie.

Gdzie indziej zaszedł taki wypadek. Para czerwonogardlic obrała sobie klasztor braci mniej-

szych za mieszkanie i usłala gniazdeczko. Po pewnym czasie wylęgły się młode, a stare żywiły je okruszynami, pilnie po klasztorze zbieranymi. Gdy młode dorosły, zostały przeniesione do klasztoru, gdzie się z braćmi bardzo poufały. Stroniły jednak od ludzi świeckich. Stare tymczasem odleciały w świat. Franciszek zauważył to i odezwał się do braci:

— Patrzcie, jak nasi braciszkwowie postępują. Zdawałoby się, że obdarzeni są rozumem. Swem postępowaniem mówią nam: Oto nasze dziatki, wyście je żywili, więc do was należą.

Młodym braciszkom wiodło się znakomicie w klasztorze. Ale powodzenie psuje. Starszy i mocniejszy okazywał przywarę, której Franciszek nie znosił; bo tak dalece był chciwy, że choć już jeść nie mógł, jeszcze młodszego towarzysza od jedzenia odpychał. Franciszek zauważył to i rzekł:

— O ty, darmożjadzie chciwy, toś się najadł dosyta, a jeszcze skąpisz swojemu braciszkwowi! Marnie zginiesz!

Tejże chwili oddalił się ów chciwiec i usiadłszy na krawędzi naczynia z wodą, zaczął pić łapczywie. Wtem się przechylił, wpadł do wody i utopił się.

Kto tak całą przyrodę kochał, tego i przyroda kochać musiała. Istotnie, wszystkie zwierzęta pragnęły oddać Franciszkowi miłość za miłość. Gdy się do nich zbliżał, przytulały się doń; gdy ich pytał lub prosił, słuchały i odpowiadały znakami; gdy rozkazywał, były posłuszne. Wobec niego nie było różnicy pomiędzy zwierzętami drapieżnymi i oswojonymi, bo wszystkie stawały się dlań poufałymi braćmi i siostrami.

Raz blisko Sieny natknął się Franciszek na stado przechodzących owiec. Zatrzymawszy się, pozdrowił je. W tej chwili wszystkie owieczki, jagniątko i kozły opuściły paszę i przybiegły doń, otoczyły go pierścieniem, dając znaki najwyższej radości. Nawet prości pasterze nie mogli ukryć swego zdziwienia na widok takiego przyjęcia.

Największą jednak radość sprawiała Franciszkowi owieczka, którą mu podarowała pewna pobożna osoba i która w Porcjunkuli była dlań prawdziwą towarzyszką w czasie modlitwy. Nauczył ją tak biegle chwalić Boga, że razem z braćmi uczęszczała do chóru, przed ołtarzem beczała radośnie w zespole z braćmi, na podniesienie podczas ofiary świętej schylała pokornie główkę.

Podobna do tej była inna owieczka, którą Franciszek podarował pewnej pobożnej pani rzymskiej, Jakobinie de Settesoli. Ta była jeszcze pobożniejsza, jeżeli się tak mówić godzi. Gdy się matrona rzymska udawała do kościoła, owieczka postępowała za nią; gdy wracała, i ona wracała. Jeżeli dama rzymska nie wstawiała wczas rano, jagnię ją budziło swem beczeniem i trącało ją łagodnie swemi różkami, dając znać, że godzina służby Bożej nadchodzi. Pani ta mawiała, że owa owieczka jest uczennicą Franciszka i jej nauczycielką.

Jeden bojaźliwy zając tak się przywiązał do Franciszka, że żadną miarą nie chciał go opuścić. A jeden lin, którego mu podarowano, po pewnym czasie przezeń na wolność puszczony, nie chciał odplynać, dopóki go przemocą nie odsunął.

Na wyspie zaś jeziora Trazymeńskiego, gdzie raz Franciszek spędził wielki post, przylgnął doń

jeden królik. Dokądkolwiek Święty się obrócił, tam mu towarzyszył królik. A nie chciał odejść, dopóki mu Franciszek nie udzielił błogosławieństwa.

Zdarzyło się, że jakiś hrabia z Sieny posłał Franciszkowi derkacza, aby Świętemu, podówczas podupadłemu na siłach, z jakąś pożywniejszą potrawą przyjść w pomoc. Franciszek przyjął z radością pięknego ptaka, szepcąc doń czule:

— Bracie derkaczu, powinieneś chwalić naszego Stwórcy!

A ptak zaczął natychmiast wtórować biciem skrzydeł.

— Trzeba wybadać — ciągnął dalej Franciszek — czy nasz braciszek chce pozostać z nami, czy też woli wrócić do swych lasów.

I rozkazał, aby ptaka wyniesiono do winnicy. Lecz ptak wrócił zaraz. Rozkazał ponownie, aby go zanesiono dalej. Ale ptak znowu wrócił i to chyżej od tego, który go odnosił. Przybiegł do celi Franciszka i schował się pod habit furtjana. Franciszek ujął tedy wiernego ptaka i głaszcząc go, mówił mu słodkie słowa. Potem rozkazał, aby mu przyniesiono jeść.

Zmyślność ptaka bardzo się podobała lekarzowi klasztornemu, więc mu go dano w upominku. Widocznie nie podobało się to jednak ptakowi, gdyż posmutniał; a gdy mu lekarz podawał pożywienie, nie chciał go tknąć. Zanesiono go więc zpowrotem do klasztoru. Piórka zaświeciły ptakowi dawnymi świetnymi barwami z radości, gdy spojrział przeciągle w oczy swego ojca i brata Franciszka z Asyżu. Poczem zabrał się skwapliwie do jedzenia.

Inny wypadek zaszedł ze szczebiotką w Porcjunkuli. Ta ptaszyna wybrała sobie drzewo, ros-

naące blisko celi Franciszka dla swych koncertów. Pewnego dnia podszedł Franciszek pod drzewo i wyciągnawszy dłoń, rzekł:

— Droga siostró, pójdź do mnie.

Natychmiast frunęła mu posłusznie na rękę. A on przemówił znowu:

— Śpiewaj, siostró! Chwał Pana swojego śpiewem radosnym.

Szczebiotka poczęła śpiewać dopóty, dopóki jej za piękny śpiew nie pochwalił. Przez cały tydzień przychodził codziennie do niej, biorąc ją w rękę i każąc jej śpiewać. Wkońcu jednak rzekł Franciszek do swojego towarzysza:

— Wypuśćmy naszą siostrę na wolność, aby się duch nasz nie wzbiał w pychę i próżność.

Szczebiotka odleciała posłuszna i więcej nie wróciła.

Im doskonalsze, jak się rzekło, były ustroje świata zwierzęcego, tem tkliwsza była miłość Franciszka dla nich, a one tem wyraźniejsze dawały znaki wzajemności. Ale i zwierzęta drapieżne nie były wyjęte z pod tego wpływu.

Kiedy Franciszek przebywał na górze Alwer-nji, rozrzewnił go pewnego wieczora swym cudnym śpiewem kanarek. Przywołał tedy do siebie brata Leona i rzekł:

— Bracie Leonie, zawtóruj kanarkowi! Zobaczymy, kto lepiej śpiewa.

Lecz Leon, który nie miał wcale pięknego głosu, wymówił się. Więc Franciszek zawtórował kanarkowi. I obydwaj śpiewali do późnej nocy, jakby szli w zawody. Przemógł jednak kanarek. Franciszek wtedy zaprzestał i zawoławszy na ptaka, który natychmiast zleciał na jego dłoń, jął go pieścić i rzekł do brata Leona:

— Teraz dajmy naszemu bratu kanarkowi jeść, bo na to więcej ode mnie zasłużył.

Kanarek zjadł kilka okruszyn chleba z rąk Franciszka i wkońcu pobłogosławiony odleciał.

Na tem samem miejscu, bezpośrednio przed otrzymaniem blizn zawiązała się przyjaźń pomiędzy Franciszkiem i jednym sokołem. Dzięki ten ptak tak dalece się przywiązał do ojca serafickiego, że stał się prawie jego służącym. W nocy budził Franciszka właśnie w tych godzinach, w których ów zwykł był wstawać na służbę Bożą. Jeżeli jednak Święty cierpiał więcej i potrzebował spokoju, ptak go nie budził w nocy, tylko nad ranem. Przytem głos ptaka, z natury nieprzyjemny, przy tej sposobności bywał łagodniejszy i prawie czuły.

Nie byłaby zupełną fizjognomja Franciszka z Asyżu, gdyby z jego żywota chciano wykreślić zajście z bratem wilkiem. Cokolwiekby można przytoczyć przeciw prawdziwości zdarzenia jako takiego, sama jednak opowieść tej perły średnio-wiecznej literatury franciszkańskiej przystaje cudnie do słodkiej twarzy Biedaczka z Asyżu, wzięta zwłaszcza w znaczeniu przenośnem.

Właśnie w tym czasie, w którym św. Franciszek przebywał w miasteczku Agobio, zjawił się w tej okolicy nader wielki wilk, straszny i dziki, który nietylko zwierzęta pożerał, ale i ludzi. Wszyscy obywatele żyli w wielkiej trwodze, bo wilk się zjawiał nieraz przed samemi bramami miasteczka. Wychodząc, zapopatrywali się w broń, jakoby się na wojnę wybierali; ale trwoga przed wilkiem tak dalece przemagała, że wkońcu nikt nie śmiał z miasta wychylić głowy. Św. Franciszek, litując się nad ludnością, postanowił iść na spotkanie wilka, jakkolwiek mu mieszkańcy odradzali; lecz on, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poszedł ze swymi towarzyszami, w Bogu jedynie pokładając ufność. A nie będąc pewnym, czy inni pójdą

za nim, sam się wybrał w kierunku domniemanego legowiska wilczego.

Lecz wilk nie czekał; wnet bowiem ujrzał widzowie zdaleka pędzącego wilka z otwartą paszczą wprost na Franciszka. Ten jednak bez trwogi postępował dalej, przywołał nawet wilka do siebie i rzekł:

— Chodź tu, bracie wilku. Rozkazuję ci w imię Chrystusa, żebyś mi mnie ni komu innemu nic złego nie zrobił!

Dziwna rzecz! Zaledwie Franciszek uczynił znak krzyża, zaraz srogi wilk zamknął paszczę i przystanął. Potem wedle rozkazu podszedł pokornie jak jagniątko i położył się u stóp św. Franciszka. A on tak do niego mówić począł:

— Bracie wilku, wyrządzasz wiele szkód w tej okolicy i popełniasz wielkie zbrodnie, raniąc i zabijając stworzenia Boże bez pozwolenia Boga. I nietylko zabijasz i pożerasz zwierzęta, ale śmiesz nawet zabijać ludzi stworzonych na obraz Boży. Dlatego zasługujesz na szubienicę jako złodziej i morderca najgorszy; a wszyscy szczują przeciw tobie, i okolica cała jest ci wrogą. Ale ja chcę, bracie wilku, pokój zawrzeć pomiędzy tobą i nimi, pod warunkiem, abyś im więcej szkód nie robił; a oni ci wybaczą wszystko i ani ludzie, ani psy nie będą cię odtąd prześladować.

Po tych słowach wilk dawał znać poruszeniami ciała, ogona i ocz i potakiwaniem głowy, że się zgadza na to, co Franciszek mówił, i że chce wykonać warunki. Franciszek tedy powtórzył:

— Bracie wilku, ponieważ chcesz zawrzeć i zachować ten spokój, ja ci obiecuję, że ci każę dać wystarczające utrzymanie, dopóki będziesz żył, abyś głodu nie cierpiał. Wiem bowiem dobrze, żeś tylko z głodu tyle nabroił. Ale robiąc ci tę łaskę, chcę, bracie wilku, abyś mi przyobiecał, że odtąd żadnemu człowiekowi ani zwierzęciu szkodzić nie będziesz. Obiecujesz mi to?

A wilk spuścił głowę, dając oczywisty znak, że obiecuje. Ale Franciszek nastawał dalej:

— Bracie wilku, chcę abyś mi dał poręczenie tej obietnicy, żebym ci mógł ufać.

I wyciągnął Franciszek rękę w celu poręki wilczej, a wilk podniósł prawą łapę i położył ją łagodnie

na dłoń Franciszka, dając tym sposobem dowód swej dobrej wiary. Św. Franciszek zaś ciągnął dalej:

— Bracie wilku, w imię Chrystusa rozkazuję ci, abys teraz poszedł ze mną zapieczętować ten pokój, zawarty w imię Boże, nic nie podejrzewając.

Wilku posłuszny jak jagnię poszedł z nim; a mieszkańcy, patrząc na tę scenę, nie mogli wyjść z podziwienia. To też rzecz rozniosła się prędko po mieście i wszystko garnie się na rynek, aby zobaczyć Franciszka z wilkiem. Ponieważ było mnóstwo zgromadzonego ludu, więc Franciszek powstał, aby głosić słowo Boże, mówiąc pomiędzy innymi, jako Bóg za grzechy pozwala na takie nieszczęścia i plagi. I niebezpieczniejszy daleko jest — mówił — ogień piekielny, trwać mający przez całą wieczność, aniżeli złość wilka, który tylko ciało zabić może. O ileż więcej obawiać się należy paszczy piekła, skoro tak wiele ludzi przerazić potrafi paszcza małego zwierzęcia! Nawróćcie się tedy, najmilsi, do Boga i czyńcie pokutę za grzechy, a Bóg was wyzwoli od wilka w tem życiu, a w tamtem od ognia piekielnego.

A ukończywszy kazanie, mówił tak św. Franciszek:

— Słuchajcie, bracia moi. Tu obecny brat wilk obiecał mi i dał poręczenie, że chce z wami żyć w pokoju i w niczem was nie ukrzywdzić. Wy zaś przyrzeczcie mu, że mu dacie wszystko, co potrzebuje; a ja będę poręczycielem, że on warunków ściśle przestrzegać będzie.

I zaraz cała ludność jednogłośnie przyrzekła, że go będzie zawsze żywić. Więc Franciszek rzekł wobec wszystkich do wilka:

— A ty, bracie wilku, przyrzekasz wypełnić warunki przymierza, mianowicie, że nie wyrządzisz żadnej krzywdy ni ludziom, ni zwierzętom, ni stworzeniu żadnemu?

Wilku uklęknął i pochylił głowę. I poruszając łagodnie ciałem, ogonem i uszami, dawał znać, o ile to było dlań możliwe, że zachowa wszystkie warunki. A św. Franciszek mówił dalej:

— Bracie wilku, chcę, abys mi dał, jak to poprzednio uczyniłeś poza bramą, poręczenie twojej obietnicy, że mnie nie zawiedziesz.

Wtedy wilk podniósł łapę prawą i włożył ją w rękę Franciszka. Z tego i ze wszystkich innych

zdarzeń było wiele radości pomiędzy ludnością. Podziwiano pobożność świętego, nowość cudu i łagodność wilka, chwalać Boga, który im przysłał św. Franciszka i przez jego zasługi wyzwolił ich od paszczy dzikiego zwierzęcia.

Rzeczony wilk zaś żył jeszcze dwa lata w Agobio i wchodził swobodnie do domów, nie czyniąc nikomu nic złego, ani też nie doznawając od nikogo żadnej krzywdy. Żywiono go troskliwie, a gdy chodził od domu do domu, nawet psy nań nie szczekały. Wkońcu po dwóch latach brat wilk zdechł, z czego ludność wielce się smuciła; bo widząc go tak spokojnie chodzącego po mieście, przypominała sobie lepiej cnotę i świętość św. Franciszka.

Kto przez całe życie swoje żywił dla natury najtkliwszą miłość, i komu ona płaciła wzajemną miłością, tam wypadało, aby tej miłości wzajemnej pozostał jakiś ślad niezatarty, jakiś okrzyk serca, wydobywający się z piersi ludzkiej w kształcie hymnu na cześć Stwórcy, widomego w dziełach przyrody. Ongi wydobył się taki hymn z pieca babilońskiego, gdy na ustach trzech młodzieniaszków urósł śpiew, błogosławiący żywiołom natury i władzom człowieka. Franciszek z Asyżu zanucił taki hymn i ku radości świata serafickiego przekazał go za pośrednictwem swych towarzyszy na piśmie potomności.

Rozległ się tedy nad spoczywającą w kołysce poezją włoską łagodny śpiew Biedaczka z Asyżu w hymnie na cześć braciszka słońca, czyli w pieśni o stworzeniach. W tę spójnię niewidzialną, która łączy istoty ludzkie nieba, ziemi, czyśćca, i która się obcowaniem Świętych nazywa, włączył Franciszek i te stworzenia, które są niższe od człowieka. U podnóża Boga żywego złożył w ofierze jako kapłan i tłumacz wszechstworzenia całą przyrodę. A w tym śpiewie wzniosłym nie formą, ale treścią polyskiwał promień słońca,

z niego się wydobywała słodycz roziskrzonych gwiazdami nocy południowej, przezeń wiał letni wietrzyk raju ziemskiego Umbrji, od niego szedł wdzięk tej ziemi błogosławionej i jej żywiołów, która się wiecznie zdobi zielenią, kwiatem, owocem. Nad odmętym ówczesnego świata rozległo się po raz wtóry od czasów gwiazdy betleemskiej pienie anielskie: Pokój ludziom dobrej woli!

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie!
Twoje są chwała i sława i cześć i błogosławieństwo;
Tobie jednemu najwyższemu przynależą,
I nie jest człowiek godzien wspominać twego Imienia.

Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkimi twory,
W szczególności z panem braciszkiem słońcem,
Które dzień niesie i sobą nam świeci,
Jest piękne, jasne i roznieca blask wielki,
I twem, o Najwyższy, jest wyobrażeniem.

Bądź pochwalony, Panie mój, przez braci naszych:
[miesiąc i gwiazdy,
Któreś na niebie umieścił jasne i cenne i piękne.
Bądź pochwalony, Panie mój, przez braciszka wiatr,
Przez powietrze i przez czas chmurny i pogodny
[i jakikolwiek inny,
Które mi wszystkim stworzeniom dajesz pokrzepienie.

Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę wodę,
Która jest wielce użyteczna i pokorna i cenna i czysta.

Bądź pochwalony, Panie mój przez braciszka ogień,
Którym rozjaśnia się noc
I który jest urodzony i krzepki i mocny.
Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę ziemię,
Która nas utrzymuje i żywi
I wydaje przeróżne owoce i kwiaty barwne i zioła.

Bądź pochwalony, Panie, przez tych, którzy przeba-
[czają dla twej miłości
I znoszą niemoc i uciski.
Błogosławieni, którzy trwają w pokoju,
Gdyż od Ciebie, o Najwyższy, będą ukoronowani.

Bądź pozdrowiony, Panie, przez siostrę naszą śmierć
[cielesną,

Której żaden człowiek ujść nie może.

Biada tym, którzy konają w grzechu śmiertelnym!

Błogosławieni ci, którzy się znajdują w twojej świętej
[woli,

Gdyż wtóra śmierć nie wyrządzi im szkody.

Chwalcie i błogosławcie Pana, dziękujcie

I służcie Mu w wielkiej pokorze.

I pocóż wobec tej pieśni szukać przyczyn, dla których przyroda Franciszka była posłuszna i kochała go! Miłości nic oprzeć się nie potrafi. Kochał stworzenia Franciszek, więc i one go kochały i wolę jego pełniły. Człowiek zwyrodniały może zawieść, może za miłość nienawiścią płacić; zwierzę, czujące tak samo jak człowiek, nie zawiedzie, nie będzie płaciło srogością, gdy się raz przywiąże do tego, kto prawdziwie i ciągle kocha.

Gdy zwierzęta się wpatrzyły w święte oczy Franciszka, zdawało im się, że pomiędzy nie wstąpił człowiek pierwszy w swej niewinności pierwotnej, który był ojcem, kapłanem, panem stworzenia. Były mu posłuszne tem chętniej, im rzadziej zjawia się na zrotpaczonej ziemi Serafin dobroci.

ROZDZIAŁ XIII.

Miłośnik bliźniego.

Jakżeby nie kochał bliźniego, kto kocha całą naturę! Człowiek jest koroną stworzenia; dla człowieka podał się Bóg-Człowiek na drzewo krzyżowe. Czy Franciszek kochał bliźniego! On, który wszystkie stworzenia nazywał swoimi braćmi i siostrami, sam był najlepszym bratem wszystkich ludzi. Wszystko byłby oddał bliźniemu. Kochał swoich braci, jak brat kocha brata, jak ojciec syna, przełożony podwładnego.

Niemniej kochał ludzi cierpiących, chorych, ubogich prześladowanych, maluczkich. Sam stał się z miłości dla nich najmniejszym i najuboższym z ludzi. Wystrzegał się gorliwie, aby niczem nie zasmucić chorych dobrego Boga, jak zwykł był mawiać.

I grzeszników otaczał swoją miłością. Franciszek umiał dostrzec nieomylnie te spójnie, łączące człowieka z człowiekiem, i z nich skorzystać umiejętnie, aby na wątku tych spójni nawrócić grzeszników do pokuty. Pomiedzy świętymi—świętszy, on, miłośnik grzeszników, był między grzesznikami jakoby jednym z nich.

Nie przestawał do nieba wznosić rąk za braci swoich, aby z nich wyrosli prawdziwi Izraelici.

O sobie często zapominał, o bliźnim nigdy nie zapominał. Słał się u majestatu Bożego i ofiarę ducha składał za swych braci; Boga nieomal zmuszał do dobrodziejstw. Małą trzódkę, którą koło siebie zgromadził, kochał prawie z trwogą, aby po utracie świata nie utraciła nieba. Mniemał, że sam chwały nie zyszcze, jeżeli swoich braci razem ze sobą do chwały nie poprowadzi: swoich braci, których jego duch boleśniej zrodził, aniżeli wnętrzości matek ich zrodziły.

Gdy Franciszka dochodziła czasem wieść, że jego bracia żyją w miłości braterskiej, a przy najwyższem ubóstwie oddają się i rozmyślanii i pracy, jedno z drugim przepięknie i użytecznie splatając, serce jego nie posiadało się z radości. Popadał w zachwyt, a z jego ust wychodziła najżarliwsza modlitwa wdzięczności do Boga, który uświęca ubożuchnych i nimi kieruje.

Raz przybyło do Franciszka dwóch świątobliwych braci aż z Francji. Z tem większą radością go powitali, że od dłuższego czasu serdecznie pragnęli go zobaczyć. Wkońcu po braterskiem przyjęciu i słodkich rozmowach, nie wiedząc jakiej pamiątki pobożnej zażądać, poprosili go o tunikę. Franciszek zdjął bezzwłocznie tunikę i zostawszy nagi, oddał im ją litościwie. Wzamian zaś przyjął od nich inną, bardziej zużytą, i wdział ją pobożnie. Ależ on byłby oddał nie tylko tunikę, ale nadto samego siebie!

Ta miłość bliźniego, którą Franciszek stwierdzał uczynkami, nie znała różnicy ludzi. Czy to u swoich braci czy u kogokolwiek spostrzegł jaką potrzebę, oddawał im natychmiast, co mógł i co miał pod ręką.

Nieraz spotykając ludzi ubogich, niosących ciężar, sam podstawił swe słabe ramionka, pomagając im nieść.

Raz podczas srogiej zimy, idąc do wioski Celano, do biskupa Marsicano, Franciszek przyodział się w kawałek sukna, złożonego w kształcie płaszcza, którego mu był pożyczył pewien dobrodziej braci, imieniem Tiburtinus. Gdy bawił w pałacu biskupa, podeszła doń jakaś staruszka, prosząc o jałmużnę. Nie namyślając się, zdjął ze siebie sukno i oddał staruszce, mówiąc:

— Idź, zrób sobie suknię, bo potrzebujesz!

Staruszka uradowana przyjęła i śpiesznie udała się do domu, aby pokrajać sukno i uszyć z niego suknię. Niestety, biedaczka przekonała się, że sukno nie wystarcza. Wróciła tedy do Franciszka, prosząc o dalsze wspomóżenie. Franciszek zwrócił oczy na towarzysza swojego, mającego także kawałek sukna na sobie, i rzekł doń:

— Słyszysz, bracie, co ta staruszka mówi? Dla miłości Bożej znośmy zimno, ale kobiecie podaj twoje sukno.

Oddał i uczeń, skoro dał mistrz. Obydwaj zostali bez pokrycia wierzchniego, aby okryć staruszkę.

Podobny wypadek zdarzył się w tym czasie, kiedy Franciszek wracał z Sieny. Spostrzegłszy przed sobą uboższego, rzekł do towarzysza:

— Bracie, trzeba temu ubogiemu oddać płaszcz, bo do niego należy. Pożyczaliśmy go tylko dotąd, dopóki nie znajdziemy człowieka od nas uboższego.

Towarzysz wahał się, bo widział wielką biedę swojego ojca. Ale ten zauważył:

— Nie chcę być złodziejem. O kradzieży nas posądzono, gdybyśmy go nie dali bardziej potrzebującemu.

Uczeń zaprzestał się wahać, a mistrz oddał.

Zupełnie to samo było w Celli blisko Kortony. Miał na sobie Franciszek nowiuteńki płaszcz, na który bracia dość długo i gorliwie zbierać musieli jałmużnę. Nadszedł przypadkiem jakiś człowiek ubogi, opłakujący zgon żony i nędzę rodziny. Odezwał się doń Franciszek:

— Dla miłości Bożej daruję ci ten płaszcz pod warunkiem, że go nie oddasz nikomu, chyba żeby ci zań sownie zapłacono.

Jednakże gdy się bracia o tem dowiedzieli, zbiegli się wszyscy, aby darowiznie przeszkodzić i płaszcz odebrać. Ale ubogi człowiek, czytając w twarzy Franciszka zachętę do oporu, bronił płaszcz mocno własnymi rękami. Skończyło się na tem, że odebrano płaszcz, a ubogiemu dano inne wynagrodzenie.

Trudnoby było skończyć, chcąc przytoczyć wszystkie podobne wypadki jego czynnej miłości bliźniego. Choćby o jednym jeszcze godzi się wspomnieć.

Dnia jednego napotkał Franciszek w okolicy Perugji pewnego człowieka ubogiego, którego jeszcze zdawna znał na świecie. Rzekł tedy doń:

— Bracie, jakże ci się powodzi?

Ów jednak jał przeklinać swego chlebobawcę, który go ze wszystkiego wyzuł, i mówił:

— Wina to mojego pana — niech go Bóg wszechmocny przeklnie! — że mi się ciągle źle powodzi.

Franciszek uczuł litość więcej nad duszą niż nad ciałem tego człowieka, pałającego śmiertelną nienawiścią. Rzekł więc do niego:

— Bracie, nie pamiętaj tego twemu panu dla miłości Bożej, abyś duszę swą zbawił; a może być, że on ci wróci, w czem cię skrzywdził; bo łatwoby się stać mogło, że straciwszy własność, i duszę stracisz.

— Nie mogę — odparł tamten — w żaden sposób przebaczyć, chyba, że mi wprzód odda mienie.

Błogosławiony Franciszek tedy, podając mu płaszcz, który właśnie miał na sobie, rzekł:

— Oto, daję ci ten płaszcz. Proszę cię jednak, odpuść twemu panu dla miłości Pana Boga.

Ułagodzony podarunkiem przyjął płaszcz i odpuścił krzywdę.

Miłości czynnej nikt oprzeć się nie potrafi. Skoro Franciszek kochał swych bliźnich zwłaszcza ubogich i chorych, i oni kochali go wzajemnie. Ci którzy go nigdy nie widzieli, kochali go! Świat ówczesny i wieki przyszłe kochały cały zakon Franciszka miłością niezwykłą, nie z innej przyczyny, tylko z tej, że kochały Franciszka.

Iluż książąt Kościoła lub rycerzy zdejmowało na pewien czas kosztowne szaty i wdziawali pokutnicze lachmany Biedaczka z Asyżu, aby przynajmniej na chwilę odetchnąć atmosferę czystą, otaczającą Franciszka.

Kardynał Hugolin, przyjaciel Franciszka, często przemieniał się w brata mniejszego. Inni nie zadowalali się chwilowem upodobaniem, ale zapisawszy się w szeregi jego synów, do śmierci poczytywali sobie za zaszczyt i łaskę nosić tę ubogą sukienkę. Inni jeszcze pragnęli całe swoje mienie poświęcić na użytek i usługę Franciszka i jego uczniów. Franciszek mógł się dla swej Pani Ubóstwa słusznie obawiać ich natarczywej miłości, przejawiającej się nieograniczoną hojnością.

Matki okazywały swoją miłość pragnieniem, by ich synowie wstępowali w ślady Franciszka. I te kochał on najtkliwiej i najczynniej. Matką swoją nazywał tę niewiastę, która swego syna oddała zakonowi. Mawiał o takiej matce do swych braci:

— Dała nam brata. Czyż nie, jest więc naszą matką?

A one wiedziały o tem dobrze, bo jakżeby serce matki miało nie odczuć miłości! To też jeżeli były biedne, uciekały się do Franciszka z całą swobodą i ufnością.

Raz przyszła do niego jedna z tych biednych, opowiadając mu o swojej biedzie. Franciszek wysłuchał litościwie i wkońcu, zwróciwszy się do brata Piotra, będącego podówczas wikarjuszem zakonu, zapytał:

— Czy możemy co zrobić dla tej biednej matki?

A ów odparł:

— Nie widzę nic, czembyśmy jej pomoc mogli. Wprawdzie mamy tu rękopis Nowego Testamentu, który ma wielką wartość; ale to jest jedyny. A potrzebny nam jest do odmawiania jutrzni, bo innych brewjarzy nie mamy.

Franciszek po chwili namysłu odezwał się:

— Daj naszej matce Nowy Testament! Niech go sprzeda i pokryje swoje potrzeby, bo naszym przykazaniem jest wspomagać biednych. Nie wątpię też, że ta ofiara będzie Bogu przyjemniejsza aniżeli czytanie wszystkich lekcyj jutrzni.

I tak pierwszy w zakonie egzemplarz Testamentu stał się ofiarą miłości Franciszkowej.

Jak dalece kochał Franciszek tych, którzy mu choćby najmniejsze dobrodzieństwo wyświadczyli, dowodzi następujące zdarzenie, samo w sobie

drobne, a jednak rzucające wielkie światło na jego delikatność.

Franciszek bawił raz w Rieti w celu leczenia ócz, na które wielce cierpiał. Lekarz tamtejszy, odwiedzając go codziennie, okazywał mu wielką troskliwość. Rozrzewniło go to przywiązanie lekarza. Rzekł dnia jednego do swych braci:

— Trzeba tego lekarza zaprosić na obiad i zgotować mu dobre przyjęcie.

Ale przełożony klasztoru zauważył:

— Ojcze, jesteśmy w niemiłym położeniu. Trudno zaprosić takiego gościa, skoro nam na wszystkim zbywa.

— Pocóż mam mówić dwa razy? — odparł surowo Franciszek.

A lekarz, który właśnie był obecny, rzekł skromnie:

— Najdrożsi bracia, przecież ja się będę mienił szczęśliwym, gdy będę mógł siedzieć przy waszym ubogim stole.

Zasiedli tedy do stołu, a bracia przynieśli chleb i trochę wina. Wkońcu brat kucharz znalazł jeszcze talerz leguminy dla gościa. Mimo to obiad nie był taki, jakiego sobie Franciszek życzył dla lekarza.

Wtem zgromadzeni słyszą, że ktoś puka we drzwi. Otwierając, spostrzegają niewiastę, która niesie koszyk ze świeżymi winogronami, plastrem miodu, z bielutkim chlebem i rybami. Zdumieni bracia odsuwają swój skromny posiłek i przedkładając dary Opatrzności Bożej, wołając jeden przez drugiego:

— To spożyjemy jutro. Na dzisiaj będziemy jeść to, co nam Opatrzność zesłała.

Wszyscy jęli spożywać w weselu ducha i w miłości wzajemnej dary Boże. A lekarz opuszczając klasztor, odezwał się do braci o ich ojcu:

— Ani wy, bracia, ani my świeccy nie umiemy ocenić świętości tego człowieka, jak się należy.

Franciszek kochał swych bliźnich, bo kochał duszę ludzką i Boga, którego byli obrazem. Kochał swoich braci, bo był ich ojcem. Kochał ubogich, bo widział w nich Chrystusa i swoje ubóstwo; stąd obchodził się z nimi jak z każdym cierpieniem: z łagodnością, uwagą, uszanowaniem, współczuciem. Widział w nich Chrystusa cierpiącego. Ale nadewszystko kochał chorych, pomiędzy którymi jego biedni trędowaci na szczególną miłość zasługiwali. Miłość tem większego podziwienią godna i heroiczna, im większych z jego strony trzeba było wysiłków, aby przewyciężyć swoją naturę, wrażliwą na widok tych nieszczęśliwych istot.

Już wyżej powiedziano, jak ważną rolę w nawróceniu Franciszka odegrali trędowaci. W początku zakonu był szpital trędowatych przy Asyżu prawie stałem jego mieszkaniem. Inne pomieszkania późniejsze musiały leżeć w pobliżu szpitala, aby bracia mieli pod ręką swych przyjaciół. A gdy Franciszek opowiadał w odleglejszych okolicach słowo Boże, nigdy nie opuszczał sposobności odwiedzić ich, gdziekolwiek było ich przytulisko.

Gdy bawił w Rzymie w celu zatwierdzenia pierwszej reguły, a Inocenty III kazał go do siebie przywołać, musiano go długo szukać, aż go znaleziono w szpitalu. Gdziekolwiek zwrócił swoje kroki, wprzód chorym przynosił pociechę, opowiadał o cierpliwości i pielęgnował ich, a nieraz i do zdrowia przywracał.

Św. Franciszek, prawdziwy uczeń Chrystusa, żyjąc na tym nędznym świecie, postanowił ze wszystkich sił naśladować Chrystusa. Stał często się zdarzało za łaską Bożą, że komu on ciało uzdrowił, temu równocześnie Bóg uzdrowił duszę, tak samo jak się czyta o Chrystusie. Dlatego nie tylko on sam służył chętnie trędowatym, ale rozkazał także braciom zakonnym, aby idąc przez świat, pielęgnowali trędowatych dla miłości Chrystusa, który z miłości dla nas chciał być uważany za trędowatego.

Zdarzyło się tedy raz, że bracia usługiwali w szpitalu trędowatych i chorych, w którym znajdował się pewien trędowaty taki niecierpliwy, nieznośny i grubiański, że wszyscy sądzili, że jest opętany. Przeklinał brzydko i bił każdego, kto mu służył, a co więcej, tak bezwstydnie bluźnił Chrystusowi i jego Najśw. Matce, że nie było nikogo, ktoby mógł i chciał mu usługiwać. A jakkolwiek bracia znosili cierpliwie obelgi i grubiaństwa, jednakże, nie mogąc znieść bluźnierstw przeciw Chrystusowi i jego Matce, postanowili wypuścić zupełnie ze swojej opieki rzeczzonego trędowatego. Wprzód jednak chcieli wyłożyć sprawę Franciszkowi, przebywającemu w pobliżu. Na tę wieść wybrał się sam Franciszek do tego przewrotnego trędowatego. A przybywszy, tak go pozdrowił:

— Pokój Pana niech będzie z tobą, bracie najmilszy!

— Co za pokój — odparł trędowaty — może mi dać Bóg, który mi i pokój i wszystko inne wziął, uczyniwszy mnie chorym i cuchnącym!

— Synaczku — rzekł Franciszek — miej cierpliwość, bo choroby ciała zsyła Bóg na ten świat dla dobra duszy. Znoszone cierpliwie przynoszą wielką zasługę.

— Jakże ja mogę znosić cierpliwie to ciągle udęczenie, które mi dniem i nocą dokucza! I nie tylko mnie dręczy choroba, ale gorzej jeszcze ci bracia, których mi dałeś, bo mię nie pielęgnowają, jak powinni.

Wtedy Franciszek, poznawszy przez objawienie, że ten trędowaty jest opętany przez złego ducha, udał się na modlitwę, prosząc zań gorąco Boga. Po skończonej modlitwie powrócił i rzekł do chorego:

— Synu, ja sam cię będę pielęgnował, skoro z innych nie jesteś zadowolony.

— Dobrze — odparł chory — ale cóż lepszego możesz mi ty uczynić od drugich?

— Zrobię wszystko, co będziesz chciał — odpowiedział Franciszek.

— Chcę, abyś mnie całego obmył, bo cuchnę tak dalece, że samego siebie znieść nie mogę.

Kazał tedy Franciszek zaraz zagotować wody z mnóstwem ziół pachnących. Potem rozebrał chorego i własnymi rękami zaczął go myć, podczas kiedy jeden z braci lał na niego wodę. I cudownym sposobem stało się, że tam, gdzie Franciszek rękami dotknął się ciała, zniknął trąd, a ciało pozostało zupełnie zdrowe. I jak ciało poczęło być zdrowem, tak też dusza wyzdrowiała. Trędowaty widząc, że przychodzi do zdrowia, zaczął boleć i żałować za swoje grzechy i płakać gorzko. Podczas kiedy ciało oczyszczało się zewnątrz od trądu zapomocą obmywania, dusza pozbywała się wewnątrz grzechu zapomocą skruchy i łez. Wyzdrowiawszy zupełnie na ciele i duszy, wyznał pokornie swoją winę, mówił głośno:

— Biada mi, zasłużyłem na piekło za te obelgi wyrządzone braciom i za te bluźnierstwa przeciwko Bogu.

Następnie trwał przez dni piętnaście na oplakiwaniu swych grzechów i na błaganii miłosierdzia Bożego. Wkońcu się wyspowiadał. A św. Franciszek widząc wyraźny cud Boży, dziękował Bogu i poszedł w dalekie kraje, bo z pokory chciał uniknąć wszelkiej chwały, szukając we wszystkich swoich uczynkach chwały Bożej, a nie swojej własnej.

I w miłości bliźniego są stopnie. Miłością wielką jest kochać nieprzyjaciół. Miłością heroiczną jest kochać grzeszników, chorych, trędowatych. Piękną miłością jest kochać dobroczyńcę. Ale kochać swych braci jest miłością najtkliwszą. Jeżeli który z braci zapadł na zdrowiu, troskliwość Franciszka równała się miłości macierzyńskiej. Sam mu usługiwał. Najlepsze rzeczy, jakie klasztor posiadał, podawał choremu. Sam nieraz brał biesagi na swoje wątłe ramiona i chodził od drzwi do drzwi, prosząc o mięsiwo dla swych

chorych braci. Ale przytem nie zaniedbywał zachęcać chorych do cierpliwości i poddania się woli Bożej, pokrzepiając ich swem słodkim słowem. Tak dalece chorzy na sercu mu leżeli, że gorąco polecał ich swym braciom, nakazując, by się tak nimi opiekowali, jak sami pragną, aby się o nich troszczono. Do zachowania tego przykazania zaklinał ich najwyższem, jakie istnieje, prawem miłości macierzyńskiej: „Bo jeżeli matka żywi i kocha swojego syna cielesnego, o ileż więcej powinien brat żywić i kochać swojego brata duchowego!“

W miłości dobrych braci Franciszek zachowywał cieniowanie. Bo inną miłością, choć zawsze gorącą, kochał mniej doskonałych, inną braci zewszecmiar doskonałych. Ale i to jest piękną miłością uważać na swych braci i karcić ich i do postępu naglić gdy się w nich spostrzeże jaką plankę. Franciszek wiedział dobrze, że jeżeli codziennie nie będzie nad nimi troskliwie czuwał, nie będą prawdziwymi braćmi Chrystusa.

To też stało się, że on był owem słońcem świętości, które ich ogrzewało i napępniało, aż wreszcie niektórzy z nich tak nim nasiąknęli, że się nim jakoby stawali.

Dla najlepszych braci wkońcu miłość Franciszka równała się zupełnej szczodrości i swobodzie. Dla brata Idziego, którego kochał dla jego nieskazitelnej wierności, był tak szczodry, że mu pozwolił prowadzić żywot tułaczy, czynny prawdziwego rycerza Chrystusowego. A czyż miłością szczodłą nie kochał brata Leona, to jagniątko Boże, którego ciało było najwierniejszym obrazem duszy! Oto własnoręczny list, który brat Leon otrzymał od Franciszka:

„Bracie Leonie, brat Franciszek twój pozdrowienie śle ci i pokój.

Mówię ci tak, synu mój, jako matka; bo tem słowem rozporządzam i radzę o wszystkim, o czemśmy w drodze krótko mówili. A jeżeli chcesz, synu, przyjść do mnie radzić się, przyjdź; i którykolwiek sposób będzie ci się zdawał Bogu przyjemnym, aby postępować jego śladami i żyć w ubóstwie jego, wykonajcie go z błogosławieństwem Bożem i moim rozkazem. Ale jeżeli za konieczne uważasz dla duszy swojej albo dla innej jakiej pociechy i chcesz, Leonie, przyjść do mnie, przyjdź“.

Wszyscy pragnęli zbliżyć się do takiej miłości i przy niej ogrzać. Kto z braci swego ojca nie widział, ten wzdychał za nim i za tą szczęśliwą chwilą. Nieraz odbywali długie podróże z odległych krajów, aby się tylko jego widokiem pokrzepić i wrócić z jego miłością i błogosławieństwem.

Raz zdarzyło się, że właśnie w tym celu przybyło zdaleka dwóch braci do Greccio. Niestety, były to dni, w których Franciszek żył jedynie w modlitwie i rozmyślaniu w zupełnem odosobnieniu. Biedni bracia musieli wracać z niczem. Lecz niewiadomo, jakim sposobem dowiedział się Franciszek o ich przybyciu; otwarło się okienko celi Franciszka, a do ich uszu doszedł jego łagodny głos:

— Bracia, popatrzcie na mnie!

A oni spojrzeli w jego dobre oblicze i uklękawszy, otrzymali błogosławieństwo.

To okienko, z którego wyglądała dusza Franciszka, i serca tych dwóch braci, w których zamieszkała jego miłość, to widok tak piękny, że o wszystkim można zapomnieć, ale nigdy o takim obcowaniu dusz.

I złych braci umiał Franciszek kochać, ale w inny sposób. Umiał uprzedzić upadek swych braci. Upominał ostro, karmił i strofował nieraz. Uderzał bez miłosierdzia w lenistwo, w oszczerstwo, w zły przykład.

O lenistwie mawiał, że jest źródłem wszystkiego zła. Z niego płyną przewrotne myśli; ono rozpuszcza złe języki jak bicze. Dodawał, że bratinniejszy leniwy, żyjąc z jałmużny, jest niesprawiedliwym, ciężarem, złodziejem; że jest bezczelny, żyjąc z potu ubogich, podczas kiedy na świecie byłby musiał w pocie czoła zarabiać na chleb. Trutniami i braćmi muchami nazywał takich i nie chciał ich mieć w swojej rodzinie.

Nie można powiedzieć, że Franciszek nie kochał oszczerców, skoro kochał wszystkich grzeszników. Jeżeli ich strofował, jeżeli nienawidził obmowy, to właśnie dowodziło, że kochał nawet takich braci; bo ich chciał powstrzymać od tego zła, będącego rakiem rodzin zakonnych. Stąd starał się wszelkimi sposobami wykorzeńić ów jad, ciekący po językach i ustach, przedstawiając takich braci jako bezczynnych, niebezpiecznych faryzeuszów w najczarniejszych barwach, na jakie tylko jego język małowiczny mógł się zdobyć.

Lecz miłość jego podnosiła się do najwyższego heroizmu, gdy patrzeć musiał na zły przykład. Najokrutniejszy ból przeszywał mu wtedy serce. Głęboko wzdychając, mawiał:

— Ranią mię nożem i jeszcze nim w ranie obracają!

Ręce załamywał, lzy gorzkie ronił i błagalne modlitwy słał do Boga, by się zły przykład nie krzewił i nie niszczył tego dzieła, które Bóg przezeń zbudował. Jego natura, w swej łagodności

i miłości żywa i energiczna, karała ostro tych braci, którzy swym złym przykładem siali zgorzenie.

A gdy, niestety, w późniejszych latach zgorzenie kielkować poczęło, rzucił na wszystkich gorszycieli — on łagodny i pokorny — przerażającą przekleństwo, jak na dobrych rozciągnął błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ XIV.

Pierwsze próby podbojów powszechnych.

(1212—1213.)

Dzieje życia zakonnego, snującego się od pokutników Tebaidy i Atosu aż do wielkiego Bernarda Klarewaleńskiego, odnowiciela zasad zakonnych św. Benedykta z Nursji, zdążyły do dwóch celów: do pokuty i do uświęcenia osobistego zakonników. Jedno i drugie dokonywało się zdala od wrzawy świata w głębokiej samotności. Pokutnicy ci nie mieli żadnej styczności ze swymi braćmi pozostającymi w świecie, przynajmniej styczności bezpośredniej. Jeżeli ich i uświęcenie świata obchodziło, to wyrażali to modlitwą, przykładem; stycznością bezpośrednią — wyjątkowo tylko i chwilowo.

Franciszek z Asyżu zmienił zupełnie postać rzeczy. Wplótł on w dzieje życia zakonnego dwie nowe róże: zupełne ubóstwo i zupełne oddanie się światu. Nie zerwał z przeszłością; uzupełnił tylko jej braki, dodawszy to, z czego wynikała i potęga i miłość i poezja.

A nie był przytem ani głębokim myślicielem ani zawodowym reformatorem. Biedaczkiem był nieumiejętnym, ubogim, wzgardzonym. A jednak

sprowadził przewrót radykalny i w dziejach życia zakonnego i w poziomie etycznym społeczeństwa. Przyszło to prawie samo ze siebie. Wyplęło to z Chrystusa; albowiem Chrystus był tym talizmanem, który Biedaczka wszystkiego nauczył. Gdy się Franciszek jał pilnie wpatrywać w Boskie rysy Nazarejczyka, wyczytał tam i ubóstwo zupełne, i zupełne oddanie się światu z dodatkiem tych wszystkich owoców, które rosną na lodydze prawdy, żywota, drogi.

Wprzód wyczytał ubóstwo, bo to było widoczniejsze. I wnet stał się Franciszek najuboższym z ubogich; bo nie był on człowiekiem, który się tylko zachwyca i tonie w bezowocnej kontemplacji. Co raz ujrzał i wyczytał w swoim pierwowzorze, to też z niezachwianą stałością wykonywał. Lecz zagłębiając się więcej w tem niezgłębionem obliczu miłości swojego mistrza Boskiego, spostrzegł i zupełne oddanie się światu. Więc pragnąc posiadać w sobie całego Chrystusa, postanowił oddać się bliźnim na usługę, opowiadać im dobrą nowinę, o której zapomniano, wznieść gmach miłości nad głową ludzkości.

Zupełne ubóstwo przemieniło go w nowego pokutnika. A ponieważ w imię ubóstwa zyskał uczniów i naśladowców, którzy się z nim połączyli w jedną rodzinę, więc toż samo ubóstwo przekształciło go również w nowego zakonodawcę.

A tu jeszcze zupełne oddanie się światu! Tedy z Biedaczka wyrasta nowy apostoł; bo to nie marne u Franciszka słowo: oddać się światu. On idzie w szeregi trędowatych, którymi się świat brzydzi. Zapuszcza się w nory zbójców, wołając na nich: Bracia rozbójnicy, wyjdźcie ku nam ponieważ braćmi jesteśmy, niesiemy wam dobry

chleb i dobre wino. Opowiada ludowi całemu. Uczy słowem i przykładem biskupów i kardynałów. Uśmierza waśnie rodzin i miast. Dwory książęce i pałace baronów rozbrzmiewają dawno zapomnianą nauką, którą Nazarejczyk przyniósł światu z miłością dla świata.

Wyrasta tedy z Biedaczka pod różdżką czarodziejską Chrystusa nie tylko nowy apostoł, ale i nowy reformator społeczeństwa.

Potem jeszcze rycerskie średnie wieki dodadzą swą woń, a wyrośnie zeń rycerz, który swoich współtowarzyszy, rycerzy od Okrągłego Stołu, wyśle na podbicie świata słowem i pieśnią. Natura umbryjska położy na Franciszku swój czar, a nowy poeta i śpiewak Boży nastroi do pieśni lirę nowożytną.

A gdy wkońcu ów Biedaczek wstąpi na skałę samotną Alwernji i gdy mu serce wzbierze taką miłością Chrystusową, jakiej nie widział świat, tedy świat podniesie wzrok na ową skałę i ujrzy — nowego Chrystusa!

Oto, do czego w wieku trzynastym doprowadziło zupełne naśladowanie Chrystusa. Biedaczek z Asyżu oddał najzupełniej Chrystusa na tle swoich czasów. Nawet dzisiaj łatwiej jest wznieść się do Chrystusa przez tego Biedaczka.

Nie są to cuda, a jednak cuda.

To oddanie się zupełnie światu przejawiało się już w poprzednich podróżach apostołskich Franciszka. Ale w całej pełni rozwinęło się dopiero w lecie roku 1212.

Daty mu pożywienie pełne doniosłości wypadki, które się dokonywały na Wschodzie na ostrzu krzywych szabel Saracenów i mieczów chrześcijańskich rycerzy krzyża. Już od stu przeszło lat wypełniała się Europa i Azja szczękiem

oręża ludów i rycerzy, ciągnących w skwarne pustyni Syrii, aby oswobodzić grób Zbawiciela z rąk mahometańskich. Szło o obronę wiary, o honor Chrystusa. A tam na Wschodzie wrzała ciągle walka. Właśnie w roku 1210 święte miasto syjońskie z grobem świętym przeszło ponownie w ręce chrześcijańskie. Jan z Brieny, rycerz francuski, został okrzyknięty królem jerozolimskim. Oczy całej Europy były wciąż zwrócone na szalone zapasy dwóch potężnych przeciwników w Syrii.

I Biedaczek z Asyżu był rycerzem. Choć najuboższy i najpokorniejszy, nie mógł się jednak pozbyć tego uczucia rycerskiego, które się rwało do wielkich wypraw i wspaniałych przedsięwzięć. Nie byłby wiernym synem swojego wieku, gdyby nie był pozostał i truverem i rycerzem.

Zresztą tu szło o Chrystusa, któremu zawierzyl Franciszek i który był jego drogą i mistrzem. Nie naśladowałby wiernie swojego pierwowzoru, gdyby się Franciszek w duchu nie przejął tą walką, toczącą się na krańcach Europy i w Syrii.

On nawet sam iść musi w te odległe kraje, aby brać udział we wrzawie bojowej. Nikt nie śmie powiedzieć, że Franciszek, postanowiwszy iść śladami ewangelji Chrystusa, jest małoduszny. Bo oto tam się leje strumieniami krew ludzka, którą Chrystus swoją śmiercią odkupił. Czyż on ma godzić tylko poważnione rodziny i miasta włoskie? On pójdzie pomiędzy wojska walczące, rzuci się na ich krwią ociekłe miecze i zaklnie ich w imię Chrystusa, aby walki zaprzestały i pokój zawarły.

Oto łagodnemu słowu Chrystusa, które zabrzmiało na ustach Franciszka, nie mogły się oprzeć srogie zbóje z Monte Casale. A nużby Biedaczek z Asyżu poszedł z tem samem słowem

pokoju do Saracenów! Nużby się przedarł do podwoi samego sultana i jał mu opowiadać ewangelję w całej jej czystości i prawości! Czyżby się nie mogło zdarzyć, że się nawróci, że się niewierni nawracać będą całemi szeregami? Poco wylewać krew, skoro jedno słowo może osiągnąć daleko lepszy i zbawienniejszy skutek? Oto przedsięwzięcie rycerskie! Zadanie godne naśladowcy Chrystusa!

A jeżeli się to nie zdarzy, jeżeli miasto pojednania wrogów zaciekłych raczej śmierci męczeńską za głoszenie ewangelji go spotka, tem lepiej. Jakiż jeszcze może dla Franciszka istnieć piękniejszy i wznioślejszy ideał nad przelanie swojej krwi za naukę i za Tego, który z miłości dla ludzi położył się dobrowolnie jako Baranek na drzewie krzyżowym!

A ponieważ czyn postępował u Franciszka za myślą, jak grzmot idzie za błyskawicą, więc bezwzględnie jał się stroić do rycerskiego przedsięwzięcia.

Na coroczną kapitułę świąteczną r. 1212 zgromadził w Porcjunkuli swoich braci, objawił im swoje postanowienie i pozostawił swoim zastępcą i wikariuszem brata Piotra Catani. Wkońcu zachęciwszy braci do zgody i uległości, puścił się w drogę z jednym tylko towarzyszem.

Przybył do Ankony, skąd miała odbyć się dal-sza podróż morzem. Wsiadłszy na okręt, wypłynął z ufnością w pomoc Bożą na pełne morze. Ale morze Adryatyckie, które zwłaszcza w jesieni jest nader niespokojne, nie zwiastowało pomyślnej podróży. Po kilku dniach niespokojnych zerwała się szalona burza, miotająca zawzięcie okrętem przez kilka godzin. Wkońcu pewnej ciemnej nocy okręt uderzył o skaliste wybrzeża Dalmacji i nieomal

się rozbił, a podróżni ujść mogli zaledwie z życiem. Podróż dalsza na Wschód stała się niemożliwą.

Franciszek przekonał się, że tym razem nie może wykonać zamiaru. Nie tracił jednak ducha i w czasie tych kilku dni, w których czekać musiał na nowy okręt, wracający do ojczyzny, opowiadał gorliwie słowo Boże tubylcom.

Tymczasem przybył okręt, mający go przewieźć napowrót do Ankony, więc Franciszek udał się do kapitana z prośbą, aby go zabrał ze sobą. Ów jednak odmówił, albowiem Biedaczek nie miał czem zapłacić przewozu. Ale wkońcu znalazł się pewien litościwy majtek, który Franciszka z towarzyszem wprowadził na okręt i ukrył go pod pokładem okrętowym, gdzie umieszczone były konie. Tenże majtek wniósł na okręt wszystką żywność, w którą Franciszka zaopatrzyli bardzo obficie dobrzy mieszkańcy wybrzeża.

Okręt podniósł kotwicę i rozwinął żagle. Jednakże i podróż powrotna nie zapowiadała się pomyślnie. Zaledwie bowiem wypłynęli na rozkołysane morze, zerwała się silna burza, rzucająca przez kilka dni okrętem i opóźniająca przybycie do przystani ankonitańskiej.

Gorzej, po kilku dniach rozpaczliwej walki z żywiołem zabrakło załodze okrętowej żywności. Franciszek, dowiedziawszy się o tem, wyszedł ze swej kryjówki i porozdzielał pomiędzy załogę żywność, w którą go zaopatrzone. Wnet też burza ustała, niebo się wypogodziło, a okręt wpłynął nareszcie spokojnie i majestatycznie do Ankony.

Ludność przyjęła Franciszka życzliwie. To też korzystał skwapliwie z dobrego jej usposobienia, opowiadając słowo Boże. A opowiadanie

było nader błogosławione w owoce, skoro wielu z tamtejszych mieszkańców oświadczyło gotowość do przyjęcia reguły braci mniejszych. Franciszek powrócił do Porcjunkuli z nowymi uczniami, którymi go Bóg wynagrodził za chybioną podróż na Wschód.

Rozradowała się z przybycia Franciszka Porcjunkula, stęskniona za swym ojcem. Przez całą zinnę r. 1212—1213 bawił w dolinie Spoletańskiej, udzielając się swoim nowym uczniom i zaprawiając ich w życiu zakonnem braci mniejszych.

Przy zbliżającym się jednak wielkim poście opuścił znowu Porcjukulę i udał się w kierunku północy na jedną z wysepek jeziora Trazymeńskiego; było bowiem w zwyczaju Franciszka przepędzać wielki post w miejscach zupełnie odludnych, w których żył tylko modlitwą i umartwieniem. Ów pobyt Franciszka wycisnął takie piętno świętości na wyspie jeziora, że pozostała na zawsze w pamięci i podaniu świata chrześcijańskiego. Legenda franciszkańska zaś otoczyła wysepkę jeziora taką aureolą cudowności, jakiej nawet nie pozostawiło świetne zwycięstwo Hannibala, odniesione nad legionami rzymskimi u brzegów jeziora Trazymeńskiego.

Prawdziwy sługa Chrystusowy, św. Franciszek, był w pewnych przejawach prawie drugim Chrystusem, danym światu dla zbawienia ludu. To też Bóg chciał go w wielu rzeczach uczynić podobnym do swojego syna Jezusa Chrystusa, jak wynika z czcigodnego grona dwunastu towarzyszy, z przedziwnej tajemnicy świętych blizn i z ciągłego postu czterdziestodniowego.

Raz, będąc ostatniego dnia karnawału tuż przy jeziorze Perugijskiem (Trazymeńskim) w domu pewnego znajomego, u którego nocował, Franciszek, oświecony przez Boga, postanowił przepędzić post czterdziestodniowy na jednej z wysepek jeziora. Poprosił tedy

owego znajomego człowieka dla miłości Chrystusa, aby go w swoim czółenku przeprowił na jedną z wyspek jeziora, na którejby nikt nie mieszkał; i żeby to uczynił z nocy na popielec, tak aby tego nikt nie spostrzegł. Ów istotnie z miłości i dla wielkiej czci żywionej ku Franciszkowi wykonał skwapliwie prośbę jego i przeprowił go na rzeczoną wyspę. A Franciszek zabrał ze sobą tylko dwa małe chleby. Przybywszy na wyspę, błagał jeszcze Franciszek owego przyjaciela odjeżdżającego, aby nikomu nie wyjawiał, gdzie się znajduje i aby dopiero w Wielki Czwartek po niego przyjechał. Św. Franciszek pozostał sam. A ponieważ tam nie było żadnego choćby najlichszego pomieszczenia, zapuścił się w gęsty las, gdzie w jednym miejscu drzewa rozmaite tworzyły coś w rodzaju szopy lub chaty. Tam więc jął modlić się i rozważać o rzeczach niebieskich. Tam też przepędził cały post, nie jedząc i nie pijąc nic więcej nad połowę jednego z tych dwóch chlebów. Gdy bowiem ów przyjaciel przyjechał w Wielki Czwartek po niego, znalazł z tych dwóch chlebów jeden cały, a drugiego połowę. Sądzą powszechnie, że Franciszek nie jadł z poszanowania dla postu Chrystusa Pana, który pościł przez czterdzieści dni i nocy, nie przyjmując żadnego pokarmu doczesnego. I tak z tą połową spożytego chleba odrzucił od siebie truciznę próżnej chwały i za przykładem Chrystusa pościł czterdzieści dni i nocy. Potem na tem miejscu, na którym św. Franciszek odbył ów cudowny post, działał Bóg przez jego zasługi wiele cudów. Dlatego poczęła ludność wznosić tamże pomieszczenia i mieszkać. A w krótkim czasie wzniesiono tam piękny i wielki pałac, a sam klasztor braci nazywa się klasztorem na wyspie. Mężczyźni zaś i niewiasty rzeczonoego pałacu żywią wielką cześć i miłość dla miejsca, w którym św. Franciszek odbył ów post, o którym się rzekło.

Po odbytym poście zwrócił Franciszek swoje kroki w prowincje nadmorskie Marchji.

Pewnego przepięknego dnia majowego r. 1213 mijał Franciszek ze swym towarzyszem, prawdopodobnie bratem Leonem, zamek montefeltryjski. Zwrócił ich uwagę nastrój świąteczny zamku. Chorągiew powiewała nad bramą wchodową,

dźwięki trąb wydobywały się z górnych pokojów zamkowych, śpiewy i okrzyki zwiastowały wielki festyn.

Istotnie. W zamku montefeltryjskim odbywał się właśnie jeden z tych turniejów, które w średnich wiekach zwykle towarzyszyły przyjęciu i pasowaniu nowego rycerza.

Zjazd rycerzy okolicznych i wrzawa powszechna nie odstraszyły Biedaczka. Owszem, śmiało wszedł na dwór młodego hrabiego na Montefeltro; albowiem wszystko, co tchnęło rycerskim obyczajem, było dla niego przez całe życie przedmiotem uwielbienia. Po skończonych obrządkach pasowania wystąpił Franciszek przed całym zgromadzeniem, okazując, że pragnie przemówić. Cisza zaległa podwórze czworograniaste zamku, gdy Franciszek jął mówić.

Rozpoczął wierszem podówczas pomiędzy rycerzami i truverami rozpowszechnionym w nareczu ludowym:

Tanto è il bene ch'aspetto
Che ogni pena m'e diletto —¹⁾.

i porównywając rycerstwo bohaterów chrześcijańskich z rycerstwem znikomej chwały doczesnej, rozwinął przed zdumionymi słuchaczami obraz tak świetny i rzewny, że zapomnieli o turnieju, sądząc, że zgoła anioła mają przed sobą.

Pomiędzy rycerzami obecnymi był także niejaki Orlando dei Catanii, hrabia na Chiusi w Kazenateńskim. Tego Franciszek wzruszył najwięcej. Gdy Biedaczek skończył mówić, zbliżył się doń Orlando i odprowadziwszy go trochę nabok, rzekł doń:

¹⁾ Tak wielkie jest dobro, które mnie czeka, że każde utrapienie jest dla mnie rozkoszą.

— Ojczy, chciałbym z tobą pomówić o zbawieniu swojej duszy.

— Chętnie — odparł Franciszek — jednakże teraz należy wprzód uczcić tego, który cię zaprosił na festyn. Idź w grono biesiadników, a po skończonej uczcie będę ci służył z radością, jak długo chcesz.

Hrabia wrócił rzeczywiście po uczcie. Zaczęła się pomiędzy nim i Franciszkiem dłuższa rozmowa poufna, w czasie której Franciszek wskazywał rycerzowi drogę, wiodącą do nieba. Orlando był tak dalece przejęty, że przy końcu rozmowy zawołał z wdzięcznością:

— Mam ja w Tuscyi jedną posiadłość, górę pokrytą skałami, lasami, łąkami, zwaną Alwernją. Jest bardzo stosowna dla tych, którzy chcą prowadzić żywot w rozmyślanii i umartwieniu, bo oddalona od wszelkiej wrzawy świata i prawie niedostępna. Otóż, jeżeliby ci się podobało, darowałbym ją tobie, ojczy, i twoim braciom dla zbawienia duszy mojej.

Franciszek przyjął. Zaraz jednak udać się nie mógł do Alwernji, bo Zielone Świątki były blisko, a on na ten czas chciał być koniecznie w Porcjunkuli, aby przewodniczyć kapitule. Wysłał więc dwóch braci do Alwernji, którzy z pomocą hrabiego i jego ludzi mieli urządzić nową pustelnię w duchu reguły franciszkańskiej.

Powróciwszy do Porcjunkuli, zgromadził braci i przewodniczył zwykłej kapitule. Wprawdzie corocznie odbywały się dwie kapituły: na Zielone Świątki i na św. Michała, jednakże główną była pierwsza, na którą się zbierali wszyscy bracia. Był to czas obopólnej zachęty i miłości. Nie były to prawdziwe kapituły w stylu później-

szych od r. 1217, lecz zawiązki, z których się tamte wylonily.

Bracia dzielili się radością i boleścią, opowiadali o nowych podbojach, radzili nad zmianami reguły, aby ją lepiej wykonywać, przeznaczali prowincje i kraje, do których się udać mieli. Franciszek był sercem wszystkich, na jego wzór kształtowały się ich dusze. On też udzielał rad, karcił, zachęcał. Upominał zwłaszcza, aby bracia szanowali wielce duchowieństwo świeckie.

Upominał troskliwie braci, aby św. ewangelję i regułę, jako obiecali, sumiennie zachowali i aby boski obrządek i przepisy kościelne pilnie przestrzegali, nabożnie słuchając mszy św. i czcząc nadewszystko Sakrament Ołtarza. Wymagał również, aby kapłanów, chodzących około największych świętości, w szczególny sposób czcili, tak, aby przed nimi, gdziekolwiekby ich znaleźli, głowę schylali i nie tylko im ręce całowali, ale nogi koni, na którychby jeździli, a to dla poszanowania ich władzy.

Napominał również braci, aby nikogo nie sądzili ani nie pogardzali tymi, którzy dostatnio żyją, zbyt kownie się ubierają, bo Bóg jest i naszym i ich Panem, mającym moc powołać ich do siebie i powołanych zbawić. Mawiał bowiem, że chce, aby bracia takich czcili jako swych braci i panów; bo braćmi są, ponieważ są przez jednego Stwórcę stworzeni, a panami są, o ile wspomagają dobrych w czynieniu pokuty, dostarczając im rzeczy doczesnych. Mawiał także:

— Tak powinny bracia przestawać z ludźmi, żeby ten, któryby ich słyszał lub widział, chwalił Ojca niebieskiego.

Wielce bowiem pragnął, aby tak on jak jego bracia opływali w takie dzieła, w którychby Pan był chwਾਲony. I dodawał:

— Jako ustami głosicie pokój, tak on tem więcej w sercach waszych niech będzie. Nikt przez was niech nie będzie doprowadzony do gniewu lub do zgorszenia, lecz wszyscy niech będą przez waszą łagodność pociągnięci do pokoju, łagodności i zgody. Bo nato jesteśmy powołani, abyśmy rannych opatrywali, zła-

manych podnosili, błędnych prowadzili. I o wielu nam się zdaje, że są własnością djabła, którzy w istocie są uczniami Chrystusa.

Karcił także pobożny ojciec tych swoich braci, którzy się nadmiernie umartwiali, oddani zanadto czuwaniu, postom, ćwiczeniu ciała...

Z braci zaś, będących obecnymi na kapitule, nikt nie śmiał załatwiać spraw doczesnych, lecz wszyscy rozprawiali o żywotach świętych ojców i jakby łatwiej i doskonale znaleźć mogli łaskę Pana Jezusa. A którzy z tychże braci obecnych na kapitule mieli jaką pokusę lub udręczenie, słysząc błogosławionego Franciszka, rozmawiającego tak słodko i gorliwie, i widząc jego pokutę, uwalniali się od pokus i przedziwnie się pozbywali udręczeń. Wyrozumiały bowiem przemawiał do nich nie jako sędzia, ale jak litościwy ojciec do synów, jak dobry lekarz do chorych, umiejąc być chorym z chorymi, smutnym ze smutnymi. Mimo to karcił wszystkich winnych, a hardych i rokoszan karami trzymał w ryzie.

Po słończonej kapitule zaś błogosławił wszystkim braciom i przeznaczał ich do poszczególnych prowincyj. Którzykolwiek z nich posiadali ducha Bożego i wymowę względną do głoszenia słowa Bożego, czy to kapłani czy laicy, tym udzielał władzę głoszenia słowa Bożego. A oni, przyjąwszy jego błogosławieństwo, szli z wielką radością duszy jako wędrowcy i przechodnie przez świat, tylko trochę ksiągkę niosąc, z którychby się modlić mogli.

A gdziekolwiek napotkali kapłana bogatego czy ubogiego, dobrego czy złego, kłaniali mu się pokornie i cześć winną wyrządzali. A gdy przychodził czas przenocowania, woleli przestawać z kapłanami aniżeli z ludźmi świeckimi. Nie mogąc zaś nocować u kapłanów, szukali ludzi pobożniejszych i bogobojniejszych, u którychby mogli uczciwie przebywać, dopóki w miastach i grodach, które bracia zwiedzać pragnęli, Pan nie wzbudził ludzi bogobojnych, którzyby im pomieszkania przygotowali, dopokąd dla nich nie zostały wzniesione klasztory po miastach i grodach.

A dał im Bóg słowo i ducha według potrzeby do głoszenia słów potężnych, przeszywających serca młodzieńców i starców, którzy opuszczając ojca i matkę i wszystko, co posiadali, szli za braćmi, przyjmując

sukienkę ich zakonu. Prawdziwie miecz rozdziału został zesłany na ziemię, skoro młodzieńcy zgłaszali się do zakonu, zostawiając swych rodziców w sidłach grzechu. Przyjętych zaś do zakonu prowadził bracia do Franciszka, aby z jego rąk pokornie i pobożnie przyjęli habit zakonny.

Po odbytej kapitule jął Franciszek znowu opowiadać słowo Boże w środkowych Włoszech. Może też przebiegał Marchję Ankonitańską i dolinę Reatyńską.

W tym właśnie okresie duch Franciszka nie ma tej rzutkości ani tej konsekwencji, co dawniej. Pełno też luk w chronologii i w topografii. Zdaje się, że chybiona podróż na Wschód była tego wszystkiego przyczyną z jednej strony, a z drugiej skąpe i niedokładne wskazówki biografów.

Wszelako energiczna natura Franciszka nie mogła pozostać długo w niepewności kierunku.

Nie było wolą Bożą, aby się Franciszek udał na Wschód. Dobrze! Ale czyż to tylko na Wschodzie są nieprzyjaciele krzyża? A Zachód? Hiszpania? Toż tam od wieku zagnieździł się mahometanizm. Cała północ Afryki, w której kiedyś najwspanialsze kościoły chrześcijańskie kwitnęły, jęczy pod jarzmem maurytańskim i bluźni Chrystusowi. Wprawdzie niedawno temu, bo w lipcu 1212, doznały wojska maurytańskie na polach Tolozy w Hiszpanji straszliwej klęski, zadanej im przez sprzymierzone wojska chrześcijańskich królów Aragonji, Nawary i Kastylji; wprawdzie po tej klęsce Maurowie zadowolnić się musieli już tylko południem Hiszpanji, a srogi Mahomed-el-Naser zakończył swój żywot niechwalebny w Maroko: ale cóż znaczy zwycięstwo oręża, jeżeli mu nie towarzyszy zwycięstwo krzyża!

Franciszek wiedział, iż mahometanie nie przestaną nękać krzyża i jego wyznawców mimo

wszystkich klęsk, zadanych im orężem. A wiedząc o tem, nie mógł nie pragnąć odnieść nad nimi zwycięstwa innego rodzaju, zwycięstwa pokoju w imię ewangelji Chrystusa.

I oto nowe zadanie wyrasta przed duszą rycerską Biedaczka: apostołstwo w krajach hiszpańskich i marokańskich lub chwalebne tamże męczeństwo, które jeżeli nie przenosi tamtego, to mu się z pewnością równa. Duch jego zapala się na nowo.

Powierza tedy rządy trzódki franciszkańskiej powtórnie bratu Piotrowi Cattani i wyrusza w towarzystwie ulubionego brata Bernarda z Kwintawallu do Hiszpanji.

Podróż odbyła się prawdopodobnie morzem z Pizy i Livorno do Barcelony. Pomyślne przebycie morza i pragnienie dojścia do Maurów wpłynęły tak dalece na Franciszka, że szybkim krokiem przebiegał okolice, podczas kiedy starszy Bernard, nie mogąc nadażyć, pozostawał w tyle. Nieomieszkał Franciszek opowiadać słowa Bożego i tamtejszym mieszkańcom chrześcijańskim, ale głównym jego celem było dojść jak najprościej i najprędzej do wyznawców proroka. Zamierzał nawet przedostać się aż do Afryki, do Maroko, gdzie Miramolin Mahomed po klęsce tuluskiej miał główną siedzibę.

Lecz zamiarowi i wogóle całemu apostołstwu w Hiszpanji położyła koniec choroba. Gwałtowna febra wyniszczyła Franciszka tak dalece, że jego życie przez kilka dni było w niebezpieczeństwie. Wkońcu niebezpieczeństwo minęło, ale osłabienie pozostało tak wielkie i przeciągało się tak długo, że wszelkich dalszych kroków musiał zaniechać i wracać do Włoch.

Nim jednak opuścił Hiszpanję, zwiedził, jak podanie niesie, Kompostellę, aby uczcić grób apostoła św. Jakóba.

Poczem pożegnał na zawsze Hiszpanję i puścił się przez południową Francję i północne Włochy wprost do swojej ulubionej Porcjunkuli.

Przybywszy do Asyżu, przyjął Franciszek kilku nowych uczniów, już nań czekających, którzy się zaliczali do ludzi wykształceńszych i pochodzili z rodzin szlacheckich. Pomiędzy nimi był prawdopodobnie Tomasz Celańczyk, później błogosławiony i znakomity biograf św. Ojca serafickiego i autor wspaniałego *Dies irae*.

Niepomyślnie tedy, sądząc po ludzku, zakończyły się te pierwsze próby apostołstwa wśród niewiernych, jak również pragnienie męczeństwa, które przenikało duszę Franciszka.

ROZDZIAŁ XV.

Pierwsza wycieczka do Alwernji.

(1214.)

Ów okres w żywocie św. Franciszka był niepomyślny nie tylko ze względu na pierwsze próby apostołstwa wśród niewiernych oraz na jego chorobę, ale także z powodu przekroczenia kardynalnego prawa reguły franciszkańskiej: ubóstwa. Wróciwszy bowiem do Porcjunkuli, spostrzegł Franciszek ze zdziwieniem okazały dom, wzniesiony w jego nieobecności przez wikariusza brata Piotra Cattani. Na nic tłumaczenie Piotra, że dom był potrzebny dla odmawiania godzin kanonicznych i dla nowych uczniów, zgłaszających się w coraz większej liczbie! Franciszek widział tylko jedno, że wykroczone przeciw ubóstwu. Więc pełen świętego oburzenia wstąpił we własnej osobie na dach i jał zrzucić dachówki i rozrywać wiązanie, a reszcie braci rozkazał, by mu pomogli zburzyć dom.

I byłby niechybnie zamiar wykonał, gdyby się zarząd gminy asyskiej nie był wstawił i oświadczył, że dom jest własnością gminy.

Ustał tedy Franciszek, ale kto może powie dzieć, z jakim bólem serca! Nie obeszło się jednak

bez upomnienia, gdyż kazawszy przywolać brata Piotra, rzekł doń:

— Bracie, to miejsce jest wzorem i przykładem całego zakonu. Dlatego chcę, aby bracia tego miejsca znosili niewyuczasy i udręczenia dla miłości Bożej, i aby inni bracia, zwiedzający to miejsce, odnieśli stąd dobry przykład ubóstwa. Raczej to aniżeli aby bracia mieli wszystkie wygody, a inni brali stąd przykład budowania w ten sam sposób, mówiąc: „W miejscu Najśw. Panny Porcunkuli, będącem pierwszym całego zakonu, budują takie i tyle budynków. Dlatego i my możemy budować w naszych okolicach“.

Ale i to upomnienie wydawało się Franciszkowi jeszcze niewystarczającym. Więc po skończonej kapitule wydał dla wszystkich braci, których w rozmaitych nowych kierunkach wysyłał, następujące rozporządzenie co do budowania nowych osad.

Przy wznoszeniu nowych klasztorów mają bracia tak postępować. Najpierw zbadają grunt i oceniają, jak długo potrwa robota. Przytem z oka nie spuszcza świętego ubóstwa dobrowolnie przyjętego ani dobrego przykładu. Potem się zwrócą do biskupa miejscowego i powiedzą:

— Pewna osoba parta miłością Bożą i zbawieniem dusz odstąpiła nam plac na budowę klasztoru. A ponieważ ty jesteś pasterzem tej powierzonej trzody i ojcem wszystkich braci mniejszych, którzy się w twojej diecezji znajdują i znajdywać będą, przeto cię prosimy o pozwolenie, abyśmy z Boskiem i twojem błogosławieństwem mogli wybudować w tem miejscu ubogi i skromny klasztor.

Otrzymawszy pozwolenie, wykopią bracia głęboki rów i otoczą go miasto muru żywym częstokołem w dowód ubóstwa i pokory. Pomieszkanie może być jedynie z gliny i drzewa, podzielone na małe celki, w których się bracia będą modlić i pracować, tak aby lenistwo odegnać, jak i zachować to, co odpowiada

ich ślubom. I kościół niech będzie mały; nie wolno im bowiem pod pozorem głoszenia słowa Bożego lub z innego powodu budować pięknych kościołów. Bracia dadzą ludowi lepszy przykład i dosadniej mu dowiodą, że są naprawdę pokornymi, jeżeli będą kazać w obcych kościołach. A jeżeli ich prałaci, kapłani, zakonnicy lub ludzie świeccy odwiedzą, znajdą ci w ubogim klasztoru i w ciasnych celkach więcej zbudowania aniżeli w kazaniach troskliwie wypracowanych.

Chybiona podróż na Wschód i do Hiszpanji oraz nadwątlone chorobą siły i ostatnie przykrości w zakresie ubóstwa wymagały wypoczynku i samotności. A w języku Franciszka wypoczynek oznaczał modlitwę i rozmyślanie zdala od świata i społeczności ludzkiej.

Pora roku, przechodząc z lata znojnego do cudownej jesieni, zapraszała jeszcze do cienistych i chłodnych gajów zanurzonych wśród gór przepastnych. Przypomnił sobie Franciszek, że prawie dwa lata temu, jak wysłał dwóch braci do Alwernji, którą mu był hrabia Orlando podarował. Więc po mniejszej kapitule wrześniowej wybrał się, nie zwłócząc, do Alwernji, aby po raz pierwszy zwiedzić górę i tam wypocząć.

Pewnego pięknego poranku wynurzył się z alei topolowej u stóp góry Alwernji człowiek siedzący na oślicy, która popędzana przez wieśniaka jęła się żwawo wspinać na stromą górę. Przebywszy pierwszy garb góry, wieśniak, popędzający oślicę, przemówił do jadącego człowieka:

— To ty jesteś tym Franciszkiem z Asyżu, o którym się tyle mówi?

— Tak — odparł wesoło Biedaczek.

— Będiesz miał wiele pracy — zauważył z prostotą wieśniak — jeżeli chcesz w całości odpowiedzieć temu zaufaniu, które do ciebie wszyscy żywią.

Na te słowa Franciszek zszedł z oślicy i rzucawszy się do nóg prostodusznego człowieka, ucałował stopy jego i dziękował za radę; niczego bowiem tak nie kochał nad prostotę duszy i nad życzliwą uwagę. Poczem siadł znowu z pomocą wieśniaka na zwierzę, bo z powodu nadwątlonego zdrowia i uciążliwego darcia się w górę pieszo iść było dlań niepodobieństwem.

Tymczasem słońce zaczęło mocno dopiekać, a droga stawała się coraz uciążliwsza. Zwierzę i obaj podróżnicy tracili siły; pragnienie paliło podniebienie. Wkońcu wieśniak zawołał z rozpaczą:

— Już nie mogę dalej. Umieram z pragnienia.

Franciszek zszedł znowu z oślicy. I zboczywszy trochę z drogi, przywołał po chwili znużonego wieśniaka do siebie. Z wnętrza skały pokrytej zielenią wydobywało się szmerzące źródelko, które swoją czystą wodą orzeźwiło podróżników. Posiliwszy się, puścili się w dalszą drogę, dopóki nie stanęli na szczycie góry Alwernji.

Rozjaśniło się łagodne oblicze Franciszka, gdy ze szczytu góry rzucił okiem na wspaniały krajobraz, który się przed nim roztaczał w całym majestacie piękności natury i potęgi Boga. A gdy nadbiegli uradowani dwaj bracia, wysłani poprzednio na górę, gdy nad głową Świętego jeły radośnie śpiewać liczne ptaszęta, rozrzewniony Franciszek odezwał się do swych braci:

— Widzę, że jest wola Bożą, abyśmy w tym miejscu zamieszkali, skoro nasze przybycie taką radość sprawia naszym braciom ptaszętom.

Odtąd góra Alwernji była dla Franciszka pustelnią w modlitwie i wypoczynkiem po trudach apostołskich.

Wnet też dowiedział się właściciel Alwernji hrabia Orlando, że Franciszek przebywa w samotni. Więc po kilku dniach przybył sam na górę, aby odwiedzić Świętego i dalsze usługi ofiarować dla braci. Na tę wieść wyszedł Franciszek na spotkanie dobroczyńcy i dziękował mu serdecznie za wspaniałomyślny dar. Przez dzień cały bawił Orlando w Alwernji, rozprawiając ze swoim mistrzem o drogach, wiodących do pokoju, szczęśliwości, nieba.

Sługa Boży czuł się w tem ustroniu bliżej nieba. Zawieszony pomiędzy niebem i ziemią na tej skale odludnej służył zarazem za pośrednika pomiędzy człowiekiem i Bogiem. Okiem ciała tonął w tym bezkresnym obrazie natury, ścielącej się przed nim; okiem duszy patrzył przez modlitwę i rozmyślanie w łono Boże; okiem serca i ducha łączył człowieka grzesznego na ziemi ze sercem litościwem Boga-Człowieka na krzyżu przez pokutę i miłość. Franciszek posiadał, czego pragnął. Pobyt na tej górze leczył jego ciało i duszę.

Wszelako nie mógł długo przebywać w Alwernji. Przynależał Chrystusowi uświęcać nie tylko siebie, ale i bliźnich.

Świat za nim tęskni, a bracia w Porcjunkuli z trwogą pytają: Gdzie nasz ojciec i pasterz?

Po kilkutygodniowym tedy wypoczynku opuścił pustelnię i podniesiony na duchu i ciele rzucił się do ponownej pracy około zbawienia swych bliźnich. Ale po drodze do Asyżu zboczył znowu trochę do Marchji Ankonitańskiej, której ludność dobra i szlachetna niewymownie zawsze Franciszka przyciągała.

Chciał przedewszystkiem zwiedzić miejscowość San Severino, dokąd św. Klara wysłała

kilka sióstr, aby w starożytnym klasztorze benedyktynek założyły nową rodzinę. Franciszek przyrzekł opowiadać słowo Boże w tym pierwszym po św. Damjanie klasztoru, chcąc siostrą dodać ducha i zachęcić je do miłości Bożej.

Zdarzyło się, że pomiędzy słuchaczami był także pewien człowiek sławny, uważany za pierwszego poetę współczesnego i nazwany królem wierszy. Znakomity truver i niezrównany w układaniu wierszy o tchnieniu prowancji, był już uroczystie koronowany na poetę przez samego cesarza. Przypadek tedy chciał, że się ów poeta znalazł na kazaniu Franciszka, którego poprzednio nie znał wcale. I przez jeden z tych krótkich ale stanowczych procesów psychologicznych, w których dusza duszę przenika, stało się, że truver postanowił bez wahania iść śladami Franciszka. Tak wpływ nieba niewiadomo gdzie, kiedy, kogo dosięże.

Po skończonem kazaniu zbliżył się truver do Franciszka, prosząc o rozmowę. A jej wynikiem były te stanowcze słowa:

— POCO mówić dalej? Przystąpmy do czynków. Proszę cię, ojczy, wyrwij mię z tego świata, a zachowaj mię dla Króla najwyższego!

Franciszek umiał ocenić i kochał stanowczość. Na drugi dzień truver przybrał sukienkę brata mniejszego, przyjął imię brata Pacyfika i podążył z mistrzem do Porcjunkuli, gdzie się pod jego przewodnictwem zaprawiał do życia franciszkańskiego na wzór swego ojca serafickiego. I musiał dojść do wielkiej cnoty, skoro go Franciszek później wysłał do Paryża, aby tam rzucił nowe ziarno do rozrostu zakonu.

Przybywszy do Porcjunkuli, jał nowych uczniów zaprawiać do nowego życia. Lecz po pe-

wnym czasie powaliła go ponownie febra tak samo uporczywa jak w Hiszpanji. Musiał tedy pozostać przez całą zimę 1214—1215 w Porcjunkuli.

Ale nie mogąc osobiście brać udziału w apostołstwie, postanowił przynajmniej pismem udzielać się ludowi chrześcijańskiemu. I wtedy to prawdopodobnie powstał ów list do wszystkich chrześcijan, który z jednej strony może uchodzić za zapowiedź założenia trzeciego zakonu, a z drugiej stanowi cenny dokument życia umysłowego i etycznego wieków średnich. Przedewszystkiem jednak podobny do okrzyku serca objawia gorącą duszę Franciszka, pragnącego zwrócić cały ówczesny świat w objęcia Chrystusa. Píše:

„Wszystkim chrześcijanom, tak zakonnikom i kapłanom jak ludziom świeckim, bądź mężczyznom, bądź niewiastom, wszystkim zamieszkującym całą ziemię, brat Franciszek, ich pokorny sługa, życzy i przesyła prawdziwy pokój nieba i szczerą miłość w Panu.

„Ponieważ jestem sługą wszystkich, więc powinienem im służyć i głosić im słowa zbawienia mojego Mistrza Boskiego. Będąc jednak zanadto słaby i chory, aby każdego z osobna odwiedzić, postanowiłem przesłać wam słowo Boże w liście niniejszym i zwrócić do was słowo Pana naszego Jezusa Chrystusa, który jest Słowem Bożem, i słowa Ducha Św. które są duchem i żywotem.“

W drugim rozdziale tłumaczy św. Franciszek istotę nauki chrześcijańskiej, mianowicie wcielenie Syna Bożego, ustanowienie Sakramentu Ołtarza, mękę i śmierć Chrystusa i skutki tej ofiary, przez którą Ojciec własnego Syna wydał na śmierć, abyśmy przez to osiągnąć mogli zbawienie. Wzywa tedy wszystkich, aby szli śladami Chrystusa, krzyż cierpliwie nieśli i przykazania Boskie zachowywali.

W trzecim rozdziale grozi wiecznem potępieniem tym, którzy odstępują od przykazań, a obiecuje według słów Psalmisty szczęśliwość wieczną tym, którzy Boga kochają w duchu i prawdzie.

Następnie w rozdziale czwartym zachęca wiernych do godnego przystępowania do Sakramentów św., zwłaszcza do sakramentu pokuty i ołtarza.

Oprócz tego wymaga Franciszek w rozdziale piątym uczynków, mianowicie dobroci serca i miłości bliźniego.

W rozdziale szóstym zwraca się do tych, którzy piastują jakąkolwiek władzę. Sprawiedliwość ma się łączyć z miłosierdziem. Zachęca do miłości, pokory, jałmużny, postu, unikania grzechu.

Dalej (rozdział siódmy) upomina wiernych, aby czcili kapłanów i zakonników.

Ale i zakonników (r. ósmy) przestrzega, aby zachowywali wiernie przykazania i rady ewangeliczne, żyjąc nie według ciała i własnej woli, ale pod jarzmem słodkimi posłuszeństwa.

Głównie przełożonym przypomina (r. dziewiąty), aby podwładnym nie rozkazywali nic, co by było przeciwko ich duszy; ani się mają wynosić nad innych z powodu godności, lub gniewać się na tych, których karzą.

W dziesiątym rozdziale kreśli Franciszek bardzo udatny obrazek duszy czystej, która wie o swem szczęściu, płynącym z połączenia wewnętrznego z Bogiem.

Stąd w r. jedenastym zachęca wszystkich do takiego połączenia z Bogiem, aby mogli osiągnąć to szczęście i zadowolenie najwyższe.

Następnie w r. dwunastym pełen grozy obrazek ślepoty i nieszczęścia grzesznika, idącego tylko za pędem swej natury, nie chcącego znać Chrystusa, tylko brodzącego w grzechu.

A przerażający wkońcu (r. trzynasty) jest widok śmierci człowieka, odrzucającego pokutę i marnie umierającego w grzechu śmiertelnym.

„Ja, brat Franciszek, sługa wasz najmniejszy — kończy list — szczerze gotowy całować wasze stopy, proszę i zaklinam was dla miłości Bożej, abyście te słowa Pana naszego Jezusa Chrystusa i wszystkie inne chętnie przyjęli i z miłością i pokorą je przestrzegali. A wszyscy, którzy te słowa chętnie przyjmą i zrozumieć podolają, mogą je innym przesłać. A jeżeli w ich wykonywaniu wytrwają aż do końca, niech będą błogosławieni od Ojca i Syna i Ducha Św. Amen.“

W liście rzeczonym co do treści niema nic, coby skądinąd nie było już wiadomem. Ale trzeba znać stan ówczesnego społeczeństwa, trzeba zważyć tę szczerłość słów wydobywających się z spełnionego serca, trzeba przedewszystkiem uprzytomnić sobie, że te słowa: *verba Jesu Christi*, pochodzą od Franciszka, udzielającego im tchnienia żywego, serafickiego. Doniosłość jego listów i wogóle wszystkich pozostałych po nim zabytków nie pochodzi z istoty rzeczy, ale z osoby św. Franciszka. Jego postać jest właśnie tym pryzmatem, którego rozszczepione promienie wszystko oświetlają i kładą urok niewypowiedziany na wszystko i wszystkich.

W chwilach gdy choroba ustępowała, udawał się też Franciszek do miasta Asyżu, aby przynajmniej swoją obecnością przypomnieć ludowi miłość Bożą lub też ukorzyć się przed tym samym ludem. Do upokorzenia się publicznego pobudzał go lepszy sposób odżywiania się, do którego go bracia w czasie choroby zmuszali.

Raz tej samej zimy, która była bardzo ostra, poszedł z wielu braćmi, gdy się już miał trochę lepiej, do Asyżu. Wszedłszy w obręb miasta, odezwał się do braci:

— Nie godzi się, aby mię lud za umartwionego uważał, podczas gdy ja się skrycie mięsem odżywiam.

I zwoławszy lud na rynek, udał się, z nim do kościoła. Poczem przywiązał sobie powróż do szyi i rozebrawszy się do naga, kazał się braciom wlec aż do kamienia, na którym zwykle stawiano karanych złoczyńców. Wstąpiwszy na ów kamień, zaczął trzęsący się od zimna i febry głosić słowo Boże a wkońcu przyznał się wobec wszystkich słuchaczy, że go nie powinni czcić jako czło-

wieka umartwionego, ale raczej gardzić nim jako żarłokiem, który się kurczętami tuczy w ukryciu.

Że Franciszek nie dopiął celu, wynikało samo ze siebie; gdyż wobec podobnych heroiczych uczynków nie było miejsca dla pogardy, tylko dla podziwu i największego uwielbienia. Od najmniejszego pozoru nieszczerości lub udawania uciekał; a w razie potrzeby publicznie przyznawał się do wszystkiego. Dlatego też jego słowo czy mówione czy pisane wywierało taki wpływ. Jego słowo było okrzykiem duszy i istoty.

ROZDZIAŁ XVI.

Nowy okres apostołstwa we Włoszech.

(1215.)

Febra, która w Porcjunkuli ponownie rzuciła Franciszka o łożo, ustępowała z wolna pod ożywczym tchnieniem wiosny roku 1215.

Zdrowie ciała wracało prędko, ale nieprędko wracało zdrowie duszy. Na dnie duszy choroba pozostawiła pewien osad, z którego się legnąć poczęło zniechęcenie do życia czynnego i apostołskiego. Jak ongi po niewoli perugijskiej choroba była jedną z przyczyn jego nawrócenia, tak teraz była jednym z powodów zniechęcenia. Przyczem pamięć na chybioną zupełnie podróż na Wschód i do Hiszpanji dodawała paliwa temu zwątpieniu wynikłemu z choroby. Może też dowiadczanie przekonało go, że ideał, który sobie za wzorem Chrystusa zakreślił, nie da się w zupełności i prędko urzędzywić i że nieraz będzie musiał w przyszłości ciśniejsze zataczać granice. Wkońcu może nawet same kapituły ostatnie odchyliły przed jego bolesnym wzrokiem róg zasłony, pod którą się taily zarodki przyszłych prób i wichur jego rodziny zakonnej.

Ale czy powodem była choroba, czy chybiona podróż, czy trudność ideału, czy przecucie przyszłych rozterek braci, dosyć, że w tym właśnie czasie opanowało Franciszka takie zwątpienie, że czuł potrzebę zasiągnąć rady swych bliższych braci.

Od ich uchwały mogła zależeć przyszłość całego zakonu, gdyż Franciszek, chcąc koniec położyć wątpliwościom, postawił zagadnienie katerycznie:

— Bracia, cóż mi czynić radzicie? Co postanawiacie: czy mam wyłącznie w modlitwie żyć czy też opowiadać słowo Boże?

Lecz bracia się wymawiali, że są niezdolni uwolnić swojego ojca od tak ciężkiej wątpliwości. Przez kilka dni radzili z nim o sprawie, nie umiając dać stanowczej odpowiedzi.

Wtedy to Franciszek wysłał braci do sędziwego Sylwestra, pierwszego kapłana zakonu, i Klary, swej córki duchownej, z prośbą o modlitwę, przez którą miałyby objawić się dlań wola Boża. Bracia powróciwszy, oznajmili mu, że Bóg dał Sylwestrowi i Klarze wraz z jej towarzyszkami tę samą odpowiedź, aby poszedł i głosił słowo Boże; bo nietylko dla jego zbawienia, ale i dla zbawienia innych powołał go Pan.

I z radością powstał Franciszek, zawoławszy jakby duchem Bożym napełnion:

— Idźmy tedy w imię Boże!

Odtąd przebija się w żywocie Franciszka taka poezja i energja, jakiej dawniej nie było. Wątpliwości i zniechęcenia pierzchły. Bezzwłocznie puścił się w drogę ze swymi towarzyszami Maseuszem i Aniołem z Rieti, kierując się do miasteczka Bevagna o dwie mile położonego na południe od Asyżu. Postępował zaś tak prędko i przerzucał

się z jednej wioski do drugiej z taką gorliwością, że młodzi towarzysze nie mogli nadażyć. Zdało się, że Sylwester i Klara wlałi węń nowego ducha.

A idąc w pełni ducha i nie bacząc ani na drogę ani na ścieżkę, przybył do pewnego grodu, który się nazywa Savurniano. Franciszek począł zaraz głosić słowo Boże. Wprzód jednak rozkazał śpiewającym jaskółkom, aby zamilkły, dopóki nie skończy. Jaskółki umilkły w istocie, a Franciszek mówił tak potężnie, że mężczyźni i kobiety owego grodu, wszystko chciało iść za nim i opuścić wioskę. Powstrzymał ich jednak mówiąc:

— Nie śpieszcie się i nie odchodźcie, bo ja wam później rozkażę, co macie czynić dla swojego zbawienia....

I pozostawiwszy ich wielce pocieszonych i przysposobionych do pokuty, poszedł stamtąd i przybył w okolicę Cannaja i Bevagna. A chcąc przejść mimo, podniósł oczy i ujrzał parę drzew, stojących u skraju drogi, na których siedziała niezliczona chmara ptactwa różnego. Dziwiąc się temu, rzekł Franciszek do towarzyszy:

— Czekajcie mnie tu na drodze, a ja pójdę przemówić do moich braci ptaków.

Zboczył w pole i począł mówić do ptasząt, które były na ziemi. Wnet też przyfrunęły te, które były na drzewach. Wszystkie słuchały nieporuszone, dopóki nie skończył mówić. A i wtedy jeszcze nie chciały odlecieć, dopóki ich nie pobłogosławił. A według tego, co brat Maseusz opowiadał później bratu Jakóbowi z Massy, miał Franciszek swobodnie pomiędzy nimi chodzić i przykrywać je kapturem, a żadne się nie poruszyło. Kazanie św. Franciszka brzmiało mniej więcej tak:

— Braciszki ptaszęta, wyście wielce powinni być wdzięczni Stwórcy i wszędzie na każdym miejscu powinniście Go chwalić; bo wam dał swobodę latania wszędzie i odział was sukienką podwójną i potrójną, zachował was w arce Noego, aby wasz gatunek nie przestał istnieć, dał wam także na usługę żywności powietrza, wy nie siejecie ani nie zbieracie, a jednak was

Bóg żywi i poi w rzekach i źródłach, góry i doliny służą wam na schronisko a drzewa na gniazda, a choć nie umiecie tkąć tkanin ani szyć, jednak Bóg okrywa was i wasze potomstwo. Stąd Stwórca wielce was kocha, skoro was obdarza tyłomą dobrodziejstwami. Dlatego, o bracia ptaki, wystrzegajcie się grzechu niewdzięczności i chwalcie bezustanku Pana.

Po tych słowach Franciszka jęły wszystkie ptaki otwierać dzióbki, wyciągać szyje i roztaczać skrzydelka i ze czcią zniżać główki aż do ziemi i ruchami i śpiewaniem okazywać, jak miłym im jest święty ojciec. Sam Franciszek cieszył się z nimi i radował, dziwiąc się wielkiej liczbie ptaków, ich przepięknemu i przeróżnemu upierzeniu, ich uwadze i poufalości. To też w nich chwalił Stwórcę.

Skończywszy tedy kazanie, pożegnał je znakiem krzyża i pozwolił im odlecieć. I na ów znak podniosły się wszystkie z precudnem śpiewaniem a według krzyża uczynionego przez Franciszka podzieliły się na cztery części. Jedne poleciały na wschód, drugie na zachód, te na południe, tamte na północ, a każda chmara wydawała ze siebie przepiękne trele...

Serce Franciszka wypełniło się radością. On sam przecież nie wierzył, że każde słowo Boże ptaszętom w prawdziwym słowa znaczeniu, a jednak w tej chwili musiał czuć to, co każdy człowiek tkliwy i święty czuć powinien: czuł się królem stworzenia. Czuł, że jego ruchy łagodne, jego głos przyjazny, oczy palające miłością wywołują uczucie przyjaźni w tych miłych stworzonkach. Radość tedy godna tej duszy błogosławionej rozlała się w sercu i całej postaci.

I pełen jeszcze entuzjazmu i rozrzewnienia wszedł w obręb miasteczka Bevagna. Stamtąd przebiegał inne wioski pobliskie, aż wkońcu przybył do Alviano.

Tam zgromadził lud i nakazawszy milczenie, począł mówić. Atoli jaskółki, gnieźdzące się tam w wielkiej liczbie, przerywały mu wciąż swem

rozgłośnem szczebiotaniem. Zwrócił się tedy do nich i rzekł wobec wszystkiego ludu:

— Siostrzyczki moje jaskółki, już czas, abym ja też mówił, bo dotąd wy tylko gadałyście. Słuchajcie słowa Bożego, zachowując się spokojnie, dopóki słowo Boże nie będzie skończone.

One zamilkły natychmiast i ani się nie poruszyły, dopóki mąż Boży nie skończył. A wszyscy, którzy byli świadkami zajścia, chwalili Pana, roznosząc wszędzie wieść cudu.

Zajście z ptakami przy Bevagna i z jaskółkami w Alviano stanowiło zawsze bardzo mile dla Franciszka wspomnienie, sam chętnie o niem opowiadał. Cała ta podróż apostolska, która się z taką poezją i sielankową rozkoszą rozpoczęła, była nowym okresem w jego pracach i jednym ciągłym triumfem. Często zwracał się do swych towarzyszy, wyrzucając sobie, dlaczego już dawniej nie zaczął od opanowania rzeszy skrzydlatej.

To też i biografowie są pod urokiem tej poezji. Opisy festynów ludowych, urządzanych na przyjęcie Franciszka, są liczne i barwne. Ludność garnie się doń i idzie mu procesjonalnie naprzeciw i odprowadza go. Aureola cudowności otacza głowę Biedaczka i zgęszcza się w koronę świętości.

Z Alviano udał się Franciszek do Narni, jednego z większych i cudniejszych miasteczek Umbrji. Z Narni zapuścił się w dolinę Reatyńską, którą uświęcił kilkakrotnym pobytem i zawsze bardzo kochał. Tam to tkwią ukryte w górach klasztorzki Greccio, Fonte Colombo, Sant Eleuterio i inne, w których aż do dnia dzisiejszego ślady Franciszka są widoczne i które w zupełności za-

chowaly charakter pierwotnego ubóstwa franciszkańskiego.

Z dzikiej, lecz wspaniałej doliny Reatyńskiej przeszedł do Marchji Ankonitańskiej. I ją kochał Franciszek bardzo. Ona mu też za to płaciła wdzięcznością, albowiem z niej obok Umbrji rekrutowały się najliczniejsze szeregi braci. Żadna prowincja nie dała zakonowi tylu świętych, tylu męczenników, tylu mężów dzielnych co Marchja. Pierwotne ubóstwo kwitło tam nienaruszone poprzez wieki, stawiając mężne czoło wszelkim zakusom, nadwerężającym ducha Biedaczka z Asyżu. Wieniec pustelni klasztornych Offida, Jesi, Macerata, Fano, Massa, Fabriano, Fermo, Ascoli, Osimo z niemniejszym wieńcem prawdziwych synów Franciszka wyszłych stamtąd otoczył wspaniale to drzewo, które wyrosło z ramienia Ojca Serafickiego.

Nim Franciszek zapuścił się w tę uroczą krainę, już z doliny Reatyńskiej była się wydarła jego sława i leciała wiatrem po całej Marchji, która pamiętała jeszcze, jak przed sześciu laty po raz pierwszy gościła u siebie Franciszka i Idziego. Ziarno przezeń rzucone kielkowało wprawdzie, ale też i potrzebowało, aby je zwilżono. I — oto — ogrodnik nadchodził.

Gdy Franciszek spojrział na owe kwiatki spragnione, jał je tak obficie i gorliwie zraszać, z taką miłością saczyć w zeschnięte serca wodę ożywczą słowa Bożego i zbawienia, jak nigdy dotąd nie widziano. Zdawało się towarzyszom, że to inny człowiek, a ludności — że anioł zeszedł z nieba po tęczy różanej i przynosi ziemi i człowiekowi nowe światło. Szczęśliwym się mienił, kto mógł dotknąć skraju jego sukni; posmutniał,

którego słowa słuchać nie mógł. Cześć i miłość ludności dla Franciszka przemieniała się w kult.

Każda idea rzucona przybiera nowe, coraz wyraźniejsze kształty. Tak ideał Franciszka: Chrystus na krzyżu, Ewangelia, reguła, pierwszy zakon, drugi, trzeci, cały świat! Po jego śmierci kontury jeszcze wyraźniej występują, w których jego myśl się rozplywa, wciela, trwale przyjmuje kształty.

Tymczasem kto go słuchał mówiącego, kto go widział tylko, kto tylko o nim zasłyszał, ten się stawał lepszym. I promienie słońca tak nie przenikają tkanek roślin, jak dobra nowina ustami Franciszka głoszona wdzierała się w serca ludzkie. Z takich dusz tworzył się później trzeci zakon, gdyby właśnie św. Franciszek nie był pragnął, aby się cały świat zaciągnął w hufce trzeciego zakonu; bo jego istotny zakon miał właśnie ogarnąć wszystkich chrześcijan, idących wiernie za Chrystusem.

Wszelako z tej fali kwiatów, które ogrodnik z Asyżu podlewał swem ożywczem słowem, wyrastały niektóre, tulące się doń z takim zamiłowaniem i przywiązaniem, że się od niego oderwać nie chciały i nie mogły. Te przygarniał do siebie litościwie i zabierał ze sobą, aby wśród powietrza ciekącego życiem świętości w Porcjunkuli rozwijały się i kwitnęły na cześć Chrystusa i natury.

I z żadnej jeszcze misji nie wracał dotąd z plonem tak obfitym do radującej się doliny Spoletańskiej. Dość powiedzieć, że w samym Ascoli po wygłoszeniu słowa Bożego, w czasie którego ludność miasteczka zbiła się w jedną masę głów naokoło niego, zgłosiło się trzydziestu uczniów, pochodzących ze świeckiego społeczeństwa i z duchowieństwa, prosząc o przyjęcie i sukienkę.

Co Franciszka serce napelniało smutkiem, lecz zarazem skłaniało go do niesienia szybkiej pomocy, to zatargi wewnętrzne miast i rodzin.

Po niebywałem plonie, osiągniętym w Marchji a zwłaszcza w Ascoli, doleciała go stugębna wieść, że mieszkańcy miasta Arezzo prowadzą ze sobą wojnę domową. Zabrać ze sobą natychmiast nowozacieżnych żołnierzy ubóstwa, puścić się najprostszą drogą do Porcjunkuli, pozostawić ich tam pod okiem braci starszych, a samemu wybrać się z braćmi Bernardem i Sylwestrem na północ do Tuscji i stanąć przed bramami Arezzo, było dla Franciszka dziełem niedługiego czasu.

Gdy się Franciszek zatrzymał pod potężnymi murami miasta, wewnątrz targala niem rzeczywistość niezgoda, która dosięgła szczytu i groziła ruiną kwitnącemu ongi miastu. Przystanął tedy w jednym z przedmieść, aby poznać przyczynę i rozmiar klęsk.

Wtem pewnej pięknej nocy, gdy tonął w modlitwie, zdawało mu się, że noc, rozpościerająca się czarnym całunem nad miastem, ożywia się dziwnymi istotami i wrzawą piekielną. Istotnie, duchy czarniejsze od nocy przeszywały powietrze, zajadle podjudzając zawziętych obywateli do wzajemnego mordowania. Franciszek nie zwłócząc, przywołał do siebie brata Sylwestra i rzekł mu:

— Idź przed główną bramę miasta i w imię Boga Wszechmocnego rozkaż złym duchom, które pod postacią nienawiści wstąpiły w serca mieszkańców, aby natychmiast poszły precz.

Sylwester poszedł, a zbliżywszy się do bramy, zawołał głośno:

— Zgrajo nieprzyjacielska, w imię Boga Wszechmogącego i na rozkaz Franciszka, Jego sługi, oddal się wszystka!

Gdy się z brzaskiem słońca wszystko uspokoiło, wszedł prawdziwy apostoł i anioł pokoju, Franciszek, w obręb miasta i do zgromadzonych Aretyńczyków jął mówić o złych duchach, które zamieszkały w ich sercach, o klęskach wiszących nad ich ojczyzną, o niezgodzie i nienawiści, przemieniającej aniołów w szatanów, ludzi w wilków, o pokoju i miłości, która z ludzi tworzy jedną rodzinę, złożoną z synów Bożych.

I dnia tego było wielkie wesele w Arezzo, i nie było, ktoby z radości nie był oddał życia dla swego współobywatela; wszyscy padli sobie w objęcia, a Franciszek siał okiem, słowem, ręką ziarno miłości i szczęśliwości na ich głowy i serca. Sam szczęśliwszy od nich, bo wiedział, że łatwiej godzić skowronki, jaskółki, jagniątką, nawet wilki, aniżeli ludzi, którym szatan wbił szpony niezgody społecznej w twarde i zawzięte serca.

Nie dziw, że sława Franciszka rosła z dniem każdym i rozpowszechniała się nakształt ognia po Włoszech, nawet tam, gdzie nigdy nie był. I ów Biedaczek stawał się tak potężnym, że jego imię wystarczało, aby nawrócić grzeszników i uśmieczyć niezgodę.

Sam nie mógł być wszędzie, ale gdzie wiedział, że ludność jest spragniona, tam przynajmniej swoich towarzyszków wysyłał. Ci zaś nie tylko według wskazówek mistrza opowiadali pokutę, pokój i miłość, lecz także klasztorzki zakładali dla nowych trzodek franciszkańskich. Już bowiem Porcjunkula nie wystarczała dla wszystkich, którzy się do pokutniczego żywota zgłaszali. Franciszek musiał pomyśleć o nowych i dalszych ogniskach.

Właśnie z tego okresu apostołstwa pochodzą liczne nowozałożone klasztory. Pierwociny należą się pierwotnemu synowi Franciszka, Bernardowi z Kwintawallu, który w Bononji rzucił podwaliny do pierwszego i najwięcej od Asyżu oddalonego klasztoru.

Zdarzyło się w początkach zakonu, że św. Franciszek posłał brata Bernarda do Bononji, aby tam według łaski udzielonej mu od Boga plon zyskał Bogu. Bernard, przeżegnawszy się krzyżem św., wybrał się tedy, jak mu posłuszeństwo nakazywało, i przybył do Bononji. A dzieci, widząc go w szacie niezwyklej i lichej, zaczęły z niego drwić i obrzucać go obelgami. On jednak znosił to wszystko cierpliwie i z radością dla miłości Bożej. Więcej. Aby się jeszcze bardziej wystawić na urągowisko, udał się na rynek miasta; a tam siedzącego otoczył tłum dzieci i dorosłych. Ten go z tyłu pociągnął za kaptur, tamten z przodu, jeden rzucał nań błotem, drugi kamieniami; tu go podniesiono, ówdzie zaś potrącono. A brat Bernard, jednako zawsze cierpliwy i wesoły, ani się nie rozgniewał, ani poruszył; owszem, przez kilka dni przychodził na to samo miejsce, aby się wystawić na podobne obelgi.

A ponieważ cierpliwość jest owocem doskonałości i dowodem cnoty, więc pewien mądry doktor praw, widząc stałość i cnotę Bernarda, znoszącego tak długo tyle szyderstw i obelg, rzekł do siebie samego:

— Niepodobieństwo, aby ten człowiek nie był święty.

I zbliżywszy się do niego zapytał:

— Kto jesteś? Pocoś tu przyszedł?

Brat Bernard miasto odpowiedzi wyciągnął z zanadru regułę św. Franciszka i podał mu ją, aby ją przeczytał. A ów, przeczytawszy z podziwem najwyższym, zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

— W rzeczy samej to jest najwyższy ideał zakonny, o jakim nigdy nie słyszałem. Dlatego ten człowiek ze swymi towarzyszami należy do najświętszych ludzi na świecie; i grzeszy bardzo ten, kto mu wyrządza krzywdę. Przeciwnie, powinniśmy go czcić, bo jest przyjacielem Boga.

A do brata Bernarda przemówił:

— Jeżeli chcesz wybrać miejsce, w którembyś

wygodnie mógł służyć Bogu, ja ci w tem dla zbawienia duszy mojej chętnie dopomogę.

— Panie — odparł brat Bernard — sędzę, że ci to sam Pan Jezus poddał. Dlatego też chętnie przyjmuję twoją pomoc.

Doktor praw poprowadził więc brata Bernarda z wielką radością i miłością do siebie i odstąpił mu przeznaczone mieszkanie i zaopatrzył go we wszystko. Odtąd stał się prawdziwym ojcem i szczególniejszym opiekunem Bernarda i towarzyszy. A brata Bernarda zaczęli wszyscy bardzo czcić dla jego obyczajów, i szczęśliwym się czuł ten, który go mógł dotknąć lub widzieć. Ale on, jako prawy uczeń Chrystusa i pokornego Franciszka, obawiając się, by zaszczyty nie zaszkodziły pokojowi i zbawieniu jego duszy, opuścił miasto pewnego dnia i powrócił do św. Franciszka, któremu rzekł:

— Ojczy, to miejsce jest blisko Bononji. Poślij braci, aby tam zamieszkali; bo ja tam już nie jestem gwardjanem; przeciwnie, z powodu zaszczytów, których tam doznałem, obawiam się, abym więcej nie stracił, aniżeli zyskał.

Św. Franciszek, wysłuchawszy, co Bóg przez brata Bernarda zdziałał, dziękował Bogu, rozmnażającemu tak dziwnie ubogich uczniów krzyża. Poczem wysłał swych towarzyszy do Bononji i Lombardji, a ci osiedlili się w wielu miejscach w rozmaitych okolicach.

Podczas kiedy brat Bernard z Kwintawalku krzątał się w Bononji, Franciszek zdażał z bratem Sylwestrem od murów Arezzo na południe, do ulubionej Porcjunkuli. Lecz w połowie drogi zboczył do Kortony, która ścieląc się wdzięcznie i przepysznie po stokach góry, pięła się w niebo i zdawała się obiecywać, że tuli w sobie dusze powinowate duszy Franciszka.

Jakoż nie omyliło Franciszka przecucie. Ta misja, rozpoczęta poetycznem kazaniem do braci ptasząt w Bevagna, zakończyła się w Kortonie założeniem klasztoru w okolicznościach równie ponętnych. A co najważniejsza, Franciszek zyskał

dwóch nowych sławnych uczniów: brata Gwidona i brata Eljasza, obydwóch z Kortony. O ile pierwszy był później nieustraszonym stróżem zasad franciszkańskich i stałym wyznawcą najwyższej doskonałości chrześcijańskiej, gdyż został błogosławionym, o tyle Eljasz, człowiek niepowszednich zdolności i genialny administrator, ściągnął na siebie oburzenie i niesławę, gdyż jako minister generalny zwichnąć usiłował ideał Franciszka, zawichrzył zakon, odpadł od Kościoła.

W pobliżu Kortony zaś „alle Celle“ założył Franciszek klasztor, ukryty w górach z widokiem na dolinę Tuscji, przeznaczył go na nowicjat i sam w nim przebywał od czasu do czasu chętnie. Tam wśród gajów, ożywionych śpiewem ptaszek, zdała od świata, przy odgłosie huczącego wodospadu zaprawiało się drugie pokolenie franciszkańskie w ideale, przyniesionym przez Franciszka.

Potem puścił się wprost do Porcjunkuli, bo zbliżała się kapituła święteczna r. 1215. Po odprawionej kapitule, nie wytchnąwszy nawet, rzucił się Franciszek jako ogień do nowej pracy apostołskiej.

Rozebrzmiało tedy jego żywe słowo i zaświecił przykład w Perugji, nieprzyjaciółce Asyżu, potem znowu w Kortonie i Arezzo, skąd się przed nim droga otwarła do wdzięcznej Tuscji.

Zwiedził wtedy prawdopodobnie Florencję, gdzie oprócz wielu innych pozyskał dla Boga i zakonu brata Jana Parenti, który później został pierwszym po Franciszku ministrem generalnym. Potem widziała i słyszała go Pescia, Piza, San Miniato, Lucca, San Geminiano i inne miasta, miasteczka, grody, samotne osady.

Wkońcu przeniósł swoją działalność w Sienieńskie, gdzie później tak często i chętnie prze-

bywał. Siena, Sarziano, Cetona były gruntem nie tylko dla klasztorów podatnym, ale także dla mężów świętych i uczonych.

Wreszcie postanowił zakończyć apostołstwo i oddać się Bogu, wybrawszy na pobyt i post czterdziestodniowy przed św. Michałem prawdopodobnie pustelnię Alwernji; ponieważ chciał nabrać nowych sił ducha wśród cienistych lasów wyniosłej góry, a na rozmowie z Bogiem i na ob rachunku z samym sobą przepędzić znojny sierpień.

Z końcem września r. 1215, potężniejszy niż kiedykolwiek, opuścił Franciszek Alwernję, przybył do Porcjunkuli na kapitułę mniejszą, a po jej szczęśliwem załatwieniu wybrał się do miasta wiecznego, w którym się zanosilo na wypadki świetne i dalekonośne.

ROZDZIAŁ XVII.

Pocałunek. Sobór powszechny. Śmierć Inocentego III. Honorjusz III.

(1215—1216.)

Raz pod wieczór październikowy spotkało się na wzgórzu Awentyńskim w Rzymie dwóch mężów.

Jeden, odziany szatą tak jasną, jak to słońce, które leżało na Rzymie, miał oblicze tak cudne, jakie tylko Sassoferato w zachwyceniu ducha stworzyć umiał. Drugi miał na sobie pokutniczą, brunatną odzież, spiętą na biodrach powrozem. Ale ciemnawy kolor jego odzieży nie rzucał się w oczy; albowiem jego wątłe ciało i twarz smągła i oczy gorejące były tak świetliste, że ją czyniły podobną do tego zachodzącego słońca, które zanurzało Awentyn, Rzym, ludzi, przedmioty w powodzi blasków złotych i srebrnych.

Awentyn zdawał się bardziej niż zwykle ożywiony. Zleciały się chmary licznych ptaszek, jakby zwabionych pięknnością i światłością dwóch mężów. Po gajach i winnicach i ruinach bluszczem oplecionych jęły śpiewem wychwalać Stwórcę, który wydał takich mężów.

Wtem dwaj mężowie spojrzeli sobie oko w oko, a każdy z nich pomyślał, że w słońce patrzy. Potem podnieśli znowu oczy w toń niebios jakby w zwierciadło. A ten, który był ubrany w ciemną szatę, wyczytał tam, że przed nim stoi Dominik, patriarcha zakonu kaznodziejskiego; ten zaś, który miał na sobie jasną odzież, poznał tam, że ma przed sobą Franciszka, patriarchę zakonu braci mniejszych.

Ucichły ptaszęta. Awentyn w swym pokoju i pogodzie swojej stawał się uroczystszy. Tylko głucha wrzawa miasta wiecznego wzrastała ciągle u jego nóg, przelewając się woddali z jednego końca na drugi.

Wtem powietrze przeczyste zadrgało radośnie i szept miłosny: Pójdź! potoczył się po jego falach rozwiewnych. To dwaj mężowie poznali się w Bogu i padli sobie w objęcia miłości.

A gdy odgłos słodkiego i przeczystego pocałunku wsiąknął w powietrze, z powietrza wysały go braciszki ptaszęta, które zaświegotawszy rozgłośnie, wzbily się w niebo i prując powietrze, poleciały lotem błyskawicy w kierunku północy i południa, zachodu i wschodu. A gdzie znużone opuszczały się na ziemię, tam wyrastały gniazdeczka, w których pisklęta chciwie zamieniały pocałunek Dominika, patriarchy zakonu kaznodziejskiego, i pocałunek Franciszka, patriarchy zakonu serafickiego.

Słońce już się było schowało poza wzgórzem Janikulskiem, pozostawiwszy za sobą złotą smugę czaru i radości, a dwaj mężowie podobni do dwóch aniołów, czuwających nad olbrzymiem morzem szalejącego zbiorowiska ludzkiego, stali jeszcze na pagórku Awentyńskim, to wsłuchując się w huczne miasto, to przyjaźnie ze sobą rozmawia-

jąc. A była ich rozmowa cicha jak skon słońca, słodka jak zaranie jutrzenki i sączenie pieśni, święta jak modlitwa i miłość. Noc ambrozjańska już dawno była zaległa nad pagórką Awentyńską, gdy dwaj Święci ręka w rękę zwrócili swoje kroki do chaty, przylegającej do kościoła św. Sabiny. Tam ich święta rozmowa toczyła się dalej braterska, poufna. Nikt jej nie zapisał, ale jej skutki były tak potężne, że ów Rzym niespokojny, świat cały upadł później przed nimi z podziwu i wdzięczności na kolana.

A Rzym tymczasem rozbłyskiwał światłem wśród cichej nocy i huczał jak morze rozkołysane.

Bowiem w nim dokonywały się wypadki, które miały również zaważyć na szali losów społeczności ludzkiej. A choć te wypadki nie wniknęły tak głęboko w miłość ludów owego wieku i nie zatrzęsły tak potężnie posadami ustroju społecznego życia chrześcijańskiego jak skutki tej cichej i świętej rozmowy Dominika i Franciszka, to jednak otoczyły na piewien czas oblubienicę Chrystusową takim blaskiem i taką potęgą, że w czwartym laterańskim soborze powszechnym tkwiły ześrodkowane całe średnie wieki z blaskiem i potęgą Kościoła i papieżstwa.

Już od dwóch przeszło lat, bo od 13 kwietnia 1213, toczyły się z ramienia pasterza całego Kościoła przygotowania do tego aktu wspaniałego. Od kilku miesięcy już zjeżdżali się do miasta wiecznego dostojnicy Kościoła, książęta i posłowie krajów, aby myśleć i radzić nad naprawą społeczeństwa i Kościoła, nad zażegnaniem wichrów i uspokojeniem wichrzycieli, nad obroną wiernych i pamiątek chrześcijańskich przed najazdami i okrucieństwem sprośnego Turczyna. Przybyli na ów sobór powszechny posłowie Fryderyka II,

cesarza, Henryka z Konstantynopola, królów Francji i Anglii i Aragonji i Węgier i Polski i Cypru i Jerozolimy. Zasiadło doń 412 biskupów, 800 opatów i przeorów, cały szereg zastępców biskupów i kapituł, nie mogących przybyć.

Wobec tego chrześcijaństwa żywego, w Lateranie uroczyście zgromadzonego, wystąpił wkońcu pasterz owczarni Chrystusowej i mową, poczynając się od słów: *Desiderio desideravi manducare hoc pascha vobiscum*¹⁾, otworzył sobór, w którym się odzwierciedlił cały genjusz tego wielkiego papieża. Duchem potężnego biskupa rzymskiego przenosił się Inocenty od Zachodu na Wschód na oswobodzenie grobu Zbawiciela, od rozwielenionego bezprawia do ładu i cnoty, od doczesności do wieczności i zagrzeł wszystkich do takiego entuzjazmu, że w jedności była jedna dusza i jedno ciało. Zniknęła władza ziemska, objawiał się pasterz, stojący ponad królami i królestwami, wskazujący swej trzodzie drogę do przystani bezpiecznej.

I ta jedność duszy i ciała przejawiała się tak potężnie, że spięto ciało społeczne chrześcijaństwa nowemi ogniwami wiary i obyczajów w kształcie siedmdziesięciu dekretów. Wyraziście wystąpiło wyznanie całokształtu wiary w przeciwieństwie do rozwiewnych i błędnych nauk kacerzy i wytknięto sposób postępowania z nimi. Zajmowano się sprawami Kościoła greckiego, tak połączonego jak niepołączonego; oznaczono ściśle godność i liczbę patriarchatów. Czas i warunki, pod którymi przedsięwziąć miano wyprawę krzyżową, ułożono, nakazując pokój książętom chrześcijań-

¹⁾ Pożądaniem pożądałem pożywać tej paschy z wami. (Łuk. 22, 15.).

skim, ogłaszając odpusty, wzywając do zgody i jedności. Wytknięto normę zwoływania i odbywania soborów, procesów kanonicznych; przepisano kapłanom drogę do życia uczciwego i świątobliwego, sposób obsadzania wakujących posad duchownych; nakazano i wskazano umiejętne kształcenie duchowieństwa; określono obowiązki religijne i kościelne ludzi świeckich, przeszkody małżeństwa wyliczono i upewniono. Zajmowano się niezliczonymi sprawami poszczególnych krajów chrześcijańskich i załatwiano je pomyślnie.

Dotknięto wreszcie i kwestji zakonnej. Poinstanowiono mianowicie, że zakony już istniejące i zatwierdzone mają co trzy lata urządzać kapituły. Zakazano też surowo, aby nie powstawały nowe zakony; a jeżeliby powstały, ustanowiono, aby ich założyciele przyjęli jedną z istniejących już i zatwierdzonych reguł; obawiano się bowiem podówczas, aby wielka różnorodność zakonów nie zrodziła zamieszania w Kościele.

Jeszcze raz zatrzęsł się Rzym odgłosem dzwonów, zwiastujących zakończenie soboru. Potężne *Te Deum* rozebrzmiało i runęło po zawrotnych przestrzeniach św. Jana w Lateranie, matki i głowy wszystkich kościołów. Procesje rozwijały się jak sploty łyskliwe pełzającego węża po ulicach miasta wiecznego. Światło zalało światowładny gród.

Ale nad ranem już się wytaczały ciężkie powozy z jego bram i gnały po drogach smętnej Kampanji rzymskiej wśród tumanów kurzu i wśród luku we wszystkie strony świata. Rzym opustoszał. Dokonał swego zadania. W żyły świata chrześcijańskiego miało wsiąkać to, co był ustanowił.

Pomiędzy tymi, którzy opuszczali Rzym bramą Salaryjską, dążąc na północ, byli też dwaj pa-

trjarchowie z pagórka Awentyńskiego: Dominik i Franciszek. Dominik kroczył do swej ojczyzny Langwedocji i do gór hiszpańskich, Franciszek do swojej cieniej Porcjunkuli.

Dnie wahania i niepewności skończyły się dla Dominika. Sobór odrzucił jego prośbę, podaną pod postacią nowych konstytucyj dla nowego zakonu, a Inocenty III zachęcił go, by wrócił do ojczyzny i wybrał dla siebie i dla swoich towarzyszy jedną z istniejących już reguł. Odmowa nie była dla Dominika bardzo bolesną, bo zawarł był przyjaźń z Franciszkiem, który go natchnął do nowego życia, ukazując mu przejasne widnokręgi ubóstwa serafickiego. I oto postępował Dominik — pewny, a jednak zamyślony, spokojny, a jednak smutny, właśnie jako człowiek, który się jeszcze łamie i nowych szuka dróg do dopięcia swojego celu. Franciszek szedł rozpromieniony obok. Jego ubogi zakon pominięto na soborze zupełnem milczeniem. Na co zatem pięć lat temu papież Franciszkowi pozwolił, to miało trwać nadal: zakon braci mniejszych miał się rozwijać pod tchnieniem ducha Franciszkowego. Oddalając się coraz więcej od Rzymu, zwracał się raz po raz Franciszek słowem przyjaznem do Dominika i rozświeślał nowemi światłami jego wnętrze. Może weń wtedy wszczepił te zarodki, pod wpływem których wyszedł później Dominik z ciemnej groty Segowji w górach Sierra de Guadarrama z gotowem postanowieniem, trzymając w ręku pochodnię wymowy, umiejętności, boju i cnoty.

Rozmowę i rozmyślania dwóch świętych wędrowców przerwał nagle huk powozu, toczącego się z siłą okrutną i z chyżością zadziwiającą. Białe jak mleko konie rwały po drodze, ciągnąc za sobą ciężki powóz, noszący na sobie oznaki papieskie.

Jeźdźcy poprzedzali i zamykali sunącą karetę papieża.

Wędrowcy uklękli w prochu ziemi i pochylili czoła. W głęboko wyciętem oknie inknącej karety błysnął papieski pierścień, prawica uczyniła znak krzyża świętego. Powóz toczył się wciąż dalej, dopóki w obłoku kurzawy nie zniknął z ócz Dominika i Franciszka, którzy podniósłszy się z ziemi, postępowali dalej.

Tymczasem Inocenty III pędził ze swoim orszakiem w kierunku miasteczka Segni, do swego gniazda rodzinnego, aby po trudach trochę wypocząć i zarazem obmyślać, jak uchwały soboru najłatwiej i najskuteczniej w życie wprowadzić.

Najwięcej leżała papieżowi na sercu wyprawa krzyżowa, którą sobór był postanowił. Ta miała wyruszyć 1 czerwca 1217 r. z Europy w ten sposób, żeby jedna połowa wojska ciągnęła drogą lądową, druga zaś płynęła morzem z przystani Brindisi i Mesyny. Liczono wiele na połączone floty potężnych rzeczypospolitych Pizy (Liworno) i Genuy w celu przewozu wojsk do Ziemi Świętej. Atoli właśnie wtedy dwie rywalki prowadziły ze sobą wojnę nieubłaganą. Inocenty pchnął z Segni kilka poselstw, zaklinając je, by zaniechały wojny, a zbroiły się i ruszyły na wspólnego wroga chrześcijaństwa. Próżne zaklęcia! Dumna Genua ustąpić nie chciała szlachetnej Pizie. Inocenty postanowił czekać, dopóki się miasta w zatargach nie wyczerpią. Po wypoczynku w Segni wrócił do Rzymu, oddając się dalej całym sercem służbie Kościoła i ludów. Dumna Genua i szlachetna Piza, głuche na wszystko, prowadziły wciąż wojnę. Wkońcu wyczerpała się cierpliwość Inocentego. Postanowił sam osobiście pogodzić dwie rzeczypospolite.

Wyruszył tedy papież dnia 16 maja 1216 r. z miasta wiecznego, otoczony licznym orszakim i kilkoma kardynałami. Pędząc dniem i nocą w kierunku północnym, traktem prowadzącym od bramy Salaryjskiej przez dolinę Spoletańską i Asyż, stanął wreszcie w potężnej Perugji, gdzie konwój miał wypocząć.

Przybywszy do Perugji, papież zachorował nagle. Uporczywa febra powaliła go na łożo, i widoczne było, że pobyt przymusowy przeciągnie się dłużej.

Pomiędzy kardynałami, towarzyszącymi papieżowi, był także Hugolin, bliski krewny papieża. Ten, korzystając ze zwłoki, zaszłej w podróży, postanowił zwiedzić Asyż i Porcjunkulę, aby się naocznie przekonać o tym nowym zakonie braci mniejszych, o którym nasłuchiwał się dotąd tyle nadzwyczajnych rzeczy, zwłaszcza od kardynała Jana od świętego Pawła, ongi obrońcy Franciszkowego.

Właśnie wtedy, bo 30 maja 1216, odbywała się w Porcjunkuli kapituła święteczna. Mógł się tedy Hugolin zapoznać naocznie nietylko z Franciszkiem, ale i z całym jego dziełem. Przybywszy z kilkoma towarzyszami, pomiędzy którymi był i późniejszy brat Mikołaj, rodak papieża, Hugolin zdumiał się nad wielką liczbą braci. A gdy, rozmawiając i obcując z nimi, poznał nowego ducha i niezwykłą ich świętość, serce jego poczęło lgnąć do tego stowarzyszenia z taką siłą, że gotów był wszystko dla nich zrobić i poświęcić.

Jednakże co go najwięcej uderzało, to ich ubóstwo. Spoglądając na ich ubiór ubożuchny, przechodząc się po tych ciasnych celkach, w których nie było nic oprócz łóżek, tylko trochę trzciny wysłanych, nie mógł się obronić wzruszeniu

głębokiemu i rzewnie zapłakawszy, zawołał wobec wszystkich:

— Oto wypoczywają bracia! Cóż będzie z nami, którzy we wszystko obfitujemy?

I w tem wzruszeniu powziął mocne postanowienie. Przed kilkoma miesiącami umarł był kardynał Jan od św. Pawła, opiekun zupełnie oddany Franciszkowi. Hugolin, przypomniawszy to sobie, zbliżył się do Franciszka i rzekł:

— Ofiaruję się tobie na pomoc i doradę i na protektora u Stolicy Apostolskiej.

A Franciszek, pełen wdzięczności i prostoty, odparł:

— Z całej duszy pragnę, abyś był ojcem i protektorem naszego zakonu, i odtąd chcę, aby wszyscy bracia uważali cię za ojca i modlili się za ciebie.

Hugolin rzeczywiście od tej chwili był protektorem zakonu, choć urzędowo został nim dopiero później. Tymczasem pożegnał Franciszka i w podniosłości ducha wrócił do Perugji.

Wróciwszy do Perugji, udał się bezzwłocznie do Inocentego, aby się z nim podzielić szczęsną nowiną o świętości i ubóstwie dobrowolnem braci mniejszych i o dobrem wrażeniu, jakie nań sprawił Franciszek i jego zakon.

Oblicze Inocentego rozjaśniło się na tę wieść; albowiem przekonał się, że jego przewidywania i pozwolenia ustne na regułę, dane Franciszkowi sześć lat temu, spełniły się w godny sposób. Wieść przyniosła mu tem większą ulgę, że dni jego już były policzone. Zapadał coraz więcej na zdrowiu. A tymczasem cały jego orszak, ongi tak świetny, opuścił go; a z tych ludzi, których tyloma łaskami i względami obsypał, nie było prawie nikogo, ktoby go na łożu śmierci pocie-

szał i z pomocą mu przychodził. Ów brak przywiązania i pomocy w czasie, gdy się choroba wzmagała, i to przekonanie niewdzięczności ludzkiej i znikomości wszystkiego tak ujemnie wpłynęły na zdrowie papieża, że śmierć poczęła krążyć nad jego głową.

Ale w tej tragicznej chwili znalazł się przynajmniej jeden człowiek u łoża papieskiego. Był nim Franciszek z Asyżu.

Przybył do Perugji, aby usłyszeć ostatnią wolę papieża względem reguły, zakonu, kapituł świątecznych i rozporządzeń do wyprawy krzyżowej, a tymczasem stało się, że był jedynym lekarzem jego i pocieszycielem. W dzień 16 lipca 1216 w sobotę rano o godzinie piątej nastąpiła śmierć.

I ów potężny papież zamknął oczy z odbitym w nich obrazem Franciszka, który stał nad nim pokorny, litościwy, nad wyraz miłujący.

Gdy Inocenty III przeniósł się do innego życia, Franciszek opuścił Perugję, aby w Porcjunkuli modlić się ze swoimi braćmi za tego, który go do siebie przytulił. W dniu następnym, w niedzielę, pochowano zmarłego. Bezpośrednio po pogrzebie przystąpiono do wyboru nowego pasterza Kościoła Chrystusowego, z którego wyszedł Honorjusz III. Rządy Kościoła i chrześcijaństwa spoczęły w rękach sędziwego męża, pełnego prostoty i pobożności, ubogiego i dobrotliwego, niezłomnego jednak, gdy chodziło o obronę wiary i obyczajów.

Ten prowadzić miał dalej dzieło Inocentego III-go w zakresie wyłącznie religijnym, nie tylko względem całego Kościoła, ale i w stosunku do Franciszka i jego zakonu.

Niedługo po wyborze Honorjusza III, Franciszek idąc wraz z towarzyszem Maseuszem do Perugji, wstępował po stromym pagórku, w którym tkwią posępne i potężne mury miasta. A postępował tak rażno, że towarzysz nie mógł na-
dażyć. Dziwił się też brat Maseusz, że jego ojciec jest taki wesoły.

ROZDZIAŁ XVIII.

Odpust Porcjunkuli.

(1216.)

Czarne chorągwie starożytnej Perugji przemieniły się w poniedziałek 18 lipca 1216 w białe, i pełne radości łopotwały już od kilku dni nad miastem etruskiem. Katedra brzmiała radosną muzyką i podniosłym śpiewem, wypełniona publicznością od rana do wieczora, ślącą ofiary dziękczynienia do Pana, który rządzi światem i Kościołem. Wąskie i strome ulice dostrajały się do nastroju powszechnego radości i jaśniały powagą potomków etruskich i wdziękiem Peruginek i różnorodnością obcych, którzy do miasta podówczas byli napłynęli. Plac przed pałacem i katedrą, na którym później stała przepyszna koncha wodotryskowa, był zalany rojowiskiem ludzkim, które przepływało i odpływało gardłami ulic jako morze targane prądami w czasie przyływu i odpływu. Nawet tak posępny zwykle pałac miejski czyli ratusz Perugji, ocknął się, zadrgał, oblał się czerwonością strojów kardynalskich i przepychem służby miejskiej i papieskiej, jakoby z radości zapłonął rumieńcem, że gozdzien był gościem w swych murach nowowybranego papieża Honorjusza III.

A Honorjusz, oblegany wciąż poselstwami i zarzucany prośbami, czczony hołdami szczeremi i pochlebstwami dworskiemi, obarczony sprawami czekającemi rozstrzygnięcia i załatwienia, otoczony wieńcem kardynałów, niestrudzony udzielał codziennie posłuchań.

Siedząc na tronie papieskim w sali górnej pałacu perugijskiego, przyjmował z prostotą i dobrocią wszystkich, których przed niego wpuszczano; słuchał uważnie, odpowiadał, pocieszał, upominał; trochę zgarbiony wiekiem, nie zdawał się jednak ani zdziwiony, ani ujarzmiony nową godnością papieską, albowiem doszedł do niej prawnie i z uczuciem największej pokory chrześcijańskiej. Sam wyzuł się ze wszystkich dóbr doczesnych, rozdzieliwszy je pomiędzy ubogich; więc ubóstwem ewangelicznym trochę podobny był do Biedaczka z Asyżu. W jego oku nie tlił ogień i duch wojowniczy Inocentego III, jego poprzednika, w fałdach jego twarzy nie drzemała nieugięta energia Grzegorza VII, ale zato z całej jego postaci biła taka dobroć serca i cierpliwość, raczej do cichego cierpienia aniżeli do wyniosłego panowania skłonna, na jego czole osiadał taki pokój wewnętrzny, że kto się doń zbliżył, ten pokochać i uszanować go musiał jako ojca.

I kompleks tych przymiotów iście chrześcijańskich, okrążonych wieńcem srebrnych włosów starca, sprawiał, że ster łódki Piotrowej spoczął w rękach naprawdę godnych; w rękach, które istotnie mistyczne klucze królestwa niebieskiego nosić mogły w prawdzie i duchu.

Właśnie Honorjusz odprawił jakieś poselstwo. Odetchnął głęboko. Wtem przypodniósł się trochę i z nateżeniem popatrzył w głąb sali, w której drzwiach zjawił się jakiś człowiek boso,

w szacie pokutniczej, z powrozem u bioder. Na pierwszy rzut oka sądził, że to jakiś wieśniak z tamtejszej okolicy. Ale gdy ów się więcej zbliżył, poznał papież, że to Franciszek z Asyżu, o którym mu często Jan od św. Pawła i Hugolin opowiadali i którego widział był już w Rzymie.

Był to w istocie Franciszek. Oto, szedł ów człowiek pogardzony, pokorny, litościwy wśród otaczającego go przepychu, dumy dygnitarzy i szyderstw dworzan do pasterza najwyższego. Nim się zbliżył do papieża, oczy ich się skrzyżowały przelotnie, a Franciszek pomyślał: To jest prawdziwy ojciec, on moją prośbę wysłucha! Honorjuszowi zaś przemknęła przez głowę myśl łagodna: Braćmi jesteśmy! Ich dusze się zgłębiły i pobratały w tem wejrzeniu badawczem.

Franciszek szedł pokornie, a jednak z taką swobodą, jaką tylko najwyższa wiara zrodzić zdoła. Bo do jakichże wyżyn dochodzić musiała jego wiara, skoro jeszcze wczoraj w nocy zdobył się na to, na co żaden ze śmiertelników przed nim zdobyć się nie śmiał i nie umiał.

Po zachodzie słońca w kaplicy Porcjunkuli Franciszek zanurzył się w modlitwie tak dalece, że świat przestał dlań istnieć, a przed nim otwarło się niebo z Chrystusem na czele i Najśw. Panną i z niezgłębionymi szeregami aniołów. Na skrzydłach mistycznego zjednoczenia z Chrystusem i obcowania z niebianami ujrzał się wzięty z ziemi do nieba. Nowy niesłychany zwiastun! Była to jednak z tych chwil, które się później zdarzały coraz częściej, dopóki nie sprawiły cudu na górze Alwernji.

Widzenie było więcej niż intuicją. Widział, rozmawiał, prosił, otrzymywał, prawie dotykał.

Zawsze Franciszek kochał bliźniego. Ale wtedy serce jego musiało zapłonąć iście ognistą miłością dla bliźniego, a zwłaszcza dla ówczesnego świata grzesznego, skoro usłyszał głos Chrystusa, mówiący łagodnie i słodko w jego duszy:

— Tyleś się już, Franciszku namozolił dla zbawienia dusz, że ci niczego nie odmówię. Proś, o co chcesz!

A Franciszek w zachwyceniu, nie wiedząc, co się z nim dzieje, potoczył wzrokiem za siebie nadół, na świat pogrążony w nieprawości i w nieświadomości. I taka litość przeszła mu wewnątrzności, że usta wyjęczały błagalne słowa:

— Panie, grzesznikiem jestem i dla grzeszników, mych braci, proszę, abyś wszystkim, którym żal ściska serce i którzy się wyświadczyli i przyjdą do tego kościółka, odpuszczenia zupełnego ich grzechów udzielić raczył.

I wyciągnął Franciszek swoje ramiona a oczy błagalne zwrócił do Matki Chrystusa, nie ustami, ale całą istotą prosząc o miłosierdzie.

Po chwili krótkiej, ale wystarczającej, aby cała jaźń ludzka podarła się i spaliła w ogniu miłości i prośby, doszedł Franciszka głos:

— O wielką prosisz rzecz. Jednakże uzyskasz ją i inną, jeszcze większą.

Widzenie pierzchło, lecz nie zniknęła wdzięczność i słodycz dla serca Franciszka; i zdawało mu się, że całą noc przejęczał w przedsionku nieba, choć on się modlił w kaplicy ubożuchnej Porcjunkuli przed ołtarzem Chrystusa i Matki Najświętszej z przydomkiem Anielskiej.

Widzenie pierzchło, ale pozostało mocne, odważne postanowienie. Bowiem nad ranem, gdy powstał z modlitwy i z rozmowy nocnej ze swem

sumieniem, w którym Bóg zamieszkał, rzekł pełen radości do brata Maseusza:

— Pójdziemy do Perugii!

I oto teraz Franciszek posuwał się po skalistej tafli posadzki do tego, któremu Chrystus powierzył klucze mistyczne do królestwa niebieskiego na ziemi. A choć wolał obcować wśród prostaczych dusz ludu i kruszyć twarde serca grzeszników niżli obracać się w kołach obojętnych dworaków i w świetlicach, kapiących złotem i purpurą, przecież nie stropił się i ze swobodą stanął przed namiestnikiem Tego, z którym dzisiejszej nocy poufnie rozmawiał.

Honorjusz nie spuścił oka z Franciszka. Jednakże na myśl, że ten człowiek przychodzi także z prośbą, zachnął się. Czyżby i ów Biedaczek, który pogardził światem, zamierzał prosić o rzecz, która jest ze świata? — I zdumienie odbiło się na dobrodusznej, trochę rozlanej twarzy papieża.

Atoli zdumienie Honorjusza wzrosło, gdy z ust Franciszka usłyszał bez ogródki słowa, których żaden z jego poprzedników jeszcze nie słyszał.

— Ojcze, przed kilkoma latami naprawiłem mały kościółek poświęcony Najśw. Pannie. Teraz proszę Waszej Świętości obłożyć go odpustem zupełnym bez warunku jałmużny.

— Bez warunku jałmużny? Odpust zupełny? Dla kościółka małego, ubożuchnego! — zawołał, nie posiadając się ze zdziwienia, papież. — Ależ, bracie, ty chyba nie wiesz, że Kościół takiego odpustu udzielać nie zwykł i nie może. A na ile lat żadasz tej rzeczy niesłychanej?

— Nie lat chcę, ojcze, tylko dusz! — odparł nieustraszony i nieugięty Franciszek. — Żądam od Waszej Świątobliwości, aby wszyscy, którzy po

spowiedzi żalem przejęci wejdą do rzeczzonego kościółka, osiągnęli odpust zupełny od winy i kary i w tem i w tamtem życiu.

— Tego udzielić ci nie mogę, bo się sprzeciwia zwyczajowi kurji rzymskiej! — odparł Honorjusz krótko, ale z widocznem poruszeniem wewnętrznem.

Franciszkowi przypomniła się chwila, gdy z inną prośbą stał w Lateranie przed Inocentym III. I tam mu odmówiono z początku, odsyłając go do reguł zakonnych już zatwierdzonych. Ale obudził się w nim apostoł; wystąpił i prorok z biblijnym symbolem, a papież ujarzmiony ustąpił. Tu w Perugji przed Honorjuszem szło o rzecz równej doniosłości, jeżeli nie o ważniejszą, bo o cały świat grzeszników, których Franciszek z niebem chciał pojednać. Przytem stał przed starcem, który wszystko poruszy, gdy ujrzy, że idzie o zbawienie dusz i pomnożenie triumfującej owczarni Chrystusowej.

Tedy moc Chrystusa zstąpiła na Franciszka, i jął mówić jako człowiek, któremu się nikt oprzeć nie może:

— Ojcze, nie dla siebie proszę; ani ja jestem, który proszę. Przed oczy twoje kładzie tę prośbę Pan nasz, sam Chrystus Jezus. To On, który mnie do ciebie z tą prośbą posyła.

Poczem opowiedział całe widzenie zeszłej nocy. A tchnęło jego opowiadanie taką wiarą i ufnością, taką żywością i prostotą, że papież i kardynałowie słuchali go z największą uwagą. Widocznem było, że Honorjusz nietylko przejmuje się tokiem opowiadania, ale i ustępuje, podbity świętą natarczywością Franciszka i wyraźnym rozkazem Chrystusa.

Gdy tedy Franciszek zakończył, papież rozłożył ręce i po chwili głębokiej zadumy rzekł natchniony i wzruszony:

— Udzielam ci tego odpustu!

Ów starzec, który instynktownie czuł, że przed nim stoi prawdziwy syn, — więcej — może ten, za którym właśnie tęsknił ówczesny świat; on w którego drżącej ręce spoczęły dopiero od kilku dni mistyczne klucze otwierania i zamykania, wiązania i rozwiązywania sumień i nieba; on miałby odmówić użycia pierwszego z tych kluczy temu człowiekowi najuboższemu z ludzi, przychodzącemu w imię Chrystusa! Więc papież po prostu nie mógł odrzucić prośby Franciszka.

Wszelako kardynałowie, przysłuchując się dotąd rozmowie w milczeniu, słysząc wyrok papieża, postanowili go odwrócić od podobnego kroku. Hugolin rozinawiał żywo ze swym sąsiadem, wskazując wciąż na Franciszka. Z drugiej strony toczyła się jeszcze gorętsza dyskusja pomiędzy kilkoma purpuratami. Wkońcu odezwał się z pomiędzy nich jeden głos:

— Ależ, ojcze, jeżeli temu człowiekowi pozwolisz na taki odpust, unicestwisz odpust wyprawy krzyżowej; a oprócz tego odpusty i pielgrzymki do świętych miejsc apostolskich stracą wszelką wartość.

— Dalіśmy i potwierdziliśmy mu go — odparł papież — nie możemy tedy odwołać tego, co rzekliśmy. Jednakże należy ścieśnić ów odpust na jeden tylko dzień naturalny od nieszporów do nieszporów, raz w roku każdym na wszystkie czasy.

Rozpromieniony słuchał tego wyroku Franciszek i pokłon głęboki oddawszy, już chciał odejść.

Lecz papież rozweselony przywołał go napowrót i rzekł:

— Dokądże idziesz, prostaczku ty? Przecież nie otrzymałeś jeszcze listu uwierzytelniającego na dowód uzyskanej łaski!

— Ojcie — odrzekł Franciszek — twoje słowo wystarczy: notariuszem niech będzie Chrystus Pan, Najśw. Panna niechaj poda papier, a aniołowie niech dadzą świadectwo. Bóg rozpowszechni dzieło, które od Niego początek wzięło.

Potem oznaczył jeszcze papież dzień odpustu. Ponieważ za kilka dni miano obchodzić uroczystość Oków św. Piotra, więc Honorjuszowi wydawał się ów dzień aż do następnego najstosowniejszy. Dzień tedy 2 sierpnia został przeznaczony na odpust Porcjunkuli.

Wracając z Perugii do Asyżu pełen radości z Maseuszem, spoczął Franciszek na chwilę w polowie drogi w Colle, wiosce nader uroczej, w szpitalu trędowatych. Zasnął i podczas snu miał widzenie, że Bóg potwierdził w niebie odpust, którego mu udzielił papież na ziemi.

Gdy wkońcu doszli do błogosławionej Porcjunkuli ze szczęsną nowiną, radość braci nie znała granic. Odtąd chwała i aureola ubogiej Porcjunkuli miała rozebrzmieć po całym świecie.

Przed ogłoszeniem odpustu należało przystąpić do poświęcenia kościółka Porcjunkuli, aby w czasie tak poważnego obchodu wśród licznie zebranego ludu ogłosić niebywałą łaskę nieba. Franciszek przystąpił energicznie do dzieła.

Zaprosił wszystkich biskupów sąsiednich na ów akt. Zjawili się ich siedmiu, a na ich czele biskup Gwido z Asyżu. Ten też dokonał aktu poświęcenia wedle zwyczaju. Głęboko przejęci bra-

cia brali udział w obchodzie. Zdawało im się, że z tym świętym olejem, rozlewającym się po ołtarzu i ścianach ich ubożuchnej Porcjunkuli, zstępuje Bóg, aby tu na zawsze pozostać niewidzialny.

Po poświęceniu nastąpiła ofiara bezkrwawa, do której i Franciszek jako diakon usługiwał.

Wkońcu ogłoszono odpust. Biskupi wstąpili na trybunę w pobliżu ustawioną. Franciszek zaś wygłosił kazanie okolicznościowe przed nieprzebranymi szeregami ludu, który napłynął do Asyżu z miast i wiosek i grodów okolicznych.

Po ogłoszeniu odpustu przez Franciszka wstępowali wszyscy obecni biskupi, bracia, lud do kaplicy ze skruszonym sercem, aby pierwsi uzyskać odpustu, pierwszego w dziejach Kościoła.

Od czasu misji w Bevagna nie zaznała dusza Franciszka większej radości, spostrzegłszy, z jakim upragnieniem i z jaką skrucłą lud rzucił się do uczty zastawionej mu przez Biedaczka z Asyżu.

I odtąd odbywał się corocznie ów odpust. Napływ ludu zwiększał się z każdym rokiem. Setki tysięcy ludności ze wszystkich krańców świata tłoczyły się do tego źródła ożywczego. Zdarzało się, że miasta, prowadzące ze sobą wojnę, zawieszały na pewien czas broń, aby ich obywatele mogli się udać na odpust do Porcjunkuli. Doszło do tego, że w niespełna sto lat po ogłoszeniu odpustu papież ustanawiali postów umyślnie na ten cel wybranych, którzy mieli urządzić pielgrzymki i wzywać publicznie na odpust do Porcjunkuli. Nawet jubileusz, ustanowiony po raz pierwszy w Rzymie, miłościwe lato Bonifacego, w r. 1300, nie wpłynął na umniejszenie odpustu Porcjunkuli. Kto wie, czy nawet pomiędzy od-

pustem Porcjunkuli i jubileuszem Bonifacego nie zachodziło powinowactwo pochodzenia!

Cały ówczesny świat był pod czarem Franciszka z Asyżu. Porcjunkula i Alwernja były tylko dwoma z przejawów powszechnych; od czasów Salomona poświęcenie świątyń nie miało dalekonośniejszego znaczenia nad poświęcenie i odpust Porcjunkuli.

Raz — a było to w zawiązkach zakonu — miał jeden z braci, ukochany bardzo przez Franciszka, jeszcze przed swem nawróceniem i powołaniem widzenie.

Zdawało mu się, że widzi niezmierną liczbę ludzi ślepych z twarzą podniesioną do nieba, którzy na kolanach otaczali kościółek Porcjunkuli. Wszyscy wyciągali błagalnie ramiona do Boga, prosząc, aby się zmiłował nad nimi i przywrócił im wzrok. I oto brat spostrzegł, jak nagle z nieba stąpiło ogromne światło i rozlało się po wszystkich, przywracając wzrok oczom, zbawienie duszom.

Widzenie brata spełniło się. Odpust Porcjunkuli stał się tem światłem, które zstąpiło z nieba na świat pogrążony w ciemnościach.

Porcjunkula była dla wieków średnich tem, czem dla całego świata i dla wszystkich czasów było Betleem: kolebką, z której się podniosło odrodzenie w zakresie religijnym, społecznym, umiejętności i sztuk.

Franciszek z Asyżu na tle swojego wieku i na obliczu wieków przyszłych wyrzył boskie rysy Nazarejczyka.

ROZDZIAŁ XIX.

Pierwsza wielka kapituła świąteczna i jej następstwa.

(1217.)

Jeżeli kapituła w Zielone Świątki z roku przeszłego była liczna i ważna o tyle, że z nią w obecności kardynała Hugolina otwierał się szereg wielkich i ściśle zorganizowanych kapituł, to z rokiem 1217 wzrosła i liczba obecnych braci i doniosłość jej znaczenia. Ze wszystkich stron ciągnęli bracia w większych lub mniejszych grupach do Porcjunkuli, aby ujrzeć oblicze swojego ojca i podzielić się z nim i ze wszystkimi innymi smutkiem i radością.

Przybywszy w porze znoјnej na miejsce upragnione, rozkładali się bracia w grupach malowniczych około kościółka Porcjunkuli, śpiąc pod niebem otwartem lub w szalasach naprędcie skleconych. Nad nimi rozciągało się niebo umbryjskie w całej swojej pogodzie przeczystej i słodczy niewysłowionej.

Zgromadzeniu braci towarzyszyło drugie zgromadzenie ludności okolicznej. Ta przychodziła brać udział w uczcie duchowej, budować się świętością i wesołością swych synów, gardzących światem.

Niektórzy przybyli, aby popatrzeć na swoich krewnych, którzy się zaciągnęli pod chorągiew Franciszka z Asyżu. Inni przynosili żywność dla braci. A byli i tacy, których ściągnęła ciekawość. Ale przeważali ci, którzy chcieli słuchać Franciszka głoszącego słowo Boże.

Byli obecni wszyscy bracia całego zakonu, o ile ich choroba nie zatrzymała w domu. Otwarte piękne niebo, swoboda ruchu i słowa, wspólność spraw, powszechność warstw społecznych, w których tkwiła jedność celu i mieszkała jedna dusza, sprawiły, że w tem kole tała się jakaś ogromna siła. Siła, która w ruch wprowadzona zdolna była roztaczać coraz głębsze i szersze kręgi mające w wiekach przyszłych grupować się harmonijnie około wspólnej osi, którą był duch św. Franciszka z Asyżu.

A duch Franciszka spoczywał istotnie na sercach tych szeregów braterskich, ciesząc się, że Ukrzyżowany tyłu naśladowców natchnął do ubóstwa i pokuty; lecz równocześnie smutkiem i trwogą zamierało jego serce na myśl, czy ci bracia pójda wszyscy śladami tej reguły, którą im wytknął słowem, przykładem, całą postacią. Patrząc okiem badawczem na swoich braci, pytał nieraz samego siebie: Czy wszyscy będą tacy, jakich chciałbym mieć?

Jeszcze przed kilkoma dniami, zbliżając się z jednym z braci do Porcjunkuli, określił właśnie na swojej osobie, jaki ma być brat mniejszy, a zwłaszcza przełożony. Tak bowiem mówił do swego brata:

— Nie uważałbym się za brata mniejszego, gdybym nie był takim, jakiego ci opiszę. Oto —

mówił Franciszek — jako przełożony braci idę na kapitułę: nauczam ich i upominam. Wkońcu podnoszą wszyscy swoje głosy przeciwko mnie, mówiąc: Nie podobasz nam się, bo jesteś nieumiejętny i pogardy godzien; dlatego nie chcemy, abyś nam przewodniczył, boś nie jest wymowny, ale prostaczkiem tylko i idjotą! Wreszcie wyrzucają mnie i gardzą mną wszyscy. Mówię ci, jeżeli tego wszystkiego nie wysłucham bez zmiany twarzy, z radością umysłu, z trwałem przedsięwzięciem uświęcenia się, nie będę godzien nazwać się bratem mniejszym.

Właśnie wtedy więcej niż kiedykolwiek potrzeba było, aby Franciszek ściśle określił zadanie przełożonych, albowiem na tej kapitule przystąpiono do organizacji zakonu, do podziału na pojedyncze prowincje i do przedsięwzięcia wielkich misyj.

Jakkolwiek już przed r. 1217 były się we Włoszech wytworzyły poszczególne nieznaczne ogniska braci, zakreślone mniej więcej granicami narzecza ludowego i prowincyj politycznych czyli ówczesnych komun, to jednak pomiędzy braćmi w znaczeniu przestrzeni i godności żadna nie zachodziła różnica. Jedno było środowisko, jeden przełożony i ojciec: Franciszek — Porcjunkula.

Odtąd zmienia się postać rzeczy. Bracia włoscy dzielą się na prowincje zakonne: umbryjską, ankonitańską, toskańską i t. d., podlegają bezpośrednio przełożonym, których się nazywa ministrami czyli sługami prowincjalskimi. Jednakże ogniskiem głównym pozostaje nadal Porcjunkula i Franciszek.

Atoli wzrok Franciszka sięgał dalej. Nie zadowalał się własną ojczyzną. Zwrócił uwagę na

kraje Europy, w których wprawdzie znano Chrystusa, lecz jego pierwowzór zatarto w pamięci i sercu; utkwiał wzrok i w krajach zamorskich, gdzie Ukrzyżowanego nie znano, a jeżeli Go znano, to nato, aby Mu bluźniono. W jednych chciał, aby jego bracia opowiadaniem i przykładem wprowadzili napowrót i odświeżyli ewangelję; w drugich, aby bracia słowem pokoju kres położyli przelewowi krwi chrześcijańskiej i mahometańskiej, kamienne serca wyznawców Proroka zwiłżyli i zasiali w nie gorczyczne ziarno Chrystusa lub też własną krwią zapieczętowali swoje powołanie. Do pierwszego dzieła popychało Franciszka zadanie, które sam był wytknął swemu zakonowi; do drugiego prąd czasu i słowo papieża, wymagające i głoszące wyprawę krzyżową; obydwóch podścieliskiem był rozkaz Chrystusa.

I oto kapituła święteczna r. 1217 postanowiła urzeczywistnienie tego olbrzymiego przedsięwzięcia pod kształtem wielkich misyj.

Przeznaczono braci w większej lub mniejszej liczbie do Francji, Hiszpanji, Niemiec, Węgier, na Wschód do Syrii. Najsędziwszy z towarzyszy Bernard z Kwintawallu miał się puścić do Hiszpanji pomiędzy wiernych i niewiernych, do Niemiec miał wieść braci Jan z Penny, na Wschód brat Eliasz, do Węgier jeden z dwunastu. Sam Franciszek w towarzystwie brata Pacyfika, króla poezji, i braci Agnellusa i Alberta, obydwóch z Pizy, wybrał Francję; albowiem ten kraj kochał zawsze bardzo od młodości. Jego rycerski duch lgnął do tych obszarów, z których dolatywało tchnienie poezji, śpiewy i muzyka trubadurów i szcęk broni, jego mistyczne usposobienie nie mogło nie kochać ludu żyjącego czią Ciała i Krwi Pańskiej.

Jego twarz pałała radością, gdy swoich rycerzy Okrągłego Stołu wysyłał w strony świata na podbicie świata i ludów potęgą czarodziejską poezji i miłości. Postać jego przemieniała się na rycerza, gdy pomyślał o świetnych widnokręgach i przedsięwzięciach swojego wojska walecznego, ale równocześnie twarz powlekała mu się trwoga, gdy rozważał niebezpieczeństwa czekające jego synaczków.

Więc zgromadziwszy jeszcze raz wszystkich braci, przemówił do nich z niezmierną miłością, ale i z ojcowską przestrożą:

W imię Pana idźcie, bracia drodzy, po dwóch, skromni i pokorni. Przestrzegajcie troskliwie milczenie od rana aż do tercji i módlcie się w sercach swoich do Boga. Żadne próżne, niepotrzebne słowo niech nie wychodzi z ust waszych. A chociaż w podróży jesteście, niech jednak sposób waszego życia będzie taki pokorny i uczciwy, jakbyście byli w samotności lub w swoich celkach, bo gdziekolwiek jesteśmy i dokądkolwiek idziemy, zawsze nosimy ze sobą celkę swoją: brat-ciało jest naszą celą, a dusza jest pustelnikiem w niem mieszkającym, aby o Bogu myśleć, doń się modlić. Jeżeli dusza Boga kochająca w celi swego ciała nie żyje w pokoju, mało jej się przyda cęła zewnętrzna. Przystawajcie zawsze w świecie tak, aby ci, którzy was widzą i słyszą, byli zbudowani waszą pobożnością i chwalili Ojca niebieskiego, któremu się należy wszystka cześć i chwała. Wszystkim głoście pokój, mówiąc: Pokój Pana niech będzie z tobą! lecz sami miejcie pokój nietylko na ustach, ale i w sercu. Nikogo nie gniewajcie, nikomu zgorzelenia nie dajcie, ale wszystkich prowadźcie do zgody i pokoju przez swoją dobroć i ludzkość. Powołani jesteśmy, abyśmy chorych pielęgowali, smutnych pocieszali, błędzących na prawą drogę prowadzili. Wielu się zdaje być własnością szatana, którzy kiedyś będą uczniami Jezusa Chrystusa.

Poszli. Poszli ubodzy, ale nieustraszeni i mężstwem Boga wypełnieni na zawojowanie świata.

Jako wódz, który wyznaczywszy oddziałom swojego wojska posterunki i zadania, sam rusza ostatni w wir bitwy, tak Franciszek, pożegnawszy swych braci, ciągnących na zdobycie świata, sam puścił się ostatni w drogę z towarzyszami, kierując kroki na północ do Francji. Przybywszy do Florencji, dowiedział się, że w mieście przebywa kardynał Hugolin.

Jakoż tak było. Z ramienia papieża bawił Hugolin już od pewnego czasu w Tuscji jako poseł, któremu poruczono zabiegi i starania około pomyślnego wyniku wyprawy krzyżowej, naznaczonej przez sobór lateraneński na rok 1217. Dowiedziawszy się o tem, czuł się Franciszek obowiązany odwiedzić tego, który sam pragnął być protektorem zakonu.

Udał się tedy do kardynała. Przyjęty nader serdecznie jął mu opowiadać o przebiegu ostatniej kapituly a wkońcu o swych zamysłach. Lecz kardynał, usłyszawszy o zamierzonej podróży do Francji, powstał żywo i zbliżywszy się do Franciszka, rzekł nadspodziewanie:

— Bracie mój, nie chcę, abyś się teraz oddalił z Włoch. Zważ, że twój zakon poczyna się dopiero rozwijać. Masz dużo nieprzyjaciół, którzy twoje dzieło w zarodku zdusić mogą. Atoli masz i przyjaciół, którzy ci dopomogą pod warunkiem, że zostaniesz tymczasem w pobliżu.

— Ależ, panie — zauważył Franciszek — ja wysłałem braci w kraje dalekie i niegościnne. Jeżeli się dowiedzą, że ja pozostałem i wypoczywam wygodnie, tedy szemrać będą. Zresztą wstyd dla mnie pędzić życie w nieczynności, podczas kiedy bracia pracują i cierpią.

— To pocóżeś ich wysłał poza Alpy i wystawiłeś ich na głód, pragnienie, prześladowanie? — rzekł z wyrzutem kardynał.

— Panie — odparł Franciszek równie żywo — czyż sądzisz, że Bóg wzbudził braci mniejszych tylko dla krajów włoskich? Zaprawdę powiadam ci, że oni są powołani dla odrodzenia i zbawienia całego świata. Oni się przedrą nie tylko do krajów chrześcijańskich, ale i do kamiennych serc ludów niewiernych i pozyskają wiele dusz Chrystusowi.

Zdumiał się Hugolin, słysząc takie śmiale i duchem proroczym natchnione słowa. Podziw i miłość jego dla tego potężnego człowieka wzrosły w jednej chwili; jednakże męża stanu i dostojnika nie zbiły z tropu. Z drugiej strony i Franciszek na wspomnienie o machinacjach, snujących się przeciwko jego zakonowi, zawahał się i ustąpił. Rozkosz, którą sobie obiecywał z podróży misyjnej do wymarzonej Francji, poniósł jako ofiarę na ołtarz Bogu, a sam postanowił prowadzić dalej apostołstwo po Włoszech.

Tymczasem wysłał do Francji brata Pacyfika w towarzystwie Agnellusa i Alberta z Pizy.

Kilka dni pozostał jeszcze Franciszek we Florencji. Mieszkając w pałacu kardynała, porozumiewał się codziennie z nim. A zresztą zachowywał swój sposób życia, modląc się, opowiadając słowo Boże w mieście i okolicy, budując swą świętością, samego kardynała.

Raz przy nadchodzącej porze posiłku poszedł Franciszek do miasta, aby uprosić sobie jałmużnę. Przyszedszy z kawałkiem czarnego chleba, położył go na stole. Spostrzegłszy to, zdumiał się kardynał i zawstydził, najwięcej z powodu mnó-

stwa gości, których był zaprosił. Nie rzekł jednak nic. Franciszek zaś zaczął z jaśniejącem obliczem rozdzielać chleb pomiędzy gości. Z tych jedni spożywali z pobożności, inni położyli chleb ze czcią obok siebie.

Po skończonym obiedzie powstał dostojnik i odprowadziwszy męża Bożego nabok, objął go ramiony i rzekł:

— Mój bracie, dlaczego idąc po jałmużnę, zawstydziliś mię w moim domu, który jest domem twoim i twoich braci?

— Zaszczyt wielki ci zrobiłem — odparł Święty — uczciwszy Pana wyższego; bo podoba się Panu ubóstwo, a najwięcej to, które się dobrowolnie na zbieranie jałmużny skazało.

— Synu — rzekł na to kardynał — co ci się dobrem wydaje, rób, bo Pan jest z tobą.

Wkońcu jednak zatęsknił Franciszek za braćmi i za wolnością. Więc pożegnawszy kardynała, puścił się w drogę.

Franciszek rzadko sobie wytykał stałą drogę i miejscowość w swoich podróżach apostołskich. Gdzie go natchnienie wewnętrzne popychało, gdzie się plonu duchowego spodziewał, tam przystanął i opowiadał słowem i przykładem. A gdy się zdarzyło, że sobie cel podróży wytknął, nie szedł prosto, lecz jak żołnierz, który idąc, napada na nieprzyjaciela, gdziekolwiek go napotka; tak Franciszek nosił ciepło swojego serca i ogień swych ust, gdziekolwiek widział zastój obyczajów i czuł zimno serc ludzkich. Nieraz też gdy w czasie podróży uczuwał potrzebę skupienia się, przystawał i w miejscach odludnych, górzystych trwał w pracy nad własnem sercem. Stąd więc tru-

dno jest oznaczyć drogę, której się trzymał w poszczególnych podróżach swoich.

Jest jednak rzeczą prawdopodobną, że w owym czasie opuściwszy Florencję — może nawet był w Bononji — udał się do swojej ulubionej Alwernji, aby się skupić po odbytych misjach. To skupienie było tem potrzebniejsze, że się zawsze pragnął zjawić na każdej kapitule pełen miłości Bożej i bliźniego. A właśnie kapituła mniejsza na św. Michała zbliżała się szybko.

Zaprawiony w miłości Bożej przez pobyt w Alwernji i w miłości bliźniego przez obcowanie z braćmi w czasie kapituły mniejszej w Porcjunkuli, rzucił się Franciszek znowu w wir świata, w który ład i miłość Chrystusa wprowadzić było jego celem nieustannym.

Tym razem postanowił zwrócić swoje kroki do prowincyj południowych Włoch.

Najpierw zagłębił się w dolinę Reatyńską, która po dolinie Spoletańskiej najczęściej brzmiała słowem natchnionem. I widocznie jego serce odgadło potrzebę obecności w tej okolicy; ludność bowiem, zwłaszcza osady Greccio, trapiąca rozmaitemi klęskami żywiołowemi, wzdychała za nim. Latem grad tłukł zboże na polach i niszczył winnice; zimą zaś pojawiały się nadzwyczaj liczne stada wilków zgłodniałych niepokojących trzody i ludzi nocą i dniem. Jednakże dotkliwszem było to, że sama ludność się wyzbyła bojaźni Bożej, żyjąc w niezgodzie i nurzając się w występkach.

Franciszek skorzystał z tego i jał gorliwie wzywać do pokuty, przypisując nieszczęście winom ludzkim, które ściągają z nieba chłostę Boga, posługującego się różgą natury i zwierza. Groził też większemi jeszcze karami, jeżeli się ludność

nie nawróci. Ale zresztą był to w gruncie rzeczy dobry lud. Klęski też wnet ustały. A gdy Franciszek przytem zobaczył, że mieszkańcy wracają skwapliwie na drogę cnoty, pokochał ich tak dalece, że dość długi czas spędził w owej okolicy.

Odkrył bowiem w pobliżu Greccio, ponad miasteczkiem w górach pewną grotę samotną, która zdawała mu się dziwnie podatną do skupienia ducha. Tam sobie urządził nędzną celkę, coś w rodzaju szopy, w której po wycieczkach po okolicy trwał na rozmowie z Bogiem. Tam miało się kilka lat później zrodzić nowe hodowane w piersiach Franciszka Dzieciątko, które cały lud chrześcijański nappełniło potem radością i entuzjazmem: jasełka betleemskie.

Franciszek potrzebował naprawdę coraz częstszego skupienia. Przyszłe losy jego licznej trzody wymagały zastanowienia się, czy całego zgromadzenia nie ująć w pewniejsze karby i nie związać go mocniej z biegiem ogólnym hierarchji kościelnej. Wprawdzie reguła jego ustnie była zatwierdzona i milczeniem przez nowego papieża faktycznie usprawiedliwiona, wprawdzie on sam ciągle nad nią rozmyślał i pracował, poprawiając i uzupełniając ją wciąż, ale to jeszcze nie wystarczało. Nie posiadał dotąd orędzia autentycznego, zatwierdzającego wobec świata jego regułę. Przytem rozmowa prowadzona we Florencji z Hugolinem odchyliła przed nim: rąbek zasłony, za którą ujrzał niechętnych a nawet wrogo usposobionych dostojników. mogących dzieło Boże zgnieść w zarodku.

Grota w Greccio była świadkiem tych rozterek wewnętrznych Franciszka. Może go ona natchnęła do podróży na południe i do Rzymu.

Puścił się tedy na południe. Nie zdążył jednak wprost, ale według chwilowego usposobienia i potrzeby ludności skręcał w prawo lub lewo, jak zwykł był czynić. Zwiedził prawdopodobnie św. Michała al Monte Gargano, okrążył prowincje południowe, zawitał do Gaety, skąd się zwrócił na północ ku Rzymowi. Przed przybyciem do Rzymu zatrzymał się przez pewien czas w pustelni górskiej Subiaco, gdzie przemawiał doń duch św. Benedykta.

Raz bowiem w nocy po dłuższem rozmyśleniu o nieprzyjaciółach, rzucających się nakształt wilków na jego braci i na cały zakon, nawiedziło go dziwne widzenie. Zdawało mu się, że widzi małą czarną kurę podobną do oswojonego gołębia, mającą stopki całe pokryte pierzem. Wielka bardzo liczba kurcząt tuliła się do matki, ale wszystkie pomieścić się pod nią nie były w stanie.

Powstawszy ze snu, jął Franciszek rozmyślać o widzeniu i nagle duchem Bożym napelniony zawołał:

— Ja jestem tą kurą, bom mały postacią i czarniawy na twarzy i przez niewinność życia powinienem naśladować prostotę gołębia. Kurczęta to moi bracia pomnożeni liczbą i łaską, których siła moja już nie potrafi obronić od prześladowań ludzkich i złych języków. Pójdę tedy i polecę ich św. Kościołowi rzymskiemu...

Z początkiem roku 1218 stanął Franciszek istotnie w mieście wiecznem.

Kardynał Hugolin bawił właśnie w Rzymie. I on przechodził umysłem stan i rozwój przyszły zgromadzenia braci mniejszych. Nikt tak dobrze nie znał jak on tych prowincyj, w których ideał Franciszka zapuścił najgłębsze korzenie. Nieraz

zadawał sobie pytanie, czy myśl Franciszka nie jest mrzonką wobec żelaznej rzeczywistości życia społecznego? czy wobec niebywałego rozrostu jego zgromadzenia nie należałoby go ująć w ramy, któreby były wykonalne? Hugolin badał skrętnie ogólny rozwój i stan bieżącego życia zakonnego, porównywając go z nowym ideałem Franciszka i szukając, czyby się jedno z drugim nie dało połączyć. Znał przecież i Dominika, który się we wszystkim zastosował do dorad i życzeń Stolicy Apostolskiej. Wiedział wprawdzie kardynał, że Franciszek jest nieugięty i że twardo stać będzie przy raz powziętym zamiarze; jednakże on sam będzie się musiał liczyć z rzeczywistością, jeżeli mu ją kardynał jasno wytłumaczy. Wobec niej Franciszek będzie musiał przecież wprowadzić pewne drugorzędne zmiany w swoją regułę. A potem dopiero będzie można rozpocząć kroki o jej zatwierdzenie.

Przedewszystkiem należało zyskać dostojników przychylnych osobie i ideałowi Franciszka. Bo przecież Rzym musiał wiedzieć, co się działo. Całe Włochy już były pod urokiem Franciszka. Nowy reformator wysyłał swoją myśl na wszystkie strony świata na skrzydłach swoich braci. Dla dobra Kościoła trzeba było koniecznie użytek zrobić z tej ogromnej nowej siły. Postanowił tedy przedstawić kolegjum kardynalskiemu i papieżowi Franciszka w prawdziwym świetle, aby upadły podejrzenia, obawy, niechęć.

Prawdziwą więc radością wezbrała pierś Hugolina, gdy się dowiedział, że Franciszek przybył do Rzymu. Natychmiast kazał go do siebie wezwać i oświadczył mu, że nazajutrz ma stanąć przed papieżem i gronem kardynalskiem. Franci-

szek zgodził się chętnie. Ale gdy mu następnie kardynał zwrócił uwagę, że potrzeba przemówić wobec tego grona, zaniepokoił się. Jakże on nieumiejętny może stanąć i głos podnieść wobec tak świętego kolegium? On umie przemawiać do prostaczków i grzeszników, ale wobec namiestnika Chrystusowego czyż nie zamilknie! „Niczem jestem --- bronił się Franciszek — i nic nie umiem“.

Wkońcu jednak ustąpił nalegającemu Hugolinowi. Biografowie opowiadają, że się nawet na pamięć wyuczył mowy podanej mu przez Hugolina. A i sam kardynał nie był wolny od obawy, czy się Biedaczek należycie wywiąże z zadania. Nie znał jeszcze tak dalece Franciszka, aby mógł być pewny, że jego prosta wymowa wystarczy dla pałacu Lateraneńskiego. Zaniepokoił się też dla siebie; bo nuż Franciszek wyda się śmiesznym! nuż powie coś takiego, co nie będzie licowało z powagą miejsca i otoczenia!

I zdawało się, że się obawy sprawdzą, gdyż Franciszek, stanąwszy przed dostojnymi słuchaczami, oniemiał. Zapomniał całej mowy, której się był tak pilnie wyuczył. Nie długo jednak milczał. Wyznał prostodusznie, że o wszystkim zapomniał. Poczem natchniony nową myślą jał mówić swobodnie i potężnie. Jego głos dźwięczny, donośny, pełen odbłyśków metalicznych i zagieć słodkich, wnikał nieprzeparcie w serca słuchaczy i poruszał ich do łez. Ta mała postać, z której czarnych oczu szły skry, której ręce i nogi wyrażały więcej niż wymowne usta, narzucała się tak dalece, że jej wiara i pokora nakazywały największy podziw i najwyższe poszanowanie. Franciszek swoim ogniem i swoją prostotą podbił dostojne zgromadzenie zupełnie.

Odtąd węzeł przyjaźni pomiędzy Franciszkiem i Hugolinem zacieśniał się coraz bardziej. Równocześnie toczyć się będą pomiędzy nimi ciągle wymiany myśli i układy, w których ideał Franciszka przechodzić będzie musiał twarde próby, dopóki nie dojdzie do zatwierdzenia urzędowego reguły franciszkańskiej. Jest to bój pomiędzy ideałem i rzeczywistością, pomiędzy porywem heroizmu i polityką roztropności, pomiędzy Franciszkiem i Hugolinem, nowatorem i konserwatystą. Lub jest to raczej zlanie się tych dwóch czynników napozór sprzecznych i zbratanie się w granicach wyonalności.

Jak przezornym był Hugolin, miało się niebawem pokazać na najbliższej kapitule.

Rzym zgotował Franciszkowi jeszcze inną przyjemną niespodziankę. Spotkał się z Dominikiem, przebywającym tam w tym samym celu co Franciszek. Schodząc się na święte rozmowy, odnowili serdeczną przyjaźń. Nieraz też uczęszczali do pałacu Hugolina, przedstawającego chętnie ze świętymi mężami.

Pewnego razu zeszła rozmowa na godności biskupie, które należało ofiarować osobom ze wszechmiar godnym tego zaszczytu. Hugolin, chcąc może wybadać myśl obydwóch, rzekł:

— W Kościele pierwotnym byli pastrzercami i prałatami mężowie słynni miłością, nie chciwością, mężowie ubodzy. Czemużbyśmy z waszych braci nie mieli wybrać biskupów i prałatów, którzyby słowem i przykładem przyświecali innym?

Nikt z nich dla pokory nie chciał pierwszy odpowiedzieć, choć obaj zgodnie odpowiedzieli. Pierwszy tedy odpowiedział Dominik, aby oddać

pierwszeństwo pokorze Franciszkowej, którą przejrzał. Rzekł:

— Panie, moi bracia już są do wysokiej godności podniesieni. Dlatego według sił nigdy nie pozwolę, aby wzdychali za inną godnością.

A Franciszek oddając hołd Dominikowi, powiedział do Hugolina:

— Panie, moi bracia nazywają się mniejszymi, aby nie ośmielili się stać wielkimi.

Niedługo potem, opuściwszy pałac kardynała, zeszli obaj na rozmowę o sprawach zakonnych. A musiała być iście braterska, skoro się skończyła na tem, że się Dominik obwiązał w biodrach powrozem Franciszka. Przytem Dominik, wzięwszy Franciszka w ramiona, dodał:

— Bracie, życzyłbym sobie, aby twój i mój zakon tworzył jedno w Kościele zgromadzenie.

Na takich i podobnych rozmowach upływał im czas w Rzymie, ale naglił także Franciszka do powrotu, bo sprawy zakonne wymagały jego obecności w Porcjunkuli. Więc zaprosiwszy Hugolina i Dominika na kapitułę, pożegnał Rzym.

ROZDZIAŁ XX.

Franciszek, Dominik i Hugolin na kapitule świątecznej.

(1218.)

Kapituła świąteczna, odprawiona 3 czerwca 1218, jest ciągiem dalszym tych wielkich zgromadzeń braci, które się zaczęły mniej więcej od roku 1216. Nim nadejdzie kolej na oznaczenie cech, odróżniających ją od kapituł poprzednich i następnych, należy ujawnić typ ogólny wszystkich podobnych kapituł. *K w i a t e c z k i*, które jednakże z powodu zlania wszystkich szczegółów w jedno sumaryczne opowiadanie zawierają wiele rysów nieprawdopodobnych i błędnych lub raczej niezasłych wcale na tej kapitule, opowiadają, jak następuje.

Wierny sługa Chrystusa Franciszek odprawiał raz kapitułę generalną u Najśw. Panny Marji Anielskiej, na którą kapitułę zjawilo się przeszło pięćdziesiąt tysięcy (!?) braci. Przyszedł także św. Dominik, założyciel zakonu kaznodziejskiego, który właśnie szedł z Burgundji do Rzymu. Słyszac, że św. Franciszek urządza zgromadzenie kapituły w dolinie Najśw. Panny Anielskiej, poszedł go odwiedzić z siedmioma braćmi swojego zakonu. Przybył także na tę kapitułę pewien kardynał, zupełnie oddany Franciszkowi. Temu Franciszek był przepowiedział, że zostanie papieżem. I tak

się też stało. Ów kardynał przyszedł naumyślnie z Perugji, gdzie się znajdowała kurja, do Asyżu. Przychodził codziennie widzieć się z Franciszkiem i braćmi; czasem śpiewał mszę, czasem głosił słowo Boże. Jednem słowem zachwycał się, ile razy przyszedł. Widząc tych braci, siedzących w dolinie naokoło Najśw. Panny grupami tu czterdziestu, tam stu, ówdzie ośmdziesięciu, jak wszyscy rozprawiali o Bogu w modlitwie, we łzach, w uczynkach miłosiernych, jak skromnie i cicho się zachowywali, że nie słyszano żadnego hałasu, żadnego niepokoju, dziwiąc się tej liczbie tak pięknie uorganizowanej, mówił ze łzami w oczach i z wielką pobożnością:

— Prawdziwie, to jest obóz rycerstwa Bożego!

W tej liczbie wielkiej nie słyszano ani bajek, ani żartów; gdziekolwiek się zeszła większa grupa braci, tam albo się modlili, albo odmawiali brewjarz, albo opłakiwali swoje albo swoich dobrodziejczy grzechy, albo rozprawiali nad zbawieniem dusz. Na tej dolinie wzniesiono szopy czyli raczej dachy ze trzciny i desek różniące się grupami według różnicy poszczególnych prowincyj; dlatego tę kapitułę nazwano pod strzechami. Łózkami ich była ziemia, czasem słomą potrząśnięta; za poduszki służyły kamienie i drewna.

I tak wielka zdawała się ich pobożność, a sława ich świętości tak ogólna, że mnóstwo ludzi przychodziło im się przypatrywać i ze dworu papieskiego będącego podówczas w Perugji i z innych miejscowości doliny Spoletańskiej. Przychodzili hrabiowie, baronowie, rycerze i inni mężowie szlachetnie urodzeni i wieśniacy i kardynałowie i biskupi i opaci z wielu innymi duchownymi, aby zobaczyć to święte i pokorne i wielkie zgromadzenie, jakiego świat dotąd nie widział. A przedewszystkiem pragnęli widzieć mistrza i ojca najświętszego tego ludu Bożego, który światu wydarł tak piękny łup i stworzył tak piękną i zbożną trzodę, idącą śladami Pasterza Jezusa Chrystusa. Do tak zgromadzonej kapituły jął św. Franciszek w wielkiej gorącości ducha głosić słowo Boże:

— Synaczkowie moi, wielkie rzeczy nam są obiecane od Boga, jeżeli zachowamy te, któreśmy Mu obiecali. Krótka jest rozkosz świata, wieczna za nią kara; małe jest utrapienie tego życia, nieskończona jest chwała w tamtem życiu.

Rozwodząc się nad temi słowami pobożnie, zachęcał braci do posłuszeństwa, do wierności świętej matce Kościołowi należnej, do miłości braterskiej i Bożej, do cierpliwości w przeciwnościach doczesnych i do wstrzemięźliwości w szczęściu, do czystości anielskiej, do pokoju i zgody z Bogiem i z ludźmi; z własnym sumieniem, do miłości i przestrzegania świętego ubóstwa. A następnie mówił:

— Rozkazuję w imię świętego posłuszeństwa wam wszystkim tu zgromadzonym, aby się nikt z was nie troszczył o rzeczy doczesne i o potrzeby ciała; każdy ma się tylko starać, aby się godnie mógł modlić i chwalić Pana. Wszystkie zachody około ciała pozostawcie Jemu, bo Bóg ma o was szczególną pieczę.

Wszyscy bracia przyjęli ten rozkaz z wesołym sercem i rozjaśnioną twarzą, a po skończonem kazaniu zaczęli się modlić.

Św. Dominik, który był przy tem wszystkim obecny, zdziwił się mocno nad rozkazem św. Franciszka, uważając go za nieroztropny i nie mogąc przypuścić, jakim sposobem tak wielka liczba ludzi mogłaby istnieć bez troski i zachodów o rzeczy potrzebne ciału. Ale Najwyższy Pasterz Chrystus, chcąc okazać, jaką szczególną pieczę otacza swoją ubogą czeladź, natchnął w tej chwili lud z Perugji, Spoleto, Foligno, Spello i z Asyżu i z okolicy całej, aby temu świętemu zgromadzeniu przyniósł pokarm i napój. I nagle zjawili się ludzie z rzeczonych miejscowości z osłami, końmi, wozami pełnymi chleba, wina, fasoli, sera i innych dobrych rzeczy do jedzenia potrzebnych ubogim braciom. Oprócz tego przynosili nakrycia, narzędzia, garnki, szklanki i inne potrzebne naczynia; a szczęśliwym się być mniemał ten, który więcej mógł przynieść i pilniej usłużyć. Nawet baronowie i rycerze i inni szlachetni widzowie usługiwali braciom z wielką pokorą i czcią. Widząc to i poznając, że w istocie Opatrzność czuwa nad nimi, spostrzegł się św. Dominik, że źle sądził św. Franciszka z powodu wydanego rozkazu. I zbliżywszy się doń, rzucił się na kolana i wyznał pokornie swoją winę, mówiąc:

— Zaprawdę, Bóg ma szczególną pieczę o tych ubogich, a ja o tem nie wiedziałem. Odtąd obiecuję zachować ściśle święte ubóstwo ewangeliczne, a prze-

klinam w imię Boże wszystkich braci mojego zakonu, którzyby się ośmielili mieć coś własnego.

I tak św. Dominik był bardzo zbudowany wiarą św. Franciszka i posłuszeństwem i ubóstwem całego zgromadzenia i Opatrznością i obfitością wszystkiego dobra...

Po skończonej kapitule, zachęcając wszystkich i nauczając, jak się mają ustrzec grzechu w tym świecie, pobłogosławił wszystkim i wysłał ich pocieszonych i pełnych wesela duchowego do poszczególnych prowincyj.

Epizod, który o Dominiku podają *Fioretti*, jest wielce charakterystyczny. Choćby w szczególach nie był prawdziwy, to jednak wynika on niezbitnie nietylko z tego połączenia tradycyjnego, które lud osnuł w swojej poezji o św. Dominiku i św. Franciszku, ale także z rozwoju tych dwóch zakonów, dominikańskiego i franciszkańskiego.

Franciszek i Dominik byli przedstawicielami dwóch prądów życia zakonnego w średnich wiekach.

Franciszek wyrósł na gruncie potrzeb ludu, dla niego wzorem Chrystusa pracował i stał się jego rzecznikiem bezpośrednim; to powinowactwo odczuł sam lud, ochrzciwszy go patriarchą ubogich. Dominik był spadkobiercą dawnego ducha zakonnego z domieszką elementu czynnego i publicznego; powołany do życia potrzebami Kościoła, który pokonać musiał ówczesne nauki innowierców, poświęcił się słowem i przykładem walce — stąd nazywany młotem na heretyków — i objął razem ze swym zakonem berło umiejętności. Franciszek przedstawiał tedy potrzeby cierpiącego ludu, Dominik potrzeby Kościoła wojującego z nauką błędną. Później przelało się i światło umiejętności z zakonu dominikańskiego na zakon franciszkański, a popularność zakonu franciszkańskiego na wy-

łączność zakonu dominikańskiego. Ale popularność i miłość ludów dla Franciszka była bezgraniczna, dla Dominika chwilowa. Chwała Dominika pochodziła oprócz osobistej jego świętości i wielkości od chwały Franciszka i wpływu Kościoła; chwała Franciszka brała swój początek od samego Chrystusa i rzucała swoje promienie i na ówczesny Kościół i na Dominika. Jeden był dzieckiem wolności, drugi tworem powagi; tamten pierwowzorem, ten odblaskiem. Franciszek był w swojej prostocie genjuszem, Dominik naśladowcą w najlepszym słowa znaczeniu.

Rozwój zakonu św. Dominika wskazuje analogję historyczną do tradycji i legendy ludu.

Kiedy przed tą kapitułą generalną z początkiem tegoż roku obaj zakonodawcy przebywali w Rzymie, Dominik już był osiągnął zatwierdzenie reguły. Kościół bowiem dowiedziawszy się, że Dominik za jego wskazówką wybrał dla swych braci jedną z istniejących już reguł, mianowicie regułę św. Augustyna, bez wielkich trudności zatwierdził ją i wyposażył zakon znacznemi przywilejami. Z regułą Franciszka nie szło tak łatwo, bo chodziło o rzecz zupełnie nową i poniekąd niesłychaną. A jednak dwa lata później czuł się Dominik zmuszony na kapitule bolońskiej zaczerpnąć coś z ubóstwa franciszkańskiego i zmienić zakon posiadający w zakon żebrzący. Kto wie, czy tego światła nie zaczerpnął Dominik i w Rzymie w czasie rozmów z Franciszkiem i układów z Hugolinem i w czasie kapituley braci mniejszych w Porcjunkuli.

Bez troskie Franciszka i jego braci patrzenie w przyszłość i brak wszelkich zachodów około rzeczy doczesnych, a mimo to dzięki miłości ludu

opływanie ze wszystko musiały być dla Dominika objawieniem. Widział i przekonał się, że ubóstwo Franciszka nie jest mrzonką, nie jest ideałem nieuchwytnym. Jeżeli Dominik z roku 1217—1218, w którym mu kurja rzymska pozwoliła posiadać dobra, przemienił się w roku 1220 w Bononji tak dalece, że wyklął posiadanie dóbr i chciał, aby zakon żył z jałmużny, to nie mogło być prostym przypadkiem, ale skutkiem wzajemnego oddziaływania ducha Franciszka na ducha Dominika.

W tem podniosłem uczuciu opuścił Dominik Porcjunkulę i zwrócił swoje kroki do Hiszpanji.

Ale Hugolin, patrzący z uwagą na przebieg kapituły, przekonał się raz jeszcze, że te masy ogromne braci należy ująć w pewniejsze jeszcze niżli dotąd granice, aby dzieło Franciszka nie zaginęło lub co gorsze nie przemieniło się zczasem w bezładną i wrogą Kościołowi potęgę. Może też oko jego przenikliwie spostrzegło, że niewszyscy z tych braci są wiernem odbiciem Franciszka. Może dojrzało, że niewszyscy w przyszłości będą postępować śladami, jakimi kazał im chodzić Franciszek.

Nie chciał jednak przed czasem zasmucać Franciszka. Bo i tak smutek go już gnębił i to właśnie z powodu braci krnąbrnych i chciwych nowości.

Dość pokaźna bowiem liczba braci uczonych udała się była do kardynała ze skargą, mówiąc:

— Panie, pragniemy, abyście doradzili bratu Franciszkowi, żeby też poszedł za radą braci uczonych i pozwolił im się czasem prowadzić.

Przytem wskazywali na regułę św. Benedykta, Augustyna i Bernarda, uczących, jako można żyć po zakonnemu.

Gdy kardynał doniósł Franciszkowi to upomnienie, mąż Boży nic nie odpowiedział, tylko wzięwszy go za rękę, zaprowadził go do braci zgromadzonych na kapitule i tak przemówił do nich w gorącości i mocą Ducha Świętego:

— Bracia moi, bracia moi, Pan mię powołał drogą prostoty i pokory i tę drogę w prawdzie wskazał mnie i tym, którzy mi chcą zawierzyć i naśladować mię. I dlatego nie chcę, abyście mi mówili o innej regule, ani św. Benedykta, ani św. Augustyna, ani św. Bernarda, ani o żadnej innej regule, tylko o tej, którą mi Pan miłosierny wskazał i dał. I powiedział mi Pan, że chce, abym był nowem przymierzem na tym świecie, i nie chce nas prowadzić inną drogą, tylko tą. Ale przez waszą naukę i mądrość Bóg was pograży, a ja ufam, że was Bóg przez szatanów pokarze, i chcąc nie chcąc powrócicie do swojego stanu pierwotnego z hańbą waszą.

Kardynał osłupiał i nic nie odpowiedział, a wszystkich braci zdjęła trwoga.

Ale Franciszek miał inny jeszcze powód do smutku.

Oto większa część braci, których poprzedniego roku był wysłał poza Alpy, wróciła przed czasem i zniechęcona. Zapytani, dlaczego tak prędko wrócili, odpowiedzieli ze smutkiem, że nikt ich nie znał, że ich wszyscy uważali za ludzi rozsiewających nauki błędne, duchowieństwo do nich się nie przyznawało, świeccy ich wyganiali, łotrzyki napadali na nich, bili ich i ogołacali ze wszystkiego. A ci, którzy wrócili z Niemiec, Węgier i Lombardji, jeszcze wymowniejszemi ustami opowiadali o cierpieniach doznanym w tych krajach niegościnnym.

Bracia, słysząc o tych opowiadaniach, cierpieli razem z nimi, a z błoń doliny Spoletańskiej podniosła się ze wszystkich ust do nieba prośba:

— Panie, obroń nas od herezji Lombardczyków i od dzikości Niemców!

Bólem przeszywała nieznośnym ta skarga serce ojca wszystkich tych braci, których tak kochał. Franciszek, któryby chętnie był przelał krew za nich, wyrzucał sobie gorzko, że ich wysłał, a sam pozostał w ojczyźnie. Chciałby wszystkich przytulić pod swe skrzydła, jak kura przykrywa swoje pisklęta, a nie mógł. Przekonał się, że sama jego moc nie potrafi braci obronić. Musiał szukać innej obrony i pomocy.

Lecz właśnie trudno mu było zdobyć się na szukanie tej pomocy. Stąd ból i smutek podwójny. I sam nie chciał i swoim braciom był zakazał, aby się nie ważyli szukać przywilejów u Stolicy Apostolskiej. A teraz widział się sam do tego zmuszony. Zrozumiał, czego może poprzednio nie myślał, że wielki zakon istnieć nie może sam przez się bez podpory zewnętrznej, bez ścisłego połączenia z hierarchją Kościoła.

Hugolin, który wiedział, że do tego przyjść musi, przyszedł w pomoc Franciszkowi. Stało na tem, że Hugolin uzyska w Rzymie tymczasem listy polecające dla tych braci, którzy na przyszłej kapitule będą przeznaczeni do krajów zaalpejskich i zamorskich.

Franciszek nie mógł się nie zgodzić. Bracia przezeń pocieszeni rozbiegli się na swe stanowiska. On sam zaś udał się do samotności, w której przestawał z Bogiem i z naturą. Poczem jał się gorliwie dalszego apostołstwa.

ROZDZIAŁ XXI.

Trzecia wielka kapituła generalna.

(1219.)

Czego Franciszek względem podróży na Wschód tak gorąco pragnął i czego nie mógł dokonać w r. 1212, to się miało spełnić w r. 1219.

Wyprawa krzyżowa, do której tak gorliwie był nawoływał umysły Europy Inocenty III i sobór lateraneński, przysła istotnie do skutku w r. 1217 pod Honorjuszem III. Ale jakże nikło wypadła wobec tych ogromnych przygotowań, na które zdobywał się przed śmiercią heroiczny Inocenty. Ze wszystkich książąt chrześcijańskich odpowiedział na wezwanie jedynie król węgierski Andrzej II z Leopoldem Austriackim, którzy wypłynawszy z przystani Spalato, pociągnęli pod wyspę Cypru i pod Ptolemaidę. Jednakże Andrzej, zniechęcony trudnościami i niezgodą krzyżowców, wrócił w roku 1218 przez Bizancjum do pieleszy domowych. Pozostał na Wschodzie Leopold, który miał oczekiwać nowych posiłków mających nadejść z Europy, a po ich przybyciu chciał się rzucić na Egipt, główną siedzibę potęgi mahometańskiej i klucz do Syrii. Tymczasem na wezwanie ojcowskie Honorjusza III przyrzekło wy-

ruszyć z Europy z początkiem lata 1219 głównie rycerstwo północno-niemieckie i fryzyjskie. Sam cesarz Fryderyk II przyobiecał się też zbroić i wkrótce wyruszyć, o czem jednak powszechnie powątpiewano.

Te wieści przyniósł do Asyżu kardynał Hugolin. Przybywszy w Zielone Świątki na kapitułę generalną braci mniejszych do Porcjunkuli, zagaił ją zwykłym ceremonjałem w dzień 19 maja.

Liczba przybyłych braci była ogromna. Kilkotysięczny potężny zastęp krzyżowców pokoju zgromadził się naokoło Porcjunkuli pod wolnem niebem i pod szalasami naprędce postawionemi. Była to uczta pożegnalna dusz, którą Franciszek przed wyruszeniem na Wschód wyprawił dla swej braci. Z tą kapitułą kończył się również szereg poprzednich kapituł, w których całe życie Franciszka i braci układało się i krystalizowało, przechodząc ze stanu heroicznego uczucia w ład organizacji stałej, społecznej. Przyszłe kapituły nie będą już wyłącznem powitaniem radosnem wszystkich braci, lecz rzędem w prawdziwem słowa znaczeniu. A co więcej, przewodniczyć już im nie będzie Franciszek, przynajmniej w charakterze urzędowym ministra generalnego, gdyż zrzecz się wszelkich godności dla przykładu braci.

Całe zgromadzenie jaśniało radością. Bracia we wzajemnym uścisku i w świętych przyjacielskich rozmowach zapomnieli o wszystkich doznanych cierpieniach, które na przeszłorocznej kapitule takim ciężarem smutku przytłaczały ich piersi. Sam Franciszek był ich słońcem, na którego piersi ogrzewały się serca braci. Jako anioł pokoju i jako ojciec dobrotliwy przechodził się po-

między nimi, pocieszając ich i zwiastując każdemu inną radosną nowinę, upominając, ciesząc się ich radością.

Hugolin zadowolony z przebiegu kapituly układał z Franciszkiem organizację zewnętrzną zakonu. Sam się znosił z przywódcami misyj zagranicznych, udzielał im światła zaczerpniętego z własnego doświadczenia i z doświadczenia dwunastowiekowego Kościoła. Tę roztropność Hugolina tłumaczył znowu Franciszek na swój sposób porywający i zapalający braci do męstwa i heroizmu.

Ale radość powszechna zapanowała wśród braci, gdy po dłuższych naradach podniósł Franciszek swój głos dźwięczny i serdeczny, zwracając się zwłaszcza do tych braci, którzy z przeszłorocznych misyj byli wrócili zniechęceni i zasmuceni, i jał głosić, jako odtąd w innych warunkach i z innym skutkiem opowiadać będą słowo Boże. Kardynał Hugolin, przyjaciel i opiekun zakonu, przyrzekł pomoc i obietnicy dotrzymał. Odtąd bracia uzbrojeni orędziem papieskim bezpiecznie zapuszczać się będą mogli w niegościnne kraje, bo pod skrzydłami Kościoła z żelaznym pójdą listem. Biskupi i zakonnicy ich przyjmą, od napaści niesłusznej bronić ich będą, bo ich ojciec całego chrześcijaństwa do tego wzywa. On sam, Franciszek, pójdzie ze szczęsną nowiną w kraje zamorskie, bo ten sam pasterz i ojciec Kościoła upomina wiernych, aby udział wzięli w wyprawie krzyżowej, która wkrótce wyruszy na Wschód przeciw wrogom Chrystusa i Jego wyznawców. Jakżeby bracia mniejsi mieli pozostać głuchymi na to wezwanie? Jakżeby on, Franciszek, miał na niebezpieczeństwa wystawić swych

braci i puścić ich samych? Jakżeby on patrzeć mógł na to, że jego synowie odnoszą palmę zwycięstwa, a on nie, choć jej tak pragnie! Ale czy mają iść do niewiernych, czy do grzeszników, czy złoczyńców, czy wiernych i pobożnych, niechajże bracia nabiorą otuchy, bo z nimi jest Bóg i jest błogosławieństwo i obrona Kościoła.

Honorjusz, sługa sług Bożych, arcybiskupom, biskupom, opatom, dziekanom, archidiaonom i innym przełożonym kościołów.

Ponieważ ukochani synowie Franciszka i towarzysze jego w sposobie życia i w zakonie braci mniejszych, porzuciwszy próżności tego świata, obrali żywot słusznie zatwierdzony przez Kościół rzymski i za przykładem apostołów idą przez różne kraje, siejąc ziarna słowa Bożego, przeto was wszystkich prosimy i upominamy w Panu, rozkazując wam niniejszym listem apostoelskim, abyście tych braci, którzy z tym listem do was zawitają, przyjęli jako katolików i wiernych i abyście się z nimi też obchodzili łaskawie i dobrotliwie gwoli czci Bożej i naszej.

Dan 11 czerwca roku papieżstwa naszego 3.

Wkońcu ustanowił jeszcze Franciszek zastępców na czas swojej nieobecności. Brat Mateusz z Narni miał czuwać nad Porcjunkulą i przyjmować zgłaszających się do zakonu; bratu Grzegorzowi z Neapolu poruczył, aby obchodził klasztory po całych Włoszech, upominając braci i pocieszając ich; brat Filip miał się opiekować towarzyszami św. Klary u św. Damjana i gdzie indziej, a brat Jan z Campello chorymi i trędowatymi. Poczem bracia z Franciszkiem na czele ruszyli w świat.

Porcjunkula rozłożyła się na różne kraje świata: na Włochy, Francję, Hiszpanję, Niemcy, Węgry, Palestynę, Egipt. Kapliczka opustoszała; oprócz kilku jej stróżów tysiące braci z ojcem swym na czele poszły ze szczęsną nowiną pokoju

i miłości Chrystusowej, by wyryć ją na twarzy świata zgłoskami niezatartemi.

Franciszka, który to tchnienie stworzył, nie wstrzymywał Hugolin i nie odmawiał od dalekiej podróży. Wstrzymywać nie mógł, bo wyprawa krzyżowa w owych czasach była rzeczą świętą, ślubem; nie odmawiał, bo na te szeregi braci rzucono pierwsze ogniwa ładu społecznego i spięto je złocistym paskiem z rydwanem wojującego Kościoła. Więc na chwilę twórca i duch tego potężnego zgromadzenia mógł się oddalić bezpiecznie i dowieść, czy też naprawdę i poza doliną Spoletańską umie być bohaterem. Była to próba, czy bez Franciszka, przynajmniej bez jego ciała, nie rozleci się to zgromadzenie.

Atoli Franciszek nie zastanawiał się nad przyszłością. On niósł, radości pełen, wieść pokoju i miłości Chrystusowej nieprzyjaciółom Chrystusa, zdążając ochotnym i chyżym krokiem z bratem Piotrem i Iluminatem i Leonardem i wielu innymi do Ankony na okręt; z tej przystani bowiem w dzień św. Jana 24 czerwca 1219 miała wyruszyć flota chrześcijańska.

ROZDZIAŁ XXII.

Franciszek na Wschodzie.

(1219—1220.)

Do portu Ptolemaid y na piaszczystem wybrzeżu Syrii wpływał majestatycznie ostatni okręt floty chrześcijańskiej. Pokład wspaniałego okrętu wypełnił się świetnem rycerstwem. Na szmelcowanych zbrojach rycerzy i lśniących ich hełmach, zdobnych w powiewne pióropusze, łamały się złote promienie zachodzącego słońca. Okręt, zatoczywszy kilka niespokojnych kręgów, zapuścił kotwicę i stanął. Rycerstwo poczęło się spuszczać po schodach i drabinkach okrętowych w łodzie mające ich przewieźć do brzegu.

W jednej z pomiędzy ostatnich przybijających do brzegu łodzi zwracała na siebie uwagę gapiącego się tłumu pewna grupa ubogo a jednakowo odzianych ludzi. Ich twarze nie zdradzały męstwa krzyżowców, ale zato spokój jakiś dziwny. Spokój ów miał w sobie coś przeciwnego usposobieniu ówczesnemu. Mieszkańcy Ptolemaid y nie pamiętali podobnego. Bodaj, że Chrystus ze swymi uczniami przechodził kraje Syrii z takim pokojem na twarzy.

Był to Franciszek i towarzysze. I oni przepłynęli morze na wzór wojowników krzyżowych.

Ale podczas kiedy ci nieśli słowa bojowe i rozlewać cicieli strumieniami krew obcą, bracia mniejsi przychodzili ze słowem pokoju i pragnęli przelać krew własną w obronie pokoju Chrystusowego.

Franciszek padł w objęcia Eljasza i innych braci, którzy od dwóch lat przebywali w Syrii, lecz w Ptolemaidzie nie zatrzymał się długo. Rozesławszy braci w różnych kierunkach Palestyny, sam popłynął z bratem Iluminatem i innymi braćmi śladami wojsk chrześcijańskich; te bowiem postanowiły przenieść rdzeń wojny z Syrii i Azji Mniejszej do Egiptu, ponieważ tam tkwiła siła mahometańska i stamtąd wciąż niepokoili miasta i porty syryjskie, będące w rękach chrześcijan. Wojska rozłożyły się obozem pod Damjată pod przewodnictwem Leopolda Austriackiego i Jana z Brienny, brata owego Waltera z Brienny, do którego w swoim czasie wybrać się chciał do Apulji młody Francesco w celach zupełnie innych.

Złączywszy się z wojskiem pod Damjată stojącym, jał się rozglądać po obozie. Wojsko składało się nietylko z rycerstwa świętego, ale także z awanturników całej Europy, wygnańców, z ludzi bezdomnych i żądnych złota, zdobyczy, rozkoszy. Franciszka niemile uderzył ów widok. A gdy dopiero wniknął w serca tych ludzi okrytych przepysznyemi strojami i zbrojami, gdy zobaczył niezgodę panującą wśród rycerzy różnych krajów, brak dyscypliny pomiędzy pojedynczemi oddziałami wojska, demoralizację ducha wojskowego, zasmucił się głęboko. I dnia jednego rzekł do brata Iluminata:

— Objawił mi Bóg, że to wojsko musi przegrać bitwę.

A do bitwy właśnie się gotowano. Więc chcąc oszczędzić hańby i krwi, która miała przełać się napróżno, począł wodzom i wojsku odradzać zamysłu, przepowiadając, że sromotnie zostaną pobici. Nie usłuchali. Poczytywali go za pozbawionego zmysłów.

Dnia 29 sierpnia wśród upału tropikalnego ruszyli do boju. Zdawało się, że się Franciszek omylił; albowiem pod obuchem pierwszego natarcia mahometanie poczeli ustępować. Złudzenie! Złudzenie! Mahometanie udali ucieczkę; potem zawrócili jak potężna fala powietrza, uderzając w rycerzy chrześcijańskich z taką furją i zacięłością, że ci stropieni zostali zepchnięci i pomieszali szyki. Bitwa przemienia się w rzeź. Rycerze ginęli pod krzywymi szablami mahometan lub poczuli pęta powrozów na swych rękach lub uciekali bezładnie, rozpaczliwie. Bitwa skończyła się straszliwą porażką imienia chrześcijańskiego. Przeszło 6000 wojowników poległo lub poszło w niewolę. Spełniła się przepowiednia Franciszka.

Z pogromu powróciły zdziesiątkowane oddziały wojska znowu pod Damjatę. Tam bowiem stał obóz chrześcijański, który oczekiwał dalszych posiłków, mających nadejść z Europy, zwłaszcza floty Fryderyka II, aby zdobyć Damjatę.

Od chwili spełnienia się proroctwa Franciszka oczy całego obozu były nań zwrócone. On zaś korzystał z położenia i usposobienia, opowiadając gorliwie słowo Boże; widział, że ostatecznie to zbiorowisko ludzkie, zebrane ze wszystkich kątów Europy, potrzebowało po doznanej porażce więcej ciepła Bożego i pociechy od samych ma-

hometan. Litował się też wielce nad poległymi, albowiem umiał cenić męstwo. Biograf Celańczyk opowiada, że żal jego objawiał się najbardziej dla poległych Hiszpanów, którzy byli okazali nadludzkie męstwo i z których tylko garstka pozostała przy życiu. Bonawentura dodaje, że właśnie za najwaleczniejszymi najrzewniej płakał.

Apostolstwo jego rozwinięte w obozie musiało przynosić obfity owoc, skoro zauważyli to nawet obcy dziejopisarze współcześni uderzeni nadzwyczajnością faktu i pisali o wielkiej liczbie ludzi, wstępujących do zakonu Franciszka w Egipcie.

Zresztą znajdował się przecież Franciszek w dawnej ojczyźnie, w której się życie zakonne narodziło. W owych czasach powstawały właśnie liczne klasztory w pustyniach Syrii poza cywilizacją Europy. Nic więc dziwnego, że i zakon braci mniejszych zyskiwał w tych krajach w czasie wojen z mahometanami niemało zwolenników. Wojsko prowadziło z sobą nietylko ludzi twardej, nieużytych, awanturników, ale i ludzi łaknących sprawiedliwości i prawdy; ludzi wykołajonych, których byle wypadek lub słowo mogło sprowadzić na drogę zupełnego opamiętania się i podźwignięcia; ludzi wreszcie zrozpaczonych widokami rozlewu krwi i okropności wojny, którzy wołali o pokój i zmiłowanie w udręczonych sercach. Jakże ci i podobni ludzie nie mieli się garnąć do Franciszka i prosić go o przyjęcie! Jakże nie mieli przynajmniej wsłuchiwać się weń i patrzeć nań, gdy stanął przed nimi ze słowem niebieskiego pokoju, łagodny i miły, prostaczy i nieumiejętny, ale taki potężny wymową i przykładem, że wszystkich do siebie przykuwał.

I właśnie ów widok sprawiał, że na skrzydłach tego wojska, wracającego później w swoje pielesze domowe, leciało imię tego potężnego Biedaczka z Asyżu i rozbrzmiewało, dokądkolwiek zawiał który z tych rozbitków rycerskich.

Na tem jednak skończyć się nie mogło apostołstwo Franciszka na Wschodzie wśród niewiernych.

Dotąd walczyli i przelewali swoją krew rycerze chrześcijańscy. Odtąd walczyć będzie z całą potęgą mahometańską i z samym sułtanem Malek-al-Kamelem Franciszek.

Sam z bratem Iluminatem pójdzie wprost do obozu nieprzyjacielskiego przed sułtana i będzie mówił, co mu Chrystus podda. A gdy go rycerze wstrzymywać będą, gdy mu powiedzą, że na każdą głowę chrześcijańską nałożył Malek-al-Kamel okup, on odpowie:

— Nie boję się śmierci!

A gdy delegat papieski Pelagjusz twardym się okaże z pozwoleniem na wycieczkę śmiertelną, on go zaklnie na miłość imienia chrześcijańskiego i na krew chrześcijańską przelaną w ostatniej bitwie. Pójdzie, śpiewając za prorokiem:

— Choćbym chodził wśród cienia śmierci, niczego się obawiać nie będę, bo Ty, Panie, jesteś ze mną.

Pójdzie ochoczo, wołając wciąż jedyne, które umie, arabskie słowo:

— Sułtan, sułtan!

W drodze natknie się na dwa jagniątka, a piersi wzbiorą mu ufnością i męstwem. I rzeknie do towarzysza:

— Bracie, idziemy pod dobrą wróżbą; bo słowa ewangelji są z nami: Oto, ja was posyłam jako owieczki pomiędzy wilków.

Wkońcu doszedł naprawdę pomiędzy wilków obozu mahometańskiego. Pierwsze placówki puściły go wolno; bo mniemano, że to zbieg. Gdy się jednak dalsze warty dowiedziały, że to nie zdrajca, przeciwnie, że przychodzi opowiadać religję chrześcijańską, rzucili się żołnierze na niego i okrywszy go razami, powiązali.

Franciszek pozostał spokojny, tylko raz po raz powtarzał jedyne słowo, które umiał:

— Sultán, sultán!

Stawiono go tedy związanego przed sultana. Ów szlachetnego będąc serca przyjął ich z go-dnością i wypytał, co przynoszą. Franciszek wy-luszczał przez tłumacza gorliwie cel podróży, mó-wiąc o zbawieniu jego duszy.

Miasto odpowiedzi kazał sultán przywołać swoich kapłanów i powtórzyć im słowa Fran-ciszka. Ci atoli napadli zaciekle na sultana, wzy-wając jeden przez drugiego, aby Franciszkowi odciąć głowę, bo tak każe prawo Mahometa pro-roka. Po tym wyroku kazał sultán iść kapłanom precz; głowy jednak Franciszkowi i towarzy-szowi odciąć nie kazał, bo jego wspaniałomyśl-ność umiała ocenić szczytny zamiar, że Franciszek przybył dla zbawienia jego duszy.

Przez kilka dni toczyły się rozmowy pomię-dzy Franciszkiem i Meledynem, w których cza-sem i kapłani mahometańscy brali udział. Oby-dwóch celem był ten sam zamiar. Sultán chciał Franciszka u siebie zatrzymać, ofiarowując mu nawet szerokie posiadłości; Franciszek zaś pra-gnął nawrócić Meledyna na wiarę chrześcijańską. Przynależał nawet, że chętnie zamieszka w Egipcie, byleby się sultán i jego podwładni nawrócili do prawdziwej służby Bożej. Sultán mógł się też na-

ocznie przekonać, jak dalece różni się ów apostoł Chrystusa od kapłanów Mahometa. Spokojne męstwo Franciszka i pogodna jego cnota dziwnie odbijały od fanatycznej zaciekłości Arabów i tchórzliwej obawy kapłanów wobec prób i uczynków.

Wkońcu jednak pożegnał Malek-al-Kamel Franciszka z wielką ludzkością, która na tem większe zasługiwała uznanie, im większa panowała nienawiść pomiędzy jednym a drugim obozem. Chciał go też w dowód poszanowania opatrzyć na drogę cennymi podarunkami, jak to u ludów wschodnich jest w zwyczaju. Mąż Boży odtrącił rzeczy doczesne.

Wróciwszy do obozu chrześcijańskiego, nie naruszony, został przyjęty z tem większem poszanowaniem, im mocniej wszyscy twierdzili, że go żywego już nie zobaczą więcej. On zaś, choć ani sułtana nie nawrócił, ani palmy męczeńskiej nie odniósł, pozostał pogodny, opowiadając dalej wojsku słowo Boże. Zabawił w obozie aż do wzięcia Damjaty dnia 5 listopada 1219; rycerstwo bowiem chrześcijańskie acz zawiedzione w wy czekiwaniu floty Fryderyka II, ścisnęło pierścieniem mocnym obleżone miasto i wytężywszy wszystkie siły, zdobyło je.

I tym razem przewidział jednak Franciszek z pewnością, że to było pozorne tylko zwycięstwo, po którem wojsko chrześcijańskie będzie musiało i Damjatę oddać i w swoje wrócić kraje. Zresztą przekonawszy się, że, choćby się pomiędzy same szeregi tych dwóch wrogów walczących rzucił ze słowami pokoju, i tak nic nie wskóra, opuścił Egipt razem z bratem Iluminatem i tymi nowymi braćmi, którzy się doń przyłączyli i przyjęli habit.

Błogosławiony Angelo Clareno i autor, który ukończył historję Wilhelma z Tyru, piszą, że Franciszek zwiedził zpowrotem grób Zbawiciela: sułtan bowiem, zdjęty podziwem dla cnoty i męstwa jego, dał mu list żelazny, aby on i jego bracia mieli zawsze wolny przystęp do Jerozolimy. Stąd puścił się Franciszek z Egiptu do Syrii, tem chętniej, że oprócz pragnienia nawrócenia wiernych i osiągnięcia palmy męczeńskiej za niczem serce jego tak nie wzdychało jak za Chrystusem, który uświęcił i swoją krwią oblał tę ziemię naprawdę świętą.

Jedną z najpiękniejszych i najwdzięczniejszych kartek żywota św. Franciszka zapomniała lub nie chciała raczej przedstawić historja jemu współczesna, a dzisiejsza kreślić nie umie i nie śmie tych uczuć, które sercem Franciszka targały, gdy się znalazł na miejscach uświęconych narodzeniem, żywotem i śmiercią Chrystusa.

Czy go też miasto Betleem nie natchnęło, aby żłobek betleemski przenieść w górzyste Greccio ojcyste? Może mu Nazaret szeptało do ucha, jak na wzór Świętej Rodziny ukształcić rodzinę zakonną w Porcjunkuli i rodzinę tercjarską na cały świat chrześcijański! Może na Golgocie, na tem wzgórzu śmierci i życia, dusza jego zamierała pod pazurem żalości i może odczuwała przedsmak tego, co się później z nim samym dzieć miało na górze Alwernji!

Bartłomiej z Pizy dodaje, że Franciszek posunął się aż poza Antiochję. W pobliżu tego miasta wznosiła się góra nazwana Czarną, na której było osadzone opactwo benedyktynów. Franciszek zawitał do nich jako do swoich dobrodziejów. Musiał tam zabawić dłużej i dłuższe z zakonnika-

mi prowadzić rozmowy duchowne, jeżeli jest prawdą, co tenże sławny Pizańczyk pisze, że całe opactwo benedyktynów przeszło na regułę Franciszka, oddawszy poprzednio patriarsze antjocheńskiemu swoje obszerne posiadłości.

W tych suchych puszczech Azji Mniejszej za tęskniło jednak wkońcu serce Franciszka za leśnią Porcjunkulą i za drogą rodziną zakonną.

Wszak to już dwunasty miesiąc upłynął od chwili, w której Franciszek pozostawił za sobą dolinę Spoletańską i zakon. Cóż się tam dzieć mogło! Czy bracia, a zwłaszcza ci, którym powierzył nadzór nad całą rodziną, chodzili w jego duchu? Do tęsknoty za gniazdem ojczystem i za rodziną przyłączyły się wreszcie i złe przecucia i obawa. Więc gdy trwając na modlitwie, prosił Boga o oświecenie, a Bóg doń przez sumienie powiedział: Wracaj! puścił się Franciszek, nie zwłócząc, w kierunku Ptolemaidy, w której przeszłego roku był wylądował.

Spełniły się złe przecucia. W Ptolemaidzie już nań oczekiwał posłaniec z Porcjunkuli, brat Szczepan, wzywając ojca do natychmiastowego powrotu. Bez chwili namysłu siadł Franciszek na okręt w towarzystwie braci Eljasza, Piotra, Cezariusza ze Spiry, którego Eljasz na Wschodzie był zyskał dla zakonu, Leonarda z Asyżu i innych.

Było to z końcem czerwca r. 1220. Wspaniały żaglowiec, rozsunawszy skrzydła jak ptak, popłynął chyżo w kierunku Wenecji.

ROZDZIAŁ XXIII.

Naprzelań morza i lądu do Porcjunkuli.

(1220.)

Okręt niósł nietylko tęsknotę podróżników i rycerzy za krajami ojczystymi i radość z powodu powrotu, ale również trwogę, czy ogniska domowe zastaną takie, jakie odjeżdżając pozostawili za sobą. Niósł tęsknotę Franciszka za Porcjunkulą i rodziną zakonną, ale przedewszystkiem jego boleść z powodu wieści, że w zakonie, który on ze swego łona wydał i tchnieniem swych piersi ożywił, powstał taki zamęt, że mu groził rozdrojeniem a nawet zanikiem. A brat Szczepan, którego partja wiernych uczniów wysłała na Wschód po ojca, odchyłał coraz więcej zasłone przed smutnym duchem Franciszka i wyliczał codziennie nowe szczegóły, hiobowe wieści.

Opowiadanie przechodziło miarę przecuć. A jakaż będzie rzeczywistość? Oby ten okręt miał skrzydła anielskie!

Odjeżdżając, pozostawił Franciszek na straży zakonu ludzi zewszecmiar pobożnych i roztropnych, a teraz dowiedział się od posłańca, że właśnie od tych zaufanych spotkał go zawód; oni to bowiem wprowadzili ów zamęt. Mateusz z Narni,

zakonnik wzorowy, miał czuwać nad Porcjunkulą, przyjmować nowych uczniów do zakonu i wpoić w nich ducha franciszkańskiego. Zawiódł zaufanie! A Grzegorz? Grzegorz z Neapolu, krewny kardynała Hugolina, mąż tak wielkiej nauki i wymowy, który miał przebiegać Włochy, ożywiać braci, który, słowem, miał rządzić zakonem — i on zawiódł! skoro nie umiał pogodzić się z Mateuszem, skoro jeden i drugi na swoją rękę rządzić pragnęli, skoro zgromadziwszy starszych braci na kapitule, ośmielili się wprowadzić nowe przepisy zwłaszcza w obrębie postu i narzucić swoje widzimisię całemu zakonowi.

Dusza Franciszka rozdzierała się z bólu na te wieści i rozmyślenia. I gdyby nie wizerunek Chrystusa, który mu się pewnie zjawił śród pogodnych nocy na roziskrzonym niebie spokojny, cierpliwy, cierpiący, byłby może pragnął, aby okręt miał skrzydła ptaka.

To znowu innym razem, gdy to smutne grono siedziało na zwojach lin na pokładzie okrętu przy zachodzącym krwawym słońcu, posłaniec jął Franciszkowi powiadać, jak brat Filip, któremu był poruczony nadzór nad klasztorami i towarzyszkami św. Klary, wystarał się u Stolicy Apostolskiej o orędzie, aby snadniej bronić mógł siostry a niepokojących je ludzi wyklinać, wbrew woli Franciszka, który tylko pokorą i dobrocią dobrze chciał czynić; jak następnie brat Jan z Campello, mający czuwać nad sprawami ekonomicznymi i nad chorymi, zgromadził wielką liczbę trędowatych, mężczyzn i niewiast, grożąc, że się oderwie od zakonu i nowy założy; jak tenże brat istotnie regułę jakąś spisał i do papieża się udał z prośbą o zatwierdzenie nowego zgromadzenia.

Boże nieodgadniony! więc już do tego doszło, że od tej trzódki pokornej, która jeszcze urzędowo orędziem publicznem nie jest zatwierdzona, już się niesforni synowie tak dalece odszczepiają, iż buntu zarzewie rzucają aż do ojcowskiego serca papieża!

Okręt już dawno był wpłynął na wody niespokojne Adrjatyku, a Franciszek wciąż musiał wyciągać wnioski z wieści zasłyszanych od posłańca. Bo ów opowiadał dalej, jak bracia uczeńsi wprowadzać zaczęli nowe prawa; jak w niektórych miejscach zaczęto tłumaczyć i zwalniać a nawet lekceważyć ślub ubóstwa; jak tu i owdzie wszczęto prześladowania tych braci, którzy twarodo stali przy regule i w duchu Franciszka postępowali. Burza bólu i goryczy załaza serce Franciszka, gdy się dowiedział od brata Szczepana, że nawet wieść o jego śmierci puszczo w świat.

Pod jarzmem tych wieści i rozmyślań przechodził Franciszek wszystkie stopnie męczeństwa duchowego w miejsce tego męczeństwa ciała, którego znaleźć nie mógł na Wschodzie wśród niewiernych.

Podróż tymczasem miała się ku końcowi, bo po upływie całego prawie miesiąca zbliżano się do Wenecji. Wtem przed samą przystanią zerwała się szalona burza, która okrętem ciskała jak lupiną orzecha na wzburzonych falach morza. Gdy burza ustała, poczuli podróżnicy, że okręt jest osadzony na mieliźnie. Musiano szukać ocalenia w łódkach, któreby ich przewiozły na wysepki laguny weneckiej.

Po burzy, skoro ranne wstały zorze, wytoczyła się tarcza słoneczna z poza gór Alp Julijskich wykapaną, czystą, rozkoszną. Z upo-

dobaniem położyła się na wysepce del Deserto, chcąc przywitać smutnego męczennika, swego syna, Franciszka z Asyżu. I nie tylko słońce witało Franciszka, ale i ptaki radosnem śpiewaniem przyjmowały swego brata na odludnej wyspie. A ta, pokryta cała cienistemi drzewami, dosłownie aż się trzęsła od śpiewu ptactwa, nucącego i wtórującego modlitwie porannej Franciszka i brata Leonarda, jakoby go chciało ukoić i rozwiać smutek czoła i ból duszy jego.

Jakoż modlitwa, piękność natury i radość zwierzątek poskutkowała, albowiem po chwili odezwał się Franciszek do brata Leonarda:

— Przybliżmy się jeszcze więcej do braci ptasząt, abyśmy razem chwałę Bożą głosili.

Podeszli bliżej gaju w środku wyspy. Człowiek i zwierzę modlili się razem. Lecz ptaki zdawały się przemagać. Wtedy mąż Boży zawołał:

— Braciszki moje, zaprzestańcie na chwilkę, aż skończymy, bo my mamy pierwszeństwo. Ucichły stworzonka miłe, słuchając modlitwy ludzi z uwagą, bez bojaźni. Skończywszy podniósł Franciszek ręce i rzekł:

— Chwalcie dalej Stwórcę i bądźcie zdrowe!

Za odchodzącymi brzmiał jeszcze przez chwilę śpiew ptasząt. Ale gdy spostrzegły, że na zawsze odchodzi ten, który pierwszy z plemienia ludzkiego nazwał je braćmi i siostrami, ucichły i główki spuszczały, jakby smutkiem zdjęte.

Po przejściu Padu zwrócił się Franciszek do miast północnych Włoch aż do Werony, a stamtąd puścił się w kierunku Bononji.

Tymczasem wieść o jego powrocie gruchnęła już była po Italji. Poprzez Włochy jak długie i szerokie podawano sobie z ust do ust radosne

zwiastowanie, że ojciec uciśnionych, obrońca ludu, Święty już jest w granicach kraju, przechodzi przez miasta i siola, zwiedza klasztory, niosąc pokój duszom, ład społeczeństwu, pociechę znękanym braciom. Równocześnie wzywał Franciszek braci wszystkich, aby się wybierali do Porcjunkuli na najbliższą kapitułę mniejszą św. Michała. Bracia, słysząc to wezwanie, odetchnęli. Koniec zamieszania i niepewnościom.

Do Porcjunkuli! Do Porcjunkuli! — wołano zewsząd.

Jednakże powrót Franciszka nie odbywał się bez trudności. Tropikalne gorąco Egiptu, trudy podjęte w pustynnej Syrii, uciążliwa podróż morską i znojnny pochód z Wenecji wśród sierpniowego słońca wpłynęły ujemnie na jego zdrowie. Siły jego były zupełnie wyczerpane. Często musiano sprowadzać osła, na którego wsadzano męża Bożego.

Raz, już niedaleko Bononji, jechał Franciszek gościńcem, okolonym długimi murami, w godzinach popołudniowych największego upału, podczas kiedy jego towarzysz pieszo prowadzić musiał osła. I brat Leonard już był dobrze zmęczony. Więc gdy tak wśród tumanów kurzu biegł około zwierzęcia, przesunęła mu się przez głowę myśl samolubna:

— Moi praojcowie nie byliby nawet obcowali z jego rodziną, a teraz ich syn siedzi wygodnie, a ja muszę popędzać jego osła!

Wtem Franciszek kazał przystanąć, zsiadł z siodła i tak się odezwał do Leonarda:

— Bracie, nie uchodzi, abym ja jechał, a ty byś szedł pieszo. Zajmij zaraz moje miejsce, bo

przedtem należałeś do rodziny daleko szlachetniejszej i potężniejszej niżli ja.

Nieomylnie oko Franciszka dostrzegło co się dzieje w duszy Leonarda. Lecz właśnie tą dobrocią tkliwą i uprzedzającą umiał pociągać za sobą ludzi.

Leonard pełen zmieszania padł Błogosławionemu do nóg, przeprasząc za myśl niepocziwą.

Wkońcu uczona, przepelniona prawnikami całego świata Bononja otwarła swoje bramy przed Biedaczkiem z Asyżu.

Nim jednak przestąpił progi tego miasta, byłby nieomal je ominął. Na ostatnim bowiem postoju dowiedział się, że bracia bonońscy powiększyli znacznie dom, w którym od czasu Bernarda z Kwintawallu zamieszkali. Tu i owdzie opowiadano wiele i z pochwałą i o pięknym budynku i o braciach.

Cień smutku przebiegł po twarzy miłośnika ubóstwa. Czyżby bracia istotnie zapomnieli o ślubie? Zbliżając się więc do domu tego, postanowił przekonać się. Ale gdy go z tłumu doleciało słowo: dom braci, przystanął natychmiast i wolał szukać gdzie indziej przytułku i gościnności. Nie mógł znieść, aby bracia w sposób tak jaskrawy przekraczali ubóstwo i przywłaszczali sobie domy. Pragnął dać im ostrą naukę. Wysłał w tym celu Leonarda do braci z rozkazem, aby bez zwłoki wszyscy opuścili ten klasztor w imię świętego posłuszeństwa. Bracia usłuchali, nawet chorych wynieśli na ulicę.

Dopiero wstawienie się Hugolina, wracającego właśnie wtedy jako poseł papieski z Lombardji przez Bononję do Rzymu, załagodziło sprawę.

Ten bowiem przekonał Franciszka, że dom braci jest własnością kardynała. Ustąpił Franciszek.

Franciszek pozwolił, że bracia wrócili do mieszkania i on sam w niem zamieszkał, bo dom już nie był ani jego, ani braci.

Okrzyk radości targnął murami miasta, gdy się ludność Bononji dowiedziała, że Franciszek pozostanie kilka dni w mieście. Lud, widząc już w nim cudotwórcę, otaczał go pierścieniem i dotykał kraju jego szaty, gdziekolwiek się Franciszek zjawił. Młodzież uniwersytecka razem z nauczycielami cisnęła się około niego, aby posłuchać słowa tego męża, który ze sobą nosił talizman pokoju i podnosił poziom społeczeństwa, wyprzedzając prawników i magistrów. Rycerze wypuszczali z rąk miecze z podziwu dla tego pokornego człowieka, który się nie uląkł całej potęgi muzułmańskiej. A gdy się wieść rozeszła, że Franciszek będzie przemawiał, zaczęły płynąć fale ludności na wielki rynek Bononji, aby posłyszeć nowego apostoła.

Było to dnia 15 sierpnia 1220. Jeden ze słuchaczy ówczesnych opisał to wystąpienie Franciszka, jak następuje.

Ja Tomasz ze Spalato i archidiakon tamże, uczęszczając w r. 1220 na nauki w Bononji, słyszałem w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny św. Franciszka, głoszącego słowo Boże na rynku przed pałacem mniejszym, gdzie się była gromadziła prawie cała ludność miasta. Rozpoczął mówić temi słowy: Aniołowie, ludzie i szatani. A mówił o tych stworzeniach tak jasno i porywająco, że słuchacze nawet uczeni stali zdumieni z podziwu nad słowami, wychodzącymi z ust tego prostaczka. Zresztą nie mówił na sposób mówców zawodowych, jego kazanie było raczej rozmową, jakiej używają kaznodzieje ludowi. W końcu kazania nawiązał, jako się powinno uśmierzyć nienawiść i zawrzeć przymierze pokoju i przyjaźni.

Jego ubiór był ubogi i podarty, cała postać nikła i wycieńczona, twarz nic a nic piękna; ale Bóg dał jego słowom niesłychane namaszczenie i dziwną moc. To też kilku ze szlachty, których dziki gniew i srogość dochodziły przedtem aż do rozlewu krwi, nawrócił Franciszek i do zawarcia pokoju nakłonił. Miłość i cześć dla tego świętego była tak powszechna, że wszyscy lecieli za nim, i szczęśliwymi się być mniemali ci, którzy się dotknąć mogli rąbku jego szaty.

Słowo Franciszka nietylko wpłynęło na uśmierzanie nienawiści prywatnych, ale zapuściło także swe ostrze w serca ludzi oddanych nauce. Profesor uniwersytetu Mikołaj Popoli, który już Bernardowi z Kwintawalku był odstąpił swego domu na mieszkanie, objawił Franciszkowi zamiar wstąpienia do zgromadzenia. Przykład magistra pociągnął kilku ze studentów. Fioretti opowiadają w jednym z piękniejszych rozdziałów o powołaniu dwóch studentów temi słowy.

Gdy razu pewnego przybył św. Franciszek do miasta Bononji, zleciał się wszystkim lud, aby go widzieć. A tak wielki był ścisk, że tłum zaledwie się mógł przedostać aż na rynek. Gdy się już rynek cały wypełnił mężczyznami i kobietami i studentami, powstał Franciszek na środku rynku i zaczął prawić kazanie o tem, do czego go Duch Św. natchnął. A mówił tak cudownie, że prędzej do anioła, aniżeli do człowieka był podobny. A jego słowa zdawały się pochodzić zgoła z nieba naksztalt ostrych grotów przesywających serca słuchaczy, tak dalece, że wielu z tego tłumu się nawróciło. Pomiędzy nawróconymi byli też dwaj studenci z Marchji Ankonitańskiej, z których jeden nazywał się Pellegryn, drugi zaś Rajnerjusz. Ci dwaj tknięci łaską Bożą zbliżyli się do św. Franciszka, mówiąc, że chcą porzucić świat i należeć do jego zgromadzenia. Św. Franciszek poznawszy, że są posłani od Boga i że będą w zakonie prowadzić żywot święty, przyjął ich z radością, mówiąc:

— Ty, Pellegrynie, chadzaj w zakonie drogą pokory; a ty bracie Rajnery, bądź sługą braci!

I tak też było. Brat Pellegryn bowiem nie chciał zostać kapłanem, lecz braciszkiem pozostał na zawsze, jakkolwiek był człowiekiem uczonym i wysmienitym prawnikiem. Ta nadzwyczajna pokora pozwoliła mu dojść do wielkiej świętości, tak dalece, że brat Bernard, pierworodny syn św. Franciszka, mawiał o nim, że był jednym z najdoskonalszych braci na świecie. A rzeczony brat Rajnerjusz służył pobożnie i wiernie braciom, żyjąc w wielkiej świętości i pokorze. Doshedł też do wielkiego zaufania u św. Franciszka. Wybrany później ministrem Marchji Ankonitańskiej rządził nią przez długi czas bardzo roztropnie.

Atoli ów nowy plon nie mógł z jego pamięci usunąć trwogi, jak zaradzić złemu, które już pomiędzy braćmi zapuściło głęboko korzenie. Wprawdzie do kapituły św. Michała było jeszcze przeszło miesiąc czasu, ale właśnie przed jej rozpoczęciem należało już przyjść z planem i lekarstwem gotowem.

Hugolin, który z litością patrzył na wątlejącą coraz bardziej postać swego przyjaciela i domyślał się wewnętrznych jego rozterek i boleści, przyszedł mu z pomocą tem łacniej, że i on pragnął wytchnąć w czasie największych upałów w jakimś ustroniu chłodnem po znoej pracy i zabiegach dyplomatycznych. Pójdą obaj do pustelni Camaldoli w Kazenateńskim, skąd widać Alvernję. Będą mieszkali wśród najpiękniejszej i najczystszej natury. Zdrowie się poprawi Franciszkowi. Bóg za przyczyną św. Romualda natchnie go nowym ogniem i nowemi postanowieniami. Obaj obmyślą bezpieczeństwo dla zakonu. Tak nastawał Hugolin.

Franciszek przyjął. Opuścił Bononję, w której krótko bawił, i puścił się w kierunku gór Apenińskich do Camaldoli, wiedząc, że to przedsiónek do rajy niebieskiego. Mijając Florencję, wstąpił na

krótki czas do Monticelli, gdzie była osada córek św. Klary. Pocieszył siostry i przyrzekł im przysłać Agnieszkę, siostrę Klary, na przełożoną. Po kilku wreszcie dniach stanął w Camaldoli, gdzie nań już czekał kardynał Hugolin.

Kitem prawdziwej przyjaźni pomiędzy mężami duchownymi jest niebo. Ono łączy charaktery najsprzeczniesze, a co więcej, łączy je na zawsze. Rozmowy o rzeczach niebieskich, świętych, duchowych nadają takiej przyjaźni to namaszczenie i piętno, którego żadna rzecz doczesna zastąpić nie może.

Pobył w Camaldoli i rozmowy duchowe toczące się pomiędzy Hugolinem i Franciszkiem, mężami o charakterach napozór sprzecznych i o celach odmiennych, wpływały na zadzierzgnięcie węzła coraz większej przyjaźni, trwającej nieprzerwanie aż do zgonu Biedaczka. Franciszek, mieszkający w celi św. Romualda, łączył się coraz ściślej z Hugolinem, przekonany, że bez niego zakon nie nabierze formy społecznej i trwałej; Hugolin zaś czerpał z otchłani bogactwa duchowego Franciszka i kierował z ręcznie wszystkim aby ze zgromadzenia braci wytworzyć dla Kościoła siłę niebywałą. Obaj mężowie uzupełniali się w swych rysach zasadniczych: rozumu i porwy, polityki i natchnienia, i dostosowywali wzajemnie swe charaktery ku stworzeniu środowiska, z którego wykwił później potężny zakon braci mniejszych.

Równocześnie wracały Franciszkowi siły ciała i otucha serca pod różdżką czarodziejskiej natury tamtejszej, nad której różnorodną piękność i słodycz niema równej na świecie. Z wracającym zdrowiem wracała dawniejsza

energia postanowienia i działania; przed powzięciem bowiem postanowieniem, jaką drogę wybrać na przyszłość wobec winowajców i wobec losów zgromadzenia, nie mógł wrócić do Porcjunkuli.

Samotnia Camaldoli i narady z Hugolinem położyły koniec jego wahaniom. Rozporządzenie dane klaryskom za przyczyną brata Filipa będzie odwołane. Jan z Campello będzie uwiadomiony, żeby zaniechał trędowatych, bo wszystkie jego zamiary odrzuci kurja rzymska. Hugolin będzie urzędowo zatwierdzony pierwszym protektorem zakonu. Zakon otrzyma bullę, która określi warunki przyjęć nowicjuszków do zakonu. Franciszek napisze nową regułę dla wszystkich braci, którą papież zatwierdzi. Wkońcu zdobędzie się na krok, który wprowadzie bólem napelni wszystkich braci, ale który acz heroiczny jest jednak nieodzowny.

Pierwsza połowa września chyliła się tymczasem ku końcowi, a dzień św. Michała, przeznaczony na kapitułę mniejszą, wynurzał się w zarysach jasnych przed duszą Franciszka. Więc powziąwszy rzeczone postanowienia, pożegnał pustelnię i Hugolina. Odwiedził jeszcze na krótki czas pobliską, drogą zawsze jego sercu Alwernję i wkońcu puścił się śmiałym i chyżym krokiem do Porcjunkuli. Hugolin wrócił do Bononji, stamtąd do Rzymu, bo w zimie tego roku miał się tam spotkać z Franciszkiem.

Franciszek przestąpił próg ukochanej Porcjunkuli. Bracia zbiegli się na przywitanie drogiego ojca, lecz długo czekać musieli, nim wyszedł z kapliczki.

Franciszek wynurzył swą duszę Bogu. Dzieścię lat służył Bogu w tem miejscu. Tu stawiał pierwsze kroki na drodze naśladowania Chrystusa, tu zawiązał zakon początki, tu swych pierwszych

towarzyszy uczył tego naśladowania. Przed tym ołtarzem opadły włosy Klary. Tu po radości i bólu wracał, zawsze pewny, że go Bóg wysłucha. I oto po piętnastu miesiącach niebytności znowu wrócił. Wrócił smutny, ale niezachwiany w postanowieniu. Oto on się czuje niegodnym przodować swoim braciom. On taki znękany, że siły jego nie wystarczą, aby rządzić zakonem. Złoży tedy rządy na kapitule w ręce godniejsze, a sam tylko przykładem i pokorą będzie braciom wskazywał, jakim on chce, aby był brat mniejszy. Ty zaś, Chryste, któryś go nigdy nie opuścił, przyjmij tę jego ofiarę.

Franciszek wyszedł z kaplicy na powitanie swych braci jako człowiek, który powziął postanowienie i który kochać nigdy nie przestanie, spokojny i litościwy, pogodny nad wyraz.

Oni zasię opadli go i całowali ręce i nogi jego.

ROZDZIAŁ XXIV.

Świadkowie krwi w Maroko. Antoni Fernandez. Kapituła mniejsza.

(1220.)

Przez te kilka dni, które jeszcze pozostały aż do otwarcia kapituły mniejszej na św. Michała, dowiadywał się Franciszek o wszystkim, co było zaszło. Opowiadano mu tedy dokładniej o tem zamieszaniu, które jednak samem Franciszka zjawieniem się zostało w głównej części zażegnane, gdyż Mateusza, Grzegorza, Filipa i Jana usunięto. Z drugiej strony nie brakło i radosnych wieści zwłaszcza z zakresu apostołstwa braci, niosących z pożytkiem słowo Boże ludom we wszystkich krajach.

Sam zresztą, przechodząc poprzez Włochy od Wenecji przez Padwę, Treviso, Wicencę, Bergamo, Brescję, Weronę, Mantuę, Kremonę, Ferrarę, Bononję, Florencję aż do Porcjunkuli, był się o tem dostatecznie przekonał. Z krajów zaalpejskich i zamorskich dochodziły również pocieszające wieści o działalności zgromadzenia. A jakkolwiek misja przeznaczona do Hiszpanji dla Maurów narazie nie przynosiła obfitego plonu, to jednak Bóg wynagrodził braci gdzie indziej

u tychże Maurów taką chwałą, jakiejby się nikt z braci nie był spodziewał, choć nie było nikogo, któryby właśnie takiej chwały na własnej osobie najwięcej nie był pragnął, nawet Franciszka nie wyjmując.

Kolebkę zakonu oblała krew męczeńska w Afryce. Kiedyś płynęła tam krew św. Cyprjana i innych, brzmiało słowo św. Augustyna; dzisiaj polała się za wiarę krew pięciu braci mniejszych: Berarda, Piotra, Adjuta, Ottona, Akursa.

Niedawno ta szczęsna wiadomość przedarła się do Porcjunkuli. Bracia jeszcze nie ochłonęli z entuzjazmu i żyli pod jej wpływem, opowiadając ojcu stroskanemu z uniesieniem o heroizmie swych współbraci. On zaś, któremu Bóg odmówił takiej łaski, słuchał rozrzewniony, kajał się i dziękował. Pamiętał wprawdzie Franciszek, że na kapitule, po której się wybrał na Wschód, przeznaczył kilku braci pod przewodnictwem brata Witalisa do Hiszpanji na pomoc braciom poprzednio wysłanym, jednakże dalszych dziejów tej misji dowiedział się teraz dopiero.

Opowiadano mu tedy, jak brat Witalis przybywszy z towarzyszami do Hiszpanji, zapadł bardzo na zdrowiu, a jego bracia musieli wybrać na przewodnika brata Berarda, który ich prowadził w głąb kraju. Zwiedzili Koimbrę w Portugalji. łaskawie przyjęci od tamtejszej królowej. Potem zapuścili się aż do Sewilli, będącej w posiadaniu Saracenów. Stamtąd wygnani przez niewiernych udali się gdzie indziej do świątyni maurytańskiej, w której jęli nauczać. Bito ich i znęcano się nad nimi. Oni jednak nie zrazili się; przeciwnie, udali się wprost do księcia muzułmańskiego ze słowem Chrystusa. Ów zdumiony ich śmiałością popadł

w gniew i chciał im kazać głowy poucinać; atoli za wstawieniem się syna zaniechał ich, tylko kazał ich wsadzić do turmy. A oni wstąpili na wierzch wieży, skąd przechodniom opowiadali dobrą nowinę, ewangelję. Książę dowiedziawszy się o tem, kazał ich wydalić i razem ze wszystkimi innymi chrześcijanami zawieźć do prowincji marokańskiej do Afryki. Tam panował wtedy książę Miramolin, u którego chwilowo bawił Don Pedro, brat Alfonsa, króla Portugalji. Ten jako chrześcijanin przyjął misjonarzy życzliwie, obiecując im swoją pomoc i zachęcając ich, aby byli roztropni. Oni atoli wyszedłszy z pałacu na ulicę miasta Maroko, zaczęli opowiadać Chrystusa. Razu jednego mijał ich właśnie Miramolin, gdy brat Berard, umiejący dość płynnie po arabsku, głosił gorliwie słowo Boże na ulicy. Rozkazał więc Miramolin, aby ich wygnano do Ceuty, skąd mieli morzem odpłynąć w kraje chrześcijańskie. Ale braciom udało się uciec z rąk przewodników i wrócić do miasta. Miramolin uważał to za obrazę swej godności, kazał więc zamknąć ich do więzienia, gdzie wśród wielkich cierpień przebyli dni dwadzieścia. Wyzwolono ich stamtąd z powodu klęsk żywiołowych, które łączono z ich niesprawiedliwym uwięzieniem, i przydzielono do wojska maurytańskiego. W czasie wyprawy przeciwko jednemu z pobliskich szczepów rokosz podnoszących odznaczyli się misjonarze tem, że wśród pustyni natrafili na źródło ożywczej wody, bez której całe wojsko byłoby niechybnie zginęło. Wzrosło więc ich wzięcie, z czego w ten sposób skorzystali, że powróciwszy do Maroko, jeszcze gorliwiej jęli opowiadać ewangelję nie tylko wobec tłumu, ale i wobec Miramolina. Wyczerpała się

nareszcie jego cierpliwość. Rozkazał swemu za-
usznikowi Albozaidowi, aby ich stracił. Ten
wszelako nie stracił ich, bo ich podziwiał i kochał.
Namawiał ich tylko, aby już kazań nie prawili.
Oni zasię jednogłośnie odpowiedzieli: Musimy!
I jego cierpliwość się wyczerpała. Oddał ich
tedy w ręce katów. Pastwiono się nad nimi
w rozmaity sposób. Bito ich straszliwie. Cią-
gniono nagich po ziemi najeżonej szkłem i muszla-
mi. Wlewano ocet w ich rany otwarte, głębokie.
A oni spokojni i cierpliwi błogostawili Panu. Gdy
wieść o tak rzadkiej stałości i męstwie doszła do
uszu Miramolina, przybył sam, aby ich obejrzeć
i wybadać. Było to 16 stycznia roku Pańskiego
1220. Zapytał ich, dlaczego gardzą prorokiem.
A oni odpowiedzieli, że nie gardzą wiarą praw-
dziwą, owszem, gotowi są oddać za nią życie;
jednakże gardzić muszą tym, którego Maurowie
nazywają prorokiem. Z uśmiechem pobłażliwym
przyjął Miramolín ich odpowiedź; sądził bowiem,
że ci ludzie ubodzy nie oprą się pokusie, gdy im
ją przedstawi pod kształtem zaszczytu i złota
i kobiety. Gdy oni jednak z niesłychaną śmiało-
ścią odparli, że nie chcą ni zaszczytów, ni bo-
gactw, ni niewiast, że chcą Chrystusa, za któ-
rego śmierć poniosą wśród śpiewu, wtedy Mira-
molina owładnął taki gniew szalony, iż powstał,
obnażył swój krzywy miecz i porozłupywał je-
dnemu po drugim głowy. Ich ciała zostały za po-
średnictwem Don Pedra przewiezione do Portu-
galji i pochowane przez króla Alfonsa w Koimbrze
w kościele św. Krzyża wśród niebywalej radości
i ogromnego napływu ludu.

Na te słowa opowiadających i czytających braci powstał Franciszek i pełen namaszczenia i wzruszenia zawołał, zwróciwszy się na zachód:

— O domu święty, o ziemię błogosławioną! Tyś zrodziła Bogu przez męczeństwo piękny i nadobny kwiat purpurowy i najśodszy. Te są pierwociny i chwalebne kwiatki braci mniejszych. Szczęśliwi! są już w posiadaniu królestwa niebieskiego. Oby w tobie, domu Boży, nigdy nie zbywało na braciach zachowujących pobożnie świętą ewangelję!

Wszelako spostrzegłszy po chwili, że bracia wychwalają i jego i szczytą się koroną męczeńską swych współbraci, on, który od chwały ludzkiej i próżności uciekał jak od ognia, zakazał dalszej rozmowy o męczennikach marokańskich i czytania ich dziejów. Poczem rzekł dobitnie:

— Każdy niech się swoim cierpieniem chwali, a nie męczeństwem drugich!

Kiedy Franciszek domawiał tych słów, wybierał się właśnie z Koimbry do Afryki pewien młodzieniec, który później otoczył miał zakon braci mniejszych największym blaskiem światłości i apostołstwa. Antoni, nazwany wprzód Fernandez a potem cudotwórcą padewskim, dobijał do niegościnnych wybrzeży Afryki jako kwiat wyrosły z krwi męczeńskiej pierwocin braci mniejszych.

Bowiem taka tkwiła siła upajająca w kurzu świeżej krwi męczeńskiej, że prawie zaczadzenie sprowadza, że na oczy społecznych rzuca zasłonę ślepej nieomal a jednak heroicznej miłości, a potomkom z tej krwi wyrosłym gnie kolana do poszanowania i czci. Z tej prostoty prawie gminnej i natarczywości gwałtownej pięciu męczenników marokańskich nie wieje ni duch fanatyzmu, ni

tchnienie samobójstwa, ni pragnienie chorobliwych niebywałych ostateczności, ale to co duch ludzki ma w sobie najszczytniejszego: poświęcenie się za ideę najpiękniejszą raz powziętą, heroizm. Jest to rodzaj nowego obłąkania, szaleństwa świętego, którego ziarno pierwsze rzucił w ziemię twardą Chrystus, a które krwią swoją hodowali pierwotni chrześcijanie. To szaleństwo śmierci jest tak potężne, że gdzie ono jest, jest życie; gdzie nie kiełkuje, panuje śmierć.

Pod wpływem więc szczęsnej wieści i pamięci Świętych otwarł Franciszek kapitułę mniejszą 29 września 1220 w dzień św. Michała.

Na tej kapitule, jakkolwiek mniejszej, zaszła rzecz donożnego znaczenia. Rzecz, której się nikt nie spodziewał, bo jej Franciszek nikomu przedtem nie objawił; zwykł był bowiem nie wtajemniczać nikogo w swoje sprawy wewnętrzne. Rzecz, która pozostała może jedyną w dziejach zakonu i która niezmiernie miała wpłynąć na przyszłe jego losy.

Franciszek zrzekł się na zawsze wszelkiego przełożenia i przeznaczył na swego następcę brata Piotra z Katanji.

Postanowienie nie było z pewnością powzięte pod wpływem przemijającej chwili, ale wszechstronnie naprzód obmyślane. Może wiedział, że olbrzymi rozwój zakonu bierze obrót przezeń nieprzewidziany, którego może nawet nie pragnął. Czy też przekonał się, że co innego jest rządzić małą oddaną trzódką, a co innego wielką, z dnia na dzień rosnącą liczbą podwładnych, których cele i środki częstokroć się krzyżują. Nieraz bowiem przerażał się sam tą ogromną masą braci i mawiał:

— Oby przyszedł dzień, w którymby świat, spostrzegłszy mało braci mniejszych, dziwił się nad ich liczbą skromną!

Przytem w tak wielkiej liczbie nie mogło nie być wielu gorszyieli, niesfornych, oziębłych, ludzi żądnych nauki i godności, wyrugowanej przez Franciszka, bodaj czy nie liczniejszych od tych, którzy wiernie w jego duchu postępowali. Stąd powstały w sumieniu Franciszka rozterki, obawy o przyszłość zgromadzenia, których opisy biografowie jego podali kilkakrotnie. Może też w sercu jego nurtował wyrzut, że jego ideał z lat 1206 do 1212, będący najwierniejszą odbitką Chrystusa i ewangelji, będzie się musiał zniżyć i poczynić pewne ustępstwa i zmiany, stanąwszy wobec bieżących potrzeb i wobec rzeczywistości. Nikt nie miał delikatniejszego czucia i wrażliwszego sumienia nad Franciszka. Czy sobie może gorzko wyrzucał, że się jego ideał rozwiął? — choć się nie rozwiął, bo się rozłożył na cząstki niezmiernie małe kilku tysięcy braci. Może bolał, że ideał mógł być w całości urzeczywistniony w nim i w kilkunastu jego towarzyszach pierwotnych, a stał się snem, gdy się bracia jęli rozmnażać w zastraszający sposób! — choć nie stał się majaczeniem, tylko straciwszy na intensywności, zyskał na rozpiętości liczebnej i społecznej.

Ostatecznie są to tylko dalsze wnioski i domysły. Najbliższej i prawdziwej przyczyny należy szukać u biografów. Otóż ci jednogłośnie podają jako przyczynę zrzeczenia się przełożenia pokorę i przykład Franciszka.

Istotnie od czasu kiedy się rozpoczęły misje zaalpejskie, na których czele stać musieli przełożeni, kiedy w poszczególnych prowincjach po-

często wybierać ministrów, a w rozmaitych urządach nowych funkcjonariuszy, mógł Franciszek nieraz zauważyć, że wielu jego braci wzdycha za godnościami i wyszczególnieniem. I widział także nieraz, jak zły przykład dają właśnie przełożeni. I tu delikatność jego sumienia mogła cierpieć, bo i on będąc ojcem braci, był zarazem głową zakonu. Nie był zaś człowiekiem słowa tylko i uczucia. Co uważał za słuszne, to wykonywał niezachwianie. Wprzód czynił, potem uczył. Nieraz określał, jakim powinien być brat mniejszy. Więc aby bracia nie sądzili, że innym pokorę zaleca, a sam pokornym nie jest, dał przykład najwyższej pokory. Albowiem nie tylko się zrzekł urzędu ministra generalnego, ale nadto od swojego następcy zażądał, aby mu ten przeznaczył gwardjana, któremuby był posłuszny.

Biografowie tak opisują tę rzewną scenę:

Kilka lat po jego nawróceniu zdarzyło się na jednej kapitule, że chcąc zachować cnotę świętego posłuszeństwa, zrzekł się wobec wszystkich braci zakonu urzędu przełożenstwa, mówiąc:

— Odtąd umarłem dla was, ale oto brat Piotr z Katanji, któremu ja i wy wszyscy posłusznymi być mamy.

I upadłszy przed nim na ziemię, obiecał mu posłuszeństwo i poszanowanie.

Bracia zaś płakali i ból wielki wydobywał się westchnieniem z ich piersi, gdy ujrzeli, że ich dobry ojciec pozostawił jakby osieroconych.

A powstawszy, złożył błogosławiony Franciszek ręce, oczy wzniosł w niebo i mówił:

— Panie, Tobie powierzam rodzinę, którąś mnie powierzył; a teraz powierzam ją ministrom, ponieważ dla nieudolności, które Ty, Panie, znasz, pieczy wystarczającej o nią mieć nie mogę. Oni zaś zdadzą w dniu sądu przed Tobą rachunek, jeżeli kto z braci przez ich opieszałość, przykład zły lub ostre karcenie zaginie.

Odtąd pozostał poddanym aż do śmierci, w większej od wszystkich innych żyjąc pokorze.

Raz na tej drodze pokory i posłuszeństwa będąc, posunął się jeszcze dalej. Wydawało mu się bowiem wyszczególnieniem, jeżeli mu w jego podróżach apostołskich towarzyszą jego pierwotni uczniowie. Więc i ich towarzystwa się zrzekł, prosząc aby mu przełożony przeznaczał kórego-kolwiek z braci.

Wkońcu tak jeszcze rzekł do nowego ministra Piotra z Katanji:

— Proszę cię dla miłości Bożej, abyś mi w miejsce siebie dał przełożonego, któremubym był poddany jako tobie. Wiem bowiem jak cenny jest owoc posłuszeństwa i że ani jedna chwila nie pozostaje bez zasługi dla brata żyjącego pod jego słodkim jarzmem.

Został wysłuchany i aż do śmierci pozostał poddany, okazując zawsze pełne czci posłuszeństwo swojemu gwardjanowi.

Nie należy jednak sądzić, że skutkiem tego zmalał udział Franciszka w rządach zakonu. Można powiedzieć, że przez to zrzeczenie się wpływ jego moralny wzmógł się jeszcze. Choć z imienia i tytułu nie był przełożonym, faktycznie nim być nie przestał. Posunąćby się można do twierdzenia, że to zrzeczenie się było najrzęczniejszym krokiem cnoty i świętości. Heroizm pokory i rozum rządzenia duszami podały sobie po bratersku ręce. Może dlatego wpływ Franciszka na dusze wszystkich, którzy się doń zbliżali pośrednio lub bezpośrednio, pozostał tak wyjątkowy aż do czasów naszych. Bez tego może ocenialibyśmy go rozumniej i podziwiali głębiej, nie kochalibyśmy go jednak tak mocno.

Nawet biografowie są pod tym urokiem. Tomasz Celańczyk, Trzej Towarzysze, a za nimi

Bonawentura zmieniają mimowoli tytuł ministra generalnego Piotra z Katanji na nazwę dłań odpowiednią wikariusza generalnego.

Tak było istotnie. Gdziekolwiek po tej rezygnacji Franciszek wystąpił, tam się okazywał u biografów pokorny i podwładny — tak — ale zarazem jako kierownik moralny całego zakonu, a raczej wszystkich braci. Jego słowa były rozkazem, przykład jego był regułą.

Znane jest ogólnie rzewne spotkanie w Porcjunkuli z ową ubogą matką, która zakonowi była dała swych dwóch synów a potem z nędzy przyszła prosić Franciszka o jałmużnę. Ów zaś nie mając nic pod ręką, kazał Piotrowi dać tej biednej matce pierwszy i ostatni rękopis cenny Testamentu, z którego bracia czytali lekcje na jutrznię.

Ostatnie miesiące r. 1220 schodziły Franciszkowi w Porcjunkuli na kształceniu dusz braci i przełożonych. Im większe widział braki, które się wkradły do zgromadzenia w czasie jego nieobecności, tem częstszym i widoczniejszym przykładem świecił i nauczał. Rola brata Piotra ścieśniała się na rzeczy natury, tylko materjalnej i administracyjnej. Franciszek władał duszami swoich braci jako ojciec, który oddawszy synowi zarząd majątności, sam jednak pozostaje kierownikiem moralnym wszystkiego.

Był pewien brat uczciwego i świętego żywota zewnętrznego, który dniem i nocą, zdawało się, był zatopiony w modlitwie i milczeniu, tak dalece, że nawet spowiadać się nie chciał przed kapłanem inaczej jak znakami. A czasem słysząc słowa dobre, zdawał się radować wewnątrz i nazewnątrz, przez co nawet innych braci pobudzał do pobożności.

Zdarzyło się tedy, że Franciszek nadszedł pewnego dnia, a usłyszawszy od braci o sposobie życia tego brata, rzekł do nich:

— Pozostawcie to, bracia, i nie wynoście mi pod niebiosa utajonych w nim majaczeń szatańskich. Wiedziecie bowiem, że w rzeczywistości jest to pokusa i ułuda kłamliwa. Głęboko o tem jestem przekonany, skoro się spowiadać nie chce.

Niesłuszne i twarde zdawały się braciom te słowa, zwłaszcza wikarjuszowi (Piotrowi), który go też zaczął polecać Franciszkowi, mówiąc:

— Widzi mi się to niepodobieństwem w człowieku, dającym tyle dowodów i uczynków świętości.

— Doświadczył go — odparł Franciszek — i powiedz temu bratu: „Bracie, chcę koniecznie, abyś się raz lub dwa razy spowiadał“. Jeżeli tego nie uczyni, wiedziecie, że prawdę mówiłem.

Zawołał go tedy do siebie wikarjusz i nakazał mu spowiedź. Ale ten nie chciał; położywszy palce w poprzek ust i kręcąc głową, okazywał znakami, że tego uczynić nie chce z miłości dla milczenia.

Zdumieli się bracia, bojąc się, że się mąż Boży zgorzyszy. Po niewielu dniach brat ów wystąpił z zakonu i powrócił do świata, pozbawiwszy się pokuty i żywota.

Jak w teorii świata moralnego jedna cnota pociąga za sobą drugą, tak w rzeczywistości jedna bez drugiej w jednym człowieku być nie może.

Z kompleksu cnót Franciszka wychylały się wszelako niektóre, które głębiej w nim tkwiły i które potrzeba i okoliczności najaw wydobywały. Ów okres czasu był okresem pokory i ubóstwa, bo na tem właśnie wtedy zaczęło braciom zbywać. Atoli oko Franciszka nigdy bez litości patrzeć nie mogło na ubóstwo bliźnich. Sam ubogi — chciał jednak ubogim nieść pomoc, ale bez najmniejszego poruszenia miłości własnej.

Gdy raz szedł przez miasto Asyż, poprosiła go pewna uboga staruszka o jałmużnę. Natychmiast zdjął płaszcz, który miał na sobie — już było zimno — i podał jej. Ale równocześnie bez

namysłu wyznał wobec tych, którzy mu towarzyszyli, że stąd uczuł próżną chwałę.

Wszystkim się zdawało, że wróciły dawne czasy, kiedy ich było tylko dwunastu. Prawdziwy obraz Franciszka stał przed nimi. Jeszcze miłszy, jeszcze słodszy niżli dawniej, bo go już była otoczyła aureola świętości utkana z jego cnót i ze czci ludów, a przytem cierpienia przeszły po jego rysach jak dłuto rzeźbiarza po marmurze. Odżył i dawniejszy śpiewak Boży, rycerz i poeta. I ów mąż umie przesycić powietrze chwałą, które go otacza, najsubtelniuszem poczuciem swego poddaństwa, jakoby był ostatnim z braci.

Pewnego czasu jeden z braci nowicjuszków który umiał czytać choć nie wybornie w psalterzu, otrzymał od ministra (wikarjusza) generalnego pozwolenie na posiadanie brewjarza. Skądinąd jednak słyszał, że Franciszek nie chciał, aby bracia łaknęli za umiejętnością i książkami. Dlatego też chciał mieć pozwolenie bł. Franciszka.

Gdy tedy Franciszek raz spotkał się z tym nowicjuszem, rzekł doń nowicjusz:

— Ojczy, wielką byłoby dla mnie pociechą posiadać brewjarz. I jakkolwiek wikarjusz mi na to pozwolił, to jabym jednak pragnąć mieć twoje, ojczy, pozwolenie.

A bł. Franciszek odpowiedział mu na to:

— Carolus cesarz, Rolandus i Oliverus i wszyscy palatyni i potężni mężowie, którzy sławni byli w boju, tropiąc niewiernych z wielkimi wysiłkami aż do śmierci, odnieśli nad nimi pamiętne zwycięstwo. Tak samo i święci męczennicy zmarli w boju za wiarę Chrystusa. A teraz jest wielu, którzy z samego opowiadania dzieł dokonanych przez tamtych chcą mieć chwałę i poklask ludzki. Tak i pomiędzy nami jest wielu, którzy przez opowiadanie i głoszenie dzieł dokonanych przez świętych chcą zyskać chwałę i poklask...

Po kilku dniach zbliżył się znowu ów nowicjusz do Franciszka siedzącego przy ogniu i mówił mu poważnie o brewjarzu. A bł. Franciszek rzekł mu:

— Otrzymawszy brewjarz, będziesz chciał mieć psalterz. A mając psalterz, zasiądziesz na katedrze jak wielki prałat i rzekniesz do brata swego: „Przyńś mi brewjarz!“

Powiedziawszy to z wielką gorliwością ducha, ujął bł. Franciszek garść popiołu i posypał głowę i trącając całą głowę jak człowiek, który głowę myje, wołał:

— Ja brewjarz! Ja brewjarz!

I powtórzył to kilka razy, wodząc ręką po głowie. A brat ów zdumiał się wielce i zawstydzil. Po chwili rzekł bł. Franciszek:

— Bracie, ja też miałem wielką pokusę posiadania książek. Ale nie wiedząc, czy taka jest wola Boża, chwyciłem za książkę z ewangeljami, aby mi Bóg przy pierwszym otwarciu książki objawił swoją wolę. I po skończonej modlitwie natknąłem się przy pierwszym otwarciu książki na te słowa świętej ewangelji: Wam jest dano znać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś w przypowieściach. Tyłu jest ludzi — dodał — którzy się chętnie dobijają do nauki, że błogosławiony będzie ten, który się z miłości Bożej stanie nieumiejącym.

Po upływie kilku miesięcy stał raz bł. Franciszek w Porcjunkuli blisko celi przy domu przydrożnym. Zbliżył się doń rzeczony nowicjusz i znowu mu mówił o brewjarzu. A bł. Franciszek mu odpowiedział:

— Idź i zrób, jak ci minister twój rozkaże.

Usłyszawszy to, wrócił ów brat drogą, którą przyszedł. Ale Franciszek, stojąc na drodze, jął rozważać to, co powiedział temu bratu. Po chwili przywołał go napowrót, mówiąc:

— Poczekaj mię, bracie, poczekaj!

I podszedłszy do niego, rzekł mu:

— Powróć ze mną, bracie, i wskaż mi miejsce, na którym ci powiedziałem, abys zrobił z brewjarzem tak, jak ci twój przełożony rozkaże.

Powróciwszy na wskazane miejsce, ukląkł bł. Franciszek przed tym bratem i rzekł:

— Moja wina, bracie, moja wina! Bo kto chce być bratem mniejszym, nie ma nic posiadać według reguły, oprócz tuniki, paska i spodni, a ktoby oczywistą potrzebą był zagnalony, obuwia.

To też którzykolwiek bracia przychodzili do niego po radę w tym względzie, zawsze im tak odpowiadał. Mawiał też często:

— Tyle człowiek ma nauki, ile dobrego spełnia. I o tyle dobry zakonnik dobrze się modli, o ile dobre uczynki spełnia, bo drzewo poznaje się po owocach.

Od tej chwili, w której się był uwolnił od brzemienia przełożenia, wróciła mu dawna swoboda i radość. I jak ongi, gdy się bracia zaczęli mnożyć, jał myśleć o jakiejś regule, któraby była modłą ich życia zewnętrznego, i spisywać ją, tak teraz powrócił do dawniejszego planu.

Myślał zresztą ciągle o wykończeniu reguły pierwotnej, teraz jednak stanowczo musiał się zabrać do jej spisania. Bo przecież na górze Camaldoli z Hugolinem bawiąc, został poniekąd zmuszony do tego widokiem powstałych zawieruch. Wprawdzie wolałby ciągnąć przez świat Boży jako piewca Pana lub zamknąć się w samotności i obcować ze swym Chrystusem aniżeli układać martwe pismo i przepisy, ale skoro ład zgromadzenia, pożytek Kościoła i chwała Boża tego wymagają, więc niech się stanie.

Przywoławszy do siebie brata Cezariusza ze Spiry, człowieka zewszecmiar uczonego, polecił mu wypracować obszerniej przepisy swojej reguły, a zwłaszcza tekstami Pisma świętego udowodnić i objaśnić.

Nic niema błędniejszego nad mniemanie, że Franciszek ułożył dwie a nawet trzy reguły dla zakonu braci mniejszych. Jak postać i myśl Franciszka była jedna, tak jedną była reguła jego i jego braci: ewangelja, a ściślej mówiąc, trzy rady ewangeliczne, których istotę życia stanowiło ubóstwo zupełne. Od tej istotnej osnowy

nie odstąpił nigdy ani na krok, a w testamencie ujął ją w słowa najkategoryczniejsze.

Dalsze wycienowanie reguły istotnej składało się z szeregu przepisów, które według czasu, miejsca i okoliczności mogły podlegać wahaniom i zmianom przypadłościowym, nie zmieniającym istoty rzeczy.

Rzeczywiście. Ów szereg przepisów nie powstał nagle, lecz rodząc się na tle rodzącego się zakonu, przechodził rozmaite fazy, dopóki ostatecznie nie został ręką Franciszka uchwycony stałe i w r. 1223 przez papieża uroczyście zatwierdzony. Jeżeli tedy poszczególne fazy przepisów chce się ująć pod miano reguł, to istotnie powiedzieć można, że Franciszek ułożył kilka reguł dla braci mniejszych.

Z tego rozwoju reguły zatwierdzonej w roku 1223 fazy najznamienitsze są trzy: rok 1210, 1221, 1223. Pierwsza reguła stanowi ogólne rysy, druga wyraźniejsze, ale tylko w stanie przejściowym, trzecia jest wyrazem plastycznym życia społecznego braci mniejszych. Z pierwszej, która zaginęła, wieje wyłącznie młodzieńczy heroizm Franciszka; w drugiej, którą Wadding mylnie uważał i podał za pierwszą, układają się nie bez starć w jednolitość natchnienie Franciszka, potrzeby nowego zakonu, wpływ Kościoła; trzecia jest krystalizacją tych trzech czynników, na jej modłę kształtować się będzie cały zakon, dopóki będzie istniał na obliczu ziemi. O ile pierwsza jest krótka i wyraźna, o tyle druga jest długa i nieskonsolidowana; rozkaz i miłość i zakłęcie i modlitwa walczą w niej o pierwszeństwo. Trzecia idzie drogą średnią między tamtymi co do długości, jest zarazem nader wyraźna i dobitna

ROZDZIAŁ XXV.

Ostatnia wielka z pierwotnych kapituł generalnych.

(1221.)

W ostatnich miesiącach roku 1220 przebywał Franciszek stale w Porcjunkuli, układając regułę z bratem Cezarjuszem ze Spiry. Przytem zaprawiał swoich braci słowem i przykładem w pokorze, posłuszeństwie i ubóstwie.

Z początkiem roku 1221 udał się do Rzymu wprost do papieża Honorjusza z prośbą, aby kardynał Hugolina mianował urzędowo protektorem zakonu. Równocześnie chciał od Hugolina, który był prawą ręką sędziwego Honorjusza III i o którym łatwo było przewidzieć, że zostanie jego następcą, uzyskać, aby cofnął orędzie wydane bratu Filipowi w sprawie klarysek a brata Jana z Campello razem z jego rokoshem i regułą wydalil z kurji rzymskiej.

Współczesny brat Giordano da Giano tak opisuje tę scenę w swojej cennej kronice:

Franciszek udał się do papieża Honorjusza. Leżąc u drzwi papieża, nie śmiał ojciec pokorny pukać głośno we drzwi tak wielkiego księcia, lecz cierpliwie czekał, aż sam dobrowolnie wyjdzie. A gdy papież wkońcu wyszedł, oddał mu Franciszek ukłon i rzekł:

— Ojciec papieżu, pokój Pana niech będzie z tobą!

— Niech cię Bóg błogosławi, synu! — odrzekł papież.

— Panie — zawołał Franciszek — jesteś wielkim i rozlicznymi sprawami zatrudniony. Dlatego ubodzy nie mogą często do ciebie przychodzić ani z tobą mówić, choć ich potrzeba do tego zmusza. Daleś mi wielu papieży, daj mi jednego, z którym mógłbym mówić, kiedy mam potrzebę, i który w miejsce twoje sprawy moje i mojego zakonu wysłuchać i oceniać będzie.

— Synu, kogóż chcesz, abym ci dał? — zapytał papież.

— Kardynała ostjeńskiego — odparł Franciszek. I pozwolił.

Gdy tedy bł. Franciszek wyluszczył kardynałowi ostjeńskiemu, swojemu papieżowi przyczyny swoich rozterek, ten bezzwłocznie cofnął orędzie brata Filipa; a brat Jan ze swoimi poplecznikami ze wstydem wydalony został z kurji.

Z Rzymu puścił się Franciszek prawdopodobnie na południe, aby i tamtejsze kraje rozbudzić do pokuty i miłości Bożej.

Zwiedził Gaetę, gdzie płynąc wzdłuż brzegu morzem, z łódki posuwającej się bez wiosła nauczał tłum stojący na brzegu.

Okrążywszy całe Włochy południowe, zawitał też pewnie na dwór cesarza Fryderyka II, którego chciał nakłonić do dwóch rozporządzeń, mianowicie, aby poskromił żydów, bluźnierców i ładacznice, a powtóre, aby ludność w dzień Bożego Narodzenia wysypywała ziarna zboża i okruszyny chleba po ścieżkach dla braci ptaków, a zwłaszcza dla braciszków i siostrzyczek skowronków.

Blisko Bari przestrzegał swojego brata towarzysza, który był spostrzegł leżącą na drodze

sakiewkę z pieniędzmi, aby jej nie ruszał. Brat ów nie usłuchał; lecz gdy się jej dotknął, cofnął się z przerażeniem, bo wąż z niej wypełznął z sykiem. Potem i sakiewka i wąż zniknęły nagle.

Z Włoch południowych podążył Franciszek jak najspieszniej do Porcjunkuli; albowiem doszła go wieść, że 10 marca 1221 umarł jego wikariusz Piotr z Katanji.

Przed kapitułą Zielonych Świątek należało wybrać innego wikariusza. Franciszek zgodził się na brata Eljasza z Kortony, człowieka nader obrotowego, zdolnego i jakby stworzonego do rządzenia, ale i skłonnego do machinacyj i okrucieństw.

Częstokroć dusza prosta i niewinna znajduje swoje dopełnienie w człowieku wprawdzie pełnym polotu i zdolności, ale nie wolnym od przewrotności i zdolnym do użycia wszelkich środków; nawet słabość czuć może do niego, gdyż ten swoją błyskotliwością i dłuższą zażyłością w błąd psychologiczny wprowadzić zdoła najświętszą duszę.

Stąd wytłumaczyć można tę słabość jaką Franciszek miał do Eljasza, i to przekonanie, że z pomiędzy wszystkich braci jeden Eljasz rządzić potrafi zgromadzeniem. Tymczasem Eljasz okazał się w dalszej przyszłości tak dalece niegodnym zaufania i zgubnym, że na pewien czas spaczył myśl Franciszka a zakon prawie cały wprowadził na błędne tory. Wynikły z tego największe zamieszania, a sam Eljasz umarł jako odszczepieniec poza zakonem i Kościołem. Przyznać jednak trzeba, że dopóki Franciszek żył, okazywał się Eljasz powolnym wykonawcą jego zamiarów i ideałów, a w ostatnich chwilach życia Franciszka dowiódł swoją troskliwością i zapobiegliwością, że jest prawdziwym synem patriarchy serafickiego. Wy-

nika stąd, że inną miarą oceniać należy Eljasza przed zgonem Franciszka, a inną po śmierci, gdy Eljasz jał pod naporem ministrów prowincjalskich i okoliczności i skutkiem własnej olbrzymiej przedsiębiorczości zmieniać pokorny zakon w świetne zgromadzenie, błyszczące umiejętnością, liczbą niebywałą, znaczeniem, bogactwem, godnościami; gdy począł wznosić wspaniałe, harde klasztory, nie troszcząc się bynajmniej o pierwotne ubóstwo, gdy rozpędzał braci wiernych zasadom Franciszka, gdy gwałtem i przekupstwem starał się uchwycić ster zakonu, gdy z cesarzem wchodził w stosunki wbrew interesom papieża prawego i Kościoła, gdy umarł poza zakonem i Kościołem.

Ale tymczasem był jeszcze powolnym synem św. Franciszka i posłuszny otwarł w dniu 30 maja 1221 Zielonych Świątek kapitułę generalną.

Hugolin nie był obecny, bo wyższe interesy wymagały jego obecności gdzie indziej. Przybył zato kardynał Rajnarjusz z ramienia Stolicy Apostolskiej. Było także obecnych kilku biskupów z okolicy i wielu zakonników z rozmaitych innych zakonów.

Sama kapituła przedstawiała bardzo imponujący widok. Przeszło trzy tysiące braci rozłożyło się na bloniach Porcjunkuli. Ludność umbryjska patrzyła z podziwem i miłością na te zastępy powołane do nowego życia przez najlepszego syna i obywatela. I tak wielka była troskliwość mieszkańców miast pobliskich około dostarczenia żywności ubożuchnym synom Franciszka, że wkrótce musiano drzwi pozamykać, aby ludność już więcej nie znosiła, i że po skończonej kapitule bracia musieli jeszcze kilka dni pozostać, aby spożyć to, co przyniosła szczodra litość mieszkańców.

Kapituła przedstawiała jeszcze obraz tych zebrań ogólnych wszystkich braci, nawet nowicjuszków, jakie się odbywały głównie w roku 1216, 1217, 1218, 1219. Lecz była ona ostatnią tego rodzaju. Odtąd zjawiają się na kapitule nie wszyscy bracia, ale tylko ministrowie, i to włoscy raz w rok, zagraniczni zaś i zamorscy raz na trzy lata lub krócej albo dłużej, o ileby to od ministra generalnego było naznaczone.

Było to następstwem nieuchronnem liczby braci i organizacji zakonu. Co dotąd było wyłącznem spotkaniem i pokrzepieniem duchowem i zachęceniem braterskiem, słodkiem i serdecznem powitaniem synów z ojcem i braci z braćmi, to się teraz przemienia w prawdziwy zakon rządzony prawem, będącem duszą tego zbiorowiska ludzkiego. Dotąd panowała nad zgromadzeniem dobrowolna potężna indywidualność jednego człowieka, teraz Franciszek schodzi na plan drugi, zakonem rządzić poczyna zbiór praw, które zrodzone na tle potrzeb Kościoła, społeczeństwa, wieku i okoliczności przyoblekły myśl Franciszka.

Może samego Franciszka żal ściszał za serce, gdy się widział zmuszonym wydawać nowe przepisy i zasmucać niemi niejednego z gorliwych braci. Ale sam widział, że inaczej być nie mogło. Może niejeden ze starszych towarzyszy wylewał gorzkie łzy, widząc, jak pokorny jego ojciec, cierpiąc na ciele i duszy i siedząc u nóg brata Eljasza, pociągał go za róg płaszcza, gdy miał co powiedzieć braciom. Może to ów widok tej wielkiej pokory Franciszka wstrząsnął do głębi duszę tych braci gorliwych, którzy później ideę jego z takim męstwem bronić mieli wobec rozluźnienia i okrucieństwa potężnego Eljasza, późniejszego generała zakonu.

Bowiem właśnie tacy mężowie byli obecni na tej kapitule.

Był obecny Fernandez de Bouillon, późniejszy Antoni Padewski, którzy przyjąwszy habit franciszkański w Koimbrze, przybył z Portugalji, a następnie z Afryki i Sycylji do Porcjunkuli na kapitułę. Nikt go nie znał, a co dziwniejsza, nawet bystry wzrok Franciszka nie wykrył lub wykryć nie chciał niezwykłego męża z pośród tłumu innych braci, tak dalece, że aż do końca kapituły nikt nie zauważył jego obecności. Dopiero rok później, kiedy już wieść o nadzwyczajnej cnocie i wymowie i nauce nowego brata doszła do uszu Franciszka, ten posłał mu jedną z najpiękniejszych pamiątek, która zakonowi otwarła zamknięte dotąd widnokreśli nauki, zleciwszy mu w tym oto liście króciutkim wykładanie świętej teologii.

„Najdroższemu Bratu Antoniemu Brat Franciszek posyła pozdrowienie w Chrystusie.

„Podoba mi się, żebyś braciom wykladał Pismo święte i teologję, bacząc jednak na to, abyś według naszej reguły nie zgasił ni w sobie ni w innych ducha świętej modlitwy. Czego sobie mocno życzę. Pozdrowienie.“

Był obecny brat Cezarjusz ze Spiry. Ten, pozyskany dla zakonu na Wschodzie przez brata Eljasza, był jednym z najzarliwszych uczniów Franciszka. Przeznaczony na tejsze kapitule na ministra dla misji niemieckiej umiał tak skutecznie pracować na nowem stanowisku, że po ośmnastu miesiącach wcielił myśl Franciszka w całej Germanji jak długiej i szerokiej, a z miast Insbruku, Solnogrodu, Ratysbony, Wyrzburga, Strasburga, Moguncji, Wormacji, Spiry, Kolonji jako z głównych ognisk promieniował po okolicy dzikiej i niekulturalnej duch Franciszka z Asyżu. Poczem powróciwszy do Italji skutecznie opierał się ra-

zem z Antonim i innymi przewrotnym reformom Eljasza.

Był obecny brat Giordano da Giano, który następnie wszystkie szczegóły tej kapituły i misyj niemieckiej uwiecznił w swoich pamiętnikach i jako historyk pośledni przyczynił się do odtworzenia plastycznego rysów św. Franciszka i całego pierwotnego ruchu franciszkańskiego, jakiego nie pozostawili nam nawet biografowie Franciszka.

Byli wreszcie obecni wszyscy pierwotni towarzysze tak ukochani przez Franciszka: Bernard, Idzi przedsiębiorczy, prostoduszny Jan, Maseusz, Rufin, ekscentryczny Juniper, jagniątko Boże brat Leon, poeta Anioł i inni. Ci w swej prostocie ze zdumieniem patrzyli na obrotność swych młodszych braci z Eljaszem, wikarjuszem Świętego, na czele i w duchu może odgadywali, że przyjść musi czas, w którym im przyjdzie walkę stoczyć z nimi o wierne zachowanie ideału zakreślonego przez bł. Franciszka.

Z pomiędzy nowych rozporządzeń, omawianych i utrwalonych na tej kapitule, zostało także ogłoszone orędzie papieskie z dnia 22 września 1220 nakazujące, aby nowo przyjęci do zakonu uczniowie odbyli prawidłowo rok nowicjatu, nim zostaną przypuszczeni do ślubów. Zakazano także, aby się bracia nie wałęsali tu i owdzie bez pozwolenia przełożonych.

Orędzie papieskie brzmiało:

„Honorjusz, biskup, sługa sług Bożych, Bratu Franciszkowi i innym ministrom i kustoszom Braci Mniejszych pozdrowienie i błogosławieństwo apostołskie.

„Ponieważ we wszystkich prawie zgromadzeniach zakonnych istnieje słuszne rozporządzenie, aby ci, którzy się do życia zakonnego zgłaszają, odbyli pewien

okres próby, w czasie którego i oną zostaliby wystawieni na próbę, aby nie dać sposobności i pozorów do kroków nierozważnych, dlatego wam rozkazujemy listem niniejszym nie przyjmować nikogo do profesji zakonnej przed ukończeniem roku nowicjatu. Rozkazujemy, aby żaden brat po złożonej profesji nie śmiał opuścić zakonu, i aby nikt nie przyjmował tego, któryby zakon opuścił. Zakazujemy również, aby się nikt w waszym habicie nie wałęsał tu i owdzie bez pozwolenia i aby nie nadwerżono czystości waszego ubóstwa. Jeżeliby który z braci miał tę śmiałość, ten ma podlegać karom kościelnym aż do poprawy.

„Dan w Orvieto 22 września, papiestwa naszego roku piątego (t. j. r. 1220)“.

Ostatnie posiedzenie kapituły, kiedy braciom przeznaczano ich stanowiska, miejsca i zajęcia, opisał nader barwnie wyżej wspomniany kronikarz brat Jordan z Giano.

Przy końcu kapituły, mianowicie kiedy już kapitułę miano zamknąć, przyszło bł. Franciszkowi na pamięć, że o misji do Teutonji (Niemiec) jeszcze nie postanowiono. A ponieważ wtedy bł. Franciszek nie domagał, więc co miał kapitule powiedzieć, to za niego przedstawił brat Eljasz. Siedząc tedy u nóg brata Eljasza, pociągnął go bł. Franciszek za rękaw. Eljasz pochylił się do niego i wysłuchawszy, czego żąda, powstał i rzekł:

— Bracia, tak mówił Brat — oznaczając bł. Franciszka, którego bracia dla wyszczególnienia bratem nazywali. — Istnieje pewien kraj Teutonja, w którym żyje wielu pobożnych chrześcijan; patrzyliście nieraz na nich, jak przechodzili przez nasze okolice z długimi kijami i w długich butach, jak śpiewali pieśń na cześć Boga i Jego Świętych i jak zmierzali do miejsc świętych w pocie czoła i pod żarem słońca. Już częściej wielu z naszych braci było wysłanych do tego kraju, ale niewiele zyskali bracia i powrócili spowiewierani. Obecnie Brat nie zniewala nikogo do drogi, ale gdyby kto czuł w sobie powołanie podjęcia się tej misji dla chwały Bożej i zbawienia dusz, temu obiecuje tę samą nagrodę posłuszeństwa, a nawet większą od tej, jakiejby dostąpił, idąc poza morze.

A którzyby byli gotowi do drogi, mają powstać i wystąpić.

Zapał ogarnął braci i powstało ich około dziewięćdziesięciu gotowych na śmierć. Odłączywszy się według rozkazu od innych, oczekiwali na odpowiedź, ilu ich, którzy, jak i kiedy mieli się wybrać w drogę.

Był wtedy na kapitule pewien brat, który w swoich modlitwach zwykł był prosić Boga, aby jego wiara na szwank nie została wystawiona od heretyków Lombardji, i aby w wierze nie został zachwiany przez dzikość Teutonów, i aby go Pan litościwie raczył zachować od jednych i drugich. Ten widząc, że wielu braci powstaje gotowych do drogi do Teutonji, i sądząc, że zaraz będą od Teutonów umęczeni, i bolejąc, że braci wysłanych do Hiszpanji i umęczonych w Maroku nie znał po imieniu, postanowił ustrzec się teraz tej opieślności. Powstał więc z pośród innych i podchodził do nich pokolei, pytając:

— Kto i skąd jesteś?

Mniemał bowiem, że chwałę większą zyszcze, gdy w razie ich męczeństwa będzie mógł powiedzieć:

— Tego znałem, tamtego również.

A był pomiędzy nimi pewien brat Palmerjusz, diakon, który później został gwardjanem w Magdeburgu, człowiek wesóły i krotochwilny, pochodzący z krańców Apulji z Monte Gargano. I do tego przybliżył się ów brat ciekawy i zapytał:

— Kto jesteś i jak się nazywasz?

— Palmerjusz się nazywam — odparł tamten i uchwyciwszy go za ramię, dodał — i ty nasz jesteś i pójdziesz z nami!

Chciał go bowiem ze sobą poprowadzić do Teutonów, choć tamten często Boga prosił, aby go dokądkolwiek posłał, tylko nie do Teutonów. Wzdrygając się tedy na samo imię Teutonów, odrzekł:

— Nie należę do was wcale. Tylko w celu poznania was zbliżyłem się do was, a nie abym się z wami w drogę chciał puścić.

Ale tamten przemagając swoim dobrym humorem, nie puszczał go i wzbraniającego się słowem i gestem pociągnął na ziemię i zmusił usiąść między innymi. Tymczasem podczas kiedy tego brata ciekawego trzyma on pomiędzy innymi, został przyłączony do innej prowincji i przeczytano głośno:

— Ten brat pójdzie do tej prowincji!

A podczas kiedy tych dziewięćdziesięciu braci czekało na odpowiedź, przydzielono im na ministra Teutonji brata Cezarjusza, Niemca, urodzonego, jak się rzekło, w Spirze, któremu dano wolność wybrania sobie z tych dziewięćdziesięciu, którychby chciał. A gdy Cezarjusz znalazł owego brata ciekawego pomiędzy nimi, upominali go inni, aby go także ze sobą zabrał. Ale ten, nie chcąc iść do Teutonów, krzyczał wciąż na cały głos:

— Nie należę do was, bo nie powstałem w tym celu, aby z wami pójść.

Poprowadzono go więc do brata Eljasza. A bracia tej prowincji, do których został przydzielony, słysząc to, chcieli go przy sobie zatrzymać, bo widzieli, że jest walego ciała, a kraj, do którego się tamci wybierali, zimny; brat Cezarjusz zaś chciał go wszelkimi sposobami ze sobą wziąć.

Spór ów zakończył nareszcie brat Eljasz, tak się odezwawszy:

— Rozkazuję ci, bracie, w imię świętego posłuszeństwa, abys nareszcie postanowił, czy iść, czy pozostać.

Ale ów, choć posłuszeństwem zmuszony, nie wiedział, co robić. Obawiał się postanowić dla spokoju sumienia, aby postanowiwszy, nie zdawało mu się, że swoją wolę wypełnił; a iść obawiał się z powodu dzikości Teutonów, aby, czego Boże nie daj, pod mękami cierpliwość postradawszy, bodaj duszy nie zatracił. I tak wahając się pomiędzy temi dwiema ostatecznościami i żadnego wyjścia w sobie nie znajdując, przybliżył się wkońcu do pewnego brata wielce w cierpieniach doświadczonego, który, jak wyżej powiedziano, na Węgrzech przynajmniej sześć razy ze spodni był ograbiony, i prosił go o radę, mówiąc:

— Bracie najdroższy, tak mi rozkazano; a ja się boję postanowić i nie wiem, co mam czynić.

— Idź do brata Eljasza — odrzekł tamten — i powiedz: „Bracie, ja nie chcę ani iść, ani zostać, ale cokolwiek mi rozkażesz, to zrobię“. I w ten sposób pozbędziesz się tej rozterki wewnętrznej.

Tak też zrobił. Słyszając to, rozkazał mu brat Eljasz w imię świętego posłuszeństwa, aby się z bratem Cezarjuszem wybrał do Teutonji.

Tym bratem jest brat Jordanus de Jano, który wam to pisze i który się tym sposobem dostał do Teutonji i który dzikości Teutonów wstrętnych uniknął i z bratem Cezarjuszem i innymi braćmi w Teutonji zaszczerpił zakon braci mniejszych.

Pierwszym ministrem Teutonji był brat Cezarjusz, który według danego rozkazu zabrał ze sobą braci: Jana de Plano Carpinis, kaznodzieję biegłego w mowie lombardzkiej i teutońskiej, i Tomasza Celańczyka, który później napisał pierwszą i drugą legendę o św. Franciszku, i Józefa de Tarvisio i Węgra Abrahama, i Toskańczyka Szymona, syna księżny de Colazon, i Konrada, Teutona, kleryka, i Piotra, kapłana z Camerino, i kapłanów Jakóba i Waltera, i diakonów Palmerjusza i brata Jordana z Jano, i niektórych braci laików, mianowicie Teutona Benedykta, i Henryka i wielu innych, których imion już nie pamiętam. Wszystkich było dwunastu duchownych i trzynastu laików...

Misja niemiecka niebawem ruszyła w drogę. Za nią poszły inne, kierując się każda misją i każda prowincja żywa w swoją stronę.

Wkońcu wyruszył i Franciszek. Porcjunkula znowu opustoszała, bo jej ojciec i synowie wybraли się na zdobycie ponowne świata chrześcijańskiego. Franciszek zwrócił swoje kroki ku Florencji i Sienie, które mu zawsze okazywały wiele przywiązania i miłości.

Postanowił urzeczywistnić swój zamiar, z którym nosił się już od dłuższego czasu. Chciał mianowicie wśród ludu świeckiego rozpowszechnić swój sposób życia opartego na zasadach ewangelji i jej trzech rad. Miało to być nowe ogromne stowarzyszenie złożone z mężczyzn i niewiast, żyjące w świecie, połączone ze sobą spójniami ślubów i złączone z zakonem braci mniejszych. Stowarzyszenie napół świeckie napół zakonne, przepełnione duchem Chrystusa: zakon trzeci.

ROZDZIAŁ XXVI.

Nowy ruch religijny i społeczny czyli założenie trzeciego zakonu.

(1221.)

Jak kamień rzucony w wodę sprawia swym ruchem spiralnym rysujące się wyraźnie na powierzchni wody fale okrągłe i koła coraz szersze, tak potężna indywidualność danego człowieka wywiera wpływ na całe otoczenie, kreśląc na duszach ludzkich swoje rysy i przenikając swoim duchem szerokie warstwy społeczeństwa. Cały wiek XIII był wypełniony takimi falami, biorącymi od Franciszka z Asyżu swój początek. Lecz one nie ustały z końcem wieku. Przepłynęły kręgami harmonijnymi i wiek XIII i XIV i wszystkie następne, doszedłszy coraz szersze, coraz dalsze, coraz głębsze, najeżone pianą podziwu, czci i naśladowania, aż do wieku naszego dwudziestego.

Ów wpływ Franciszka wydzielał się zeń na społeczeństwo samorzutnie, bo z natury i z osobistej dzielności tkwiły w nim te czynniki, które się w świecie ówczesnym były zatarły, których zatem świat pragnął. To też gdy je jako uzdrowienie po własnej niemocy ciała i duszy przy-

niósł w swojej osobie i w swoich uczynkach, jęły się tak szerzyć, jak się nie szerzy ogień, woda, żywioł. A nie przychodził jako pierwowzór, bo na to był zanadto pokorny, ale jako pośrednik. Bo przynosił Chrystusa; a przynosił na własnej osobie tak litościwie, tak ubogo, z taką jakąś niewiadomo czy to gwałtowną czy rozpaczliwą, a jednak pogodną i spokojną miłością, że tym, którzy nań patrzyli i którzy go słuchali, zdawało się, iż Chrystus po raz drugi odżył i zmartwychpowstał. Przypomniawszy sobie w postaci Biedaczka z Asyżu Chrystusa, jakiego w rysach świata wyrzeźbili ewangelisci, poczęło ówczesne pokolenie podążać przez Franciszka do Chrystusa i kochać Boga-Człowieka, którego dotąd znało więcej jako Boga, a którego odtąd będzie więcej kochało jako swojego brata: Człowieka.

W tem oddaniu Chrystusa nie miał Franciszek żadnej zasługi, bo to było wyłącznem dziełem Boga i łaską nieba i tak zwanem powołaniem, którego nikt sobie nakazać ani narzucić nie umie. W czem jednak tkwiła Franciszka zasługa i w czem się objawiała jego potężna indywidualność, to w tym harcie ducha niczem niezłamanego, że na sobie wyciosał słodką postać Zbawiciela, że sobie jego postać nakazał i narzucił i szedł za Nim aż do ukrzyżowania z taką mocą nieprzepartą woli, jakiej po Pawle z Tarsu nikt nie posiadał. I właśnie tą siłą woli i miłości wywarł Franciszek ów wpływ ogromny na współczesnych.

Gdy Franciszek usłyszał słowa: „Pójdź z mną!” zbudziła się w nim cała dusza pierwotnego chrześcijanina i — pozostawił wszystko i poszedł za Nim. A za Franciszkiem poszedł ówczesny świat i Kościół. Bo wola i miłość są naj-

potężniejszymi środkami pogromów moralnych i podbojów światowych.

Jednakże drogi, któremi ówcześni ludzie garnęli się przez Franciszka do Chrystusa, były rozmaite.

Byli niektórzy, którzy właśnie takim nagłym gwałtownym ruchem rzucali wszystko i szli za wołaniem Baranka, przyłączywszy się do Franciszka. Mało ich nie było, skoro w ciągu mniej niż dziesięciu lat liczono ich na tysiące.

Lecz dla liczby tak wielkiej i wciąż rosnącej był konieczny sposób życia ściśle określony, któryby równoległe z rozwojem społeczności kościelnej nietylko miłość, ale i ład społeczny wprowadzał w tę masę. I oto z tego Biedaczka wyrósł tym samym popędem samorzutnym, sprowadzonym siłą okoliczności i wymogów Kościoła, zakonodawca i reformator pewnego męskiego odłamu owczarni Chrystusowej.

Były i takie dusze, które wyłączając się od słabej płci niewieściej, postanowiły iść śladami Franciszka za oblubieńcem Chrystusem. Klara zamieszkała u św. Damjana. Za nią poszła siostra jej Agnieszka i matka Hortulana. Za nimi przyfrunęło tyle dusz łabędzich do tego gniazdeczka, że ich skromne mury objąć nie potrafiły. Stąd potworzyły się ogniska córek duchownych Franciszka i Klary liczne, rozgałęzione wszędzie, gdziekolwiek zasłyszano o św. Franciszku z Asyżu.

Ale właśnie nad tym skarbem najdroższym Kościół czuwać musiał z największą pilnością. Więc znowu z ruchu samorzutnego Franciszka, połączonego z rozwagą i dwunastowiekowym doświadczeniem Kościoła, wyrósł Biedaczek na ojca i zakonodawcę niewieściej płci pobożnej.

Atoli tu i tam tulily się tylko dusze wyjątkowe. A cóż będzie z temi falami ludu, który widział i słyszał Franciszka i który żył pod jego wpływem, gotów iść za nim do Chrystusa? Wprawdzie Franciszek byłby pragnął, aby się cały świat przemienił w prawdziwych naśladowców Chrystusa; ale sam widział, że nieszczęśliwcy mogą zostać braćmi mniejszymi. Owszem, po ogłoszeniu buli *Cum secundum* i po ostatnich wypadkach zaszłych w łonie zakonu przekonał się, że nawet braci już i tak było za dużo, skoro się między nimi znaleźli ludzie ambitni i niegodni wichrzyciele. Przekonał się, że jest rzeczą niemożliwą rozciągnąć ukonstytuowane zgromadzenie braci mniejszych i siostr św. Klary na całe społeczeństwo; a z drugiej strony bezbrzeżna jego miłość bliźniego parlała go, aby oprócz swojego słowa i przykładu i dla świeckich ludzi coś uczynić trwałego.

I jał rozmyślać, czyby dusz ludzkich nie można otoczyć jasnym kołem trwałego życia, w którymby się pomieścili wszyscy: młodzieńcy, dziewice, mężowie, żony, wdowy, rycerze, podwładni, bogaci, ubodzy, duchowni, świeccy, każdy wiek i stan. Wszyscy tworzyłiby jedno olbrzymie zgromadzenie, żyjące swym obowiązkiem, a jednak przejęte i przepojone życiem nadprzyrodzonym z gwiazdą przewodnią: Chrystusem. Zgromadzenie pośrednie pomiędzy zakonem braci mniejszych i klarysek a pomiędzy światem zatopionym w bogactwie, w pysze, w rozkoszy.

Podobne stowarzyszenie wynikało zresztą z samego zawiązku życia pokutniczego Franciszka od tej chwili, gdy powziął zamiar nietylko dla siebie, ale i bliźnich urabiać na wzór Ukrzyżowanego. Bracia mniejsi mieli być apostołami, wol-

nymi od związków rodziny i majątku, podczas kiedy światem chrześcijańskim miał władać duch Chrystusa w kształcie nowego tchnienia: trzeciego zakonu franciszkańskiego.

Co wynikało z istoty powołania Franciszka i z zawiązków jego zgromadzenia, to przyśpieszyło okoliczności.

Istotnie, rok 1221 jest datą powszechnie przyjętą tego nowego ruchu religijnego i społecznego. Datą, w której się zawiązało takie stowarzyszenie, nazwane w najdawniejszych pomnikach bractwem pokuty, a później trzecim zakonem czyli powszechnie stowarzyszeniem braci i sióstr tercjarzy św. Franciszka z Asyżu.

Franciszek doszedł do podjęcia tego nowego ruchu religijnego i społecznego, patrząc na potrzeby ludzkie i rozmyślając w czasie modlitwy, jakby tym potrzebom zaradzić. Nieraz opowiadając ludowi pokutę, widział, jak mężczyźni, niewiasty, starcy rzucali się do jego nóg, prosząc o przyjęcie do zakonu.

W wioszczynie Canaria niedaleko Asyżu opowiadał tak potężnie, że prawie połowa ludności chciała opuścić swoje pielesze domowe i iść jego śladami. On jednak zabronił, mówiąc litościwie:

— Zaniechajcie i uspokójcie się, bo wnet dla was obmyślę sposób, który wam posłuży do zbawienia.

To znowu w innych miejscach, zwłaszcza w miasteczkach Toskanji, cisnęli się doń mężowie i niewiasty, wołając natarczywie:

— Nie możemy przecież opuścić naszych żon, a my naszych mężów! Cóż mamy czynić?

We Florencji zagroziło niebezpieczeństwo ruchów społecznych; albowiem niemała część

ludności, chcąc przyjąć jego sposób życia, gotowa była pozrywać węzły rodzinne. Podzielił tedy ludność na kilka zgromadzeń męskich i żeńskich i wybrał im przełożonych, którym podał kilka przepisów o ćwiczeniach duchownych, o uczynkach miłosiernych, o pożyciu spólnem. Zdawało się, że wróciły czasy pierwszych chrześcijan.

Były to zawiązki trzeciego zakonu.

Ale pierwiosnkim i wzorem nowego zgromadzenia stał się bł. Lukezjusz ze swoją żoną Bonadonną; ci bowiem pierwsi przyjęli właśnie w tym czasie sukienkę tercjarską z rąk św. Franciszka.

Lukezjusz czyli Lucjusz pochodził z pewnego miasteczka w Toskanji. Ożeniony z Bonadonną, niewiastą słodkich i skromnych obyczajów, należał do frakcji politycznej gwelfów, nie przestawał się jednak trudnić kupiectwem. Wkrótce z powodów politycznych czuł się zmuszonym opuścić Toskanję. Osiedliwszy się tedy w Poggibonzi blisko Sienny, jał dalej prowadzić gorliwie handel i kupiectwo, nie był bowiem wolny od żądzy bogactwa i zaszczytów. Doszedł nawet do więcej niż średniej fortuny; albowiem puściwszy się w wir spekulacyj zbożowych, umiał tak zręcznie obracać zbóżem, zwłaszcza w latach niedostatku powszechnego, że wkrótce stał się człowiekiem zupełnie zamożnym.

Atoli właśnie na szczycie tego powodzenia trafił go grot miłości Bożej. Zaszła w nim zupełna zmiana duszy. Jał gardzić majątkiem nabytym z takim mozolem. Rozmyślał tylko o Bożem miłosierdziu, jako ono znosi i przytula do siebie grzeszników, z których mienił się być największym. Wkrótce stanęło pomiędzy nim i Bonadonną, że sprzedadzą większą część majątku,

pieniądze ze sprzedaży wynikłe rozdadzą ubogim, a zatrzymawszy tylko dom i cztery morgi gruntu, jeszcze będą w stanie żywić ubogich i pielęgnować chorych.

Lucjusz zabierał się właśnie do wykonania pięknego zamiaru, gdy wtem zjawił się w miasteczku Poggibonzi św. Franciszek i począł z dawno niewidzianą gorliwością opowiadać ludowi, jak łatwo można dzieło zbawienia przeprowadzić na zasadach życia pokutniczego.

Postanowienie Lucjusza było gotowe. Pójdzie z małżonką do Świętego, objawi mu swój zamiar i wykona, co ów poradzi. A Franciszek wysłuchawszy Lucjusza, ujrzał przed sobą parę małżonków jakby stworzonych do tego, aby byli pierwiosnkami i wzorem nowego zgromadzenia.

Odtąd Franciszek nie przestawał nawoływać i przekonywać o owocach zbawiennych zgromadzenia i w Poggibonzi i w całej dolinie Sieneńskiej. Skutki były nadspodziewanie pomyślne, bo zewsząd napływali mężczyźni i niewiasty, chcący się zaciągnąć pod chorągiew tego zakonu. Zgłaszających się przygotowywał Franciszek w Poggibonzi, w pewnej kapliczce darowanej mu przez szlachetnych Sieneńczyków.

Wreszcie wśród niezliczonego ludu, szlochającego z radości i wzruszenia, odziewał Franciszek nowych katechumenów w sukienki proste i skromne koloru brunatnego, podobne do sukien braci mniejszych, i opasywał ich paskiem i wkładał im obowiązki.

Nowa rodzina zakonna była stworzona. Na jej czele stali brat Lucjusz i siostra Bonadonna.

Przed Franciszkiem stał nowy twór jego ducha: trzecia rodzina zakonna, która tak szybkie, głębokie i szerokie jęła zataczać kręgi, że wkrót-

ce przeorała i użyźniła cały świat chrześcijański. Ów kwiatek, wyrosły z piersi Franciszka na urodzajnej ziemi sieneńskiej, prznosił swój pył nasienia wszędzie, dopóki się łono całego społeczeństwa chrześcijańskiego nie pokryło barwnym kwieciem, błyszczącym rojem cnót chrześcijańskich, świętości, heroizmu.

Powstanie trzeciego zakonu św. Franciszka zalicza się niewątpliwie do najpotężniejszych i najzbawieniejszych ruchów religijno-społecznych.

Podścieliskiem wszystkich przepisów była tu zawsze ewangelja ze swemi trzema radami wziętymi w znaczeniu szerszem. Całość zgromadzenia dążyła do pobożności i doskonałości życia. Kto się w szeregi tego bractwa zapisywał, ten ze serca wyrzucić musiał nienawiść i niezgodę; dobra nieprawnie nabyte musiał zwrócić. Obowiązkiem ścisłym było zachowanie przykazań Bożych i kościelnych; pomiędzy sobą mieli członkowie żywić uczucia miłości i braterstwa i ćwiczyć ducha na wspólnych modlitwach, zebraniach, naradach. Wykonywając obowiązki swojego stanu, mieli bracia towarzysze i siostry tercjarki ścieśniać wydatki w zakresie potrzeb życia codziennego, aby tem hojniej mogli wspierać ubogich tak w samem bractwie jak poza niem. Ich serce miało stać zawsze otworem na widok nędzy i boleści bliźniego, aby ręka była zawsze gotowa tu rozdawać dobrodziejstwa, tam pielęgnować chorych, a usta aby były skore do udzielania pomocy cierpiącym.

W owym wieku zawieruch społecznych i wojen bratobójczych było stanowczo zakazane tercjarzom noszenie broni pod jakimkolwiek pozorem. Mieli być rzecznikami i wykonawcami słów: „Pokój z tobą!“, tych słów, które jako

zwiastuny jutrzeńki i pokoju wieczystego wciąż brzmieć miały na ustach braci i sióstr. Przepis ów nie zdawał się być złudnym, skoro na tercjarzy słano skargi do biskupów i papieży, że nie chcą bronić ojczyzny; a do cesarza Fryderyka II chodziły donosy, że tercjarze tak dalece rozpowszechnili się we Włoszech, iż każdy drugi człowiek należy do tego bractwa, i że podpora cesarska gwelfów za ich przyczyną z dnia na dzień topnieje.

I tak przepis, że nie wolno nosić broni, i drugi, że nie wolno składać publicznej przysięgi, tak samo inny paragraf, że każdy członek bractwa powinien kasjerowi złożyć jakąś jałmużną pieniężną, aby ów według wskazówek ministra rozdzielił ją pomiędzy braci i siostry potrzebujące, i inne podobne przepisy tego nowego stowarzyszenia, rozważane na tle wieku XIII, mogą być nazwane terorami naprawdę genialnymi.

Jak ongi zawód publiczny Chrystusa podniósł przez ośm błogosławieństw poziom płaczących i prześladowanych, tak zgromadzenie trzeciego zakonu pod technieniem litości Franciszka Serafickiego, oblało strugą błogosławieństw w postaci swych przepisów bieżący porządek wieku XIII i następnych na korzyść małych, ubogich i ciemionych. Stąd wypływały owe częste i wielkie starcia pomiędzy społeczeństwem ówczesnym tak świeckim jak duchownym a pomiędzy bractwem trzeciego zakonu, którego papieże wciąż bronić musieli nowemi bullami przeciw przemocy pogrążonych w feodalizmie, rozkoszy i ciemnocie biskupów i panów; Kościół bowiem od dawna rozumiał, że zakon trzeci św. Franciszka jest dźwignią najpotężniejszą reformy społeczeństwa, a w głównej części po heroicznej inicjaty-

wie Franciszka z Asyżu Kościół sam wytworzył z trzeciego zakonu swoje wojsko najkarniejsze i najbitniejsze, jak poprzednio już był pierwszy zakon sprzężł ze swym pochodem cywilizacyjnym.

W wieku XIII problem kwestji społecznej znalazł znakomite rozwiązanie dzięki samorzutnemu genjuszowi Franciszka z Asyżu.

Trudność wykonania przepisów trzeciego zakonu, o ile dotyczyły osnowy całej religji, nie była większa od trudności, jakich naogół doznają wszyscy chrześcijanie. Atoli poszczególne obowiązki, mianowicie z natury społecznej płynące, wcale nie były łatwe jako nowe zupełnie a poniekąd niesłychane na ów wiek. Jednakże nigdy nie pozostawały martwą literą.

Stąd ów nieprzejrzany poczet wielkich mężów i świętych niewiast, wyniesionych w owem stowarzyszeniu tchnieniem Franciszka ponad męty niespokojnego i zepsutego społeczeństwa ówczesnego. Żaden poprzedni wiek i żadne inne stowarzyszenie nie wydało tak nagle, tak powszechnie nietylko tyle świętych w znaczeniu teologicznem, ale nawet tyle wielkości w znaczeniu świeckiem: Kolumb, Dante. Pochodziło to stąd, że istotą tego zgromadzenie nie była martwa litera, lecz był nią żywy i słodki obraz tego najpokorniejszego z ludzi: Franciszka z Asyżu. On ożywiał i regułę i ślubujących. On był duszą tego ruchu ogromnego.

Widoczne to było zaraz z owego pierwowzoru, który miał być plastycznym wyrazem sióstr i braci trzeciego zakonu św. Franciszka z Asyżu. Chcę mówić o Lukezjuszu i jego małżonce Bonadonnie. Trudno o obraz żywota więcej pokutniczego zarazem i tkliwego w małżeństwie.

Po przyjęciu habitu z rąk błogosławionego Franciszka w duszy Lukezjusza podwoiła się jego miłość Boża i bliźniego. Uprawiał swój kawałek ziemi tylko nato, aby ubogim przyjść w pomoc, przyjmował ich u siebie i gościł. Przyjmował również chorych, i zdawało się, że jego dom jest przytułkiem ubóstwa i choroby. Sam szukał chorych, zapuszczając się w pogoni za nimi aż w niebezpieczne trzęsawiska Maremmy, która kipiała febrą zaraźliwą. Często wracał stamtąd z trzema chorymi, niosąc jednego na ramionach, drugiego prowadząc za rękę, na ośle wioząc trzeciego. Gdy dochodów z pracy rąk i z gruntu zabrakło, Lukezjusz promienny radością brał na siebie biesagi i ze śpiewaniem chodził od drzwi do drzwi, prosząc o kawałek chleba dla chorych Dobrego Boga. A więcej też od kawałka chleba zjedzonego w towarzystwie Lukezjusza i Bonadonny nie pragnęli ubodzy i chorzy tego domu, bo im rozpromienione szczęśliwością oblicze Lukezjusza i tkliwa miłością twarz Bonadonny starczyły za stół najobfitszy. Obecność obojga syciła głodnych, leczyła chorych.

W dniach znojnych Lukezjusza i Bonadonny było więcej takich, które ich przenosiły w podwoje niebieskie na oglądanie Boga. Jeżeli z tych wyżyn schodzili na udęczoną ziemię, to tylko dlatego, że ubogi i chory wzywał ich hojnej i pomocnej dłoni.

Nawrócenie ich nie rozluźniło węzła obopólnej miłości. Owszem, ono go mocniej zadziergnęło. Bonadonna była najwierniejszą współpracowniczką Lukezjusza w niesieniu ulgi chorym i ubogim.

Ale wkońcu wyczerpały się ich siły w służbie bliźniego. Zaniemogli oboje. Zdawało się jednak, że Bonadonna prędzej opuści swojego mał-

żonka. Spostrzegłszy to, kazał Lukezjusz bezwzględnie przywołać kapłana, brata mniejszego Hildebranda, swojego przyjaciela, aby opatrzył żonę ostatnimi sakramentami. Ostatnia godzina Bonadonny zaczęła się zbliżać.

A jego przeszył ów widok bólem duszy większym, niż był wszelki ból jego ciała. Czując także, że żony długo nie przeżyje, rzekł do niej łagodnie:

— Droga towarzysko! wiesz, żeśmy jedną miłością usiłowali służyć Bogu. I oto Pan Bóg udzielił nam jeszcze tej łaski, że razem wejdziemy w progi radości bezkresnej. I ja przyjmę ostatnie sakramenta razem z tobą i z tobą pójdę do nieba.

Poczem przyjąwszy sakramenta, spojrział znowu na Bonadonnę. Ale ta już była umierająca. Więc powstawszy ostatnim wysiłkiem, podszedł do niej, uchwycił z tkliwością jej ręce, a gdy ona oddała ducha, przeżegnał ją pobożnie. Lecz dalej już nie mógł się utrzymać na nogach. Ci tedy, którzy go otaczali, podchwycili upadającego i złożyli na łóżku. On też wnet począł konać, dopóki z imieniem Jezus, Marja, Franciszek na ustach nie oddał Bogu ducha.

Było to dnia 17 kwietnia 1260 w obecności wielu zakonników i przyjaciół, kiedy bł. Franciszek już królował w niebie, a jego dzieło w kształcie trzeciego zakonu szerzyło się wszędzie na ziemi z niebywałą szybkością i z niepojętym entuzjazmem.

ROZDZIAŁ XXVII.

Deus meus et omnia.

(1222.)

W łonie zakonu braci mniejszych można było dotąd spostrzec trzy następujące po sobie fazy rozwoju.

Pierwsza sięga mniej więcej aż do r. 1216, z którym się rozpoczynają wielkie kapitule i wybierają się ministrowie. Jest to okres heroiczny zakonu i patriarchalny. Ogniskiem wszystkiego i duszą wszystkich braci jest postać Franciszka, a punktem zbornym z początku Porcjunkula, potem Rivotorto, wkońcu Porcjunkula. Poza tem bracia prowadzą żywot tułaczy, nie mając innych przełożonych ani innych siedzib stałych jak Franciszka, Porcjunkulę i szpitale. Nic niema błędniejszego nad mniemanie, że Franciszek w swych pracach apostolskich biegał od miasta do miasta i tylko zakładał klasztory. Franciszkowi chodziło o pokutę i nawrócenie ludu, nie o zakładanie klasztorów. Dowiódł w Bononji, co myślał o zakładaniu własnych klasztorów, kiedy dom braci opuścić kazał wszystkim braciom, nie wyjmując chorych. Dowiódł tego samego dwukrotnie w Asyżu.

Drugi okres przedstawia krystalizację zakonu pod względem formy społecznej, sięgającą do wy-

boru ministrów i misyj zaalpejskich aż do zakładania nowicjatów i utrwalania siedzib stałych. Skoro pierwszy okres nie dał się trwale utrzymać, przejściowym również musiał być drugi; z chwilą bowiem kiedy wybierano ministrów dla pojedynczych prowincyj i ustanowiono nowicjaty, nie mogło się obejść bez założenia siedzib i klasztorów stałych.

To też drugi okres jest stosunkowo krótki; już bowiem z r. 1221 a tem więcej bezpośrednio przed śmiercią Franciszka powstają tu i owdzie środowiska stałe, z których życie franciszkańskie rozlewa się na okolice i kraje. Wkońcu życie tułaczce przeistacza się stanowczo w życie prawdziwie klasztorne z chwilą, w której dwa lata po śmierci Franciszka powstaje za inicjatywą wszechwładnego Eljasza *Convento Sagra*.

Wszystko to dokonywa się prawie samo przez się. Ta masa nieprzejrzana braci duchem Franciszka do życia wywołana i z dnia na dzień rosnąca, raz sprzągnięta z karbami życia społecznego a zwłaszcza Kościoła, toczy się z siłą żywiołową naprzód, i nic nie może powstrzymać jej biegu na drodze przeobrażenia się w zakon ścisły o stałych kościołach i klasztorach. Raz po raz wychodzi z Rzymu jakaś bulla, która ów ruch niepowstrzymany nowego ciała społecznego jeszcze przyspiesza; wie bowiem, że z postępem tego zakonu jest poniekąd związany postęp całego Kościoła.

Stąd ta miłość troskliwa i prawie natarczywa Kościoła w jego najwyższych dostojnikach, aby nie tylko zakon św. Dominika, ale także i przede wszystkim św. Franciszka we wszystkich jego trzech rozgałęzieniach objąć w ramiona przestroóg, wskazówek, rozporządzeń, przywilejów. Franci-

szek nie naprawia właściwie św. Damjana, ale podpira jako drugi atlas swemi ramionami Lateran i cały Kościół Chrystusowy.

Prawda, że większa część tych wypadków dalekonośnych z ostatnich czasów dokonywała się prawie sama przez się i bez woli Franciszka. Że się dużo rzeczy działo bez jego wiedzy i woli, jest prawdopodobnem; bezpodstawnem wszelako byłoby twierdzenie, że się wszystko toczyło naprzód wbrew jego woli i wiedzy. Bo jak z jednej strony występował Franciszek zawsze najostrożniej i bez wahania przeciw temu, co nie było zgodne z duchem jego reguły, tak z drugiej strony postanowiwszy raz rozmnożenie braci, musiał się także zgodzić na skutki tego rozmnożenia, mianowicie na stałe siedziby nowicjatów, obrządków, rezydencyj, na stałe klasztory i kościoły.

Franciszek nietylko zgodził się na to, ale i ściśle określił, jak mają być wzniesione klasztory i kościoły, aby w niczem nie uchybiono jego przedroziej Oblubienicy Ubóstwu.

Zdarza się w życiu ludzkim, że człowiek począwszy ideał i tchnąwszy weń ciało i duszę w kształcie dzieła nieśmiertelnego, spostrzega po pewnym czasie, że to dzieło rąk i duszy jego olbrzymieje i przybiera nowe kształty, odpowiednie do warunków otoczenia i czasu — bez woli twórcy, czasem nawet wbrew jego woli. Zmieniać wtedy dzieło, byłoby to samo co zniszczyć je. Mistrz pozostawia je swemu biegowi. Sam żyje takim dziełem, jakie począł w czystości ducha genialnego i tylko z oddali patrzy, by nie zeszło na błędne szlaki. A od czasu do czasu bierze je sam w potężne ramiona, by mu właściwy nadać kierunek.

Tak było z zakonem braci mniejszych, dziełem rąk i duszy Franciszka z Asyżu. Prawdziwem

i jedynem jego dzieckiem był ów zakon z okresu pierwszego, sięgającego od roku 1209—1216.

Późniejszy rozrost tego zakonu i jego olbrzymie, niespodziewane, choć przez Franciszka przewidziane, bo duchem wieszczym kilkakroć przepowiedziane rozmiary były skutkiem sprzyjających warunków, w których pokorny jego twór tak pomyślnie mógł kiełkować. Za warunki Franciszek nie był ani chciał być odpowiedzialnym; tak dalece, że z obawy przed odpowiedzialnością i z pokory, która może tak potężnego dzieła, nie pragnęła, zrzekł się przełożęństwa urzędowego.

Wtedy mógł swobodnie ciągnąć przez świat i opowiadać pokutę i królestwo Boże, jak to czynił za tych dobrych czasów, kiedy ich było tylko dwunastu. Mógł też swobodnie iść za swoim ulubionym popędem, szukając samotnych miejsc zdale od towarzystwa ludzi i braci, żyjąc Bogu, obcując z Chrystusem.

Lecz jak wódz z pagórka patrzy na rozwijające się szeregi wojska swojego, ustawionego w linii bojowej, tak Franciszek bacznie dawał oko ze swych pustelni i gór samotnych na ruchy swego wojska w szarych, powrozem opiętych habitach. A gdy się zdarzyło, że spostrzegł uchybienia i błędne zwroty, schodził jako Mojżesz z tablicami w rękę z płomieniem gorliwości w oku.

Tak się stało w r. 1223, kiedy zjawił się wśród braci ze zwojami reguły, nareszcie spisanej i zatwierdzonej przez namiestnika Chrystusowego. Tak było, gdy później swej ukochanej braci dyktował krwią serca i łzą duszy swój testament.

Wszelako gdy widział olbrzymiejący rozwój zakonu, gdy nadto choroba ciała miała się go coraz dotkliwiej, zanurzał się głębiej i częściej w samotności. Tam wśród umartwień prowadził życie

mistyczne i gorące rozmowy poufne ze swą duszą i swoim Bogiem. Tam przeistaczał się w Chrystusa i utożsamiał się z Nim. Kiedyś w młodości opuścił ojca własnego, aby mieć tylko Ojca niebieskiego. I oto powoli i mozolnie dochodził na prawdę do tego, że mu Bóg był wszystkim: *Deus meus et omnia!*

Biografowie, kreśląc człowieka wewnętrznego i przedstawiając tę duszę przepelnioną Bogiem w miejscach samotnych, nie mają dosyć słów, aby godnie odpowiedzieć zadaniu.

Któż bowiem wypowiedzieć zdoła tę miłość wrzającą, którą kipiał przyjaciel Oblubieńca! — mówi Bonawentura. A Celańczyk dodaje, że serce Franciszka było zupełnie narzędziem Bożem. Na słowo „miłość Boża“ rozbudzało się, rozbrzmiewało, gorzało jakoby dźwięk głosu zewnętrznego uderzał wewnątrz serca.

Zresztą sami widzieliśmy go jeszcze młodego i pogrążonego w próżnościach świata. Gdy go ubogi prosił o jałmużnę na miłość Bożą, on nie tylko dawał, co miał, ale cała jego dusza drgała ze wzruszenia. Tak było w początkach. A później? Później zapewne nie było chwili, w którejby jego dusza nie pływała w bezmiarze miłości Bożej. Bo gdy imię Boże wychodziło z jego ust, duch jego wznosił się ponad ziemię i pełen radości i przyjemności najczystszej zdawał się być przychodniem z innego świata.

To określenie Celańczyka uzupełnia Bonawentura, pisząc, że Bóg, mieszkający w duszy Franciszka, przemieniał się w rodzaj źródła miłości błyszczącej, która pochłaniała całą jego istotę i wbrew jego woli wylewała się nazewnątrz. Ożywiał się bowiem cały i pałał, a twarz jego istotnie boską była.

Do takich chwil rozmowy z Bogiem i obcowania z Nim bł. Franciszek uciekał się coraz częściej; bo też zbliżała się chwila, w której jego Oblubieniec miał go przeszyć strzałami miłości na górze Alwernji. Właśnie przy przyjęciu Lukezjusza i Bonadonny i wielu innych do trzeciego zakonu dusza jego zapragnęła gorącej takiej miłości Bożej. Ale ponieważ Bóg tylko w samotności najlepiej przemawia, więc Franciszek zawrócił z drogi apostołstwa i zapuścił się w samotne pustelnie, rozsiane od Florencji aż do Rzymu, wszystkie uświęcone jego pobytami i pamiątkami. Po stworzeniu nowego dzieła uczuł konieczność spokoju. Może od czasu do czasu odwiedzał swoich pierwszych ukochanych towarzyszy, pocieszając ich swym widokiem ojcowskim, a siebie ich synowskim przywiązaniem. A ogrzawszy się u ich boku, wracał znowu do samotności, aby jednoczyć się z Bogiem.

Bez tego jednoczenia się ciągłego z Bogiem i bez pomocy zstępującej nań od Boga nie mógł istnieć, bez nich nie można sobie wcale dokładnie św. Franciszka z Asyżu wyobrazić.

Gdy się zdarzało, że uciekał od towarzystwa braci, aby się ukryć w samotniach Umbrii, wywierających nań niewysłowiony urok, nie był sam — ciągnie dalej Cellańczyk — bo mu Pan towarzyszył, dokądkolwiek zwracał swoje kroki; podtrzymywał go swoją obecnością, obsypywał swojemi dobrodziejstwami, pocieszał nawiedzeniem przyjacielskim. Jakże sobie bez tego przedstawić Franciszka słabego, ubogiego, który się podejmuje dzieła, przerastającego zewszepochmiar jego wątłe siły? Jakże ów człowiek, młody jeszcze i nieumiejętny, ów syn kupca, który gardził wszystkim co ziemskie, a szukał tylko tego, coby go upokorzyć mogło, mógł w ciągu niespełna

dwudziestu lat poruszyć całe społeczeństwo chrześcijańskie i zwrócić je na tory lepsze i szlachetniejsze, gdyby Bóg nie był z nim i nie był z nim dokonywał olbrzymiego przewrotu?

Skoro Franciszek przeczuwał, że Bóg będzie pukał do komórki jego serca, wtedy rzucał i opuszczał wszystko, aby odpowiedzieć ukochanemu Gościowi niebieskiemu i godnie Go przyjąć. W takich chwilach podróżując, przystawał, kazał się towarzyszom wyprzedzić; będąc zajęty sprawami świętymi, odkładał je. Głosząc słowo Boże, skracał je lub pozostawiał niedokończonym, aby tylko być na usługi Gościa niebieskiego.

Raz przechodził w rozmyślaniu Bożem przez wielką i ruchliwą wieś Borgo San Sepolcro. Lud, spostrzegłszy go zbliżającego się, nadleciał zdala, otoczył go pobożnie szczelnym pierścieniem. Tłoczyli się koło niego, dotykali go, ciągnęli go nawet do siebie; on nic nie czuł, jakby cały martwy, nic nie widział, nic nie słyszał. Pochód już się był dość znacznie oddalił od wsi, tłum się był rozproszył, tylko gorliwsi jeszcze razem z uczniami Świętego towarzyszyli mu do domu trędowatych, gdzie miał noc przepędzić. Już dawno minął był wieś, gdy się rozbudził i spostrzegłszy napływ ludu. zapytał, czy już są blisko wsi Borgo San Sepolcro,

Franciszek kochał swojego Boga, nietylko gdy go nawiedzał radością, ale także gdy go dotykał cierpieniem i boleścią ciała i duszy. Radość i ból, pomyślność i nieszczęście, życie i śmierć przyjmował z równą gotowością z rąk Boga. Wszystko było dlań obojętnem, byle swojego Boga posiadał w sercu. Zdawało się, że woli cierpieć, a cierpi tylko nato, aby Bóg w nim zamieszkał: *Deus meus et omnia!*¹⁾)

¹⁾ Bóg mój i wszystko moje!

Gdy go raz więcej niż zwykle dreszcze cierpień przenikały, rzekł doń pewnie prostoduszny brat:

— Bracie, módl się, aby Pan łagodniej z tobą postępował; ręka jego bowiem zanadto cię doświadcza.

A on odparł w gorliwości ducha:

— Bracie, gdybym nie znał twojej prostoty, przyganiałbym ci i unikałbym twojego towarzystwa, że wyroków Bożych chcesz dochodzić.

I jakkolwiek wycieńczony nad miarę, rzucił się na ziemię i dziękując Bogu za doświadczenia, o nowe stokrotne cierpienia prosił.

To też Bóg wzamian zsyłał nań takie pociechy i łaski, jakich rzadko któremu ze śmiertelników udziela. A jednak ów miłośnik nadludzki Boga umiał te skarby obcowania z Bogiem ukrywać przed ciekawym wzrokiem świata i braci.

Raz biskupowi z Asyżu, który natrafił na modlącego się w celce Franciszka, mowa została odjęta, a ciało stężało na widok takiej modlitwy, i jakaś siła nieznaną rzuciła nim wtył.

Sam Franciszek, nawiedzony przez Pana, ukrywał się przed światem w celce; a gdy jej nie miał, z płaszcza sobie celę tworzył, okrywając się nim troskliwie; nie mając wkońcu płaszcza, rękami twarz zakrywał i piersi, któremi wstrząsały łkania i jęki. Po nocy przepędzonej na modlitwie Święty krzątał się nad ranem z hałasem w swojej celi, aby bracia myśleli, że się ze snu podnosi. Mawiał też mąż Boży, że brat mniejszy nawiedzony bóstwem, nim ukończy modlitwę, ma oczy podnieść w górę i ze złożonymi rękami mówić do Pana:

— Tę słodycz mnie grzesznikowi niegodnemu zesłałeś, o Panie, z nieba; a ja ci ją zwracam, abys mi ją zachował, bo ja jestem złodziejem Twojego skarbu!

Za miłość miłość — było zasadą Franciszka w jego stosunku do Boga. Ale on nic nie posiadał, co by wzamian dać mógł Bogu, oprócz duszy i ciała. Oddał tedy swojemu Panu zupełnie duszę i ciało.

Mąż Boży wczytując się ciągle w ewangelję, wiedział, że kto jest członkiem Chrystusa, ten krzyżuje swoje ciało i swoje namiętności. I wykonywał to przykazanie. Wykonywał tak na serjo i z taką — rzekłbyś — zawziętością umartwiał tego brata osła, jak nazywał swoje ciało, że bliski śmierci pytał się z obawą swojego sumienia, czy nie wykroczył przeciwko swemu ciału, obchodząc się z niem za twardo. Głodem bowiem i pragnieniem nękał ciało; niedospaniem i pracą nadmierną podbijał je aby zrobić i niego posłuszne duszy i Bogu narzędzie. Ziemia goła mu była łóżkiem, wezglowiem kamień.

Nie chciał mieć za nic w świecie miękkich szat; nie chciał jeździć konno ani na osle, a jeżeli ostateczna potrzeba tego wymagała, musieli go towarzysze do tego zmuszać; nie chciał mieć żadnej zgola wygody. Popiół mieszał do potraw, gdy były zanadto wytworne przy stole kardynałów; wolał zebrać kawałek czarnego chleba i z nim zasiąść do stołów pańskich, które kapwały od wina i gięły się od potraw smacznych.

Znosił z radością zimno i gorąco, na jednej tunice zawsze poprzestając; boso przebiegał ogromne przestrzenie; pogoda kazała mu śpiewać chwałę Bożą, ślota mu nie przeszkadzała. Odczuwając jednak zimno przesywające, uspokajał organizm łagodnemi słowy mówiąc:

— Gdybyśmy naprawdę kochali Boga, to miłość rozlewałaby po naszych członkach najprzyjemniejsze ciepło.

Raz wracając z Rzymu, przemókł do suchej nitki, bo stojąc na ulewnym deszczu, nie zaniechał odmawiać obrządku boskiego. Potem zaś usprawiedliwiał się przed towarzyszami, mówiąc, że jeżeli ciało spożywa w spokoju pokarm swój, jakże dusza nie ma z tem większem spokojem spożywać pokarmu, którym jest Bóg!

Gdy mu w ostrych górach Reatyńskich dokuca zimno, wchodzi Franciszek na najwyższe szczyty, zdiera ze siebie tunikę i wystawia się przez dłuższy czas na lodowate tchnienie. Potem ubiera się, schodzi i mówi do siebie samego.

— Teraz mię tunika ogrzeje!

A jeżeli mimo to ciało jeszcze rokosz podnosi, wtedy powróż przeszywa powietrze i pozostawia pręgi na ciele, podczas kiedy w przesyconej zapadającą nocą celce rozlega się jego szyderczy głos:

— Aaa, bracie ośle, oto co ci się należy.

Albo też śnieg ostudza ogień wewnętrzny. Krzaki kolczaste drapią mu ciało jakby igły lub szpony. I dochodzi wkońcu do tego, że ciało jego zdaje się być ochotniejsze od duszy. Zupełnie jako pies lub wierny sługa, który pragnie odgadnąć życzenia swego Pana lub wlot chwycić i wykonać jego rozkazy.

Lecz i duszę musiał nieraz karcić w jej zapędach nieprawidłowych. Zwycięstwo było zawsze walne, acz z większym osiągnięte trudem. Nurtowała w nim pewnego rodzaju pokusa duchowa, której treść pozostała tajemnicą. Przez długie lata potykał się z nią mężnie, ale dopiero pod koniec życia uwolnił go Bóg od niej w Porcjunkuli.

Stąd też ów człowiek wypróbowany w walce duchowej umiał z braćmi tak roztropnie i praktycznie rozprawiać o życiu duchownem, że nikt odeń nie odchodził bez zbawiennej rady. Utry-

mywał np., że pokusy są sposobnością do zasługi, że one dawają tytuł do uważania się za prawdziwych sług Bożych. Franciszek sam kochał i ceniał więcej tych, którzy staczać musieli rozliczne potyczki duchowe. Mniemał, że pokusa zdeptana jest pierścieniem, którym Bóg zaślubia dusze wybranych. Ci, którzy walczyć nie potrzebują, są widocznie ludźmi słabego charakteru; Bóg bowiem wystawia na próbę tylko tych, których kocha i których męstwo oprzeć się zdoła zwodniczym marom.

Miłość jest wesola. Cóżby było po wszystkich przykazaniach i cnotach, po całej nauce chrześcijańskiej, gdyby jej nie wieńczyło wesele ducha, ów przedsiomek szczęśliwości! Prawda jest zimna, cnota jest piękna, lecz radość jest koroną miłości i wynikiem prawdy połączonej ze wszystkimi cnotami głównymi. Sama nie jest cnotą, ale cnotę wszystkich owcem, okiścią, wonią.

Poznaliśmy już, jakim był młody Francesco. Wesoly, wdzięczny, beztroski. Wszystko się u niego złożyło na najszcześniejszy charakter. Rzekłbyś — słodycz chodząca. A później? Później wykladał istotę wesela ducha bratu Leonowi tak wymownie, jak ongi św. Paweł Koryntjanom istotę miłości. Kto się doń zbliżył, tego przyciągało jego wesele ducha rozlane odbłyskiem anielskim po twarzy, rozpraszało tchnieniem cudownem wszelki cień, strącało każdą chmurę z czoła.

To niczem niezmacone wesele ducha jest jedną z zalet, która go wyróżnia z grona innych Świętych. Franciszek jest rozkoszą i wdziękiem swojego wieku.

To też nie znosił smutku w drugich. Mniemał, że smutek jest największą chorobą. Melancholję nazywał złem babilońskim, które w duszy

pozostawia czarny osad i rdzę tak uporczywą, że ją chyba tylko potoki gorących łez zmyć mogą.

Raz pokazał się pewien brat w towarzystwie poważny i smutny. Franciszek przystąpił doń zaraz, mówiąc:

— Mój drogi bracie, jeżeli ci sumienie coś wyrzuca, idź do celi. Tam wzdychaj i płacz. Ale tu niechaj twarz twoja będzie taka, jaką jest twarz twych braci!

I jego natura żywa, wrażliwa odczuwała smutek. I ona wila się pod pazurem bólu. Ale Franciszek go ujarzmił. Ujarzmił smutek miłością. Podbijał go modlitwą. Otrząsał się zeń i mył duszę łzami, łzami radości.

Lecz Franciszek posiada jeszcze jeden sposób, aby się pozbyć smutku i bólu. Środek tak prosty i rzadko przez ludzi używany a stanowiący znamienny rys charakteru Franciszka. Jest nim muzyka i śpiew.

Jako młodzieniec lubi muzykę i śpiew, skoro nocami śpiewając i grając, budzi mieszkańców Asyżu. Takim zapaleńcem muzyki i śpiewu pozostaje aż do śmierci. Leżąc na łożu śmiertelnem, ze śpiewem wita śmierć; pałac biskupi w Asyżu, a potem Porcjunkula brzmią całemi nocami muzyką i śpiewem o braciszku słońcu.

Jego wiek męski jest wypełniony śpiewem. Idąc od drzwi do drzwi za chlebem, wędrując przez lasy na misje, śpiewa pieśni francuskie, bo on kocha ten naród rycerski, choć sam niezbyt dobrze mówi po francusku. I nic to dlań, że te pieśni są treścią świeckie. Jego miłość już od dawna stapia wszystkie różnice w jeden promienisty punkt: *Deus meus et omnia!*

Gdy mu lekarz rozpalonem żelazem przepala skórę pomiędzy oczyma, każe Franciszek po skończonej operacji przywołać brata z gitarą i uderzyć

mu w jej struny. Ale brat odpowiada, że to nie uchodzi, boby się ludzie zgorszyli. Franciszek posłuszny i upokorzony mówi:

— Słusznie mówisz. Obejdzie się.

Ale za to we śnie zjawia mu się anioł, który śpiewając, gra tak słodko, że Franciszek nigdy nie zapomni tej melodji.

Później nie zważa nawet na to, co ludzie bez miłości nazywają zgorszeniem, brat Leon i Anioł całemi nocami muszą mu grać i śpiewać, a on im towarzyszy od czasu do czasu.

Nieraz stacza literalny pojedynek, śpiewając całemi nocami z braćmi ptaszętami. Dopiero nad ranem ustaje i mówi pełen radości:

— Odniosłyście zwycięstwo. Teraz wypocznijcie.

Kiedy niekiedy robi rzeczy, które zakrawają na dzieciństwa, a w rzeczywistości są wynikiem heroicznej miłości.

Śpiewając pieśni, chce, aby im towarzyszyła muzyka. Więc spaja dwa kije, a do ich kończyn przytwierdza wyprężoną nitkę, po której jako smyczkiem po skrzypcach ciągnie drewnem. Nie mając takich narzędzi, zadowolnia się gałązką podniesioną z ziemi i po niej naśladowuje drugą gałązką ruchy muzyków. Cała komedja kończy się okrzykami radości, westchnieniami, płaczem rzeźnikiem, zachwyceniem.

Radość bowiem nie przeszkadza Franciszkowi płakać rzeczywiście, bo i płacz jego i radość płyną z miłości. Czasem tak się łączą i wzajemnie zacierają, że nawet trudno je rozróżnić. Przez łzy świeci radość oka; radość kończy się łzami. Zależy to od tego, dokąd miłość Franciszka prowadzi. Ale prawie zawsze jego radość kończy się łzami; bo gdy Franciszek spojrzy na Chrystusa, zaraz mu cieką z oczu łzy palące. Biega

z radości po dolinie Spoletańskiej i zanosi się od płaczu nad męką Pańską. A tak rzewny jest jego płacz, że kto go słyszy musi przyłączyć się do płaczącego. Franciszek płacze nad krzyżem a cały jego zakon idzie przez świat, płacząc przy drodze krzyżowej.

Lekarze mówią do Franciszka płaczącego, że od łez zatraci wzrok.

-- Ale zato dusza widzi radość niebieską — odpowieda Franciszek.

Miłość Franciszka dochodzi do szczytów naziemskich, skoro umie połączyć takie ostateczności, jakimi są wesele ducha i płacz. Umysł Franciszka jest całkiem przetkany promieniami miłości. *Inteletto d'amore*¹⁾ — nazwałby go Dante, który Franciszkowi postawi później najcudowniejszy pomnik.

W duszy Franciszka płonął wiecznie święty znicz miłości Bożej: *Deus meus et omnia!*

Drzewem, którem ów święty znicz żywił się i podsycał, było drzewo krzyżowe, i z krzyża brała życie jego modlitwa. Był przekonany, że modlitwa jest życiem duszy, że bez niej dusza nie może być piękną. Mniemał, że dla brata mniejszego łaską najpożądniejszą jest dar modlitwy. Stąd Franciszek uczynił modlitwę celem wszystkich swych czynności, tak dalece, że ona przemieniła się w krew, która mu krążyła w żyłach. Na tem podścielisku modlitwy Bóg nietylko był jego myśli ciągle obecny, ale stałe w nim zamieszkał i był mu naprawdę wszystkim: *Deus meus et omnia!*

Franciszek nie pozwolił sobie na najmniejsze roztargnienie w modlitwie, sądząc że byłoby to obłudą wobec Boga. Nie wystarczało mu samo

¹⁾ Duch miłości.

tylko uczucie miłości względem Boga, chciał je zawsze doświadczyć zmysłowo i objawić zewnętrznie; bo jego szlachetność nie mogła się zadowolnić połowicznością.

Gdy opatowi od św. Justyna w drodze do Perugji obiecuje, że się zań modlić będzie, to zatrzymuje się natychmiast, a gdy ów idzie dalej, on klęka na ziemi i dopełnia obietnicy, bo jego szczerść i szlachetność nie pozwala mu odkładać tego, co usta przyrzekły.

Całe życie Franciszka było modlitwą i miłością Bożą; zdarzały się chwile, w których nie był podobny do człowieka modlącego się i kochającego, ale zdawał się być samą modlitwą i miłością. Lecz tylko księżyc, żeglując po roziskrzonym niebie nocnym i zagląający matowem okiem w tajemnicze zagłębienia samotnych gór Umbrii, był świadkiem takiego wesela mistycznego. Nie urojonem byłoby powinowactwo, które w takich chwilach zachodzić mogło pomiędzy górą oliwną i ogrodem Getsemani a pomiędzy górą Alwernji i pustelniami Umbrii. Smutna twarz Boga-Człowieka rozjaśniać się musiała na widok, że ów najuboższy i najnieumiejętniejszy z ludzi, ów brat i synaczek jego tak się umie modlić i tak kocha.

Czasem Franciszek całą duszą był w niebie, a ciało wcale pozostawało nieruchome na ziemi. Czasem znowu modlił się duszą i zmysłami, a łącząc intencję z gorącością uczuć, śpiewał, płakał, bił się w piersi, rozmawiał z Bogiem jak dziecko z ojcem. Innym razem skupiał się wewnętrznie, zmysły uśmierzał — rzekłbyś — życie fizyczne skamieniało, tylko duch jego bez słowa, bez ruchu wzrokiem orlim dosięgał Ducha Bożego. Jego serce było jakby ołtarzem, na którym

stworzenia całej ziemi składały hołd swemu Stworzycielowi.

Taki człowiek nie był Biedaczkiem, lecz największym bogaczem czasów i światów. Taki mąż mógł być nie tylko wielkim poetą stworzenia i miłości, ale także nadczłowiekiem, którego sobie Bóg upodobał, a którego Chrystus oznaczył jako swoją własność najcenniejszym znakiem, który posiada: swojemi świętymi bliźniami na górze Alwernji.

Rok 1222 jest nader skąpy w dostarczaniu dat z żywota św. Franciszka. Biografowie, którzy pod tym względem obfitują w poprzednich latach a są niewyczerpani w opowiadaniu wypadków w ciągu ostatnich lat Świętego, pominieli niniejszy rok prawie zupełnem milczeniem.

Wynika stąd, że Franciszek musiał prowadzić żywot samotny. Ukryty przed światem i bracią żył w pustelniach tylko swemu Bogu i Chrystusowi, obcując z małą liczbą towarzyszków zaufanych i rozmyślając wciąż o uchwyceniu ostatecznem punktów reguły.

Na kanwie tego mistycznego życia rysuje się jednak jedno sporadyczne zdarzenie: przeznaczenie brata Antoniego, późniejszego Cudotwórcy padewskiego, na urząd nauczania teologii.

Nawet kapituła generalna z tego roku jak również z roku 1223 nie pozostawiła u współczesnych żadnych śladów. Może wprowadzono w życie uchwały z poprzedniej kapituły i rozprawiano o punktach reguły, które Franciszek układał; może kapituła w tym roku nie było, przynajmniej w znaczeniu dawnem. Jeżeli tedy w r. 1222 bracia się zgromadzili w Porcjunkuli, to zgromadzenie przedstawiało obraz lokalny, składający się z braci najbliższych prowincyj lub z samych tylko braci ministrów.

Na tem tedy zgromadzeniu braci w Porcjunkuli lub bezpośrednio po niem zapadła uchwała najwyższej dla zakonu braci mniejszych doniosłości: pierwsze mianowanie urzędowe lektora teologii.

Dotąd w zakonie nie było żadnych szkół. Urząd kaznodziejstwa był daleki od uprawy systematycznej. Bracia mieli za wzorem Franciszka przede wszystkim przykładem budować lud i nawracać. Kto zaś posiadał dar wymowy, ten prosto w narzeczu ludowem opowiadał ewangelję. Wspomożeni modlitwą i łaską, natchnieni Duchem Św., uzbrojeni umartwieniem i cnotliwem życiem, mieli bracia naśladować apostołów Chrystusa którzy bez oręża, bez bogactw, bez umiejętności, z szybkością niebywałą i z trwałością niesłychaną zawojowali świat. Z takiego systemu opowiadania słowa Bożego umiejętność była poniekąd wykluczona.

Atoli zawsze tak pozostać nie mogło. Bracia wzrastając w liczbę, wzrastali także w znaczenie. Głosić musieli słowo Boże nietylko ludowi, ale i warstwom wykształconym w rojnych i uczonych miastach, w obszernych, wspaniałych bazylikach. Co więcej, bracia z konieczności wchodzili w styczność z epigonami sekt wszędzie nówczas rozsianych, którzy pod szatą najwytworniejszej wymowy umieli siać błąd i zamieszanie, a których należało zwalczać równą bronią. Skądinąd Franciszek nieraz upominał swych braci, aby ich słowo było czyste i troskliwie obmyślane, proste i krótkie; bo z natury rzeczy wypływało, że niekażdy właściwie umiał zachować miarę. Może się nieraz zdarzało, że jakiś brat nieroztropny zamiast budować gorszył swoich słuchaczy.

Wprowadzenie tedy nauki systematycznej czyli szkół było rzeczą konieczną. Może pokorny Franciszek byłby wołał obejść się bez tego, może bolał nad tą nowością, ale musiał na nią się zgodzić. Ta sama siła żywiołowa, która go popychała do nadania swemu wojsku kształtów społecznych i ścisłej organizacji, skłoniła go też do pozwolenia na wprowadzenie nauk i szkół do zakonu.

Sam Franciszek nie mógł nie być uprzedzony do nauki, zwłaszcza do takiej, jaka się wówczas zaczęła panoszyć: sucha, nadęta, ogrodzona, ścieśniona na najciaśniejsze kółko wybranych. Może zresztą nigdy nie badał zbliżka problemu umiejętności, skoro sam zaledwie tylko trochę umiał pisać i czytać; prawdopodobnie nie po łacinie, tylko w narzeczu ludowem modlił się i głosił słowo Boże. Zwykł był jednak mawiać do swych braci:

— Choćbyście posiadali taką przenikliwość i naukę, iżbyście wszystko wiedzieli, choćbyście umieli wszystkie języki, znali obroty gwiazd i wszystko inne, czyżby to był powód do próżnej chwały? Jeden szatan umie z tego wszystkiego więcej niżli wszyscy ludzie na ziemi razem wzięci. Ale istnieje jedna rzecz, do której szatan nie jest zdolny, a tą jest pozostać wiernym swemu Bogu. Niczego Franciszek tak się nie obawiał dla przyszłości swego zakonu jak nauki i bogactwa; wiedział bowiem, że z nauki popłynie pycha, zaś z bogactwa zanik istoty zakonu. Nieraz duch jego przeszywał przyszłość i widział rysujące się ściany tego Chrystusowego budynku pod naporem tych dwóch czynników rozkładu.

Dlatego zaklinał, aby bracia nie pragnęli książek i próżnej nauki, ale aby przede wszystkim w pokorze i prostocie oddawali się modlitwie i czcili głównie Panią i Oblubienicę Ubóstwo. Sam nigdy nie wykraczał w tym względzie. W ostat-

nich latach życia prawie wciąż był chory. Raz, aby mniej cierpiał, chcieli mu uczniowie coś dla pociechy przeczytać. On jednak odparł:

— Pozostawcie. Nic nie chcę znać oprócz Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego.

Z drugiej atoli strony nie był znowu Franciszek takim przeciwnikiem nauki, jakby się z przytoczonych wyżej przykładów zdawało. Sam, acz nie był doktorem, posiadał jednak tyle niepowszedniej przenikliwości i tyle mądrości nadprzyrodzonej, że w każdym wypadku umiał ocenić stosunek nauki do rozwoju życia chrześcijańskiego i Kościoła. Umiał nietylko szanować prawdziwą naukę, ale także cenił wielce wzorowych nauczycieli. Św. Antoniego nieinaczej nazywał jak swoim biskupem. Zresztą błogosławiona jego ręka rzuciła w glebę urodzajną zakonu coś z mistycznej siejby, z której wyrosli najwięksi doktorowie Kościoła, świeczniki nauki i świętości serafickiej.

Nieraz wyrażał się o nauce i o nauczających z pełnem poszanowaniem; uważał bowiem, że mężowie słowa Bożego są sługami wielkiego króla, którego rozkazy ogłaszają narodom. Wyluszczał też braciom przyczynę tego poszanowania, mówiąc, że oni są braćmi prawdziwymi Chrystusa i wrogami największymi szatana; gdyż Chrystusowi, który umarł za grzeszników, synów rodzą i przysparzają.

Jeszcze większym szacunkiem otaczał doktorów teologii. Często powtarzał wobec braci i kazał wpisać do reguły:

— Wszystkich teologów powinniśmy czcić i szanować, bo oni nam dostarczają ducha i życia.

Wszelako chciał, aby poświęcający się nauce mieli do niej powołanie. Nieznającym pisma z życia poprzedniego surowo zakazał się uczyć. Pewnemu bratu laikowi, chcącemu się poświęcić na-

uce i żądajacemu psalterza, posypał głowę popiołem. Chciał dalej, aby nauczyciele i kaznodzieje wyprzedzali innych w modlitwie i pokorze; oddając się nauce, nie mieli tego czynić z chciwości wiedzy lub rozgłosu, ale dla odpędzenia lenistwa, nieprzyjaciela duszy.

Często się nawet zdarzało, że wogóle jego cześć dla pisma dochodziła do pedanterji i — jakby dziś powiedziano — do kolekcjonerstwa, gdyby to zamiłowanie nie pochodziło ze źródła tak czystego jakim jest miłość Boża. Chował bowiem skrętnie skrawki papieru, na których wypisane było imię Jezus, a nawet inne chował na miejsca bezpieczne, mówiąc, że tam są wypisane litery, z których składa się imię Boże.

Wobec takiego usposobienia Franciszka względem nauki nadszedł do Porcjunkuli z prowincji bonońskiej poseł w osobie brata Gracjana; tamtejsi bracia bowiem otwarli pierwszą szkołę i prosili bł. Franciszka przez rzeczonoego posła, aby bratu Antoniemu udzielił pozwolenia na wykłady teologii. Prośbę Gracjana poparł gorliwie ówczesny wikariusz zakonu, brat Eljasz, który, gdzie tylko mógł, przyczyniał się do wielkości i znaczenia zakonu, nieraz niestety wbrew woli Franciszka.

Franciszek, który się niełatwo zgadzał na wprowadzenie nowości w obręb zakonu, jał jednak rzecz badać uważnie. A ujrzawszy napierającą zewsząd konieczność wprowadzenia nauki, przekonawszy się mianowicie, że brat Antoni swojemi zaletami osobistemi odpowie godnie zadaniu i myśli jego, dał wkońcu pozwolenie. Owszem chciał doń napisać krótki list polecający i zarazem upominający, aby przy nauce nie zagasił Antoni bojaźni Bożej ni w sobie ni w innych.

Po tem zajściu wrócił Franciszek prawdopodobnie do swych ulubionych pustelni, w których

rozmieszczeni byli w małych grupach pierwotni jego ukochani towarzysze. Wrócił ze stanowczem postanowieniem ostatecznego spisania reguły. Późtem udałby się jeszcze raz do Rzymu z prośbą o jej zatwierdzenie uroczyste.

Ale przed przedsięwzięciem tak wielkiej doniosłości musiała dusza jego stopić się wprzód ze swym Panem i szukać rady i natchnienia u Ducha Św. I znowu jęło się po umbryjskich pustelniach rozlegać jego głębokie wołanie *Deus meus et omnia!*

Polecał się swoim Aniołom Stróżom. Wzywał pomocy Najśw. Matki i pod jej opiekę oddawał siebie i swój zakon. Kochał ją niewypowiedzianą miłością; bo z niej się narodził nasz najmiłszy brat i zbawienie świata od niej wzięło początek. Na wspomnienie o tem serce jego wzbierało taką wdzięcznością synowską, jakiej nie zdoła wypowiedzieć język ludzki.

Raz rozmawiało kilku braci przy stole w obecności ojca. Wtem odezwał się jeden z braci, że Najśw. Panna musiała być bardzo uboga, gdy porodziła Syna Człowieczego. Na te słowa lzy jako perły jęły się sypać z ocz. ojca. Powstał od stołu i nie przestając szlochać, usiadł na ziemi gołej, aby być podobniejszym do Matki Najśw.

Natchnienia przedewszystkiem szukał u swojego Mistrza Chrystusa. On był jego drogowskazem przez całe życie. I żaden uczeń jeszcze nie był tak podobny swojemu nauczycielowi, brata nie znaleziono tak podobnego bratu, jak Franciszek stał się podobny do Chrystusa. Jezusa nosił w sercu, Jezusa w ustach, w uszach, w oczach, w rękach, Jezusa zawsze we wszystkich członkach nosił. Kochał całą istotę nie tylko Jego, ale wszystko, co się do Jezusa odnosiło i co mu Go żywo przypominało. Czczył żłóbek, w którym się

narodził, kochał jagniątką. Czczył niewymownie krzyż, na którym wisiał. Czczył i kochał bez pamięci Eucharystję, która jest Chrystusem samym.

Franciszek widział w Eucharystji ostatni wyraz tkliwości braterskiej i ofiarności. Pragnął, aby cały świat leżał u stóp Chrystusa utajonego w ołtarzu. Utrzymywał, że jest największą niewdzięcznością nie wysłuchać codziennie mszy św. On sam codziennie obecny był na dwóch mszach a na podniesienie ułożył modlitwę, która jest szczytem rozumienia tej niezgłębionej tajemnicy. Przytem często przystępował do Stołu Pańskiego i to z taką gorliwością, że na jego widok uczniowie wpadali w zachwyty pobożności.

Z tego wynikało, że szanował wszystko, co styczność miało z Eucharystją. Największym szacunkiem otaczał kapłanów i chciał, aby jego bracia, spotykając kapłanów, w rękę ich całowali. Dla kultu Eucharystji poświęcał nawet swoją drogą nad wszystko Oblubienicę — Ubóstwo; pragnął bowiem, aby bracia, idąc przez świat, nosili ze sobą złote puszkę i zostawiali po jednej w kościele, w którymby Ciało Pańskie nie spoczywało w odpowiednim miejscu. Tę miłość Eucharystji przenosił nawet na kraje, w których cześć jej była więcej rozpowszechniona. Właśnie dlatego zawsze taki pociąg tajemniczy czuł do Francji i powtarzał, że tam pragnąłby umrzeć.

Zapewne pustelnia Fonte Colomba musiała być świadkiem częstym tych wynurzeń wewnętrznych, gdyż tam po większej części przebywał Franciszek w lecie roku 1222. Tam też jako na drugim Synaju wyrył ku wiecznej pamięci punkty reguły, jakie mu Bóg objawił.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Reguła św. Franciszka. Dzieciątko w Greccio.

(1223.)

Ułożenie reguły nie obeszło się bez trudności. Od powrotu ze Wschodu aż do roku 1223 schodził Franciszkowi czas prócz modlitwy i mniejszych wycieczek apostołskich na układach pomiędzy Stolicą Apostolską i braćmi, zwłaszcza ministrami. Układy te niezawsze były wolne od przeszkód i boleści.

Nieraz przedstawiając wobec zaufanych uczniów przyszłość zakonu, mawiał w swoim obrazowym języku smutno:

— Znajdziemy w początkach naszego powołania moc jabłek słodkich, przyjemnych do jedzenia; potem będą nam podane inne o słodczy i przyjemności mniejszej; wkońcu będą nam przedstawione tak kwaśne, że ich jeść nie będziemy mogli, choć zewnątrz zdawać się będą piękne.

A gdy go uczniowie pocieszali, ślubując, że oni wierni pozostaną i bronić będą ideału, który im zakreślił, on z większą niż poprzednio boleścią powtarzał:

— Przyjdzie czas, w którym ów ukochany przez Boga zakon z powodu złego przykładu tak

straci na sławie, że się trzeba będzie wstydzić wyjść na ulicę. Ale którzy w ów czas wstąpią do zakonu, ci pójdą jedynie za wskazówką Ducha Św., żadnej też zmazy ani na ciele ani na duchu ich nie będzie, i naprawdę błogosławieni będą przez Pana.

Aż litość brała patrzeć czasami na udęczenie Franciszka. To też pewnej nocy pocieszył go Bóg, mówiąc:

— Powiedz mi, o biedaczku i prostaczku, po co się tak smucisz, jeżeli któryś z braci opuści zakon i jeżeli bracia nie kroczą temi śladami, które ci wskazałem? Powiedz mi, któż założył ten zakon? Któż człowieka nawraca do pokuty? Któż udziela siły wytrwania w niej? Czy nie ja? Nie powołałem cię uczonego i wymownego dla mojej rodziny... ale wybrałem cię prostaczego i nieumiejętnego, abyś i ty i inni wiedzieli, że ja czuwać będę nad moją trzodą... Dlatego ci powiadam, abyś się już nie smucił, lecz czynił to, co masz czynić, i dokonał tego, czego masz dokonać... Wiedz bowiem, że tak dalece kocham żywot i zakon braci, iż choćby w nim całym tylko trzech braci pozostało, jeszcze ten zakon będzie mój i nigdy go nie opuszczę.

Narazie Franciszek doznał ulgi. Wszelako złemu należało zaradzić. Franciszek miał podwójną broń: dobry przykład i ostateczne ułożenie reguły.

Dobrym przykładem i słowem świecił przez całe życie. Teraz należało przyłożyć rękę po raz ostatni do reguły po dokonanych układach z braćmi i ze Stolicą Apostolską, której rzecznikiem był Hugolin. Wprawdzie Franciszek ciągle o niej myślał i układał się z ministrami i zasięgał rady u Hugolina, ale równocześnie wyczekiwał także wyższego rozkazu. Rozkazu, któremu dotąd zaw-

sze był posłuszny, który go nigdy nie zawiódł i był mu wszystkim: Chrystus, jego Chrystus, jego wszystek Chrystus!

I oto pewnej nocy nawiedził go sen dziwny, który biograf tak opowiada:

Zdawało mu się, że z ziemi nzbierał dużo bardzo małych okruszyn chleba i że je powinien porozdzielać pomiędzy głodnych braci, otaczających go zewsząd. Obawiając się jednak rozdzielić okruszyny tak małe, aby mu się te odrobiny z pośród palców nie wysunęły, usłyszał nagle głos, z góry nań wołający:

— Franciszku, zrób z tych okruszyn jedną hostję i podaj ją łaknącym braciom do jedzenia.

Tak też uczynił. I ktokolwiek podarunku pobożnie nie przyjął lub przyjętego nie uczcił, ten został trądem obsypany.

Rano opowiedział towarzyszom sen, bolejąc, że nie rozumie tajemnicy widzenia. Ale niedługo potem trwając na modlitwie, znowu usłyszał głos wołający z niebios:

— Franciszku, okruszyny z nocy ubiegłej to słowa ewangelji, hostja to reguła, a trąd to nieprawość.

Skoro natchnienie było wyraźne, gotowe też było postanowienie Franciszka. A postanowienie było zarazem i wykonaniem; albowiem był nawskroś człowiekiem czynu i energii tak nieugiętej, że mu się nic oprzeć nie zdołało, gdy raz był przekonany, iż postanowienie odpowiada woli Chrystusa.

Jeden z biografów tak malowniczo w swej prostocie opisuje cały przebieg ułożenia tej reguły, że trudno się oprzeć pokusie przytoczenia opisu w całości.

Bł. Franciszek ułożył trzy reguły; tj. pierwszą, którą mu potwierdził papież Inocenty bez bulli, potem ułożył drugą krótszą, a ta zaginęła; wkońcu trzecią, którą mu papież Honorjusz potwierdził bullą. Z tej reguły wyjęli dużo ministrowie wbrew woli bł. Franciszka.

Gdy tedy druga reguła złożona przez Franciszka zaginęła była, udał się z Franciszek z bratem Leonem

z Asyżu i z bratem Bonizjuszem z Bononji, aby ułożyć inną regułę i kazać ją napisać według wskazówki Chrystusa.

Tymczasem zgromadzili się niektórzy ministrowie i rzekli do brata Eljasza będącego wikarjuszem bł. Franciszka:

— Słyszeliśmy, iż ten brat Franciszek pisze znowu nową regułę, a obawiamy się, aby jej nie ułożył zbyt ostrej i niepodobnej do zachowania. Chcemy tedy, abys do niego poszedł i powiedział mu, że się nie chcemy obowiązać do tej reguły. Niech ją dla siebie pisze, a nie dla nas.

Ale brat Eljasz odrzekł, że nie chce iść bez nich. Poszli tedy wszyscy razem. Zbliżywszy się więc do miejsca, gdzie stał bł. Franciszek, zawołał na niego brat Eljasz. Franciszek odpowiedział i ujrawszy tylu ministrów, zapytał:

— Czego chcą ci bracia?

— To są ministrowie — odrzekł Eljasz — którzy się dowiedzieli, że piszesz nową regułę. I obawiając się, byś jej nie ułożył zanadto ostrej, mówią i protestują, że się nie chcą do niej zobowiązać. Masz ją dla siebie, nie dla nich pisać.

Wtedy Franciszek zwrócił swoją twarz ku niebu i tak się skarżył Chrystusowi:

— Panie, czym ci nie powiedział, że oni mi nie uwierzą?

W tej chwili usłyszeli wszyscy głos Chrystusa mówiącego w powietrzu:

— Franciszku, nic twojego niema w regule, lecz wszystko co tam jest, ode mnie pochodzi. I chcę, aby regułę zachowano do litery, do litery, bez glossy, bez glossy!

A po chwili Chrystus dodał jeszcze:

— Ja wiem, co potrafi słabość ludzka i o ile ja jej dopomóc mogę. Przeto którzy nie chcą zachować, niech opuszczą zakon!

Po tych słowach zwrócił się bł. Franciszek do braci i rzekł:

— Słyszeliście? Słyszeliście? Czy jeszcze raz chcecie usłyszeć?

Ale ministrowie, przyganiając sobie wzajemnie, zdumieni i przerażeni odstąpili.

Po spisaniu w podniesieniu ducha reguły zadanie jego główne około trzódki franciszkańskiej

było skończone. Zeszedł tedy z pustelni Monte Colombo napowrót do Porcjunkuli z regułą. Ale gdy ją oddał swojemu wikariuszowi, aby ją zachował, ów po pewnym czasie oświadczył, że ją przez zapomnienie zgubił. Udał się tedy Franciszek powtórnie do pustelni i ułożył ją ponownie taką samą jak pierwotną, jakby jej słowa wyszły były z ust Boga.

Atoli Franciszek musiał jeszcze udać się do Rzymu w celu uroczystego jej zatwierdzenia.

Była to jego ostatnia podróż do Rzymu. Zgłosivszy się u kardynała Hugolina, jeli obydwa jeszcze raz przeglądać wszystkie punkty reguły; a Franciszek musiał się zgodzić na zmianę pewnych rzeczy, które zapewne więcej dotyczyły formy zewnętrznej i odcieniów drugorzędnych aniżeli jej istoty. Ponieważ zaś istota reguły była już, przynajmniej ustnie, zatwierdzona, więc jej ponownie nie badano.

Papież Honorjusz, ufając zupełnie świętej postaci Franciszka i politycznej mądrości Hugolina, zatwierdził wreszcie regułę bullą z dnia 29 listopada r. 1223.

Reguła składa się z dwunastu rozdziałów krótkich, zawierających na zasadzie trzech rad ewangelicznych: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości — modłę życia braci mniejszych.

Ta reguła jest jednym z najczcigodniejszych pomników wieków średnich. Nietylko dlatego skłania do czci, że pochodzi od człowieka, który był drogi Chrystusowi i jest najdroższy dla każdego serca chrześcijańskiego, tak dalece, że ów śpiewak Boży przyciągnął do siebie nawet serca protestantów ostatnich kilku dziesiątków lat, ale także dlatego, że w swej krótkości i prostocie zamyka i najdoskonalszą modłę życia chrześcijań-

skiego i szczyt mądrości ludzkiej rządzenia duszami z ich dodatniami i ujemnemi zaletami, i najwyraźniejsze ślady takiej energii męskiej, jaka się tylko z najwyższej miłości serca ludzkiego zrodzić może. Ta reguła jest owocem duszy i serca Biedaczka z Asyżu, owocem całego jego życia, owocem jego boskim. Ona nie była nigdy martwą literą. Czytali ją i rozmyślali geniusze prawodawstwa, tłumaczyli ją mężowie nauki i czynu. Była wzorem życia tysięcy mężów, których pamięć jest święta i błogosławiona. Za jej smugą świetlistą idzie jeszcze dzisiaj na obliczu ziemi trzydzieści tysięcy mężów do Franciszka z Asyżu i do Chrystusa. Cześć jej i chwała!

Po zatwierdzeniu reguły pozostał jeszcze Franciszek kilka dni w Rzymie. Wkońcu zatęsknił za swoją Umbrją tak mocno, że Rzym razem z pomieszkaniem kardynała wydawał mu się więzieniem.

Do uwolnienia się zeń przyczynił się ostatecznie wypadek, tak opowiedziany przez biografę:

Pewnego czasu udał się bł. Franciszek do Rzymu, aby odwiedzić biskupa ostjeńskiego. Po kilku dniach poszedł z nim także odwiedzić kardynała Leona, który dla Franciszka żywił wielką życzliwość. Ponieważ to była pora zimy i z powodu zimna i wiatrów i deszczów nie można było wychodzić, kardynał Leon poprosił go, aby przez kilka dni u niego zamieszkał i w miejsce jednego ubogiego otrzymał od niego pożywienie razem z innymi ubogimi, żywiącymi się codziennie w jego domu.

A mówił to kardynał dlatego, że wiedział, że bł. Franciszek chciał być przyjmowany jako człowiek ubogi, gdziekolwiek gościł, chociaż papież i kardynałowie przyjmowali go z największą czcią i szanowali jako Świętego. I dodał kardynał:

— Dam ci pomieszkanie dobre i odległe. Tam jeżeli chcesz, możesz się modlić i jeść.

A brat Anioł Tancredi, który był jednym z dwunastu pierwszych uczniów i także przebywał u rzeczono-
nego kardynała, zwrócił się do bł. Franciszka, mówiąc:

— Bracie, jest tu w pobliżu pewna wieża obszerna bardzo i pusta, w której możesz przebywać jak w jakiej pustelni.

Poszedł tedy bł. Franciszek wybadać miejsce. Spodobało mu się zamczysko i wróciwszy do kardynała, rzekł:

— Panie, może zostanę u was przez kilka dni.

Ucieszył się z tego wielce kardynał. A brat Anioł poszedłszy do wieży, przyrzadził bł. Franciszkowi i jego towarzyszywi miejsce. Ponieważ Franciszek nie chciał stamtąd zejść, dopóki był gościem kardynała, ani nie chciał, by ktoś do niego przychodził, więc brat Anioł kazał codziennie przynosić pożywienie dla niego i dla towarzysza.

Udał się więc bł. Franciszek z towarzyszem do tej ruiny. Ale gdy pierwszej nocy chciał się położyć na spoczynek, zjawiła się cała czereda szatanów, którzy go niemilosiernie zbili. Przywoławszy tedy towarzysza, rzekł doń:

— Bracie, szatani mnie zbili okrutnie. Dlatego chcę, abyś przy mnie został, bo sam się boję.

Pozostał tedy towarzysz przy nim tej nocy, bo bł. Franciszek trzął się cały jakby w febrze. Obydwaj czuwali przez całą noc...

A wczesnym rankiem zszedł bł. Franciszek z wieży, udał się do kardynała i opowiadając mu o wszystkim, co zaszło, dodał:

— Lud mnie uważa za człowieka świętego, a oto djabli mnie wyrzucili z więzienia!

I radował się bardzo kardynał razem z Franciszkiem. Ale czcząc go jako świętego, nie mógł mu się sprzeciwić, skoro Franciszek sam nie chciał tam mieszkać.

I pożegnawszy go, powrócił bł. Franciszek do pustelni Fonte Colombo blisko Rieti.

Opuścił nareszcie Rzym. Opuścił z takim pragnieniem obchodzenia nadzwyczajnego zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia, że go nawet wypowiedzieć nie mógł.

Pierwsza połowa grudnia była właśnie u schyłku, gdy zapuścił się z towarzyszem w dolinę Reatyńską. Przybywszy do Fonte Colombo, zatrzymał się przez pewien czas, ale wkrótce przeniósł się stamtąd do Greccio. Tam właśnie chciał obchodzić to święto, swoje święto, swoje najdroższe święto.

Mieszkał wtedy w owej okolicy pewien pan imieniem Jan, który uchodził za adoratora Franciszka, a w istocie był jego serdecznym przyjacielem. Przed nim tedy Franciszek zwierzył się ze swego gorącego pragnienia. Gdy ów przyrzekł zająć się wszystkim, Franciszek objaśnił mu jeszcze wszystkie szczegóły, który towarzyszyć miały przedstawieniu dotykalnemu Narodzenia Pańskiego i na które już poprzednio w Rzymie uzyskał był pozwolenie.

Nastąpiła noc upragniona. Zaledwie rozblęły pierwsze gwiazdy na niebie, las w Greccio rozświecił się drugim światłem, które szło od jarzących pochodni, migających się w rękach mężów i młodzieńców czerwonymi słupami na tle olbrzymich drzew. Cała ludność okoliczna, wezwana przez Jana, przyszła pokłon oddać Dzieciątku i kroczyła wesola i rozśpiewana w kierunku groty ze żłóbkiem. Za nią przyszli bracia z pobliskiego klasztoru. I wnet grota, las, ludność, bracia, cała natura, wszystko zniknęło, tylko Dzieciątko słuchało tej pieśni, którą natura i człowiek z rozrzewnionej piersi wynurzał Słowu wcielonemu.

Franciszek stał przy samym żłobku. Potok śpiewu porywał jego zachwyconą duszę, nieopisana radość malowała się na twarzy, tkliwością był prawie złamany. Potem przestał śpiewać, przestał słyszeć, przestał czuć. Nie widział ani pastuszków, ani wołu, ani osiołka. Widział tylko

krażek światła, otaczającego główkę Dzieciątka, i tylko w to boskie ukochane nadewszystko oblicze wpatrywał się z miłością mocną jak śmierć.

Lecz o północy przebudził się Franciszek z zachwytu, albowiem msza miała wychodzić.

Powstał więc i ubrawszy się w dalmatykę, służył jako diakon do mszy św., którą odprawiano przy samym żłóbku. A gdy śpiewał ewangelję, zdawało się wszystkim, że anioł zszedł do tej groty i śpiewa Dzieciątku — tak głos jego brzmiał dźwięcznie i słodko, bo w nim była cała dusza święta i cała gorącość pobożna Franciszka.

Po skończonej ofierze przemówił Franciszek do ludu, opowiadając o ubogim królu, o ubogim Betleem, tem najuboższem z miast, i o tem ubóstwie, swoim skarbie niebieskim. A w toku słowa Bożego porywała go taka tkliwość niezmierna, że wymawiając słowo: Betleem, przeciągał samogłoski i usiłował naśladować wołanie owieczki. A przy słowie: Jezus, wodził językiem przy wargach, jakby miód był na nich osiadł.

Przy Dzieciątku sam się stawał Dziecięciem. Pod potęgą takiego uczucia i on i niejeden z uczestników mieli widzenia. Ich dusze nie były w Greccio, ale były w Betleem, gdzie ze łzawem okiem w gronie pastuszków judzkich patrzyły na ową scenę błogosławioną. Raz wraz zdawało się, że ich ukochany ojciec nachyla się rozpromieniony nad żywym Boskim Dzieciątkiem i obejmuje Je czułem ramiony.

Wszyscy pragnęli, aby ta noc rozkoszna nie miała końca. Sercem odgadli, że ta noc jest triumfem prostoty i ubóstwa.

Ale gdy na wschodzie niebo zaczęło różowieć, a z za opon chmur jęła się wytaczać świetlista kula słońca, wtedy widzenia pierzchły. Nie zanikła jednak nigdy pamięć owej nocy cudownej.

Bowiem od wschodu na zachód, od północy na południe obchodzi się tę błogosławioną noc na wzór pamięci Greccio, gdziekolwiek zesłyszano o imieniu Franciszka z Asyżu. A na schyłku wieku trzynastego uwieńczył tę noc genjusz franciszkański w osobie brata Jacopone da Todi najcudniejszą kolędą, jaka zabrzmiała na cześć leżącego na sianie Jezusa i na cześć radosnej jego Matki i owego złóbka powstałego z martwych przed duszą i okiem ludzkości pod potęgą miłości i prostoty Franciszka z Asyżu w czasie pasterki:

Stabat Mater speciosa
 Juxta foenum gaudiosa,
 Dum jacebat parvulus...¹⁾

Pozostał jeszcze Franciszek w tym szczęśliwym zakątku przez dłuższy czas, żyjąc samotny na modlitwie i obcując z Bogiem. Od czasu do czasu głosił słowo Boże dobrej ludności, która razem z naturą i braćmi-zwierzętami nie wiedziała, jak czcić męża Bożego.

Wkońcu jednak nadchodzące dni krwawe Perugii wywołały go z cichego Greccio. Ze słowami: Nieszczęście grozi Perugji! opuścił śpiesznym krokiem dolinę Reatyńską i minawszy Asyż z Porcjunkula, stanął w kilka dni ze swym towarzyszem w obrębie murów potężnej Perugji, tej zacieklej przeciwniczce Asyżu.

Na rynku Perugji już się rozlega głos Franciszka, zaklinający lud do pokoju i do pokuty, rozchodząc się jako wołanie herolda Bożego po sercach i duszach. Za późno! Na krańcach miasta powstaje potężniejszy od jego głosu szczęk oręża i rozkaz wojny, który się przewala i huczy jak

¹⁾ Stała Matka najpiękniejsza, radosna obok złóbka, gdzie na sianie leżało Dzieciątko.

morze. Nagle się zjawia fala wrzawy, i wał ludzi zbrojnych naciera, bije w lud, rozpędza go na wszystkie strony, pozostawia trupy, znika.

Tak butne rycerstwo Perugji rozpędziło nienawistny tłum.

Spokój. Spokój przeraźliwy, jaki zalega ziemię przed kataklizmem natury. A wśród tej śmiertelnej ciszy rozległ się po chwili głos Franciszka jako zwiastun przyszłych nieszczęść:

— Biada! O zaślepienie oplakane! Wojna domowa was nawiedzi, która was w zemście straszliwej wygubi. Biada!

Pod wieczór jednego z następnych dni Franciszek zamyślony zbliżał się wolnym krokiem do Porcjunkuli, gdy towarzysz pociągnął go za rękaw i wskazał na wieniec gór, gdzie się panoszyła Perugja. Ale nad Perugją widać było tylko morze ognia, a do ich uszu dochodził szczęk miecza i lament mordowanych ludzi. Spełniła się przepowiednia Franciszka.

Nad Perugją zawisła okropna wojna domowa. Lud uciemężony rozbijał hełmy i głowy rycerstwa, rycerstwo bezlitośnie mordowało lud. Krew bratnia lała się strumieniami po ulicach i placach Perugji, ciemiężycielki sąsiadów.

ROZDZIAŁ XXIX.

Dramat miłości na górze Alwernji.

(1224.)

Pod wieczór pewnego dnia sierpniowego ciągnęła mała grupa ludzi przez dolinę Kazenateńską, posuwając się wzdłuż Arna górnego ku północy. Grupa składała się z pięciu mężczyzn w sile wieku, ubranych w długie grube habity brunatnego koloru, przepasanych na biodrach powrozami. Dwóch prowadziło za uździenicę osiołka, na którym siedział mąż tak samo ubrany, ale postaci małej i szczupłej i widocznie wycieńczony chorobą lub pracą. Dwaj inni kroczyli za tamtymi, poganiając osiołka. Wszyscy zdawali się bardzo pomęczeni.

Dzień był znojny. Wprawdzie słońce stało już nad Chiusi, stolicą okolicy, nad niezdojnym gniazdem hr. Orlanda, schowanym w zachodnim grzbiecie gór, a rzędy wysmukłych topoli rzucały wydłużone cienie, ale zato tem mocniejszy żar promieniował z równiny i ze ścian kotliny, chłonnałej przez cały dzień ogień słońca. Podróżni już dawno minęli Pioppi i po chwili stanęli na krótki postój w wyżej położonej Bibienie. Stamtąd popatrzyli z westchnieniem ulgi na przebytą drogę doliny ścielącej się za nimi zielonym kobiercem.

Co innego przerywać ją piechotą, a co innego patrzeć na nią ze wzgórza. Stąd zupełnie podobna do doliny Spoletańskiej, ojczyzny pięciu podróżników, tylko nie tak obszerna, bo zaledwie dziesięć mil w promieniu się ciągnąca, ale zato jako wyżej położona od tamtej suchsza; wprawdzie nie tak równa, bo raczej do kotliny podobna, ale jednakowo żyzna. Wzdłuż Arna, który wybiegając z tajemniczych czeluści gór i znikając w ciemnej gardzieli skały, ucieka i lyska białą łuską przed wzrokiem patrzących z południa na zachód, szarzały oliwniki o mniej lub więcej licznych kępach starych skarłowaciałych drzew. Winnice kipiące obfitością pokrywały długimi sznurami lub sterczącymi łodygami całą przestrzeń. Gelsominy łączyły jedne z drugimi, w jednostajność wprowadzając różnorodność. Choć słońce leżało jeszcze na tej szarej, zwiędłej zieleni, ta jednak już czuła bliski chłód, bo odzyskiwała swoją pierwotną barwę i podnosiła się kończynami listków.

Morwowem drzewem lub smukłymi topolami ogrodzone łąki bratały się z wdziękiem z obok położonymi polami zboża, które tu i owdzie zwiśniętymi ku ziemi kłosami złociło jeszcze łany, ale po większej części już było legło pod sierpem żniwiarek lub znikało w ludzkich osadach, rozsypanych po pochyłościach błogosławionej ziemi jako gaje zaciszne i rojne. Im wyżej bowiem podnosił się grunt w łagodnych podskokach po brzegach Arna, tem liczniejsze wioski ożywiały pogodną, a jednak trochę melancholijną przyrodę. Jako owieczek stada po halach, tak wioski kotliny Kazenateńskiej zdawały się chodzić pod ów wieczór po stokach i pagórkach, bo je cień słońca i wzrok wędrowców poruszał i obracał. Ponad wioskami czerniały gęstym pierścieniem kasztany

i sosny włoskie. Wyżej jeszcze, ponad ścianą smukłych pni, zieleniała jedna nieprzebita masa koron splatających się klonów, dębów i innych drzew, od wieków już opierających się burzom wściekłym. Nad koroną zieloną sterczała szara grzywa nagiej skały, zębatej, ponurej, groźnej.

Cała kotlina otoczona jest takim pierścieniem gór, zupełnie odcięta od świata, prawie niedostępna. Jedna tylko droga rozrywa ten dziki pierścień i kręci się wzdłuż Arna poprzez dolinę. I jeden tylko szczyt ubarwia zielenią nakształt oazy tę nagą skalistą grzywę: Camoldoli.

Tą właśnie drogą postępowali nasi podróżni i na ten szczyt zielony patrzył z zachwytem ów mąż piąty, który siedział na osiołku.

Pochód ruszył po chwili w drogę, bo się już byli trochę posilili kawałkiem czarnego chleba wyżebranego jeszcze w Pioppi i świeżą wodą zaczerpniętą w studni publicznej w Bibienie. Ale po chwili pochód musiał się znowu zatrzymać, bo podróżnych otoczył tłum, który z miasteczką nadbiegł na wieść, że Biedacek z Asyżu — on to był bowiem — idzie przez okolice.

Towarzysze, bracia: Maseusz, Rufin, Aniol i Leon, usunęli się nabok, a ludność przystępowała do Franciszka, całowała jego nogi i kraj szaty. Był to lud pobożny, uczynny zarazem i pełen wdzięku. Odcięty od świata żył życiem własnem, srogość wojny nigdy go nie nawiedziła, obyczaje jego pozostały proste i nacechowane pierwotną sielską pobożnością. Kochał też całą duszą Franciszka, który zdążając do Alwernji, często już tędy był przechodził. I on polubił ów lud. Więc gdy się oto mieszkańcy ciasnym pierścieniem doń cisnęli, on na wszystko pozwalał. Równocześnie rozjaśniła się jego smagława, pociągnęła twarz słodkim uśmiechem, a w wielkich

czarnych oczach zapalił się ogień radości i miłości. I siedząc na osiołku wśród tej trzody jak dobry pasterz, błogosławił ich i żegnał słowem serdecznym, przyjacielskim, ojcowskim.

Ruszyli wkońcu na rozkaz Maseusza. Franciszek bowiem jeszcze przed rozpoczęciem podróży kilka dni temu był według swego zwyczaju postanowił, aby Maseusz był przewodnikiem, którego rozkazom i Franciszek i wszyscy inni musieli być posłuszni.

Jakkolwiek droga, wznosząca się ciąglemi garbami w górę, poczyniała być uciążliwa, to jednak podróż odbywała się rażno, gdyż na postoju wytchnęli dostatecznie, a chłód zbliżającej się nocy otulał ich rozkosznymi skrzydłami. Towarzysze idący pieszo uważali z troskliwością synowską na swojego ojca, a z ich tkliwych spojrzeń widać było, że woleliby utracić życie, niż uronić lub na szwank wystawić ów skarb, powierzony ich pieczy.

Już byli uszli spory kawał drogi. Franciszek był zamyślony i pogrążony w milczeniu. Właśnie musieli posuwać się powoli, bo wzgórze dość strome podnosiło się przed nimi.

Wtem zbudziwszy się z zamyślenia, przemówił słodkim słowem do towarzyszy:

— Bracia, pamiętajcie, gdyśmy przed dwoma miesiącami wręczali na kapitule zatwierdzoną przez papieża regułę, a potem dożyli tej szczęsnej chwili, żeśmy wysłać mogli naszych najlepszych braci w daleką krainę, do Anglii, która obiecuje plon najobfitszy?

— Tak, słodki ojcze! — odpowiedzieli bracia.

— Otóż wkrótce potem — ciągnął dalej Franciszek trochę smutno, a jednak bracia mogli w głosie jego zauważyć pewien odcień radości —

wkrótce potem zwiastowano mi we Foligno, że niedużo już czasu pozostaje mi do życia. Ułakłem się, bracia drodzy, nie bliskości śmierci, bo ona mnie z Chrystusem połączy, ale objawienia tajemnicy, którego nie jestem godzien. I aby się na tę śmierć w spokoju i Panu przygotować, wybrałem się z wami do samotnej i świętej Alwernji.

Na te słowa niespodziane posmutnieli towarzysze. Idąc powolnym, chwiejnym krokiem, jęli swoje serca wylewać przed ojcem. Oniby woleli umrzeć niż nie patrzeć na niego. Może Bóg pozwoli, że się przedłużą jego dni albo że wszyscy razem opuszczą tę ziemię. Cóż oni bez niego poczną? Oto wielka liczba braci tęskni za łatwiejszym życiem i gorliwie się o to stara. Cóż oni, którzy od początku otaczają Franciszka i nic nie pragną oprócz jego wzoru życia pierwotnego, będą robić wobec potężnej fali wolności? A jeżeli już Bóg postanowił im go odebrać, dlaczegoż on, ich ojciec, chce zdała od ukochanej Porcjunkuli opuścić świat? „Wróćmy, ojcze — kończył brat Maseusz — tam w Asyżu jest jeszcze wielu gorliwych braci. Tam twój posterunek; bo cóż powiedzą nasi bracia, gdy pomyślą, żeś odszedł od nich, nie dawszy im nawet błogosławieństwa? Wróćmy, Matko najlepsza“.

— Uspokójcie się bracia! — rzekł rozrzuwniony Franciszek. — Nie po śmierć jeszcze idę do Alwernji, tylko abym duszę swoją Bogu polecił. Potem wrócimy do ukochanej Porcjunkuli, skoro mi śmierć dopiero za dwa lata zwiastowana. Ale do Alwernji iść muszę. Tam często doznawałem ongi słodczy niewysłowionych. Tam idę, aby już przed śmiercią należeć do mojego Boga. Grzesznikiem jestem, więc pozbyć się muszę pyłu świata. I niech śmierć przyjdzie na moje ciało! Niechajby w boleściach konało

na ziemi przez te dwa lata moje ciało, byleby dusza była Pana i z Panem!

Umilkli znowu. Zresztą rozmowa dalsza była poniekąd niemożliwa, gdyż droga stawiała się coraz uciążliwsza. Osiołek z wysileniem wstępował po kamienistej ścieżce. Towarzysze nachyleni dysząc, pięli się w górę. Po półgodzinnem wspinaniu się przybyli nareszcie na szczyt pagórka.

Lecz gdy schyłone dotąd czoła podnieśli w górę, wydobył się z piersi wszystkich okrzyk podziwu. Przed nimi stała w całej swojej okazałości góra Alwernji. Franciszek, choć już częściej bywał na górze, nie mógł się również oprzeć wspaniałości jej widoku. I chcąc przez chwilę dogodniej wpatrywać się w cudowność stworzenia, zawołał:

— Bracie Leonie, ty jagniątko Boże, podaj mi ramię!

Ojciec wsparł się na ramieniu syna i tonął w zamyśleniu.

A góra zdawała się wyrastać z ziemi w ścianach prostopadłych, ze wszystkich stron ogromną piłą porźniętymi, olbrzymich, strasznych. Nie do góry podobna, ale raczej do jakiejś chaotycznej masy skał pozrzuconych z nieba gniewem Boga lub spiętrzonych mściwą ręką walczących cyklopów, przyciągała jednak podróżnych jakimś czarem ukrytym.

Istotnie. O ile odstrasające były jej prostopadłe, bazaltowe ściany, w których zionęły rozwarte jak paszcze szczeliny, o tyle ponętny był jej szczyt. Na koronie gęstej zbitej masy zielonej drzew, pokrywających cały czub góry, leżało zachodzące słońce i rozlewało po niej całe morze roztopionego, dymiącego złota. Niewymowny strach a równocześnie urok nieopisany wionął od

Alwernji. Pień góry odstraszał swoją grozą, tajemniczą siłą; czub jej skąpany w słońcu i przez czyste niebie nęcił do siebie, jakby mówił: Pójdź, Franciszku! Śpieszcie się, bracia!

Więc brat Maseusz dał znak do pochodu. Poleciał też, aby resztę drogi odbyto w skupieniu i milczeniu. Droga jeszcze była daleka i coraz uciążliwsza. Lecz majestat natury pochłaniał ich ducha, a cel podróży dodawał ciału nowych sił.

Słońce już było zaszło dawno, gdy podróżni zapukali do osady braci postawionych na straży Alwernji. Góra święta przyjęła Franciszka gościnnie, bo już była za nim stęskniona. Już przeczuwała, że na jej łonie rozegra się jeden z tych dramatów, w których występuje miłość Boga i miłość człowieka.

Jakoż tak było. Alwernja miała się wkrótce stać drugą Kalwarią mistyczną.

Tu naprawdę mógł Franciszek zatapiać się w Bogu z całą swobodą, Nietylko odosobnienie zupełne przyczyniało się do tego, ale może więcej jeszcze wspaniałość natury. Widnokregi szerokie, pogłębione mogły brać jego duszę na swoje skrzydła rozwiewne, przenosząc ją do widnokregów nieskończonych Bóstwa. A z pokładu góry porozrywanej, ze szczelin jej i gardzieli wydobywały się jakby z wyroczni pytyjskiej tajemnicze pomruki, przesiąknięte zapachem kwiatów, i mogły porwać jego duszę, dążąc z nią razem do przeczystej toni niebios.

Żaru dni sierpniowych nie potrzebował się lękać, bo tam słońce dochodzi tylko poto, aby natura swobodniej mogła oddychać i rodzić. Wieczory mają tam w sobie coś nieskończenie słodkiego. Człowiek nie słyszy odmětu krążącej ziemi, zato widzi nad sobą roziskrzone oko Opatrzności

i czuje się naprawdę pośrednikiem pomiędzy ziemią i niebem, kapłanem.

Pomiędzy wschodem i zachodem słońca mógł Franciszek ze szczytu najwyższego Alwernji spojrzeć wzrokiem na tych krajacli, którym głosił słowo Boże. Z rozdrzanego szeptu listków, którymi poruszał i igrał wiatr, mógł i umiał odgadnąć, co mu niosła Marchlja i fala Adrjatyku, nasiąknięta oparem słonych atomów, lub co mu wróżył balsamiczny powiew dmący od rodzinnej Umbrii, lub jakie wieści zwiastowały mu ptaszęta-braciszkwowie, lecący ze szumem od wdzięcznej Toskanji i modrego morza Śródziemnego.

Bowiem jeżeli kto, to Franciszek umiał czytać w księdze stworzenia i wpatrywać się w jej nieskończone liczbą i kształtem szczegóły. Umiał się wsłuchiwać w tysiące głosów i śpiewów ptasząt, którymi trzęsło się literalnie od rana do wieczora każde drzewo, każde urwisko skały, wszystkie kępy bujnej trawy, cały czub góry, cały las, jakiemu Europa nie ma równego.

A wśród tego śpiewu i wśród rozmowy żywiołów przyrody jakaż cisza! Ach, to nie bezład, nie zamieszanie; to najwyższa harmonja, na którą się składa niebo i ziemia, i zwierzę, i człowiek; człowiek, który się modli. Na podścielisku takiej melodji wyrasta prawdziwy pokój, wśród którego człowiekowi dobrze jest zamierać w objęciach słodkich natury i Boga.

A Franciszek postanowił w istocie tu zacząć umierać. Chciał, aby śmierć, kiedykolwiekby przyszła, nie w nim nie znalazła oprócz Chrystusa. Mówił też braciom o swojej bliskiej śmierci i przygotowaniu się do niej. Mówił z niewymowną pogodą jako robotnik, który po znoej pracy usiadzie w chłodzie wieczornym, otoczony liczną rodziną. Poczem ich pożegnał, jako ojciec

żegna swoje dziatki, i zagłębiwszy się w gęstwinę lasu, zniknął ich z oczu. Tylko brat Leon szedł zdala za jego śladami.

Na wschodnim wiszarze, trochę wysuniętym z pnia góry, w znacznej odległości od kaplicy braci stał ogromny dąb, pod którym towarzysze Franciszka urządzili naprędce coś w rodzaju szopy dla swojego ukochanego ojca. Tam się Franciszek ukrył przed światem i braćmi, aby czekać woli Bożej i jej wyroków.

Dni poczęły płynąć podzielone na modlitwę i dzieła pobożności. Często zagłębiał się dalej w las i w grotach ukrytych trawił czas na rozmyślaniu.

Po pięciu dniach przygotowawczych udał się do kaplicy braci, aby z nimi razem obchodzić uroczystość Wniebowzięcia N. P. Marji i rozpocząć post czterdziestodniowy na cześć św. Michała Archaniola.

Gdy się uroczystość skończyła, pozostał Franciszek jeszcze trochę w kaplicy. Cekał na wskazówkę, jakby post i modlitwę skierować do jednego Bogu miłego celu. I nagle napłynęła mu do serca taka sama dziecięca ufność i miłość Ojca niebieskiego, jak kiedyś, gdy u św. Damjana słyssał głos Chrystusa, i gdy w Porcjunkuli otwierał po trzykroć książkę z ewangeljami.

Na wołanie wewnętrzne: Co mam czynić? uchwycił książkę z ewangeljami leżącą na ołtarzu, przekonany, że Bóg przez nią przemówi. Przemówił, albowiem otworzywszy na traf książkę, jał Franciszek czytać mękę Pana Jezusa. Cóż mogło być przyjemniejszego dlań nad Chrystusa, którego naśladował i kochał przez całe życie! Już samo wspomnienie o męce napelniało go dreszczem miłości. Otworzył tedy książkę po raz drugi. Otworzył ją trzeci raz. Oko jego padało zawsze na ulubiony przedmiot męki Pana Jezusa.

Franciszek zamknął książkę, opuścił kaplicę i zapuściwszy się w gęsty las, rozpoczął prawdziwy post, prawdziwą modlitwę, prawdziwe przygotowanie się na śmierć.

Treścią modlitwy była męka Pana Jezusa, celem jej było naśladowanie cierpień Chrystusa.

Ponownie dni zaczęły mu upływać na modlitwie, poście, umartwieniu wszelakiem ciała, na rozmyślaniu, płaczu, radości.

Wszystko zniknęło z przed jego wzroku, bo wszystkimi zmysłami, całą duszą wpatrywał się w rysi cierpienia swojego drogiego Chrystusa. Gdy dramat spełniony na Golgocie przesunął mu się przed załzawionym wzrokiem, ból nieopisany przenikał mu zimnym dreszczem wszystkie członki. Równocześnie boleść jeszcze większa darła jego serce na strzępy, gdy sobie jał gorzko wyrzucać, że nie był godny męczeństwa i ofiarowania swojej krwi Temu, który swą krew przelał za wszystkich. I opanowywała go coraz gorętsza żądza, miłość coraz szaleńsza, jakieś zupełne, namiętne zapamiętanie się, żeby cierpieć, cierpieć za Niego i z Nim.

W innych dniach wstawało przed jego duszą całe życie ubiegłe. Chciałby był spłonąć z bólu na pamięć, że tyle lat młodości zmarnował, podczas kiedy jego Chrystus cierpiał zań na krzyżu. Lecz gdy jał rozważać te lepsze przeżytki w przeszłości, zanim go Mistrz jego zupełnie opanował, istota jego zatracala się we wdzięczności i miłości.

I rozżarzał ją coraz nowemi wspomnieniami błogimi.

Oto słyszał wyraźnie głos z krzyża u św. Damjana. Czy to nie był jego Ukrzyżowany?

Potem pamiętał, jak płacząc nad męką Pana Jezusa, przebiegał dolinę Spoletańską.

I właśnie do niczego nie dążył, tylko aby tak od płaczu się zanosząc, przebiegać całe życie. Nie chciał znać niczego i nikogo oprócz Chrystusa ukrzyżowanego. Krzyż go nauczył wszystkiego. Cenę odkupienia, upadek i godność natury ludzkiej objawił mu krzyż. Na krzyżu były dlań wyryte złote głoski, w których czytał miłość, ofiarną miłość, Chrystusową miłość. Powietrzem krzyża oddychał. Krzyż z wiszącym nań Chrystusem był dla niego zasłoną i tajemnicą, za którą Franciszek wylewał najśłodsze i przegorzkie łzy. Na Golgocie podparto krzyż kamieniem. Franciszek wykopał ów kamień i włożył w jego miejsce swoje serce.

Gdy Franciszkowi na Alwernji zbywało na słowach, któremi niewyczerpaną miłość i wdzięczność Chrystusowi objawiał, wydobywał obrządek męki Pana Jezusa, który był ułożył, i sercem, duszą, ustami śpiewał na cześć Jego przy wtórowaniu niezliczonych braci ptasząt w przedziwnym z nimi zespole.

Czasem dochodził do kaplicy braci, skoro się domyślał, że w niej nikogo niema. Chwytał za książkę z ewangeljami i zagłębiał się w czytaniu o Męce Pana Jezusa, aby nowym pokarmem podsyć ogień miłości, krążący mu w żyłach. Potem wychodził, sam do ognia żywego podobny, i ukrywał się w jakiejś rozpadlinie skały, przechodząc duszą i sercem cierpienia Boga-Człowieka, chłonąc w siebie jego obraz litościwy i rzeźbiąc na swem ciele znamiona męki Pańskiej. Wtedy się zdarzało, że zapominał i o kapliczce i o braciach, o całym stworzeniu, o świecie; bo Chrystusa posiadłszy, wszystko posiadał.

Sierpień chylił się już ku końcowi, a wrzesień, ów piękny wrzesień, ów precudny włoski

wrzesień poczynął przezroczystą osłoną dnia i przetkany złotemi oczkami płaszczem nocy otulać górę Alwernji, a Franciszek wciąż trwał w tych płomieniach miłości i boleści ze swym Ukrzyżowanym.

Lecz zwolna ciało jego poczynalo odczuwać skutki tych wysileń heroiczych. Gorejący wewnątrz ogień przepalił jego ciało na węgiel, a zewnątrz post i umartwienie miasto gasić podsycaly to mistyczne ognisko. I zdawało się, że cała natura z trwogą oczekuje chwili, w której ogień miłości wyleje się nazewnątrz, wybuchnie nowemi otworami, ubezwładni, zniszczy ciało. Nawet brat sokół, który dotąd Franciszka wołał regularnie co nocy na godziny kanoniczne, zaprzestał go budzić w godzinach nocnych, aby ledwie żyjącego człowieka oszczędzać.

Ale Franciszek się nie oszczędzał ani kochać nie przestawał Chrystusa i z Nim tak boleć, jak On bolał na krzyżu. I im bardziej się zbliżała uroczystość Podwyższenia Krzyża, obchodzonego w całym Kościele ówczesnym bardzo gorąco, bo była istotą wieków średnich, tem wyraźniej wstawał w duszy Franciszka obraz Ukrzyżowanego. Wszystkie jego władze duszy i ciała opanowywało to prawie dotykalne widzenie Ukrzyżowanego.

I stało się, że w wigilję uroczystości przepędził Franciszek całą noc na rozmyślaniu i na utożsamieniu się cierpieniami Chrystusa, rozpiętego na krzyżu. Ale nad ranem zasnął na chwilę. Zasnął w objęciach Tego, którego tak niewymownie kochał i z którym tak mocno cierpiał.

Wtem z poza pierścienia gór wschodnich jęła się wytaczać świetlista tarcza słońca. Gdy się przemieniała w ogromną kulę, ziejącą na wszystkie strony ogniem, zdawało się, iż jakieś dziwne przybiera na się kształty. Najpierw poruszyła się

gwałtownym ruchem, sunąc lekko w kierunku wiszaru, na którym spoczywał Franciszek. Lecz tocząc się po rannych falach powietrznych, poczęła powierzchnia kuli pękać i zaginać się w cztery warkocze świetlane, tworząc wyraźne kształty krzyża. Na krzyżu zaś zawiązywało się światło i układało w postać i rysy człowieka, podczas kiedy w poruszeniach tego dziwnego zjawiska niewątpliwie dawał się słyszeć szum skrzydeł, jakby anioł przecinał szybę powietrza.

Ale zaledwie pierwsze promienie słońca musnęły czoło odpoczywającego na kamieniu Franciszka, ów zbudził się ze snu z obrazem wyraźnym Ukrzyżowanego w sobie i przed sobą. Struchlał i z nieopisaną trwogą począł się wpatrywać w cudowne zjawisko poranne, które się tymczasem w tak pewne i zarazem tak drogie i bolesne rysy ukrzyżowanego Boga-Człowieka było złożyło, że Franciszek osłupiał z podziwu, radości, bólu.

Zjawisko stanęło przed Franciszkiem. Spojrzeli na siebie; spojrzeli jako kochankowie. Ale musiała w tem spojrzeniu być taka moc miłości, jaka wystarczy, aby nie tylko ożywić, ale i zabić. Albowiem Franciszek osunął się na ziemię jakby zabity. Czuł tylko, że w żyłach krąży mu sama boleść, która rozrywa serce i przekłuwa ręce i stopy. Był bezwładny, wzrokiem tylko wpijał się w zjawisko.

A to, poruszywszy się znowu gwałtowniejszym ruchem, odziało i przeniknęło nawskroś leżącego na ziemi Franciszka. Powietrze się zatrzęsło, jakby ktoś był mocno przemówił.

Potem zjawienie jęło się oddalać, choć je konające oko Franciszka przykuwało. Warkocze świetlane malały. Zaokrągląła się powierzchnia tarczy. Wkońcu zniknęło.

Z pierścienia gór wschodnich wstawało słońce coraz większe i wspanialsze, i igrało promieniem porannym na czole Franciszka.

Ale on nic tego nie czuł, nie widział. Myślał, że już umarł. Wiedział tylko tyle, że przyszedł doń Chrystus, że doń przemówił. Lecz czuł zarazem, że z jego ciałem dzieje się coś dziwnego. Wprawdzie ból w nim nurtujący już nie był taki przeszywający, jak wtedy, gdy Franciszek był spojrzal w twarz Ukrzyżowanego; ale jednak zdawało mu się że od bólu już umarł na ciele.

Szczęśliwym jednak był tak jak nigdy w życiu. I ów ból w ciele, jakby od ukrzyżowania powstały, nie pochodził właściwie od cierpienia doczesnego; była to raczej tak wielka rozkosz miłości, że ciało wtrąciła w ogień i paliła wnętrzności i wszystkie władze duszy i ciała.

Zwolna przychodził mąż Boży do siebie. Rosa perlista, grająca w słońcu srebrną tęczą, śpiew ptasząt, od którego trzęsła się cała góra, morze porannego światła przynosiły mu ulgę i przypominały samotnemu męczennikowi rzeczywistość życia. Kłęby mgły połyskującej na zrębach przewalały się i zwijały się u stóp góry po dolinie. Samotny męczennik był jakby wyniesiony ponad zgłęb światła, wyższy odeń, bliższy Boga. I znowu płomień ognia poczynął mu chodzić po ciele. Tym razem płomień wdzięczności, że go Ukrzyżowany nawiedzić raczył, że mu cierpieć przez chwilę pozwolił, jak On cierpiał. Modlitwa wdzięczności gorąca i szczęśliwa podnosiła się i leciała z tego wiszaru w niebo.

Kilka dni, pozostałych jeszcze do postu zupełnego, upłynęło prędko. Jednakże nie były już wypełnione taką żądzą cierpienia, skoro cierpienie już prawie całkiem zabiło ciało. Było w modlitwach i rozmyślaniach Franciszka więcej pogody

i jakiejś szczęśliwej dziecięcej miłości, więcej do radości anielskiej aniżeli do wesela ludzkiego podobnej, jakiej dawniej u niego nie bywało.

Ale z postępem czasu rosły także na ciele Franciszka ślady, które pozostawiła obecność Ukrzyżowanego. I to mu właśnie sprawiało ów ból niewymowny, zwłaszcza nocami lub przy chodzeniu. Gdy Franciszek spostrzegł po raz pierwszy te oznaki, zdumienie a potem wdzięczność i szczęśliwość bez granic napłynęły mu do serca. Ukrywał atoli te znaki i przed sobą i przed innymi najstaranniej.

Tymczasem blizny zjawily się coraz wyraźniejsze. Nie były to właściwie rany, ciekące krwią, ale narośla kształtem i kolorem zupełnie podobne do gwoździ, któremi przybito członki Chrystusa i jakie Franciszek widział wtedy, gdy obraz Chrystusa stanął przed nim. Blizny u rąk i nóg przedstawiały masę ruchomą utwierdzoną w zagłębieniach ciała. Główka okrągła i czarna sterczała ponad powierzchnią u nóg zewnątrz, u rąk wewnątrz, a cierń gwoździ przeszywał dłonie i stopy nawylot i kończył się na drugiej stronie ostro wystającą z ciała kończyną. Tylko blizna boku przedstawiała ranę jakby włócznią zadaną. Czasem sączyła z niej krew, zostawiając ślady na odzieży.

Franciszek chciał tajemnicę zachować dla siebie: *secretum meum mihi*. Lecz rozmyśliwszy się, jak trudnoby ją było ukryć, mianowicie przed najbliższymi towarzyszami, postanowił ich przywołać.

Gdy się zjawili, jał im ogólnikowo powiadać o swoim stanie; albowiem blizny był poprzednio troskliwie ukrył. Oni jednak zaraz odgadli, że się z nim coś dziwnego stać musiało. Nalegali tedy nań, aby im wolę Bożą objawił, przedewszystkiem

brat Iluminat, który mu kiedyś na Wschód towarzyszył.

Nie mógł, nie śmiał się oprzeć Franciszek ich natarczywej miłości. Opowiedział im tedy nawiedzenie Pana i jego pamiątkę z taką radością anielską, jakiej nigdy u niego nie widzieli. A oni, wkońcu przezeń pożegnani, odchodzili, chwając Pana i jego sługę, którego ni człowiek, ni drzewo, ni gwóźdź, ni młot, ale ręka samego Boga ukrzyżowała.

Tymczasem nadszedł koniec czterdziestodniowego postu. Dzień 29 września, uroczystość św. Michała Archaniola, położył kres pobytowi na górze Alwernji. Nazajutrz tedy w dzień 30 września czyli w obchód pamięci św. Hieronima Franciszek wczesną rano wysłuchał w kaplicy mszy św. i pożywił się Chlebem Anielskim. Bracia byli wszyscy obecni, albowiem chciał ich i górę świętą pożegnać na zawsze.

Najpierw rozkazał im w imię świętego posłuszeństwa, aby się wszyscy wzajemnie kochali i żywili w sobie ducha modlitwy; aby bracia otaczali to miejsce troskliwością i dzień i noc odprawiali w niem służbę Bożą. Następnie polecił, aby wszyscy bracia obecni i przyszli nie pozwolili na nieposzanowanie tej góry świętej. Obiecał wkońcu swoje błogosławieństwo tym, którzy na tej górze mieszkać będą, a karę nieba tym, którzy tem świętem miejscem gardzić będą.

A zwróciwszy się do brata Maseusza, rzekł:
— Bracie Maseuszu, wiedz, że jest moją wolą aby na tem miejscu mieszkali zakonnicy bojący się Boga i najlepsi mojego zakonu, i że przełożeni mają się starać o to, aby tu przeznaczali najlepszych braci. A... aa... bracie Maseuszu, nie powiem więcej!

Poczem jeszcze raz rozkazał bratu Aniołowi, Sylwestrowi, Iluminatowi i Maseuszowi, aby wyjątkową troską i miłością otaczali to miejsce, na którym Bóg objawił swoją obecność cudem tak wielkim. I dodał wzruszony:

— Bóg z tobą, Bóg z tobą, Bóg z tobą, bracie Maseuszu! Bóg z tobą, Bóg z tobą, Bóg z tobą, bracie Aniele!

To samo powtórzył braciom Sylwestrowi i Iluminatowi. Wkońcu żegnając wszystkich i wszystko, mówił przerywanym głosem:

— Pozostańcie w pokoju, synowie najmils! Ja odchodzę od was ciałem, ale wam pozostawiam serce. Odchodzę z bratem Jagniątkiem Bożem i idę do Najśw. Panny Anielskiej, a tu już nie wrócę nigdy. Odchodzę. Żegnajcie. Bóg z wami wszystkimi. Żegnaj mi, góro! żegnaj góro Alwernio! żegnaj, góro anielska! żegnaj, najdroższa! żegnaj, najmilsza!... Bracie sokole, dziękuję ci za miłość, któraś mi okazywał. Bóg z tobą!... Żegnaj, szczyt skalny, już tu nie wrócę na powitanie. Bóg z tobą, wiszarze! Żegnaj, żegnaj, żegnaj, wiszarze, któryś mię w swoich wnętrznościach przyjął, gdzie szatan został pobity! Już się nie zobaczymy... Żegnaj, Najśw. Pauno Anielska! Tobie, Matko Słowa Przedwiecznego, polecam tych synów moich!...

A gdy Franciszek domawiał te słowa serdeczne i żalose, bracia jego płakali rzewnie. Ale i on odchodząc, płakał i zabierał z sobą serca tych, których zostawił sierotami.

Poczem podnieśli uczniowie bł. Ojca na osiołka podarowanego przez hr. Orlanda; albowiem wycieńczony chorobą i postem, mając do tego przebite gwoźdźmi nogi, nie mógł chodzić. W towarzystwie brata Leona opuścił ukrzyżowany Franciszek Alwernię na zawsze.

Pochód posuwał się powoli, bo droga zpowrotem była jeszcze uciążliwsza. Nie wybrali też tej samej drogi, którą byli przyszli, lecz zboczyli na zachód w kierunku góry Arcoppe i Del Foresto; Franciszek bowiem, chcąc się jak najdłużej cieszyć widokiem Alwernji, wybrał drogę wysoko położoną przez góry, acz nader niewygodną. Alwernja też wciąż znikła i znowu się zjawiała. Zdawało się, że Franciszek i Alwernja jeszcze ze sobą z od dali rozmawiają, bo często przystawał. Wkońcu dotarli do Monte Acuto, z którego Alwernję jeszcze widać w całej wspaniałości jak na dłoni.

Przybywszy na szczyt Monte Acuto, zszedł Franciszek z pomocą Leona z osiołka i uklęknął na ziemi twarzą zwróconą do Alwernji. Modlił się i chciał ją pożegnać po raz ostatni. Więc podniósłszy ręce, rzekł:

— Żegnaj, góro Boża, góro święta... Bóg z tobą, góro Alwernjo! Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch, niechaj cię błogosławi! Pozostań w pokoju. Więcej się nie ujrzymy!

Lesisty szczyt Alwernji, targnięty powiewem wiatru, pochylił swoje czoło. Mąż Boży podniósłszy się z ziemi, wsiadł na osiołka i zniknął wraz z bratem Leonem za ścianą gór, kierując się do Borgo San Sepolcro.

ROZDZIAŁ XXX.

Dwa lata męczeństwa.

(1224—1226.)

Dwa lata, które Franciszkowi pozostały jeszcze do życia, były latami zbliżającej się nieubłagalnym krokiem, powolnej śmierci. Od czasu powrotu ze Wschodu jego zdrowie zaczęło się psuć stanowczo. Ukrzyżowanie na górze Alvernji dobiło jego ciało. Był podobny do chodzącego męczennika. Z trudnością trzymał się na nogach, żołądek nie mógł prawidłowo funkcjonować, wątroba się rozdymała, wnętrzności go paliły. Przedewszystkiem jednak cierpienie ócz wznagało się ciągle, wymagało lekarstw, przypaleń, ówczesnie używanych, wkońcu groziło zupełnym zanikiem wzroku. Przytem przykrości natury moralnej ze strony braci a zwłaszcza ministrów opadały go zewsząd i gnębiły jego ducha.

A jednak jakaż olbrzymia działalność objawiała się przez te dwa lata w tym chodzącym trupie!

Im jego ciało więcej zapadało na zdrowiu, tem dusza rwała się do coraz nowszych przedsięwzięć i podróży apostołskich. Całe te dwa ostatnie lata są wypełnione podróżami ciągłemi po ukochanej Umbrii od Rieti aż do Sieny. Nic go nie mogło

powstrzymać. Chory kazał się podnosić na osiołka i prawiąc słowo Boże, przebiegał kilka wiosek dziennie, dopóki ostatecznie wysiłki i cierpienia kresu nie położyły jego życiu.

Opuściwszy Alwernję i Monte Acuto, przybył Franciszek do Borgo San Sepolcro, gdzie go ludność przyjęło z największym entuzjazmem. Ale Franciszek był tak zatopiony w modlitwie i zajęty cudownym zdarzeniem ostatnich dni, że nic nie zauważył. Dopiero minawszy wieś, zapytał brata Leona, czy już są blisko Borgo.

Oni jednak już byli blisko Monte Casale, gdzie się ongi nawróciła cała szajka złoczyńców. Tam pozostali kilka dni, bo w pobliżu mieszkali bracia w pustelni. Franciszek zaraz pierwszego wieczora uzdrowił pewnego brata opętanego przez złego ducha. Również w jednej z pobliskich wiosek przywrócił do zdrowia pewną kobietę. Wszędzie go uważano za cudotwórcę, już bowiem była gruchnęła wieść o cudownym zdarzeniu blizn jego.

Z Monte Casale puścili się z bratem Leonem do Città di Castello, gdzie pozostali czas dłuższy, opowiadając słowo Boże, i gdzie Franciszek znowu uzdrowił pewną niewiastę, cierpiącą na neurastenję.

Stąd wybrali się do Porcjunkuli. Tymczasem zima r. 1224—1225 już się była zbliżała. Towarzyszył im pewien wieśniak z osiołkiem. Drogi były złe. Noc musieli przepędzić w jakimś wydrażeniu skalnym, w które wiatr dał śniegiem i lodowatym zimnem. Wieśniak jął z zimna straszliwie przeklinać Franciszka. Ale on przemawiał do niego z taką słodyczą, że się wkońcu wieśniak udobruchał.

Nazajutrz przyjęła ich gościnnie Porcjunkula. Ale i tu pobyt nie zapowiadał się na długo.

Trzymiesięczna nieobecność Franciszka pozostawiła smutne ślady w organizacji zakonu. Rządy brata Eljasza zaostrzały się coraz wyraźniej w kierunku zwolnienia reguły. Jego ideałem była wielkość znaczenia i nauka, i światowa potęga. Z początku był tylko narzędziem w rękę braci ministrów, dążących do zwolnienia reguły. Później po śmierci Franciszka sam ujął wszystko w swe obrotne ręce, wykrzywając coraz więcej zamiar Franciszka z jego ubożuchną Porcjunkulą. I umiał wykonywać swoje zamysły. Usuwał ludzi dawnego pokroju, jemu lub raczej jego nowościami nieprzychylnych, wysyłając ich na dalekie misje, a otaczał się zausznikami skłonnyymi do wszystkiego. Pełen pomysłów, uczony, czynny, był administratorem znakomitym, niezrównanym dyplomatą.

Ale tymczasem był jeszcze synem św. Franciszka. Okazywał też swojemu ojcu tyle troskliwości i tkliwości, że o jej szczerości wątpić nie można. Przez te dwa lata choroby Franciszka dał on tyle dowodów zapobiegliwości, tyle starań dołożył około zachowania przy zdrowiu i życiu swojego ojca, że jest zupełnie wolny od zarzutu. To też Franciszek odplacał mu równą tkliwością i wdzięcznością.

Franciszek wybrał się wkrótce w podróż apostołską, idąc na południe Umbrji. Ale tym razem towarzyszył mu Eljasz, obawiając się naprawdę o jego zdrowie i życie.

Lecz misja nie trwała długo. Zima nader ostra, która zresztą tak ujemnie wpływała zawsze na jego zdrowie, zmusiła go do powrotu. Z końcem zimy już był Franciszek w Porcjunkuli razem z Eljaszem.

Jakkolwiek wszyscy troskliwie około niego chodzili, choroba jednak nie ustępowała. Mimo to

ođdalał od siebie wszelkie zalecane lekarstwa, mówiać, że wszelka niemoc ciała jest niczem dla człowieka, należącego duszą i ciałem do Boga. W chwilach zaś małego polepszenia podnosił się natychmiast, aby ze słowem Bożem przebiegać wioski okoliczne. A lud już przywykł przyjmować go jako wysłannika Bożego. Słowo jego było krótkie i rzadkie, ale tego rodzaju, że przeszywało serca i zapalało dusze; więcej niż słowem opowiadał chwałę Bożą przykładem. Nadewszystko zaś kochał swoją Panią Ubóstwo. Nieraz, jakkolwiek ostra zima przeciągała się dłużej w tym roku wbrew porządkowi natury, pozbywał się swojego płaszcza, aby nim okryć uboższych od siebie. Lud go nie tylko kochał, ale i ubóstwiał; ślady bowiem pochodów znać były już liczne cuda.

Atoli gdy znowu na zdrowiu zapadał, a ciału musiał udzielać wytchnienia i więcej starania, opadały go wyrzuty sumienia, czy się z ciałem, z bratem osłem, jak mawiał, nie obchodzi zanadto łagodnie.

Raz, kiedy go te wyrzuty mocniej niż zwykle dręczyły, zwrócił się do swego towarzysza, o którym wiedział, że mu roztropną, poda radę, z zapytaniem, czy może być spokojny w sumieniu, jeżeli od czasu do czasu ciału trochę pofolguje. Wywiązała się stąd ożywiona rozmowa, które się skończyła na tem, że ów brat przekonał Franciszka, iżby grzechem było nękać dalej w chorobie ciało. A Franciszek trochę rozweselony, zwrócił się do swego ciała i rzekł:

— Ciesz się, bracie ciało, bo oto już chętnie twoim potrzebom zadośćuczynię i koniec położę twoim narzekaniom.

Ale cóż znaczyła ta chwilowa folga wobec złamanego zupełnie i wycieńczonego do ostatka organizmu, a zwłaszcza wobec cierpień duszy! Bo

przecież nie zamykał uszu na skargi, jakie jego wybrani towarzysze wytaczali na braci, nadwerężających pierwotną jego myśl. Sam przybywszy z Alwernji a teraz leżąc w chorobie na pościeli, nie mógł nie spostrzec tego rozdziwienia, rysującego się coraz wyraźniej w łonie zakonu.

Nieraz przewracając się z bólu, podnosił straszny głos:

— Ci bracia zabijają mnie codziennie i jeszcze miecz boleści obracają w moich wnętrznościach!

To znowu, gdy go bracia odwiedzali, zachęcał ich do jedności. Mawiał, że ci, którzy od jednego pochodzą ojca, mają się żywić na łonie jednej matki. Zaklinał, aby wyżsi z niższymi, mądrzy z prostaczkami się łączyli uczuciem braterskim, a dalecy z dalekimi spójnią miłości się wiązali. A jego język obrazowy umiał się zdobywać na coraz nowsze przenośnie, upiększające tę jedność dusz.

Bywały jednak w jego chorobie także chwile tak tragiczne, że dreszczem przejmowały jego otoczenie.

Raz zapytał go jeden z braci miłszych, dlaczego unika towarzystwa braci i wypuścił ich ze swojej opieki i oddał w obce ręce, jakby wcale nie był ich ojcem. A Franciszek wzdychając, odparł gorzko:

— Ja braci kocham, jak mogę. Ale gdyby mojemu śladami iść chcieli, kochałbym ich więcej i nie oddalałbym się od nich. Wiem, że istnieją niektórzy przełożeni, którzy ich na inne prowadzą drogi, łudząc ich przykładem starożytności i niewiele zważając na moje przestrogi. Dokąd dojdą, koniec pokaże.

Wielki ból duszy nie pozwolił mu mówić dalej. Lecz po chwili podniósł się w łóżku ruchem gwałtownym i zawołał na cały głos:

— Gdzież są ci, którzy mi mój zakon i moich braci wydarli z rąk? Ale gdy się zjawię na kapitule generalnej, ja im pokażę, jaka jest moja wola!

A ów brat dodał:

— A czy nie zmienisz, ojcze, także tych ministrów, którzy tak długo nadużywają władzy i swobody?

Na co ojciec z westchnieniem wypowiedział to przerażające słowo:

— Niech żyją, jak im się podoba; mniejszą bowiem jest szkodą potępienie niektórych aniżeli wszystkich.

Straszno powiedzieć! On łagodny, litościwy, najlepszy z dobrych rzucił na gorszyieli wszystkich przekleństwo. Miłość zraniona jest zatrwajająca w swych przejawach! Czasami zrywał się pełen gorącości ducha, wołając na cały głos:

— Rozpocznijmy na nowo zawód. Dotąd mało albo nic nie zrobiliśmy. Rozpocznijmy na nowo!

Tymczasem jednak zapobiegliwy Eljasz potrafił go przekonać o konieczności zasiągnięcia porady lekarskiej. Gdy mu Eljasz przedstawił, że lekarstwo jest stworzeniem Boga tak samo jak inne twory, usłuchał Franciszek i postanowił wybrać się do Rieti, dokąd razem z dworem papieskim przybyło kilku zawołanych lekarzy. Honorjusz bowiem z końcem kwietnia 1225 opuścił Rzym z powodu rozruchów wewnętrznych, które ówczesnie dość często trapiły wieczne miasto, i przeniósł się wprzód do Tivoli, następnie do bezpiecznego Rieti, gdzie miał pozostać przeszło rok.

Nim ruszył, przeniósł się Franciszek na pewien czas do św. Damjana, aby pożegnać swoje córki duchowne i aby na chwilę wytchnąć wśród cienia oliwników i sosen szumiących i w chłodzie tego kościółka, w którym mu po raz pierwszy

Chrystus ukazał swoją twarz litościwą. Św Klara, ujrawszy tę wycieńczoną, schorzałą, przebitą gwoźdźmi męki Pańskiej postać swojego drogiego ojca, zalała się łzami. Potem gościnną córka otoczyła ojca matczyną troskliwością.

Lecz stan Franciszka pogorszył się przez noc znacznie. Niemoc rzuciła się na oczy. Groził mu zupełny zanik wzroku, albowiem nie mógł rozróżnić ani światła słonecznego, ani ognia. Musiał u św. Damjana pozostać dłużej, aniżeli zamyślał. Zapobiegliwa Klara kazała mu urządzić w ogrodzie skromną celkę trzciniową, aby tam mógł swobodnie spoczywać, a bracia mogli go odwiedzać i pielęgnować. Lecz choroba była tak uporczywa, że przez czterdzieści przeszło dni groziła mu ślepotą.

O błogosławione ubóstwo! Ty jesteś najbogatszym skarbem serca ludzkiego. Ty człowieka równasz z Chrystusem, przemieniasz go w brata i przyjaciela i pana przyrody, wywołujesz na jego lico rumieniec zdrowia, na usta spuszczasz uśmiech szczęśliwości. Kto ciebie nie zna, ten się nigdy nie dowie, czym jest spokój serca i wolność ducha!

A właśnie ubóstwo dochodziło u św. Damjana do granic ostatecznych, skoro celka urządzona w ogrodzie dla św. Franciszka stała się nawet stałą siedzibą niezliczonych myszy i szcurków. Żadnego kąta nie pozostawiały nietkniętego. Dniem i nocą napępniały celę swem chrobotaniem i piskiem. Wchodziły wszędzie, nawet w łóżko i na stół, gdy Biedaczek spał lub spożywał obiad. Nie mógł ni odpoczywać ni modlić się.

Pewnej nocy, gdy jego cierpienie wewnętrzne i zewnętrzne dosięgało szczytu, jał wzdychać i gorąco prosić Boga, aby mu dał moc znoszenia cierpliwie dolegliwości. I gdy tak duchem tonął w Bogu, zdawało mu się, że mu jakaś wielka ulga

wstępuje w serce i głos jakiś przesłodki rozlega się około niego:

— Bracie, rozjaśnij oblicze i ciesz się ze swych dolegliwości i udręczeń i tak mniemaj, żeś jest w królestwie niebieskiem.

Rano tedy przywołał towarzyszy i opowiedział im, że cieszyć powinien się z doświadczeń i dziękować Bogu, iż go już na ziemi ukrzyżował. Dodał też radośnie, że wypada, aby na cześć Boga i pociechę swoją i zbudowanie bliźniego ułożył jakąś nową pieśń o stworzeniach, bez których się człowiek obejść nie może i z powodu których często wykracza przeciwko Stworzycielowi.

Usiadł tedy Franciszek i począł rozmyślać. I takie skupienie, promieniejące to rzewnością to światłością, rozlało się po postaci i obliczu jego, że bracia sądzili, iż jest w zachwyceniu.

Jakoż on był istotnie w zachwyceniu, albowiem gdy powstał, popłynęła z ust jego pieśń o stworzeniach czyli pieśń słoneczna:

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie!
Twoje są chwała i sława i cześć i błogosławieństwo;
Tobie jednemu najwyższemu przynależą,
I nie jest człowiek godzien wspomnieć Twego Imienia¹⁾.

We Franciszku zbudził się dawny poeta. W ubóstwie i w cierpieniu powstał zarodek przyszłej wielkiej poezji. Głos wewnętrzny Boga, cicha, gorąca modlitwa św. Klary, tajemniczy, łagodny szelest drzew ogrodowych u św. Damiana sprawiły, że zaponniał o chorobie i udręczeniu. Wrócił dawny śpiewak Boży, który pieśnią chciał nawrócić świat.

Bowiem odtąd pływala dusza jego w takiej pociesze i słodczy, że chciał posłać do brata Pacyfika, który jeszcze w świecie uchodził za króla wierszy i był

¹⁾ Pieśń tę podaliśmy w całości na str. 170.

ićcie mistrzem śpiewu. Chciał mu też dodać kilku braci, którzyby razem szli przez świat, głosząc i śpiewając hymn o stworzeniach Pana. Mówił bowiem, że pragnie, aby ten, który najlepiej pomiędzy nimi umie głosić słowo Boże, wprzód ludowi opowiadał, a po kazaniu wszyscy śpiewali chórem pieśń słoneczną jako śpiewacy Boga.

Po hymnie zaś miał tenże mówca powiedzieć ludowi tak:

— My jesteśmy śpiewakami Pana i jako tacy chcemy być wynagrodzeni, to jest, abyście wytrwali w pokucie.

I dodał:

— Czemże bowiem są słudzy Boga, jak nie jego śpiewakami, którzy serca ludzkie podnoszą i napełniają weselem ducha.

A stosował to najwięcej do braci mniejszych, którzy są danj ludowi Bożemu dla jego zbawienia.

Odtąd zdrowie jego się poprawiło. Można było myśleć o podróży do Rieti; nietylko bowiem Eljasz pragnął go wysłać do lekarzy dworu papieskiego, ale żądało tego i otoczenie papieża a głównie Hugolin. Z początkiem września ruszono z Asyżu do doliny Reatyńskiej.

Zmiana przyniosła Franciszkowi pewną ulgę. Dolina Reatyńska ze swemi zacisznymi pustelniami, otoczona dzikim romantycznym wieńcem gór, użyźniona szalonym pędem Tybru, umajona bujną roślinnością, była zawsze miłą Franciszkowi. Znał ją też tak samo jak swoją uroczą dolinę Spoletańską, jak spokojną Marchję i wdzięczną Toskanję.

Zaledwie gruchnęła wieść, że się Franciszek zbliża do Rieti, wszystko wyległo na jego spotkanie. Każdy pragnął posiadać po nim pamiątkę lub przynajmniej widzieć tego, którego już uważano za człowieka z innego świata.

Nim jednak przybył do Rieti, musiał w drodze w pewnej wiosce prosić o gościnność proboszcza przy kościółku św. Fabjana. Przyjęty nader gościnnie pragnął w tem miejscu o cudo-

wnem powietrzu pozostać przez kilka dni. Ludność, dowiedziawszy się o pobycie Świętego, przybywała tłumnie do mieszkania proboszcza wiejskiego. Ów posiadał obok probostwa winnicę, która mocno cierpiała od ludzi odwiedzających Franciszka. Spozstrzegł to nareszcie Święty; również zauważył, że proboszcz jest niemile dotknięty wyrządzoną szkodą. Może też proboszcz żałował, że przyjął Franciszka; winnica bowiem była jedynym źródłem jego dochodów. Uspokoił go tedy Święty, obiecując, że odtąd winnica przez błogosławieństwo Boże corocznie w dwójnasób rodzić będzie. Co się też stało ku niemałemu radosnemu zdumieniu proboszcza.

Wkońcu Franciszek ruszył do miasta Rieti, które nie było dalekie od św. Fabjana. Wprowadzony z entuzjazmem do pałacu papieskiego został przyjęty z ojcowską miłością. Hugolin, który go odtąd nie odstępował, nie ustawał przekonywać go, aby nie odtrącał pomocy lekarskiej. Franciszek odrzekł, że jest gotowy na wszystko.

Przystąpili tedy doń lekarze. Ale wyczerpawszy wszystkie swoje środki ogólne i specjalne na oczy, orzekli, iż choroba jest uporczywa i jako chroniczna wymaga dłuższego leczenia.

Mieszkanie, w którym przebywał mąż Boży, nie opustoszało nigdy. Biskupi i kardynałowie garnęli się doń, aby się budować widokiem człowieka ukrzyżowanego. Raz jednak zauważyli bracia, że Franciszek mocno był zajęty jakąś myślą.

Istotnie, Franciszek odezwał się do brata będącego na jego usługach:

— Bracie, nie zdaje ci się, że mój habit już jest bardzo zużyty, i tu przychodzi ciągle tyle osób godnych? Czybyś mi nie mógł przynieść sukna potrzebnego?

Brat odszedł za rozkazem. Lecz zaledwie przestąpił próg pałacu, zjawił się przed nim człowiek, ofiarując mu sukna na sześć habitów. Wróciwszy do Franciszka, opowiedział mu o cudownym nabytku. A ten odrzekł żywo:

— Zabierz wszystko. Ów człowiek był wyśłańcem Opatrzności.

Z biegiem czasu Franciszek zatęsknił za zmianą pobytu. Choremu sprawiały przykrości te ciągle odwiedziny. Przytem leczenie oczu przeciągało się z miesiąca na miesiąc, nie przynosząc ulgi. A gdy nadto spostrzegł, że większa część gości przychodzi z pobożnej ciekawości, aby obejrzeć blizny tak starannie przezeń ukrywane, wtedy postanowił przenieść się do pustelni braci, położonej poza miastem.

Zmiana miejsca wywarła ponownie lepszy wpływ na jego zdrowie, bo u braci mógł swobodnie oddać się modlitwie i rozmyślaniu. Nawiedzał go też Bóg wewnętrznymi pociechami, za które ze łzami w oczach dziękował. Ale lekarz, odwiedzający od czasu do czasu klasztor braci, spostrzegłszy, że Franciszek ciągle obfitemi zalewa się łzami, chciał go od tego powstrzymać, grożąc, że straci zupełnie wzrok. Mąż Boży jednak, zwykle na wszystko się zgadzający odparł tym razem:

— Bracie lekarzu, nie należy dla wzroku, który nam jest wspólny z muchami, oddalać od siebie widzenia światła wiecznego; nie duch bowiem żyje dla ciała, ale ciało dla ducha.

Zresztą we wszystkim innem był lekarzom nietylko posłuszny, ale starał się także okazać im zawsze swoją wdzięczność.

Franciszek przebył całą zimę 1225—1226 w dolinie Reatyńskiej. Zdaje się, że w pewnych odstępach czasu następowało polepszenie, skoro mógł

przenosić się z jednego miejsca na drugie i głosić słowo Boże.

Boże Narodzenie obchodził w Pogio Bustone. Tam miał przemawiać wobec mnogiej ludności. Rozpoczął kazanie temi słowy:

-- Wy myślicie, że ja jestem człowiekiem świętym. Dlatego przyszliście. Ja jednak wyznaję, że przez cały post adwentowy spożywał potrawy omaszczone tłusto.

Co tę naturę jak kryształ czystą czyniło tak pociągającą i drogą, to właśnie ta szczerść, posunięta do stopnia heroicznego, i jej wstręt do wszystkiego, co mogło rzucić cień obłudy lub próżnej chwały. Jakim był wewnątrz, takim też chciał koniecznie uchodzić nazewnątrz. Nic go od tego nie powstrzymywało. Całe jego życie było wypełnione wypadkami takiej spowiedzi samorzutnej publicznej. Mogą się one zdawać anegdotami; ale rysują dokładniej jego stronę psychologiczną aniżeli zdarzenia wartości dalekonośnej. Gdy się w nim obudzała próżna chwała, przyznawał się do niej publicznie. A gdy go choroba zmuszała odziewać się staranniej i odżywiać lepiej, nie wahał się głosić o tem wszędzie. Przestrzegał tego zwyczaju w najdrobniejszych rzeczach. I właśnie tem dobrowolnem upokorzeniem lub raczej tą szczerścią serca podbijał Franciszek najwięcej lud, który widział przed sobą człowieka takiego, jakim jest w rzeczywistości: i słabego i heroicznego. I dziwna rzecz: z rozwojem słabości Franciszka rósł dlań podziw i miłość ludu.

Jakkolwiek stan jego zdrowia był trochę znośniejszy, to jednak trwałym być nie obiecywał. Widząc to, lekarze w Rieti, gdzie znów był wrócił, postanowili na wspólnej naradzie wysłać go do Sieny. Tam podówczas przebywał zawo-

łany lekarz-okulista. Pora roku miała sprzyjać podróży, albowiem wiosna się zbliżała.

Franciszek siedząc na osiołku, puścił się w ponowną podróż do Sieny. Orszak był liczny, składał się bowiem z braci i z ludności. Towarzyszył mu również jeden z lekarzy.

Gdy konwój stanął na górze Rocca-Campiglia pomiędzy Radicofani i S. Ciro, wyskoczyły znie-nacka z przydrożnej wikliny trzy do siebie podobne ubogie dziewczątka. Trzymając się za ręce, stanęły przed Franciszkiem i oddały mu głęboki pokłon, mówiąc:

— Niech będzie pochwalona Pani Ubóstwo!

Franciszka nie mogło spotkać miłsze pożegnanie doliny Reatyńskiej. Samo wspomnienie ubóstwa, z którem widocznie te dziewczątka jego osobę utożsaмиły, wprawiło go w zachwył. Zwrócił się więc prędko do obok jadącego lekarza ze słowami:

— Bracie lekarzu, dla miłości Bożej daj im jaką jałmużnę.

Lekarz czem prędey zadoścuczynił prośbie, a Franciszek puścił się pełen pociechy wewnętrznej w dalszą drogę do Sieny.

Sprowadzony w Sienie lekarz oświadczył po zwykłej diagnozie, że należy odrzucić wszystkie lekarstwa i plastry, a chwycić się sposobów energicznych. To znaczyło tyle, co przepalać skórę od brwi aż pod uszy, a następnie przystąpić do środków specyficznych.

Przywołano tedy chirurga, który miał dokończyć operacji. Lecz gdy ów włożył żelazo w ogień i następnie z rozpalonem do czerwoności żelazem przybliżył się do chorego, ciało Franciszka przeniknęły dreszcze od stóp do głowy. Uczniowie zaś zgrozą zdjęci pouciekali. Nie uląkł

się jednak Franciszek, tylko skupiwszy się, rzekł, jakby chciał moc ognia przebłagać.

— Bracie ogniu, bądź mi łaskaw, bo cię zawsze kochałem w Panu. Bóg, który cię stworzył, niech łagodzi twoją srogość, abym mógł wytrwać.

Potem przeżegnał żelazo i podał głowę chirurgowi. Ów przyłożywszy żelazo, pociągnął niem po skórze na skroniach, aż zaskwierczała, a Franciszek ani oka nie przymrużył ni syknął. Operacja była skończona.

Przywołał tedy Franciszek braci i rzekł do nich wesoło:

— Toż to z was niedolegi! Pocioście poucicali? Powiadam wam, że mi żelazo nic złego nie zrobiło. Nic nie czułem. Bracie lekarzu — dodał — jeżeli skóra nie jest dobrze przepalona, przyłóż jeszcze raz!

A lekarz, który wiedział, jaki ból sprawia kauteryzacja, rzekł do braci, wznosząc ręce:

— Bracia najdrożsi, dziś widziałem cud.

Gwałtowne leczenie przyniosło chwilową ulgę. Przynieść musiało, bo organizm był zupełnie wyczerpany. Franciszek wiedząc, że wkrótce musi opuścić braci i połączyć się na zawsze z Chrystusem, poświęcał się braciom, opowiadając im o zachowaniu reguły, o klasztorach, a najczęściej o ubóstwie i życiu wewnętrznym. Gdy się cierpienia wewnętrzne wzmagaly, odosobnił się od wszystkich braci, trwając na modlitwie i rozmyślaniu.

Pewnego dnia, kiedy ból oczu ze zdwojoną siłą wrócił, rzekł doń jeden z braci:

— Ojcze, zawsze wśród dolegliwości rad słuchałeś czytania Pisma św. Czy chcesz, abym ci

przeczytał ustęp, który twego ducha napelni otuchą?

— Bóg ci zapłaci! — odparł Franciszek. — Jest rzeczą dobrą czytać Pismo św. i szukać w niem Boga. Czytałem tyle, ile mi wystarczy na rozmyślanie. Nauczyłem się w niem Chrystusa ubogiego i ukrzyżowanego. Więcej nie potrzebuję, mój synu.

Od czasu do czasu zdarzało się także, że go odwiedził ktoś z obcych. Zdaje się, że z synów św. Dominika przychodziło go odwiedzić kilku, skoro Bonawentura opowiada, iż jeden przychodził kilka razy.

Przybył raz, aby opowiedzieć, że się spełniła jakaś przepowiednia Franciszka. Mąż Boży dodał zaraz inną, mianowicie, by się ów zakonnik sposobił na śmierć, bo wnet wybiję jego ostatnia godzina. Biograf kończy uwagę, że przepowiednia się spełniła.

O innem zajściu opowiada Celańczyk. Raz przyszedł doń jakiś doktor teologii, także syn św. Dominika, z prośbą, aby mu wytłumaczył pewien ustęp dość trudny Pisma św.

— Znam dużo ludzi — pytał gość — o których wiem, że są w grzechu śmiertelnym, a jednak niezawsze im wyrzucam ich bezbożność. Dobry ojcze, powiedz mi, czy i o takie dusze będę pytany na sądzie.

Franciszek miasto wprost odpowiedzieć na pytanie wymawiał się od odpowiedzi, twierdząc, że jest idjotą i że raczej jemu powinno być tłumaczone Pismo św.

— Bracie — nalegał doktor — choć już innych mądrych ludzi słyszałem tłumaczących ten ustęp, chętnie jednak usłyszałbym, co ty o nim sądzisz.

— Ogólnie mówiąc — odpowiedział Franciszek -- sędzę, że sługa Boży powinien życiem i prawdą tak jaśnieć, iżby wszystkich bezbożnych karcił światłem przykładu i językiem obcowania. Tak, powiadam, odbłysek takiego życia i kwiat jego sławy wszystkim wytknie ich bezbożność.

Doktor zbudowany odszedł, mówiąc do towarzyszy Franciszka:

— Bracia moi, teologja tego człowieka, oparta na prawdzie i kontemplacji, jest jakby orzeł wążący się w powietrzu na skrzydłach, nasza zaś czołga się brzuchem po ziemi.

Zdawało się, że Franciszkowi wraca zdrowie zupełne. Przewidując jednak, że na kapitule generalnej nie będzie mógł być obecnym, chciał przynajmniej zadanie ministra generalnego określić w tych słowach.

Pan niech cię ochrania. Mówię do ciebie, jak mogę, z duszy swojej. Cierpliwość we wszystkich uczynkach twoich, mój bracie, zalecam ci, tak dalece, że ktokolwiek ci przeszkodę stawia, czy to bracia czy inni, choćby cię nawet bili, wszystko uważaj za łaskę; i tak chciej, lecz nie inaczej. A kochaj tych, którzy ci to wyrządzili. Kochaj ich w tem, że pragniesz, aby byli lepszymi chrześcijanami. W tem poznaj, czy kochasz Pana i mnie, sługę jego i twojego, jeżeli tak będziesz czynił: mianowicie, iżby żaden brat, choćby najciężej zgrzeszył, spojrzawszy w oczy twoje, nie odszedł bez twojego miłosierdzia. A gdyby on sam cię nie szukał, tedy ty go szukaj i pytaj, czy żąda miłosierdzia. I gdyby taki później tysiącokroć razy się zjawił przed twemi oczami, kochaj go więcej aniżeli mnie, dlatego abys ich pociągnął do dobrego i zawsze nad takimi miał litość. Ogłoś też gwardjanom, skoro będziesz mógł, że chcesz mocno, aby tak było. A wszyscy bracia, którzyby wiedzieli, że zgrzeszył, nie mają go zawstydząć ani na sławie mu szkodzić, ale tem większą litość powinny mieć dla niego i w tajemnicy trzymać grzech brata, bo nie dla zdrowych, ale dla chorych potrzebny jest lekarz. Który-

kolwiekby z braci za poduszczaniem szatana zyrzeszył śmiertelnie, ten powinien się uciec do swojego gwardjana w imię posłuszeństwa, a gwardjan również w imię posłuszeństwa do kustosza, a kustosz ma miłosiernie zaradzić tak, jakby chciał, aby z nim postąpiono w podobnym wypadku. A ci nie mają wcale władzy nałożenia pokuty innej nad tę: Idź i nie grzesz więcej. Rób tak i zostań z Bogiem.

Niestety, Franciszkowi zdrowie nie wracało. Chwilowy przełom był powodem złudzenia.

W pierwszej połowie kwietnia nastąpiła taka gwałtowna reakcja, że myślano, iż się zbliża koniec życia. Tym razem napadły go wybuchy krwi tak obfite, że obawiano się o utratę wszystkiej krwi. Wysłano czem prędzej po brata Eljasza. Ale nim ów przybył, niebezpieczeństwo minęło. Chory organizm, ulżywszy sobie ubytkiem krwi, odzyskał przytomność. Po kilku dniach wróciły Franciszkowi siły i puszczono się w drogę do Umbrji, dokąd chciał, aby go przeprowadzono.

Za radą Eljasza, który tymczasem przybył, wybrano drogę dogodniejszą przez Kortonę. Mi-jając wioskę Volusiano, miał Franciszek jeszcze tę pociechę, że samem swoim imieniem nawrócił pewnego bezbożnego barona na prośbę żony, młodej pobożnej damy.

Wkońcu wkroczyli do Kortony. Franciszek wyraził życzenie, że pragnie przez kilka dni wypocząć w delle Celle, pustelni braci, położonej za miastem. Atoli nazajutrz, gdy chcieli opuścić bramę miasta, aby się udać do klasztoru braci, straż miejska zatrzymała ich. Otrzymała rozkaz nie puszczać Franciszka; myślano bowiem, że w drodze umrze. Chciano widocznie, aby umarł w mieście i żeby Kortona weszła w posiadanie takiego skarbu, jakimby była relikwja św. Franciszka z Asyżu. Musiał pozostać w mieście, do-

póki Korteneńczyków nie przekonał, że pragnie umrzeć w ubożuchnej Porcjunkuli i że zamiast siebie pozostawi im brata Gwidona, który swoją świętością i swemi szczątkami miasto opromieni.

Wytchnąwszy dłuższy czas w klasztorze delle Celle, pochód ruszył w dalszą podróż do Asyżu. Nie wybrano jednak drogi krótszej i wygodniejszej, prowadzącej przez dolinę Umbryjską pod murami Perugji, lecz dłuższą i uciążliwszą przez Gubbio i Nocerę. Obawiano się bowiem, żeby ich drapieżni Perugijczycy nie napadli i nie odebrali im Franciszka z tych samych powodów, dla jakich Kortona nie chciała go wypuścić z miasta.

Przybywszy do Nocery, Eljasz pchnął gońca do Asyżu z prośbą, aby straż miejska wyruszyła na spotkanie dla odparcia możliwego napadu ze strony Perugji. Straż konna nadciągnęła istotnie, a konwój skierował się wprost do Asyżu.

Lecz od Nocery, a zwłaszcza od pustelni Bagnara poczęto się znowu troskać o życie Franciszka. Nogi mu obrzękły, żołądek już nie chciał przyjmować żadnego pokarmu. Pochód zatrzymał się znowu na chwilę w Satriano. Żołnierze rozbiegli się po wiosce, chcąc kupić od dobrych mieszkańców chleba i wina. Ale ci odmówili wręcz wszystkiego. A do wracających z próżnymi rękami żołnierzy rzekł Franciszek:

— Odmówili wam, boście nie w Bogu położyli nadzieję, tylko w swoje pieniądze. Wróćcie do tych samych ludzi i proście ich w imię Boże, a zobaczycie, że wam wszystko dadzą.

Tak się też stało. Żołnierze, poszedłszy za jego radą, uzyskali, czego tylko żądali.

Wkrótce potem Asyż otwarł bramę swemu ukochanemu synowi i największemu obywatelowi.

Cale miasto było poruszone. Poczęści żal za umierającym, poczęści radość, że wnet umrze i spocznie jako największy skarb w ich murach, sprawiały jakiś dziwny nastrój.

Franciszka zaprowadzono do pałacu biskupiego. Wprawdzie onby był wołał pozostać w Porcjunkuli, lecz narazie bracia towarzyszący musieli ustąpić woli gwałtownej ludu i biskupa.

ROZDZIAŁ XXXI.

Dwa miesiące agonji.

(Sierpień, wrzesień 1226.)

Jak początek powołania Franciszka był wojowanie, tak koniec jego żywota był męczeństwem. Całe jego życie było pasmem cierpień, na kanwie ich tylko tu i owdzie odrzynał się jaśniej jakiś promienniejszy moment, płynący z jego usposobienia z natury wesołego lub ze strony otoczenia zewnętrznego.

Inaczej też być nie mogło u człowieka, który sobie za wzór obrał Ukrzyżowanego i w którym męka Chrystusa Pana sobie upodobała. Nie będąc żywym męczennikiem, nie byłby przed osłupiałym z podziwu i miłości światem zajaśniał jako drugi Chrystus.

Ale te cierpienia ciała i duszy, gnębiące go zwłaszcza pod koniec życia, miasto ducha jego złamać, podnosiły go. Stanowiły one dla niego źródło niewyczerpane pociech wewnętrznych. Oblubieniec-Chrystus i Pani-Ubóstwo tłumaczyli mu w nocnych rozmyślaniach i zachwytach, że dolegliwości powinny być udziałem kochanków Boga i że one znajdują takie rozwiązanie, jakiego duch ludzki, błędzący w pielgrzymce świata, pojąć nie może. Stąd nie tylko cierpliwie znosił, ale

i głęboko kochał swoje cierpienia. Mawiał też, że dusza kochająca przestaje cierpieć.

Że jednak mocno cierpiał w potocznem słowa znaczeniu, nie zapierał się nigdy. Widząc tę postać leżącą w pałacu biskupim, spuchniętą, nie mogącą przyjmować pokarmów, oddającą wciąż krew ustami, z głową i twarzą poparzoną żelazami i oszpeconą plastrami; odgadując przytem jego walkę wewnętrzną z powodu biegu nieprawidłowego spraw zakonnych, dziwili się bracia i lekarze, jak wogóle ten człowiek jeszcze żyć może i że śmierć już dawno nie nastąpiła.

Raz w chwili większych boleści zapytał choro-
rego jeden z braci, litością zdjęty:

— Ojczy, zdaje mi się, żebyś mniej cierpiał, gdybyś się znalazł w ręku kęta.

— Bracie — odszepnął męż Boży — mojem najslodsze i najgorętsze życzenie było i zawsze jest zgadzać się z tem, co Pan na mnie ześle. Ale przyznam się, że mniej bolesnem byłoby męczeństwo, niż znoszenie tej choroby przez trzy tylko dni. Mówię jednak — dodał ze słodyczą — o boleściach, które ona sprawia, a nie o nagrodzie, którą się skończy.

Wszelako z chwilą, w której go w jednym z zachwyceń przyjaciel jego Ukrzyżowany zapewnił, że jego męczeństwo jest zadatkiem radości i chwały niebieskiej, nie pozwalał sobie nawet na wyznanie, że cierpi. Dusza jego była zawsze pogodna i tak przenikliwa, iż się zdobywała na najcenniejsze upominki duchowne w kształcie upomnień i przestróg dla braci i dla mieszkańców Asyżu. Widząc zasmuconych swych uczniów lub płaczących nad jego łóżkiem, pokazywał im twarz spokojną, miłą wszystkim, uśmiechniętą. Najgwałtowniejsze przeskoki i dziwne nieraz kaprysy

swojej choroby znosił z taką niezamaconą pogodą, jakby jego dusza już nie mieszkała w ciele.

Gdy dreszcze bólu stawały się przenikliwsze, zwoływał braci, prosząc, by mu śpiewali pieśń o braciszku słońcu. I nieraz pałac biskupi brzmiał całemi nocami śpiewem hymnu o stworzeniach, jakby nad mieszkaniem nie krążyła śmierć drapieżna, lecz jakby się nad niem i nad miastem unosił Anioł pokoju i wesela.

Sam rozpoczynał śpiewać, a jego towarzysze chórem naśladować go musieli. A gdy spostrzegł, że bracia nucą wdzięcznie i gorliwie, twarz jego rozbłyskiwała radością nietajoną. Żegnał życie ze śpiewem, a śpiewając witał siostrę śmierć.

Nie chciał już nawet słuchać braci, gdy mu wymówki czynili, że śpiew w godzinę śmierci u człowieka tak świętego może być przyczyną zdumienia i zgorzenia dla straży otaczającej pałac i dla ludności. Odpowiadał bratu Eljaszowi, który tłumacząc sztywnie uczucia ludności, upominał go, aby o śmierci, a nie o śpiewie pamiętał:

— Pozwól mi, bracie, cieszyć się w Panu i w chwale jego i w moich siostrach słabościach; bo za łaską Ducha Św. tak istotnie jestem złączony z moim Panem, iż przez jego miłosierdzie mogę się w Nim Najwyższym najserdeczniej radować.

Biografowie nie zapomnieli o najmniejszym szczególe z tego okresu żywota św. Franciszka. Ostatnie chwile ich ojca pozostały na zawsze w pamięci synów.

Towarzyszami nieodstępującymi od łóżka chorego byli ci sami, którzy mu przed dwoma laty towarzyszyli na górę Golgota, na Alwernję: Leon, jagniątko Boże, Anioł, rycerz i poeta, Rufin,

Maseusz. Przed nimi w chwilach ulgi otwierał swoje serce. Ale czasem w przeskokach gwałtownych choroby zrywał się, posadzał się o małoduszność i porywając się do nowych przedsięwzięć, wołał na cały głos:

— Rozpocznijmy, bracia, na nowo służyć Bogu, bo dotąd nic nie zrobiliśmy!

I nie chciał umrzeć. Chciał jak ongi rozpocząć służbę Bożą od pielęgnowania trędowatych, od ściągania na siebie pogardy świata. To znowu zamyślał uciec od towarzystwa ludzi i braci i zamknąć się w pustelniach, aby pomiędzy nim i Bogiem żadnej nie było ściany.

Kielich goryczy musiał być wypity aż do dna.

Pewnego dnia dowiedział się od towarzyszy nowiny tak potwornej, że trudno mu było w nią uwierzyć. Oto pomiędzy biskupem Asyżu i zarządem miasta wyniknął spór, z którego mogła wybuchnąć wojna domowa. Biskup Gwido obłożył burmistrza klątwą, a burmistrz rozkazał ludowi, by z duchowieństwem nie wchodził w żadne stosunki ekonomiczne. Nikt nie ośmielał się godzić poważnionych.

Franciszek, który rozpoczął był swój zawód od głoszenia pokoju i miłości, pogodził Arezzo, chciał pokój przynieść Perugijczykom, w łono tylu rodzin rzucił ziarno pokoju Pańskiego, teraz — leżąc na łożu śmierci — ujrzał, że jego słowo mogło być marne. I to gdzie? W jego ojczyźnie! W tem mieście, za którego pokój walczył jak prosty żołnierz i którego pokój był w początkach celem jego apostołstwa, brat powstawał przeciw bratu. Z goryczy i bólu kazał zwołać braci, by zanucili pieśń o słoneczku.

Pod potęgą melodji jęła się twarz Franciszka rozjaśniać. A gdy kończyli — rzekłbyś — prok natchniony siedzi oparty o ścianę na łożu

śmiertelnem, tak Franciszek śpiewał sam dalej, podczas kiedy bracia z zachwytem się weń wpatrywali:

Bądź pochwalony Panie, przez tych, którzy przebacząją
I znoszą niemoc i uciski, [dla twej miłości
Błogosławieni, którzy trwają w pokoju,
Gdyż od Ciebie, o najwyższy, będą ukoronowani.

Pieśń o stworzeniach wzbogaciła się o jeden wiersz.

Bracia pójda przed radę miejską i przed biskupa i z pieśnią na ustach zaklną ich, by sobie wzajemnie odpuścili i zawarli zgodę. Któż poważniejszych pogodzi? Oni się nie będą mogli oprzeć miłości braterskiej wywołanej pieśnią z lepszej części duszy ludzkiej! Nie oprą się woli umierającego!

— Ty zaś, bracie Leonie, jagniątko Boże — kończył Franciszek — biegnij do podesty i do jego doradców i proś w imię moje, aby się zgromadzili przed palacem biskupim na placu przed kościołem.

I gdy się już wszyscy byli zgromadzili na placu miejskim wśród tłumu ludu, powstali bracia, a jeden z nich przemówił:

— Brat Franciszek ułożył hymn na chwałę Bożą i prosi was, abyście go pobożnie słuchali.

Zaczęli tedy śpiewać, a podesta nie mogąc się powstrzymać od łez, rzekł, gdy skończyli:

— Wiedźcie, iż dla miłości Bożej i dla jego sługi Franciszka — kochał bowiem wielce Franciszka podesta — przebaczam biskupowi, którego za Pana swojego uważam.

A biskup powstawszy, uchwycił go za rękę i przeprosił także podestę.

Był to jeden z ostatnich triumfów apostołstwa żyjącego Franciszka. Mógł zasnąć, pod tym przynajmniej względem spokojny.

Jakkolwiek jego siły upadały z dnia na dzień, jednak widocznem było, że mu to ostatnie zwy-

cięstwo przyniosło chwilową ulgę. Przez kilka dni z rzędu okazywał nadzwyczajny spokój i radość anielską. Zajmował się też sprawami zakonu, dając uczniom rozmaite wskazówki. Określał, jakimi mają być ministrowie od najwyższego do najniższego, jakimi kapłani zakonu i wszyscy inni bracia. Nie zapomniał o swej córce Klarze i o jej siostrach, śląc jej pozdrowienie, upominając, by ona i jej siostry służyły Panu w radości ducha, i obiecując, że ją jeszcze odwiedzi.

Była we wszystkich jego słowach taka pogoda i miłość, że braciom lży za takim ojcem spływały po zafrasowanych twarzach. Myśleli, że z nim razem umrze ziarno nowego życia.

W jednej z takich bolesnych chwil pewien brat zapytał z trwogą w głosie i w duszy:

— Ojczy najlepszy, oto ty nas chcesz opuścić. Wskaż nam tedy biednym, jeżeli sam wiesz, komu możemy bezpiecznie powierzyć tak trudny urząd ministra generalnego.

Ach, napróżno wodziły oczy Franciszka po obecnych, a pamięć nadaremnie szukała nieobecnych. Nie widział nikogo. Jednakże nie chcąc ich i siebie więcej jeszcze zasmucać, jął powoli mówić, jakim ma być ów, który z powodzeniem może przy pomocy Bożej rządzić zakonem:

— Nikogo nie widzę zdanego na wodza tak różnorodnego zastępu i na pasterza tak wielkiej trzody, o synu. Ale chcę wam wskazać wzór, w którym się odbija ten, któryby mógł być ojcem tej rodziny. Powinien być człowiekiem życia zewszecmiar niepokalanego, roztropności wielkiej, sławy dobrej, chwalebnej. Człowiekiem wolnym od słabości dla jednych, aby kochając więcej tych, nie był zgorszeniem dla innych. Człowiekiem, któremuby gorliwość w modlitwie była wrodzona, któryby umiał pewne godziny poświęcić duszy, a pewne chwile — trzodzie powierzonej. Bo wiem z brzaskiem dnia powinien odprawić ofiarę

świętą i przez długie chwile siebie i swoją trzodę Bożej opiece polecić.

Po modlitwie powinien się wystawić na usługi wszystkich, wszystkim odpowiadać, wszystkimi się cierpliwie opiekować. Człowiekiem ma być, któryby się nie powodował względami osób i nie mniej się troszczył o małych i prostaczków jak o mądrych i wysokich. Człowiekiem, który choć w piśmie i nauce biegły, jednak w obyczajach byłby obrazem świętej prostoty i cnoty. Człowiekiem, któryby się brzydził pieniędzmi, tą nieprzyjaciółką naszej reguły i doskonałości, i któryby jako głowa ubogiego zakonu wszystkim przykładem świecąc, nigdy nie używał żadnej własności.

Ma dłań wystarczyć jeden habit i książka, dla braci kałamarz i pieczęć. Nie ma gromadzić książek, ani za wiele naukom się oddawać, aby nie wykroczył przeciw urzędowi, w czym zyszcze w czytaniu. Człowiekiem, któryby strapionych pocieszał, skoro jest ostatnią ucieczką w strapieniu, aby słabych nie ogarnęła choroba zwątpienia, jeżeliby u niego nie znaleźli lekarstw dla swych słabości. Sam niechaj z prośbą się rzuci na ziemię, aby twardych i hardych przyprowadzić do łagodności, a od swojego prawa niechaj ustąpi, aby drugą duszę zjednać Chrystusowi.

Dla tych, którzy zakon opuścili, niech ma litość jako dla owieczek, które zbłądziły, wiedząc, że wielkie są pokusy mogące sprowadzić taki upadek. Chciałbym, aby go wszyscy jako namiestnika Chrystusa czcili i we wszystkich potrzebach go wspierali. Ale nie powinien ubiegać się o zaszczyty ani więcej względami się cieszyć, aniżeli obelgami. Może się lepiej odżywiać, jeżeli jest słaby lub chory, atoli nie w ukryciu, lecz publicznie, aby innym nie odjął odwagi odżywiania się lepiej w razie potrzeby.

Zadaniem jego jest wybadać skrytość sumień i wywnioskować prawdę z utajonych przyczyn i nie podać ucha wielomownym. Takim wkońcu ma być, żeby żądza utrzymania się przy zaszczycie nie nadwerżyła męskiego poczucia sprawiedliwości i żeby taki urząd za ciężar raczej aniżeli za zaszczyt uważał. Starać się jednak ma, aby z nadmiernej łaskawości nie wyrosła słabość, a z opieszłości nie wyniknęło zwolnienie obyczajów, lecz pełen miłości ma być dla wszystkich, a grozą przejmować złych. Chciałbym

również, aby się otaczał towarzyszami uczciwymi, którzyby tak jak on byli wzorem wszystkich dobrych, nieustępliwymi wobec przyjemności, mocnymi wobec udręczeń a przytem tak łaskawymi, aby wszystkich przychodzących wesoło przyjmowali.

Takim powinien być minister generalny.

Tymczasem lato się miało ku końcowi, a z doliny Spoletańskiej wionęły na miasto rozkoszne tchnienia jesienne, obwijając je płaszczem chłodu i przyjemności po skwarach znojnego lata. Lecz zmiana powietrza sprowadziła zmianę w chorobie Franciszka. Nastąpiła pewnego wieczora tak nagle i gwałtowna recydywa, że myślano, iż już będzie po nim. Całą noc męczyły go krwotoki, które koniec położyły wszelkiej nadziei. Nad ranem jednak przyszła pewna ulga. Przytem zauważono, że puchlina szybko znika, ciało odzyskuje dawny wygląd. Była to jeszcze wyraźniejsza wskazówka, że żadnej niema nadziei.

Kazał tedy zwołać wszystkich braci jednego po drugim. Oni przychodzili płacząc, a on błogosławił każdemu, dla każdego miał słowo ojcowskie. Poczem wobec wszystkich zalecał im Porcjunkulę, aby jej nigdy nie opuszczali, bo ona jest miejscem świętem, prawdziwym domem Boga. Wiedział, że dopóki bracia zadowolą się takim wzorem ubóstwa, jakim jest skromna kilka kroków długa i szeroka kapliczka Porcjunkuli, dopóty ideał Franciszka będzie ocalony. Wkońcu wyciągnął ręce nad głowami wszystkich braci, aby im błogosławić.

Żył jednak. Stan był przejściowy, po którym lada chwila nastąpić mogła katastrofa. Bracia czuwali nad nim pokolei troskliwie całemi nocami.

Pewnej nocy czuwał nad nim brat Leon, jako spowiednik, jagniątko Boże. Franciszek leżał nieruchomy na łożku, zaledwie dyszący, cierpiący

bardzo, cień, cień śmierci. Leon wpatrywał się weń z bezbrzeżną miłością. Byłby duszę jego wchłonał w siebie, a z drugiej strony pragnął w rozdartem sercu, by sam leżał w jego miejscu.

Wtem przyszła mu dziwna myśl. Onby chciał mieć przynajmniej tę tunikę, w której teraz spoczywa jego ojciec. Jakaż droga po ojcu pamiątka! Taby nawet duszę jego potrafiła rozplomienić do większej pobożności. „Oto — myślał dalej brat Leon — on wnet umrze, jego ciało będzie obnażone. Obym ją mógł posiadać!“

Nagle spostrzegł, że chory patrzy nań. Istotnie po chwili przemówił Franciszek słabym głosem:

— Bracie Leonie, synu, jagniątko Boże, przybliż się! Słuchaj. Daruję ci tę tunikę. Ona będzie twoją. Jeszcze kilka dni będę jej używał. Potem będzie twoją.

A gdy Leon klęcząc, całował tę tunikę ojca, jęły mu z ocz kapać łzy bólu i radości, a Franciszek ocierał je z jego powiek i lic mdlejącą ręką.

Październik się zbliżał, a dusza nie chciała opuszczać tego ciała wyniszczonego. Zdawało się, że je pragnie zabrać ze sobą. Patrząc na te kosteczki powleczone tylko cienką osłoną skóry przezroczystej, tu i owdzie podziurawionej, dziwili się bracia i lekarze, jak ów człowiek może jeszcze oddychać. I jeszcze raz zaczęła im świtać nadzieja, nadzieja nikła, złudna!

Może nawet jemu wkradł się w serce rąbek światła i ufności. Albowiem gdy go raz odwiedził pewien lekarz z Arezzo, jego przyjaciel, zapytał go Franciszek:

— Bracie lekarzu, cóż ty na moją chorobę?

— Bracie — odparł lekarz — za łaską Bożą wyzdrowiejesz.

— Powiedz mi prawdę — nalegał Franciszek, uśmiechając się doń — cóż ci się zdaje? Nie bój się. Przecież nie jestem tchórzem, żebym się miał śmierci obawiać. Za łaską bowiem Ducha Św. tak jestem złączony z Panem moim, że tak życie jak śmierć z jednakiem zadowoleniem przyjmę z rąk Bożych.

— Ojciec mój — odrzekł smutno lekarz — twoja choroba jest według naszej nauki oczywiście nieuleczalną i sądzę, iż albo z końcem września albo z początkiem października umrzesz.

A bł. Franciszek leżąc na łóżku, roztwarzył z wielką pobożnością i czcią ręce do Pana i rzekł z niepojętą radością ducha i ciała:

— Dobrze, przychodź, o siostrze moja śmierci!

Po chwili skupił się. Poczem objawił życzenie, aby zawołano brata Anioła i Leona, aby mu zaśpiewali pieśń o słoneczku. A oni przyszedłszy, rozpoczęli śpiewać hymn o stworzeniach, choć im głos wiał z żalości w gardle, a oczy pełne łez nic nie widziały. Tylko gdy skończyli, zaraz ich żal ustał, a łzy ciec przestały; bo śpiewak Boży, choć umierający, śpiewał w radości ducha o swojej siostrze śmierci:

Bądź pozdrowiony, Panie, przez siostrę naszą, śmierć
Której żaden człowiek ujść nie może [cielesną,
Biada tym, którzy konają w grzechu śmiertelnym!
Błogosławieni ci, którzy się znajdują w twojej świętej
Gdyż wtóra śmierć nie wyrządzi im szkody. [woli,
Chwalcie i błogosławcie Pana, dziękujcie
I służcie Mu w wielkiej pokorze.

Przez całą noc pałac biskupi huczał od muzyki i śpiewu. Dziwiła się straż, dziwiła się ludność, dziwił się biskup razem z Eljaszem i braćmi, że się znalazł taki człowiek, który w godzinę śmierci śpiewa i raduje się.

Lecz rano oświadczył Franciszek stanowczo, że chce być przeniesiony do Porcjunkuli, bo pragnie umrzeć tam, gdzie zawód służby Bożej rozpoczął.

Nazajutrz opuszczały pałac biskupi w Asyżu dwa pochody. Jeden z unierającym Franciszkiem ciągnął do Porcjunkuli, drugi z biskupem Gwidonem na czele wybierał się w pielgrzymkę do Monte Gargano.



ROZDZIAŁ XXXII.

Testament. Śmierć.

(4 października 1226.)

W dzień przedostatni września 1226 roku żalobny pochód, prowadzący umierającego Franciszka, opuścił główną bramę Portaccia i krążąc w cieniu oliwników, dążył w kierunku Porcjunkuli. Bracia, niosący na swych ramionach łożko z drogim ojcem, doszedłszy na poziom doliny Spoletańskiej, puścili się drogą Francesce. Lecz uszedłszy połowę, zatrzymali się na życzenie Franciszka. Byli właśnie przy szpitalu Krzyżowców.

Franciszek kazał im postawić łożko z twarzą zwróconą na piętrzące się w blaskach słońca na skłonie góry Subasio, miasto ojczyste. Nie mógł go widzieć oczyma ciała, bo był prawie ślepy, ale je widział całe okiem duszy, jak spokojnie leżało na górze to jego gniazdo rodzinne, ukochane, błogosławione.

Potem podniósł się trochę na noszach i wyciągnawszy prawicę, rzekł, błogosławiąc:

— Bądź błogosławione od Boga, miasto święte. Przez ciebie wiele dusz będzie zbawionych i wielu sług Bożych będzie w tobie mieszkało

i wielu z twoich synów będzie wybranych do życia wiecznego.

Dał znak do dalszego pochodu. Po upływie pół godziny stanęli przed ołtarzem Najśw. Panny Marji Anielskiej w Porcjunkuli.

W cienistych gajach Porcjunkuli odżył dawny Franciszek. Szumiący las, śpiewanie ptaków, powiew orzeźwiający, jego Oblubienica Ubóstwo, wszystko się na to składało, aby to ciało umierające odetchnęło swobodnie i czuło ulgę przez te godzin kilkanaście, których brakło jeszcze do śmierci. Jak tam cudnie brzmieć musiał hymn słany do brata słoneczka! Tam mieszkała cała dusza Franciszka. Jak uroczyście, natarczywie rozlegać się musiał głos Franciszka, gdy po raz niewiadomo który powtarzał braciom:

— O synaczkowie moi, nie opuszczajcie nigdy tego miejsca. Jeżeli was wypędzą jedną stroną, wróćcie drugą. Ono jest święte. Tu Bóg założył swoje mieszkanie. Tu was Bóg rozmnożył, gdy was było maluczko. Tu ducha swoich ubożuchnych sług oświecił Bóg duchem mądrości. Tu nam rozgrzał nasze serca swoją miłością. Kto tu się pobożnie modlić będzie, uzyska, o co prosi. Kto tu grzeszyć będzie, srożej będzie karany. Miejcie, moi synowie, w wielkiej czci to święte mieszkanie. Śpiewajcie w niem chwałę Bożą z gorliwością i w radości.

Było to właśnie w takiej pogodzie i podniosłości ducha, kiedy Franciszek pozostawił swoim kochanym braciom swoją ostatnią wolę. Całą swoją energję i miłość, ideał swój i swych braci i swojego zakonu z zadziwiającą prostotą i jasnością ducha przelał w tej chwili w swój testament.

„Najprzód, bracia moi mili, chcę wam przypomnieć, jako Pan nasz pociągnął mię do siebie i zem

się obnażył przed Biskupem i wyrzekłem się wszystkiego, com tylko miał na świecie. Potem gdym się starał, abym czynił pokutę, Pan dał mi taką w tem łaskę, iż com się pierwiej, będąc w grzechach, brzydził trędowatymi, gdybym na nie był patrzył, nietylko żebym im miał służyć, począłem ich wielce miłować: i tak iż co mi się przedtem zdało gorzkie i nieznośne, potem mi było wdzięczne i pożądane. Zatem począłem odprawiać poprostu modlitwę moją do Boga takową: „Chwalimy Cię, Najświętszy Panie, na tem miejscu i na każdym inszem po świecie, i oddajemy cześć, iżeś przez swój święty i nam wdzięczny krzyż odkupił świat“.

„Do tego dał mi tenże Pan taką ufność ku wszystkim swym świętym kapłanom, którzy żyją w posłuszeństwie i wedle sposobu Kościoła św. rzymskiego, a to dla ich godności, iż choćby mnie też byli przesładowali, przeciebym się był nie uciekał do inszych, tylko do nich. I chociażbym był miał mądrość większą nad Salomonową, a natrafiłbym był na nędzniejszego kapłana świeckiego, nie śmiałem nigdy kazać przeciwko jego woli w kościele jego (a to dlatego iżem się kochał wielce w łasce Pana mego miłego), ale i onego i inszych wszystkich poważałem zawsze i miłował i czcił jako moje własne pany i dobrodzieje. I nie upatrywałem w nich nigdy grzechu żadnego, patrząc w nich tylko na Syna Bożego, którego żadnej inszej rzeczy nie widząc w tym żywocie oprócz Najświętszego ciała i krwi jego, musiałem ich czcić, gdyż oni mnie tych Tajemnic użyczają, jako też i oni sami je poświęcają. A tę Najświętszą Tajemnicę zawszem nad insze wszystkie rzeczy na tym świecie poważał i czcił: i kazałem zawsze (ile ze mnie było) czcić i poważać inszym i stawiać na miejscach przednich: jakom też i imiona Boże zawsze czcił: i gdiemkolwiek pisane słowa święte znalazł na ziemi, zbierałem je, aby nie były podeptane: i proszę aby były zbierane a na miejscach uczciwych kładzione albo spalone. Także wszystkie teologi, którzy nas nauczają ducha i żywota, proszę, abyście czcili i poważali, jako tych, którzy nam użyczają ducha i żywota, i na to są od Boga posłani.

„Potem was upominam, abyście się oddawali w ręce Pańskie, i na opatrzność jego spuszczałi, który jako mnie sam nauczył sposobu życia według świętej

Ewangelji, tak też i was nauczy, pójdziecili za tą Regułą, którą On sam krótkimi i prostymi słowy kazał mi napisać; a potem przez swego Najświętszego Wikarego tu na ziemi potwierdzić. A tak wszyscy, którzy przychodzili do tego Zakonu, wedle tego jak napisano w pomienionej Regule, rozdawali wszystką swoją majątność ubogim, przestając na jednej sukni zewnątrz i z wierzchu połataney, na chordzie, i na pokryciu tajemnem, a więcej nie chcieliśmy mieć. I tak żyliśmy z chęcią wielką przy kościołach ubożuchnych i opuszczonych, modląc się (my klerycy odprawialiśmy obrządek wedle zwyczaju S. Rzymskiego Kościoła, a laicy mawiali pacierze) w prostocie naszej i poddani będąc wszystkim dla miłości Chrystusowej, pracując rękami naszymi dla dostania pożywienia. Jakoż o to proszę braci, i chęć tego po nich, żeby się bawili robotą uczciwą, a jeżeliby którzy nie umieli robić, niech się uczą, nie z chciwości ku zarobkowi, ale dla podania dobrego przykładu i dla uchronienia się próżnowania. A jeżeli nam kiedy nie nagrodzono roboty, albo też tą nagrodą nie mogliśmy się wyżywić, udawaliśmy się do hojnego stołu Pańskiego, chodząc od domu do domu u dobrodziejów, pozdrawiając ich zawsze, tak jako mi Pan objawił na początku, to jest: Pokój Pański niech będzie temu domowi i wszystkim mieszkającym w nim. Niech się jednak strzegą bracia wszyscy, aby żadnej rzeczy nie przyjmowali dla siebie jako własnej: a także też chęć, aby i w pospolitości nie przyjmowali żadnym sposobem ani domu ani kościoła ani żadnego miejsca jako własnego, żeby to miano nazywać naszym, ale tylko tak jako przystoi wedle prostoty i wedle ubóstwa świętego naszego, któreśmy w Regule Panu obiecali: zawsze tam mieszkając jako prawdziwi pielgrzymi i przychodniowie.

„Przykazuję mocno przez posłuszeństwo wszystkim braciom, gdziekolwiekby byli, aby się nie ważyli prosić o jakie listy albo przywileje na Dworze Rzymskim ani samj przez się, ani pod pozorem kazania, albo żeby nie cierpieli prześladowania: ale jeżeliby gdzie nie byli przyjęci, albowy też tam nie mogli zachować swej Reguły, niechże ustąpią do inszego kraju dla czynienia pokuty z błogosławieństwem Pańskim, byle tylko miejsce było tam dla nich, ażeby też była i karność zakonna. A jakom ja chciał zawsze mocno być

posłusznym Ministrowi Generalnemu tego Bractwa i onemu Gwardjanowi, któregoby mi było dano, i jakom chciał być tak zniewolony w rękach jego, iżem nie mógł ani iść nigdzie, ani też mieszkać, ani czynić czegokolwiek nad jego rozkazanie i podobanie (bo Panem moim jest) ani czasu zdrowia ani czasu choroby; i jako będąc prostakiem albo chorym, zawsze chciałem mieć jednego kleryka, któryby ze mną albo przy mnie mawiał pacierze wedle Reguły: tak też chcę, żeby i wszyscy insi bracia byli posłuszni Ministrowi i Gwardjanowi, i żeby odprawiali wszystek obrządek wedle Reguły gdy zdrowi: a gdyby chorowali, nicchby przy nich odprawiał kleryk. A jeśliby się który kiedy znalazł taki śmiały, iżby nie chciał odmawiać pacierzy wedle Reguły, alboby je chciał odmieniać, alboby nie był katolikiem: chcę, aby wszyscy bracia, kędykolwiekby się znaleźli, powinni byli przez posłuszeństwo takowego pojmać i bliższemu Kustoszowi owego miejsca, gdzieby go znaleźli, winni go stawić. A ten go ma dobrze pilnować we dnie i w nocy i opatrzeć jako więźnia tak, żeby się nie wydarł z rąk jego, ażby go stawił swemu Ministrowi. A Minister zaś będzie winien go posłać przez bracią, którzyby też go zawsze strzegli, do Księdza Protektora, żeby go ten wedle zasługi jego pokarał.

„A niech nie mówią bracia, żeby to była nowa Reguła; boć to jest przypomnienie i upomnienie i przestroga, którą ja brat Franciszek ubożuchny i najmniejszy wasz, zostawuję wam braciom moim błogosławionym za testament dlatego, abyście Regułę Panu obiecaną tem lepiej i po katolicku zachowali. A Generalny Minister i wszyscy insi Ministrowie i Kustoszowie powinni będą nie przydawać nic ani też ujmować z tych słów, ale zawsze ten mój Testament niech mają przy Regule i będzie czytany braciom moim kapłanom i laikom. Przykazuję też przez posłuszeństwo wszystkim, aby się żaden nie ważył czynić głosy na Regułę ani na ten mój ostatni Testament, mówiąc: tak się ma rozumieć. Ale jako mi Pan kazał mówić i pisać to wszystko, poprostu i szczerze, tak też poprostu i wedle litery bez głosy niech będzie to rozumiane i w uczynku świętym zachowane zawsze aż do końca.

„A ja brat Franciszek maluczki wasz i sługa mocą Pana Boga i Panny Najświętszej Marji i wszyst-

kich Aniołów i Świętych Bożych dają błogosławieństwo moje, jakie mogę, na wieki onym wszystkim, którzy to zachowywać będą, jakom rzekł wyżej, na Niebie i na ziemi w Imię Ojca Najwyższego i Syna jego najmilszego i Ducha Świętego, Pocieszyciela. Amen“.

W tych słowach prostych i wzruszających tkwi cały żywot i ideał Biedaczka z Asyżu. Nie można było jaśniej określić tego nowego życia, które przyniósł światu Franciszek, i nie można było jaśniej wytknąć drogi, którą kroczyć mieli jego bracia. Tym ostatnim aktem zamknął Franciszek swój zawód publiczny.

Pamiętał również o swych córkach duchowych u św. Damjana. W testamencie zachęcał je do zgody i do ubóstwa, a jako należącym do jednej rodziny zakonnej udzielił błogosławieństwa.

Poczem objawił życzenie, że przed śmiercią chciałby jeszcze widzieć swoją przyjaciółkę. Była nią pewna dama rzymska, dobra i prostoty pełna, którą Franciszek w Rzymie był poznał i której w swoim czasie był podarował jagniątko. Nazywała się Jakobina de Settesoli, a Franciszek nazywał ją w swym malowniczym języku bratem Giacomina. Kazał jej tedy napisać, aby przybyła czeni prędzej. Lecz ona właśnie, kiedy list chciano wysłać, przybywała w świetnym otoczeniu do Porcjunkuli, przynosząc ze sobą oprócz innych rzeczy także pewien przysmak, o którym wiedziała, że go Franciszek lubi. Przyjął ją ze spokojem i wielką radością. Ona zaś, wnioskując z jego pogodnego usposobienia, że godzina śmierci jeszcze jest daleka, chciała służbę odesłać do domu. Lecz on powstrzymał ją od tego, mówiąc, że w sobotę wieczór umrze. Pozostała tedy, dopóki nie oddał ducha.

We czwartek pojawiły się dreszcze przedśmiertne, wśród których jednak zachowywał zupełną przytomność umysłu aż do śmierci.

Ziemie swojej celki kazał potrzeć popiołem i wyzuć się ze wszystkiego nawet z tuniki; podtrzymywany przez braci położył się nagi na ziemię. Podniósł oczy z niewysłowioną radością w górę. Oto przez dwadzieścia lat służył wiernie aż do ostatniego tchu Chrystusowi, który nagi umierał na krzyżu, jak on nagi umierał na nagiej ziemi. „Dokonałem zawodu — mówił słabym głosem — niechaj wam teraz Chrystus wskaże wasz obowiązek“.

W celce panował spokój. Tylko braciom spływały łzy po twarzach, a od czasu do czasu wydierał się z ich piersi jęk głęboki lub łkanie rozpaczne.

Potem go znowu odziali i podniosłszy go z ziemi, położyli spokojnego jak baranek na łóżko.

Leżąc na łóżku miał jeszcze słówko dla każdego brata, który się doń zbliżał, i dla wszystkich razem. Mówił krótko, ale często, serdecznie jak matka, która odumiera swe dzieciaki małe. Już ani słówkiem nie dotknął spraw zakonu. Pocieszał ich tylko. O cierpliwości też i o ubóstwie i o zachowaniu reguły i ewangelji miłościwie mówił i upominał. Zdawał się być samą słodyczą.

A jak ich żegnał i błogosławił! Wyciągał nad każdym mdlejącą rękę. A gdy się zbliżył Bernard z Kwintawallu, rzekł:

— Chcę i rozkazuję ci całą moją władzę, aby ktokolwiek będzie ministrem generalnym, kochał i czcił tego brata jako mnie samego. Ministrowie prowincjalscy i wszyscy bracia niech się obchodzą z nim jako ze mną.

Prosił następnie brata Leona i Anioła, by mu jeszcze raz, nim umrze, zanucili pieśń o słoneczku.

Lecz gdy dośpiewali aż do zwrotki o śmierci, nie mogli dalej. Tedy sam Franciszek z wyciągniętymi rękami radośnie śpiewał ostatnią zwrotkę.

A skończywszy, rzekł do lekarza:

— Bracie lekarzu, zwiastuj śmierć. Niechaj mi ona otworzy bramę do raju.

Bracia, słysząc go śpiewającego i tak wesołego mówiącego o śmierci, uderzyli w głośny płacz, bo myśleli, że już umiera. Ale on rzekł słodko:

— Zaniechajcie. Gdy ujrzycie, że konam, połóżcie mnie nagiego na ziemi jak przedwczoraj. A pozostawcie mnie tak leżącego z jaką godzinę.

A jeden z braci, który go kochał bardzo, nachylił się nad chorym i przemówił, płacząc:

— Ojczy mój, my już nie będziemy mieli ojca. Tracimy w tobie kaganek życia. Nie zapominaj o nas, sierotach, których zostawiasz na ziemi. Zapomnij też o błędach i winach i przebac. Udziel wszystkim słodyczy twego błogosławieństwa.

A Franciszek, kładąc mu rękę na głowę, szeptał:

— Synu mój, oto Bóg mnie woła. Przebaczam wszystkim braciom moim obecnym i nieobecnym błędy i winy i urazy. Rozgrzeszam ich, o ile mogę. Powiedz im to i pobłogosław ich ode mnie.

Żył jednak jeszcze aż do wieczora, to jest aż do wieczora soboty, dnia trzeciego października.

Nad ranem zażądał jeszcze bochenka chleba. Rozłamywał go drżącymi rękami i rozdawał uczniom po kawałku. A gdy oni jedli, choć nie mogli, bo im gardła był żal wielki ścisnął, jeden z braci czytał ustęp z ewangelji o męce Pana Jezusa na życzenie konającego: *Przededniem Paschy Jezus widząc, że przyszła godzina...*¹⁾.

¹⁾ Ewangelja św. Jana, 13, 1.

Franciszek słuchał z wielkiem skupieniem. Nie przerywał czytania ani westchnieniem.

Zbliżała się śmierć. Śmierć błogostawionego, która jest najpodnioślejszą chwilą na ziemi.

Słońce już się było przetoczyło w stronę jeziora Trazymeńskiego. W jego ostatnie promienie wsiąkał głos Franciszka, który był przerwał grobowe milczenie i śpiewał.

Za ostatniem tchnieniem piersi poszła też śladem uciekających promieni słonecznych jego dusza, unosząc się w kształcie gwiazdy nad Porcjunkulą, dopóki nie pogrążyła się w łonie Boga i w oceanie nieprzebranym życia niebieskiego.

Długo wpatrywali się bracia w te drogie rysy, których już nie oświecała dusza. Lecz gdy w miejsce siatki słonecznej zadzierzganej na ziemi przez liście, usłął się cień grubych nocnych, zleciały się stada ptasząt, skowronków, oddając rozgłośnym śpiewem cześć temu, który był ich bratem i tyle razy je zachęcał do chwały Bożej.

Nazajutrz posuwał się okazały pochód pogrzebowy drogą wiodącą z Porcjunkuli do Asyżu. Lecz tam się drogi krzyżując, zboczył orszak żałobny do św. Damjana.

Stanąwszy przed św. Damjanem, złożyli zwłoki. Błogostawiony Franciszek odwiedził według obietnic swoje córki duchowne. One zaś wyfrunęły jako gołębice. A był ich żal za ojcem tak wielki, że wśród lamentu i płaczu tylko na słowa: ojcze, ojcze! zdobyć się mogły. I całowały te ręce i nogi, przez które przeszły gwoździe miłości Bożej.

Po chwili podniesiono trumnę. W powietrzu powstał szum od chorągwi i gałęzi oliwnych.

Trąby zabrzmiały, pieśni się przyłączyły. Pochód ruszył dalej w kierunku kościoła św. Jerzego, w którego murach spocząć miały zwłoki Świętego.

Dwa lata później runął po łukach kościoła św. Jerzego nad grobem Biedaczka z Asyżu hymn Te Deum, kiedy Grzegorz IX, ongi kardynał Hugolin, Dominus Ostiensis, zaliczał Franciszka w poczet Świętych.

A w cztery lata po śmierci ukryto ciało Świętego w skale pagórka piekła, przezwanego potem pagórkem raj. A nad ciałem wzniosła się potrójna bazylika i Sacro Convento.

Ubożuchna Porcjunkula opustoszała. Tylko małe grono wiernych towarzyszy z bratem Leonem na czele rozpaniętywało i spisywało na skrawkach papieru drogie rysy najdroższego ojca. Aż wreszcie i nad nią rozpostarł później Vignola płaszcz królewski w kształcie wspaniałej bazyliki: S. Maria degli Angeli.

BIBLIOTEKA
Prac... cyjnych
... SKIEJ
w Głównym



SPIS TREŚCI.

	Str.
Rozdział I. Młody Francesco. (1182—1201) . .	1
Rozdział II. Rycerz Francesco. (1202—1205) .	9
Rozdział III. Przebłąski innej przyszłości. (1205)	18
Rozdział IV. Dalsza walka i zwycięstwo (1206 do 1207)	29
Rozdział V. Budowniczy. (1208—1209) . . .	41
Rozdział VI. Nowy rodzaj pokutników i aposto- łów (1209)	50
Rozdział VII. Franciszek z Asyżu i Inocenty III. (1210)	68
Rozdział VIII. Rivortorto czyli era heroiczna za- konu. (1210)	83
Rozdział IX. Zorza nad Porcjunkulą. (1211) .	97
Rozdział X. Pęk kwiatów	115
Rozdział XI. Św. Klara czyli założenie drugiego zakonu. (1212)	138
Rozdział XII. Miłośnik natury i poeta . . .	156
Rozdział XIII. Miłośnik bliźniego	172
Rozdział XIV. Pierwsze próby podbojów po- wszechnych (1212—1213)	186
Rozdział XV. Pierwsza wycieczka do Alwernji. (1214)	201
Rozdział XVI. Nowy okres apostołstwa we Wło- szech (1215)	211
Rozdział XVII. Pocałunek. Sobór powszechny. Śmierć Inocentego III. Honorjusz III . .	224
Rozdział XVIII. Odpust Porcjunkuli. (1216) . .	235

Rozdział XIX. Pierwsza wielka kapituła święteczna i jej następstwa. (1217)	245
Rozdział XX. Franciszek, Dominik i Hugolin na kapitule świętecznej. (1218)	260
Rozdział XXI. Trzecia wielka kapituła generalna. (1219)	268
Rozdział XXII. Franciszek na Wschodzie. (1219 do 1220)	273
Rozdział XXIII. Naprzeciąj morza i lądu do Portcjunkuli. (1220)	282
Rozdział XXIV. Świadkowie krwi w Maroko. Antoni Fernandez. Kapituła mniejsza. (1220)	294
Rozdział XXV. Ostatnia wielka z pierwotnych kapituł generalnych. (1221)	310
Rozdział XXVI. Nowy ruch religijny i społeczny czyli założenie trzeciego zakonu. (1221)	321
Rozdział XXVII. Deus meus et omnia. (1222)	333
Rozdział XXVIII. Reguła św. Franciszka. Dzieciątka w Greccio. (1223)	355
Rozdział XXIX. Dramat miłości na górze Alwernji. (1224)	366
Rozdział XXX. Dwa lata męczeństwa. (1224 do 1226)	384
Rozdział XXXI. Dwa miesiące agonji. (Sierpień, wrzesień 1226)	403
Rozdział XXXII. Testament. Śmierć. (4 października 1226)	414



BG Politechniki Śląskiej

nr inw.: B - 5627



Dyr.1 B-5627